

D. B. THORNE

OBSERWATOR

WIE O TOBIE WSZYSTKO.
ŚLEDZI KAŻDY TWÓJ RUCH W SIECI.
JEŚLI STANIESZ SIĘ JEGO OFIARĄ,
DOWIESZ SIĘ, GDY BĘDZIE
ZA PÓŹNO...

D. B. THORNE

OBSERWATOR

Z JĘZYKA ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁ
JACEK ŻUŁAWNIK



Tytuł oryginału: *Troll*

Copyright © by D. B. Thorne, 2017

Copyright for the Polish edition © by Burda Publishing Polska Sp. z o.o., 2017

02-674 Warszawa, ul. Marynarska 15

Dział handlowy: tel. 22 360 38 42

Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 360 37 77

Redaktor prowadzący: Marcin Kicki

Tłumaczenie: Jacek Żuławnik

Redakcja: Małgorzata Poźdżik / d2d.pl

Korekta: Anna Woś i Sandra Trela / d2d.pl

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Robert Oleś / d2d.pl

Projekt okładki: Krzysztof Rychter

Zdjęcie na okładce:

ISBN: 978-83-8053-265-6

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

www.burdaksiazki.pl

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

Spis treści

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

Przypisy

Fortune spojrział na mężczyznę odpowiedzialnego za poszukiwania jego zaginionej córki z konsternacją, jaką z reguły rezerwował dla porażająco nieudolnych kandydatów, z którymi odbywał rozmowy o pracę. Czy naprawdę ten człowiek zajmuje się odtwarzaniem chronologii zdarzeń poprzedzających jej zniknięcie? To on ma podążać za tropami i zbierać dane? Był gruby i niechłujny, wyglądał jak ktoś, kto nagle obudził się ze świadomością, że odtąd sam musi pracować i prasować. Czyli, domyślał się Fortune, niedawno zakończyło się jego nieudane małżeństwo i teraz żywi się daniami na wynos.

Patrzył na mężczyznę siedzącego po drugiej stronie stołu w pokoju przesłuchań i czuł narastającą panikę. Zamrugnął i odezwał się:

– Słucham?

– Ograniczyliśmy poszukiwania – powiedział Marsh. Miał małe oczka, którymi patrzył wszędzie, tylko nie na Fortune'a. – Nie mieliśmy wyjścia.

– Ale ona wciąż się nie odnalazła.

Marsh pokiwał głową.

– Wiem. Przykro mi. Tyle że minęło kilka tygodni, a wciąż nie znaleźliśmy... – urwał. Ciało, pomyślał Fortune, chciałbyś powiedzieć: ciało, ale zabrakło ci odwagi. Marsh zakasłał. – Nie zamykamy śledztwa. Po prostu... zmieniamy jego charakter.

– Zmieniacie charakter... – powtórzył Fortune. – Co to w ogóle znaczy? – Brzmiało to jak jedna z tych pustych fraz, którymi szasta młody personel w jego biurze: podnosić poprzeczkę, luzować krawat, poszerzać krąg zainteresowanych. Ładne słowa i nic poza tym. Bez sensu.

– Panie Fortune – odezwał się Marsh. – To zrozumiałe, że jest pan zdenerwowany...

– Oczywiście, że zrozumiałe. Przecież chodzi o moją córkę. Zniknęła, a wy

nie macie nic: ani tropów, ani pomysłów. Jakby zapadła się pod ziemię. A teraz co? Poddajecie się? – Próbował, ale nie zdołał ukryć desperacji w głosie.

– Nie poddajemy się. Zmienia...

– Zmieniacie charakter śledztwa. Tak, słyszałem. Nadal jednak nie wiem, co to znaczy.

– To znaczy... – Marsh westchnął. – Panie Fortune, naprawdę staramy się odnaleźć pańską córkę.

– Jakoś słabo wam to wychodzi.

– Pracujemy z taką intensywnością, na jaką pozwalają nam środki, którymi dysponujemy.

– Na jak wiele tych waszych „środków” zasługuje zaginiona dziewczyna? Dziesięciu policjantów? Czterech? Jednego? Jak ważne jest dla was jej życie?

Marsh wyprostował plecy i rozmasował nasadę nosa. Miał rzadkie siwe włosy. Nie, pomyślał Fortune, niemożliwe, żeby to on był odpowiedzialny za poszukiwania. Moja córka zasługuje na kogoś lepszego.

– Panie Fortune, zrobiliśmy, co było w naszej mocy. Utworzyliśmy grupę zajmującą się sprawą zaginięcia, założyliśmy centrum koordynacyjne, przesłuchaliśmy wszystkich: znajomych, kolegów, koleżanki, byłych chłopaków. Zwróciliśmy się o pomoc do mediów. Przejrzeliśmy nagrania z monitoringów. – Uniósł ramiona. – I nic. Na tym etapie niewiele więcej możemy zrobić. Bez... – Znów chciał to powiedzieć: bez ciała. Ciała mojego jedyne dziecko, pomyślał Fortune. Mojej córeczki Sophie.

– Nie możecie zarzucić poszukiwań.

– Nie zarzucamy. Ograniczamy. Nie mamy wyjścia.

– Ilu ludzi zajmuje się tą sprawą? Ilu się nią teraz zajmuje?

Marsh sięgnął po długopis, żeby skupić na czymś wzrok, byle nie patrzeć na Fortune'a.

– W tej chwili, panie Fortune, śledztwo kontynuuje jeden z naszych funkcjonariuszy. Powtarzam: nie zostało zakończone, a jedynie ograniczone.

– Jedna osoba. Jeden funkcjonariusz. – Fortune przymknął oczy. Przyleciał z daleka. Specjalnie wziął urlop. – Co może zdziać jeden policjant? Moja

córka przebywa nie wiadomo gdzie i potrzebuje pomocy. – Usłyszał błagalny ton we własnym głosie. Mój Boże, pomyślał, przemawia przeze mnie desperacja.

– Panie Fortune, jak pan sądzi, co stało się z pańską córką?

– Przecież po to tu jestem: żeby dowiedzieć się tego od was.

– No dobrze, ale kiedy usłyszał pan, że zaginęła, to jaka była pana pierwsza myśl?

Fortune pokręcił głową.

– Nie wiem. Że... nie wiem.

– Że co?

Fortune wzruszył ramionami i podjął próbę opanowania nerwów.

– Że wyjechała na wakacje. Uciekła z nowym chłopakiem. Nie wiem. To mogło być cokolwiek.

Marsh pokiwał głową i odchylił się na krześle. Siedzieli w milczeniu naprzeciw siebie. Fortune słyszał buczenie i terkot klimatyzatora – urządzenie dzieliły lata świetlne od nowoczesnej i cichej klimatyzacji w jego biurze w Dubaju.

Rozległo się pukanie do drzwi. Weszła młoda kobieta, przyniosła dwa kubki kawy i postawiła je na stole. Marsh podziękował skinieniem głowy. Kiedy wyszła, zamykając drzwi z cichym stuknięciem, sięgnął po jeden ze styropianowych kubeczków, upił łyk, skrzywił się i ostrożnie odstawił kubek.

– Ile razy pańska córka podejmowała próby samobójcze?

Ach, oto i jest. Pytanie, którego Fortune się spodziewał i z którym nie chciał się mierzyć. Przypomniał sobie szpitalne korytarze, twarde krzesła, żonę u boku, stukanie jej obcasów na linoleum. Niespieszne tykanie wiszącego na ścianie zegara. Niejednego zegara. W niejednym szpitalu.

– Nie – powiedział. – Nie.

– Nie możemy wykluczyć żadnej ewentualności – odparł Marsh. – A biorąc pod uwagę przeszłość pańskiej córki...

Szkoda, pomyślał Fortune, że Marsh boi się kończyć zdania i nie potrafi powiedzieć, jak jest naprawdę. Że Sophie należała do osób burzliwie przeżywających wiek dojrzewania; że jako kilkunastolatka, a nawet jeszcze

jako dwudziestoparolatka, była kapryśna, nerwowa, przygnębiona, gniewna. Zagubiona.

– Przed zniknięciem czuła się lepiej. Dużo lepiej. Była zupełnie inną osobą.

Przestała targać się na własne życie. Wcześniej łykała prochy, współlokatorzy znajdowali ją po powrocie z nocnej zmiany w barze i wzywali karetkę. Potem trzeba było przy niej czuwać. Były przeprosiny, były łzy. Ale poprawiło jej się, powoli zaczęła układać sobie życie – tak przynajmniej Fortune sądził.

Marsh westchnął i otworzył akta, które przyniósł ze sobą i położył na stole. Cienka beżowa teczka. Jeśli to wszystko, pomyślał Fortune, jeśli w tym zawiera się cały wynik śledztwa, to się nie napracowali. Marsh wyjął koszulkę na dokumenty i położył ją przed Fortune'em.

– Znaleźliśmy coś takiego – powiedział.

Kartka A4 pokryta była bazgrołami czarnym długopisem, rozmieszczonymi bez ładu i składu. Kilukrotnie podkreślone: „To się musi skończyć”. „Dziś już koniec” napisane wiele razy w tym samym miejscu, grubymi, świecącymi tuszem literami, aż do przedarcia papieru. „Nie mogę już. Nie mogę już. Nie mogę już”. A na samym dole, starannie wykaligrafowane wielkimi literami: „DLACZEGO MUSZĘ TO ZNOSIĆ?”.

Fortune przyjrzał się zawijasom przy „g” i „j” oraz swobodnej kresce, jakby ten, kto to pisał, chciał powiedzieć: „Do diabła z wami wszystkimi”. Bez wątpienia to charakter pisma Sophie.

– Co to jest? – spytał.

– Znaleźliśmy na biurku pańskiej córki – odparł Marsh. – Przykro mi.

Fortune raz jeszcze przyjrzał się kartce. Niemożliwe, przecież to niczego nie dowodzi.

– To nic nie znaczy – stwierdził.

– Być może nie. Ale biorąc pod uwagę przeszłość... – Znowu to zrobił. Znowu zawiesił zdanie. Po czym sięgnął po kubek i napił się kawy, patrząc wszędzie, tylko nie na Fortune'a.

– To nie jest list pożegnalny – powiedział Fortune.

– Panie Fortune, w przeszłości pańska córka próbowała się zabić. Teraz

zniknęła i nikt nie wie, co się z nią stało. Nie odnaleźliśmy ciała. Nie miała wrogów. Prowadziła... niekonwencjonalny styl życia. Czytałem wpisy na jej blogu. Jesteśmy w Londynie, a ten potrafi działać na ludzi, zwłaszcza młodych. Nietrudno poczuć się samotnie w wielkim mieście.

Ponownie rozległo się pukanie do drzwi. Do środka wsunął głowę młody policjant i ruchem brody wezwał Marsha. Marsh odsunął krzesło, rzucił: „Przepraszam na chwilę” i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Fortune popatrzył na kartkę zapisaną pismem Sophie i spróbował wyobrazić sobie twarz córki. Kiedy widział ją po raz ostatni? Przed wieloma miesiącami. Z trudem ją sobie przypominał, lepiej pamiętał ją z czasów, kiedy była dzieckiem. Była piękną dziewczynką – to na pewno. Podrzucał ją i łapał, a jej pełne zachwyty oczy lśniły w słońcu. Śmiech. Jego córka. Zanim ją stracił. Zanim coś mrocznego i obcego, czego Fortune nigdy nie potrafił zrozumieć, pozbawiło ją radości. Zanim odpuściła go sobie. Albo on odpuścił ją.

Przymknął oczy i spróbował przyjąć wygodniejszą pozycję. Miał wrażenie, że od kilkunastu godzin jedynie przemyka od jednego klimatyzowanego pomieszczenia do drugiego, uczestniczy w onirycznej podróży, niemającej nic wspólnego z prawdziwym, żyjącym światem. Siedząc w chłodnej kabinie firmowego mercedesa, patrzył, jak za oknem przesuwają się piaszczysty krajobraz dubajskich przedmieść. Czytał gazetę w poczekalni na lotnisku; panowała w niej idealna temperatura. Potem samolot, Heathrow i kolejny mercedes, starszy model niż firmowa maszyna, którą przemieszczał się po Dubaju, ale też wyposażona w klimatyzację. Następnie hotel i komenda na zapuszczonych peryferiach Londynu – gdzie wiatr rozwiewa stosy kartonów i styropianu – a w niej brudnozielony pokój przesłuchań. Fortune był zmęczony i nie miał najmniejszej ochoty brać udziału w tym, co tu się odbywało. Wolał, by był to tylko sen.

Marsh wrócił, przeprosił i ponownie usiadł. Fortune przyglądał mu się beznamiętnym wzrokiem. Marsh wziął głęboki oddech.

– Panie Fortune – zaczął. – Jest mi przykro, naprawdę. Nie chcę, żeby myślał pan, że sprawa zaginięcia pańskiej córki została zamknięta. Ale jeśli

mam być szczerzy, to chyba obaj wiemy, że pańska córka była nieźrównoważona i brzmącym najprawdopodobniej wytłumaczeniem jej zniknięcia jest to, że odebrała sobie życie.

Fortune musiał przyznać Marshowi jedno: tym razem facet dokończył zdanie, mimo że na pewno nie było to dla niego łatwe.

– Czyli co? To koniec?

– Nie, panie Fortune, to jeszcze nie koniec. Ale zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy. Jeżeli dowiemy się czegoś nowego, wtedy oczywiście przesuniemy do tej sprawy dodatkowe środki. Na razie jednak wyczerpaliśmy wszystkie możliwości. Poza tym mamy też inne sprawy. Mnóstwo spraw.

Fortune siedział przez chwilę w milczeniu, dopóki nie zorientował się, że z punktu widzenia Marsha spotkanie dobiegło końca. Pokonał ponad trzy tysiące kilometrów i wziął urlop tylko po to, by usłyszeć, że odbył tę podróż na darmo, zaś jego córka wedle wszelkiego prawdopodobieństwa jest martwa. Wstał.

– Kto jest pańskim przełożonym?

Marsh pokręcił głową.

– To nic nie da.

– Tak być nie może... Nie możecie tego tak zostawić. Jeden funkcjonariusz? To nie w porządku. Chodzi o moją córkę. – Puste słowa, marne. Zrobiło mu się wstyd.

– Przykro mi – powiedział Marsh.

– Wątpię – odparł Fortune. – Myślę, że ma pan to gdzieś.

Marsh zerknął na zegarek.

– Obawiam się, że musimy kończyć.

Budżetówka, pomyślał Fortune. Dokładnie taka, jak ją malują. Małpy u steru, ślepy prowadzi kulawego, obłąkani kierują zakładem dla umysłowo chorych. Skończyły mu się metafory. Potrząsnął głową. Nikt nie szuka jego córki. Zupełnie nikt.

Marsh zabrał teczkę ze stołu, przeszedł obok Fortune'a i otworzył drzwi.

– Przykro mi – powtórzył, a Fortune'a znów ogarnęła panika, tak jakby opuszczając to pomieszczenie, tracił wszelkie szanse na odnalezienie Sophie.

W końcu wstał i podszedł do drzwi. Sam powinien jej poszukać. Powinien być tu dla niej. To nie wina tego policjanta, tylko moja, pomyślał. Wyłącznie moja.

Wyminął Marsha, nawet na niego nie patrząc. Zrobił to nie po to, by wyrazić pogardę dla funkcjonariusza, lecz aby tamten nie dostrzegł wstydu i poczucia winy w jego spojrzeniu.

Pachniało już wiosną, choć nadal było zimno. Fortune poczuł typowe dla każdego ekspatrianta przelotne niedowierzanie w to, że w ogóle można tu mieszkać, w tym kraju niszczącej infrastruktury, zanikających wartości i pogody powodującej butwienie duszy. Rozejrzał się za taksówką, ale kierowcy taryf niechętnie zapuszczali się na odległe wschodnie peryferie stolicy.

Zapalił papierosa, osłaniając dłonią płomień zapalniczki, i się zaciągnął. Czekał, aż nikotyna zrobi swoje. Zakasłał, spróbował się opanować, ale rozkaszłał się jeszcze bardziej. Kolejna rzecz: w Dubaju możesz palić, gdzie chcesz, tutaj – nie. Stał na chodniku i ćmił, przyglądając się mijającym go imigrantom, tak jakby te ulice nie należały już do niego, lecz do nich. Mężczyzna o kulach i z twarzą pokrytą tatuażami poprosił go o drobne na hostel. Fortune wsunął dłoń do kieszeni i przypomniał sobie, że ostatnie funty wydał na kawę na lotnisku.

– Przykro mi – powiedział. – Nie mam.

Jakiś rowerzysta wyprzedził auto i okrutnie przy tym zwymyślał kierowcę. Właściciel sklepu spożywczego – o rysach, które świadczyły, że pochodził z Bliskiego Wschodu – wyszedł przed budynek i stał z założonymi rękami, z dumą stawiając czoło światu. Młoda kobieta pchała przed sobą wózek z dzieckiem, klnąc do kogoś, z kim rozmawiała przez telefon. W końcu pojawiła się taksówka. Fortune wsiadł i podał taryfiarzowi nazwę luksusowego, pięciogwiazdkowego hotelu, przybytku, w którym ludzie rozumieją zasady.

Od kiedy to wynajęcie mieszkania, w którym: po pierwsze, ogrzewanie jest, ale nie działa, po drugie, brak oświetlenia przed wejściem do budynku, przez co wieczorem człowiek ryzykuje, że się przewróci i połamie sobie coś ważnego (na przykład iPhone'a), kosztuje tysiąc funtów miesięcznie?

Zadzwoiłam do Sama i zapytałam go o to. Stwierdził, że zajmie się tym i że wpisał sobie na listę. Zapytałam, jak długa jest ta jego lista. Odpowiedział słowami: „Jak długie jest moje co?”, i śmiechem. Tak to właśnie wygląda.

Potem dodał – i muszę przyznać, że wciąż o tym myślę – że były na mnie skargi.

– Jakie skargi?

– Na hałas.

– Jaki hałas?

Westchnął, jakby słyszał to już setki razy. Ale mówiłam serio: nie hałasowałam, absolutnie nie. Bądźmy szczerzy: nie mam tylu znajomych, żeby zapraszać ich do siebie i robić z nimi harmider.

– Chodzi o muzykę – odparł Sam. – Głośną muzykę, przez całą noc. Było parę zgłoszeń.

– Nie hałasowałam.

– Nie no, jasne. Ale mimo wszystko postaraj się robić to, co robisz, wiesz... trochę ciszej.

– Przecież mówię, że nie hałasowałam, a już na pewno nie w nocy. Kto się poskarżył?

– Nie mam pojęcia. Dostałem tylko wiadomość na telefon.

– Nie hałasowałam – powtórzyłam. Co miałam powiedzieć? Nie było sensu się spierać. Sam najwyraźniej wiedział swoje i już. – Z innej beczki: w mieszkaniu jest zimno. Czy możesz naprawić ogrzewanie?

– Wiesz co? – odparł Sam. – Ty będziesz się zachowywała ciszej, a ja przesunę cię na pierwsze miejsce na liście. Umowa stoi?

Nawet nie udawał, że bierze pod uwagę ewentualność, że jednak mówię prawdę. Mimo że płaciłam mu tysiąc funtów miesięcznie za możliwość mieszkania w zimnej, ciemnej norze. Chcecie wiedzieć, co mu odpowiedziałam?

– Okej.

No, ale szczerze mówiąc, akurat wtedy nie miałam czasu na kłótnię, ponieważ stałam przed barem o nazwie Mingles i z nadzieją wypatrywałam pewnej młodej damy, która umówiła się ze mną na spotkanie. Wiedziałam, że jeśli przyjdzie i jeżeli to, co powie, okaże się prawdą, moja kariera dziennikarska ruszy z miejsca. Gdyby tak się stało, mogłabym się przenieść do innego mieszkania, takiego z ogrzewaniem, działającym oświetleniem i może nawet z nowym telewizorem.

Młoda dama – tak ją nazywam, pełna anonimowość – opisała mi swój wygląd i rzeczywiście nie miałam trudności z wypatrzeniem jej. Powiedziała, że jest wysoka i dość ładna, i niewiele się pomyliła, z tą delikatną różnicą, że okazała się bardzo wysoka i olśniewająco piękna. A także, co było widać na pierwszy rzut oka, ewidentnie niepełnoletnia, mniej więcej piętnastoletnia, co wszakże nie przeszkodziło barmanowi w sprzedaniu jej piwa. Niewykluczone, że po prostu z miejsca zadurzył się w niej, bo wyglądała naprawdę zjawiskowo. Siedziała na stołku przy barze, nogami prawie sięgała do podłogi.

Spytałam, czy jest osobą, z którą się umówiłam, a kiedy odparła, że owszem, powiedziałam, że wobec tego sorry, ale nie możemy tu rozmawiać. Jesteś niepełnoletnia i pijesz alkohol. Musimy zadbać, aby wszystko, absolutnie wszystko, odbyło się zgodnie z literą prawa. Przewróciła oczami i westchnęła, jak to nastolatka. Oby tylko nie utrudniała.

Pozwólcie, że skrócę jej historię do najważniejszego: dziewczyna ma piętnaście lat, a pewien telewizyjny celebryta – mając pełną świadomość co do jej wieku – przespał się z nią i podał jej narkotyki. Jestem dziennikarką. I mam tu temat. Nie mogę wypuścić tej młodej damy z rąk, dopóki news nie

trafi do mediów.

– Postawić ci kawę? – spytałam.

– Jeszcze nie skończyłam piwa.

– Daj spokój – powiedziałam. – Nie komplikuj. Proszę.

Kolejna przewrotka oczami i superdługie westchnienie, ale w końcu wypowiedziała upragnione: „Okej”. Uwielbiam nastolatki. Próbują od wszystkiego się wymigać, ale najlepsze z nich nie mają nic przeciwko byciu przyłapanym na gorącym uczynku. Zsunęła się ze stołka gładko jak woda, która wypływa ze szklanki, i spojrzała na mnie z góry, a nie jestem niska.

– Na pewno chcesz to zrobić? – zapytałam.

– Na pewno – odparła. – Zasłużył sobie.

Zgodziłam się z nią w całej rozciągłości.

Fortune złapał taksówkę na stacji. Kiedy dotarł na miejsce, zapłacił kierowcy i wysiadł. Zdążył zapomnieć, ile drzew rosło tu, gdzie mieszkał przez tyle lat, zanim zamienił liście i trawę na piasek pustyni i wieżowce. Zastanowił się, czy jest takie miejsce, które dziś mógł nazwać domem, i odpowiedział sobie krótko: na pewno nie Dubaj. I na pewno nie tu – już nie. Minęło zbyt wiele czasu.

Pchnął drewnianą furtkę w wiejskim stylu, zamknął ją za sobą i ruszył w stronę budynku. Żwir, którym wysypany był podjazd, chrzęścił pod jego stopami. Dawniej powitałoby go szczekanie stukniętego springer-spaniela wabiącego się Peter, nazwanego tak przez Sophie. Peter. Nietypowe imię dla psa, ale też psiak nie należał do zwyczajnych. W końcu jednak trzeba było go uśpić, a że nikt się nie kwapił, zajął się tym Fortune. Zapamiętał to.

Zadzwoił do drzwi i wsłuchał się w świergot ptaków i szum odległej autostrady. Essex, miasto-sypialnia, przedmieście, idylla. Sielanka jak w *Żonach ze Stepford*, samozadowolenie zwycięzców z korporacyjnych biur, bezpiecznie, zielono, przy głównych ulicach butiki i drogie winiarnie. Nigdy nie przepadał za tym miejscem: powierzchownym i sztucznym. Równie nierzeczywistym jak Dubaj. Usłyszał ruch w domu i przez szybkę ze zmaconego szkła zobaczył, że ktoś się zbliża. Po chwili drzwi się uchyliły i pojawiła się w nich Jean.

Wyglądała pięknie, kiedy tak mrugała pod światło, i Fortune'a aż ścisnęło w żołądku, poczuł gwałtowną eksplozję smutku i żalu. Jean spojrzała na niego obojętnie.

– Cześć – odezwała się.

Fortune miał ochotę powiedzieć jej, że wygląda cudownie, zupełnie jak w dniu, kiedy się poznali – tak powiedziałyby mężczyzna wciąż zakochany

w swojej żonie, niezależnie od tego, jak wiele lat razem przeżyli – ale nabrał tylko powietrza, wiedząc doskonale, że nie ma odwagi tego zrobić.

– Cześć – odparł. – Przepraszam. Zapomniałem kluczy.

Jean pokiwała głową, ale nie patrzyła na niego, tylko gdzieś obok.

– Wejdz – powiedziała, jakby zwracała się do kogoś stojącego za jego plecami, choć oczywiście był sam.

– Świetnie wyglądasz – bąknął Fortune, ale żona zdążyła się już odwrócić i przejść kilka kroków ciemnym korytarzem. Zatrzymała się.

– Słucham?

– Nic takiego – odparł.

– Wydawało mi się, że coś mówiłeś.

– Nie.

Poszedł za nią do kuchni, po drodze stawiając walizkę przy schodach, tak jakby przyjechał do pensjonatu, a nie do własnego domu, w którym w innym życiu próbował stworzyć rodzinę.

Usiedli naprzeciwko siebie przy kuchennym stole, przy dwóch kubkach herbaty i tykającym zegarze ściennym. Fortune przyglądał się żonie. Wydawała się zmęczona i zubożniała, jak gdyby połowa jej „ja” zamieszkiwała jakieś inne, nieznanne miejsce.

– Byłem na policji – powtórzył informację, którą wcześniej przekazał jej przez telefon.

– U tego policjanta, jak mu tam? Marsha?

– Powiedział, że ograniczają poszukiwania.

Jean ujęła swój kubek obiema dłońmi i odruchowo pokiwała głową.

– Uważają, że się zabiła.

– A ty? Jak myślisz?

Jean zamilkła i zamknęła oczy, a kiedy po dłuższej chwili je otworzyła, zobaczył w nich łzy.

– Chciałabym móc powiedzieć, że w to nie wierzę.

Fortune pomyślał o tym, jak wytrwale żona wspierała Sophie. Znosiła jej

gniew, wybaczała zniewagi, pokazywała siłę, gdy Sophie się załamywała. Wierzyła w córkę. Wierzyła w nią znacznie mocniej niż Fortune.

– Nie wiemy tego na pewno – odparł. – W każdej chwili może zapukać do drzwi.

Jean westchnęła i powoli pokręciła głową. Nadal nie patrzyła na męża, a gdy się znów odezwała, zabrzmiało to tak, jakby mówiła do siebie.

– „No cześć, chyba za mną nie tęskniliście, co? Wyjechałam na wakacje, tylko zapomniałam powiedzieć. No nie wierzę, żeście się tak bardzo martwili”. – Dopiero teraz na niego spojrzała. – Wiesz, ile razy to sobie powtarzałam? Setki. Ale jej tu nie ma, odeszła i nie przytrafiło się jej nic dobrego. Nic.

– Jean – zaczął Fortune. – Jest za wcześnie, żeby...

– Nie jest za wcześnie – odpowiedziała powoli i wyraźnie. – Jest za późno. O wiele za późno.

– Nie możesz się poddać.

Roześmiała się, a w jej śmiechu nie było nawet cienia ciepła i humoru.

– Nie mogę co?

Fortune wiedział, jak to się skończy. Wiedział też, że nie jest w stanie temu zapobiec.

– Nie możesz się poddać.

Żona ostrożnie postawiła kubek na stole.

– Jakie masz moralne prawo mówić mi coś takiego? Poddawanie się to przecież twoja działka.

– Jean...

– Nie podoba ci się, że policja rezygnuje z szukania Sophie? Przejrzyj się w cholernym lustrze.

Nie odpowiedział i przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu. Wyraźnie czuł bicie swojego serca i żałował, że nie ma pojęcia, co powinien teraz powiedzieć i jak zasypać przepaść, która otworzyła się między nimi. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że dzieli ich zbyt wiele lat i ocean rozczarowań.

– Kiedy ostatnio z nią rozmawiałeś? – spytała Jean.

– Z Sophie? Mniej więcej przed miesiącem.

Wcześniej, dużo wcześniej, ale nie mógł tego powiedzieć. Trzy albo cztery miesiące bez rozmowy z własną córką. Czy to normalne? Na pewno nie.

– Jak się ostatnio czuła? – spytał.

Jean upiła herbatę, zamykając oczy, żeby para z gorącego napoju nie dostała jej się do oczu.

– Źle. Zachowywała się niezdornie, paranoicznie. Powiedziałam... – przerwała i przystawiła brzeg kubka do zaciśniętych ust. – Powiedziałam jej, że nie mogę już tego znieść. Że sama musi sobie poradzić. – Nie odrywała kubka od ust, jakby czerpała pociechę z tego gestu. Teraz powinienem wyciągnąć rękę i dotknąć jej dłoni, pomyślał Fortune. Pocieszyć ją. Nie zrobił tego jednak, nawet się do tego nie zbliżył.

– Dopiero zaczynała na swoim. Było wiadomo, że w nowym mieście będzie jej ciężko.

– Nie było mnie przy niej.

– Nie jest dzieckiem.

– Potrzebowała pomocy.

Fortune nie odpowiedział. Ileż to razy mówił żonie, żeby się nie wtrącała, żeby odpuściła i pozwoliła, by Sophie uczyła się na własnych błędach. Czy chciał w ten sposób po raz kolejny powiedzieć, że powinni ją sobie odpuścić?

– Nie miej do siebie pretensji – odezwał się słowami tak wytartymi i wyświechtanymi, że nawet ich nie zarejestrowała; nie zdołały pokonać dzielącego ich dystansu.

Fortune usłyszał miauczenie kota. Spojrzał na zwierzę, które przemknęło mu między nogami, i spróbował sobie przypomnieć, jak się ono wabi, ale na próżno. Jean wstała i podeszła do lodówki. Wyjęła mleko. Stała tak z butelką w rękę, jakby zapomniała, co miała zrobić, unieruchomiona przez wezbraną falę smutku i poczucia winy. Fortune poczuł, że na widok żony i na myśl o córce – która najprawdopodobniej nie żyje; na pewno nie żyje, bo przecież oboje z Jean zachowują się tak, jakby była już martwa – coś ściska go w gardle.

Wstał od stołu i podszedł do żony, ale zanim zdążył się do niej zbliżyć, ona

się odwróciła i powiedziała:

– Proszę cię, nie dotykaj mnie.

W domu było wiele zdjęć Jean i Sophie, ale na mało którym widniała podobizna Fortune'a. Zawsze uśmiechnięte, harmonię ich oczu wzmacniało podobieństwo wyrazów twarzy. Sophie była ich jedynym dzieckiem, to na nią Jean przelała miłość i poświęcenie w ilości, która wydawała się Fortune'owi nieskończona. Sięgnął po jedną z fotografii: Jean i Sophie na wakacjach, w tle ruiny, rzymskie albo może greckie. Nie pojechał z nimi, pewnie był w pracy. Przegapił wiele wyjazdów, kolacji, okazji do zbliżenia, zasypiania przepaści, okazania wsparcia i uczuć. Zastanawiał się, dlaczego było to dla niego takie trudne, wręcz niemożliwe. Zawsze łatwiej mu było zostać w biurze, niż zaangażować się w trud wychowywania dziecka. Teraz już było za późno.

Jean poszła na górę, żeby się położyć, Fortune zaś postanowił udać się do garażu i sprawdzić, czy znajdzie tam jakieś ślady, że kiedyś tu mieszkał i że kiedyś nazywał to miejsce domem. Nie wyprowadził się przecież oficjalnie, po prostu od roku przebywał w Dubaju. Rozglądając się za kluczami do garażu, poczuł niezadowolenie. Dom. Zapłacił za niego. Zapracował na niego. Gdzie te klucze?

W kącie garażu nadal stały jego kije do golfa w czarno-białej skórzanej torbie z logo Titleist, pełny zestaw, wszystkie te irony, woodsy, wedge i puttery. Kiedy je kupił, skłamał Jean w kwestii ceny, nie zamierzał jej informować, ile naprawdę kosztowały. Wysunął torbę i przyjrzał się kijom. Wyjął siódmkę iron i zważył go w dłoni. Wyobraził sobie, że uderza piłeczkę i posyła ją na fairway. Piłeczka opuszcza kołek i podkręcona ląduje tuż przed greenem. Przeciwnik wydaje jęk zawodu. Niezły strzał, przyznaje niechętnie. Potem drinki w klubie i gratulacje. Sześćdziesiąt osiem punktów na koncie.

– Nie pójdziesz. – Głos Jean za plecami.

Odwrócił się z kijem w dłoni.

– Co?

– Nie pójdziesz grać w golfa.

– Nie, nie. Chciałem tylko zobaczyć, czy... nadal tu są. – Jean, golfowa wdowa. Kiedyś się z tego śmiali. Krótko.

– Są. Ale będziesz musiał je zabrać.

Zmarszczył czoło.

– Dokąd?

Pokręciła głową.

– Nie wiem. – Zrobiła krok do tyłu, jakby się bała, że Fortune rzuci się na nią z kijem. – Chcę, żebyś się wyprowadził. Na dobre.

– Słucham?

– Odejdź – odparła. – Po prostu... odejdź.

Fortune pomyślał o wspólnych początkach, o czasach, w których wydawało się, że spotkanie było im pisane, że czuwa nad nimi szczęśliwa gwiazda. Tymczasem teraz Jean stała do niego bokiem, tak jakby patrzenie mu prosto w oczy napawało ją odrazą. Tak jakby jego obecność odczuwała jako zniewagę. Ścisnął mocniej kij, jak gdyby chciał się obronić nim przed bijącym od niej wstrętem. Jak do tego doszło?

Wtedy nagle i z nieoczekiwanym smutkiem uświadomił sobie, że zniknięcie córki nie mogło przecież zbliżyć ich do siebie, a jedynie ostatecznie oddalić jedno od drugiego. Nie zostało nic, żadne spoiwo, żaden powód, by dłużej zachowywać pozory małżeństwa. To koniec.

– Dokąd mam pójść? – zapytał.

– Nie wiem – odparła żona. – Nie wiem, co zrobisz. Nic o tobie nie wiem. Idź, dokąd chcesz. Bylebyś nie został tutaj.

– Kto się tobą zajmie?

Śmiech, znów ten sam, pozbawiony wesołości i ciepła.

– Dam sobie radę.

– Chcę pomóc.

– Nie możesz.

– Mogę spróbować.

– Nie rób tego.

Fortune spojrział na dom, na który zapracował i za który zapłacił.

– Chcę zobaczyć jej pokój.

Jean westchnęła i odwróciła się do niego plecami. Fortune poszedł za nią do domu, żeby się pożegnać.

Spędził w tym pokoju zdecydowanie zbyt mało czasu, mimo że należał do jego córki przez niemal całe jej życie. Wracał do domu zbyt późno, żeby czytać jej bajki na dobranoc. Dostał zakaz wstępu, kiedy miała ile, dziesięć lat? Nie wchodzić! Zamknięte! Szanować prywatność! Narzuta, kilka ubrań w szafie, zdjęcia przyjaciół przyczepione do ściany nad biurkiem – wszystko mu nieznane.

Czy jednak może mieć do siebie pretensje? Zawsze była trudna i gniewna, zachowywała się nedorzecznie. Była niepoznawalna. Przysiadł na łóżku i poczuł na ramionach ciężar panującej tu ciszy. Pokój nie chciał zdradzić mu swoich sekretów, intymnych szczegółów, tajemnic życia Sophie.

Po kilku minutach zszedł na dół, zabrał walizkę i torbę z kijami do golfa i ruszył podjazdem w stronę bramy. Dopiero tam, na ulicy, zadzwonił po taksówkę, która zabierze go na stację.

High Times i Miss Fortune: Pięć rzeczy, których dowiedziałam się w taksówce

No więc wczoraj wieczorem jechałam taksówką (tak, było późno; nie, nie byłam pijana) i rozmawiałam z kierowcą, jak to każdy. Napisałam „jak każdy”, ale w sumie niektórzy nie przepadają za rozmowami z taksówkarzami. Jeden mój znajomy powiedział, że zawsze prosi, żeby się do niego nie odzywali, na to ja, że to trochę niegrzeczne. „Może i tak – odparł – ale kogo to obchodzi? Taryfiarz to tylko taryfiarz”.

Już nie jest moim znajomym.

Ale do rzeczy. Jechałam taksówką, rozmawialiśmy i powiedziałam kierowcy (który, jeśli chcecie wiedzieć, ma na imię Ted), że właśnie wróciłam z Brazylii. Odparł, że zawsze chciał tam pojechać, ale nie udało mu się, bo śmiertelnie boi się latać i kiedy ostatni raz leciał samolotem – wracał z Alicante – wrzeszczał przez całą drogę i pięć stewardes musiało go przypinać do fotela.

Nie to jednak chciałam opowiedzieć. Otóż dowiedziałam się, że to kraj (Brazylia) zawdzięcza swoją nazwę orzechowi (brazylijskiemu), a nie odwrotnie. Innymi słowy, najpierw był orzech, a potem nazwali tak państwo. Dziwaczne, co nie?

Tak o tym myślałam i zaczęłam się zastanawiać nad wszystkim, czego dowiedziałam się w taksówkach. I okazało się, że jest tego całkiem sporo. Oto pięć najważniejszych rzeczy, których

dowiedziałam się w taksówce:

5. Dowiedziałam się, że jeden z moich byłych chłopaków przespał się nie z jedną, ale z dwojgiem moich znajomych. Zwróćcie uwagę, że napisałam „dwojgiem” – to dlatego, że tymi znajomymi byli kobieta i mężczyzna. Mało tego, zrobił to w czasie, kiedy jeszcze się ze mną spotykał. Dowiedziałam się o tym, bo akurat jechałam z nim taksówką i nagle w pijackim napadzie szczerości (i we łzach) wszystko mi wyznał. Nie muszę chyba dodawać, że poprosiłam kierowcę, żeby się zatrzymał, po czym wykopałam gościa (chłopaka, nie taryfiarza) na ulicę i puściłam mimo uszu jego błagania, że nie ma pieniędzy i niby jak ma się dostać do domu, a potem zignorowałam miliard esemesów, którymi mnie zasypał. Krzyżyk na drogę.

4. Dowiedziałam się, że światem rządzą Żydzi, w dodatku sprzymierzyli się z muzułmanami i dążą do zdestabilizowania Zachodu. „Dowiedziałam się” nie znaczy, że „uwierzyłam”, okej? A że czekałam wieki na taksówkę i nie uśmiechał mi się spacer w deszczu do domu, to przez całą drogę tylko kiwałam głową, słuchając paplaniny taryfiarza. Ech.

3. Dowiedziałam się od jednego kierowcy, że jego córka leży w szpitalu, dlatego on jeździ na nocki, żeby w ciągu dnia móc przy niej czuwać, i że jest zmęczony, ale potrzebuje pieniędzy, chociaż niedawno dowiedział się, że guz mózgu, który wykryto u jego córki, jest nieuleczalny i jej śmierć to tylko kwestia czasu. Głos mu się łamał, kiedy mi o tym opowiadał. Dowiedziałam się, że niektórzy mają tak ciężkie życie, że chyba tylko cudem chce im się to wszystko ciągnąć.

2. Dowiedziałam się, że parę dni wcześniej tą samą taksówką jechał T... W... Podobno na światłach przy Piccadilly pochylił się

i zaproponował kierowcy działkę koki.

1. Dowiedziałam się, że nie ma piękniejszego widoku niż dwoje ludzi całujących się na moście Alberta w sobotnią noc, kiedy światła Londynu odbijają się w Tamizie, zaś ciała tych dwojga splatają się naturalnie jak gałęzie bluszczu i delikatnie jak muzyka.

KOMENTARZE:

Sharnaj: *LOL z chłopaka. Miałam to samo, kiedy wracaliśmy z imprezy! Powiedział, że całował się z moją najlepszą kumpelą! Ale ja swojego nie wyrzuciłam, tylko... wyszłam za niego!*

LozLoz: *Zabawne!*

CatLover: *Biedny taksówkarz i jego córka! Serce się kraje.*

Starry Ubado: *Mam nadzieję, że kiedy następnym razem wsiądziesz do taksówki, kierowca cię zgwałci, ty tępa dziwko.*

To tylko blog. Poważnie, tak tylko piszę o swoim życiu. Prawie nikt tego nie czyta, a mimo to wciąż pielęgnuję w sobie szalone marzenie, że zyskuję milion obserwujących, zamieniam bloga w kanał na YouTube, przyjmuję reklamy i zarabiam tyle kasy, że stać mnie na kupienie sobie zamku we Francji, gdzie zaczynam uprawiać winogrona i zakochuję się w miejscowym diabelskim nasieniu.

Ale serio, to tylko blog. Czemu więc ludzie czują potrzebę zostawiania takich komentarzy? Wmawiam sobie, że to po prostu jakiś samotny nastolatek, który musi się wyładować, bo nie ma dziewczyny, ale jeśli wcale tak nie jest? Jeśli to tak naprawdę otumaniony sterydami, napakowany wielkolud, który ma pokój wyklejony moimi zdjęciami, a na każdym moja twarz została brutalnie wydrapana?

Czytałam kiedyś artykuł o tym, że trolle i psychopaci mają podobne cechy

charakteru. Jednym i drugim brakuje empatii i poczucia winy. Chyba znaczy to, że powinnam poświęcać mniej czasu na czytanie tekstów w necie; marna pociecha.

Troll nie wygra. Dalej będę pisała i marzyła o dniu, w którym zamienię stukanie w klawiaturę na szalony prowansalski romans z szelmowskim Francuzem. Jasne. Każdemu wolno marzyć.

Wydaje mi się, że posuwamy się do przodu z dziewczyną, z którą spotkałam się w barze. Będę o niej pisała per „Dziecko Z”. Nadal jest chętna do współpracy. Poznałam jej matkę (po ojcu zostało tylko wspomnienie) i ona też jest zdecydowana zrobić kolejny krok. Chce, żeby posłali tę kanałkę z telewizji za kratki. To znaczy, gotowa jest wyrządzić mu dużo więcej, i należy pochwalić ją za inwencję, ale przypominałam jej, że średniowiecze już się skończyło i dziś, w tych wspaniałych, oświeconych czasach, nie robimy już ludziom takich rzeczy.

Teraz wszystko w rękach prawników, którzy zastanawiają się, czy jeśli upublicznimy tę historię, zostaniemy pozwani i oskubani. Chcą niepodważalnych dowodów, to ich warunek, dlatego boję się, że ostatecznie nic z tego nie wyjdzie, ale staram się, robię wszystko, co mogę, żeby się udało. Czuję się trochę jak Erin Brockovich, tyle że nie wyglądam tak efektownie jak ona i zasady moralne, którymi się kieruję, nie są bynajmniej doskonałe. No, ale choć troszkę ją przypominam. Jestem kimś, z kogo matka (albo ojciec!) może być dumna. Wszystko to takie pasjonujące.

– Jak to zniknęło?

– Nie zniknęło. To znaczy, mamy nadzieję, że nie. Po prostu... się zapodziało.

– Zniknęło, zapodziało się, co za różnica? – Fortune podniósł głowę z poduszki i usiadł na łóżku. Postawił stopy na podłodze. Ścisnął w dłoni telefon, czuł, jak jego krawędzie, choć zaokrąglone, wżynają mu się w palce. Rozmówca, Alex, kolega z pracy, zamilkł i spróbował odzyskać nad sobą panowanie. Po chwili zaczął jeszcze raz.

– No więc zapodziało się.

– Ile?

Znów milczenie, które nie wróżyło nic dobrego.

– Alex, na miłość boską. Ile?

– Niecałe dziewięćdziesiąt milionów.

– Dolarów?

– Aha.

Palcami wolnej dłoni Fortune przeczesał włosy. Zamknął oczy, zacisnął powieki tak mocno, jakby liczył, że kiedy znów je otworzy, wszystko będzie jak dawniej. Ta wiadomość to katastrofa.

– Jak... – Wstał i podszedł do okna. Wyjrzał na dziedziniec hotelu. – Jak to się stało?

– Nie wiem. Może kiedy zmienialiśmy serwery... Badamy sprawę.

– Dziewięćdziesiąt milionów?

– No. Mniej więcej.

– Po prostu zniknęło?

– Badamy to – powtórzył Alex, a Fortune wyczuł strach i desperację w głosie kolegi. Uspokój się, chłopie, powiedział bezgłośnie do siebie. Jesteś

szefem. Daj dobry przykład.

– Okej – odezwał się głośno. – Okej, nie panikujemy. Kto nad tym pracuje?

– Wszyscy. Nikt nie poszedł do domu.

– To dobrze. Kto o tym wie?

– Zespół. Musieliśmy powiadomić Owena.

Owen, przełożony Fortune'a. Jedyne przełożony. Formalnie rzecz biorąc, Fortune odpowiadał za operacje jednego z największych prywatnych banków w Dubaju, Owen zaś był dyrektorem generalnym. Niedobrze.

– Udziałowcy?

– Nie wiedzą. Jeszcze za wcześnie.

– Musisz powiedzieć tym od relacji z klientami. Wymyśl jakąś historię.

– Jaką historię?

– Mamy usterki techniczne, nie ma powodu do obaw. Powiedz cokolwiek, byle ogólnikami. Nie chcę, żeby wokół tego zrobił się szum.

– Jasne.

– Wiadomo, ile zajmie naprawienie tego?

– Jeszcze nie.

– Dzwoniłeś do Sadlera?

– Ta. Powiedział, że może przyjechać... – urwał.

– Tak?

– Dodał, że policzy sobie tysiąc dolarów za dzień.

– Cały Sadler – westchnął Fortune. – Dobra, nieważne. Jest nam potrzebny. Sprowadź go. I pilnuj, niech się przyłoży. Informuj mnie.

– Owen szaleje. Chce, żebyś przyleciał.

– Nie wie, że zaginęła moja córka? – Jasne, że wie. Po prostu nie uważa, żeby zniknięcie człowieka było ważniejsze od zawieruszonych PIENIĘDZY, o które, jak Fortune zdążył zauważyć, Owen troszczy się bardziej niż o cokolwiek innego. Alex nie odpowiadał. Fortune'owi zrobiło mu się go żal. Ale niestety, musiał zostać w Londynie, był tu potrzebny.

– Alex, proszę cię, nie każ mi przylatywać. Bardzo cię proszę.

– Postaram się,

– Rób wszystko, co możesz.

– Robię, Fortune.

– To dobrze. Okej. Odzywaj się.

Rozłączył się, położył się na łóżku i wbił spojrzenie w sufit. Dziewięćdziesiąt milionów dolarów. Takie pieniądze nie znikają ot tak. Zapewne chodzi o jakiś błąd techniczny, niewłaściwą linijkę kodu, źle wprowadzoną komendę. Wszystko się wyjaśni. Zawiesił się na tej myśli na ułamek sekundy, po czym nagle dotarło do niego, o jak wielkiej sumie mowa. Może jednak powinien polecieć? To w końcu jego praca, jego odpowiedzialność. A on przecież traktuje pracę poważnie i równie poważnie podchodzi do odpowiedzialności. Przez to stracił wakacje z Sophie, weekendowe wypady, przedstawienia w szkole, czytanie na dobranoc. Tak to sobie przez lata tłumaczył. Nie tym, że po prostu nie nadawał się do życia rodzinnego, nie rozumiał go, nie interesowało go ono, nie potrafił się zaangażować. Nie, nigdy tego nie umiał.

Jego córka wynajmowała mieszkanie w Hackney, kawalerkę nad barem kawowym prowadzonym przez młodych mężczyzn z długimi brodami i tatuażami. Wyglądali jak piraci, którzy niedawno zeszli na ląd i zasmakowali w paleniu i mieleniu kawy. Sam nie wiedział, po co tu przyszedł. Nie miał klucza. Wiedział, że nikogo nie zastanie. A mimo to wyobrażał sobie, że zapuka do drzwi i otworzy mu uśmiechnięta Sophie, po czym wyjaśni, gdzie i dlaczego tak długo była.

Oczywiście nikt mu nie otworzył. Zapukał ponownie, odczekał kilka chwil, a następnie pchnął drzwi prowadzące do baru, poczuł zapach palonych ziaren kawy i usłyszał muzykę. Przy długim stole siedzieli młodzi ludzie i pracowali na laptopach. Fortune podszedł do długiego, wysokiego, wykończonego blachą ocynkowaną kontuaru, pod którym znajdowała się gablota, a w niej duże, trochę niechlujnie – „rzemieślniczo” – upieczone ciasta. Wyglądały na smaczne.

– Co podać? – spytał młody mężczyzna z tunelami w wydłużonych płatkach uszu.

– Wie pan, kto mieszka na górze?

– Nie – odparł. – A co?

– Mieszkała tam moja córka – powiedział Fortune i zaraz się poprawił. –
Mieszka.

Barman zmarszczył brwi.

– To po co pan pyta?

– Widział ją pan? Wysoka, czarne włosy. Ładna.

Mężczyzna przetarł szmatką blat.

– Możliwe.

– Kiedy?

– Jakiś czas temu.

– A dokładnie?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie wiem, człowieku. Kilka tygodni? To ta, która zaginęła, nie? Miałem tu
policję.

– Rozmawiali z panem?

– Tak – odparł i dodał niecierpliwie, jakby mówił do dziecka: – Przecież
powiedziałem. Chce pan kawę?

– Nie.

– Smaczna. Nowa mieszanka, z Boliwii.

Fortune pokręcił głową.

– Dziękuję, że chciał pan porozmawiać.

Mężczyzna wzruszył ramionami i powrócił do polerowania lśniącego blatu.
Fortune przez chwilę stał bez ruchu. Czuł się zagubiony, nie miał planu, nie
wiedział, dokąd pójść, co robić ani z kim rozmawiać. Zaczęło padać, lunęło
i zacinało tak, że ludzie naciągali płaszcze i kurtki na głowy i pospiesznie
szukali suchego azylu. Pod oknem baru przebiegł jakiś mężczyzna i zatrzymał
się przy drzwiach do mieszkania Sophie. Fortune zawiesił na nim spojrzenie.
Mężczyzna wyjął klucz i wszedł do środka. Do mieszkania córki Fortune'a.

Fortune ponownie zapukał do drzwi. Spod wyblakłej czarnej farby, tam
gdzie słońce i deszcz zrobiły swoje, przebijało gołe drewno. Odczekał chwilę,
aż usłyszał kroki na schodach. Otworzył mu młody mężczyzna z krótkimi,

ufarbowanymi na czarno włosami. Czy w tej części miasta nie mieszka nikt w średnim wieku?

– Tak?

– Kim pan jest? – spytał Fortune.

– Mam na imię Tom – padła odpowiedź. – A o co chodzi?

– Tu mieszka moja córka.

Mężczyzna wyglądał na zbitego z tropu.

– Nie wydaje mi się.

– Ależ tak – powiedział Fortune. – To jej mieszkanie.

Mężczyzna spojrział na niego pytająco.

– Ta dziewczyna, która zaginęła?

– Tak. Moja córka.

– O mój Boże. – Podrapał się po głowie. Włosy miał mokre od deszczu.

Westchnął. – Chce pan wejść?

Fortune udał się za nim na górę ciemną klatką schodową, trzymając się ściany.

– Proszę uważać – ostrzegł mężczyzna. – Właściciel jeszcze nie naprawił światła.

Otworzył drzwi na piętrze i znaleźli się w jasno oświetlonym salonie ze ścianami z gołych cegieł i niedokładnie polakierowaną podłogą. Fortune rozejrzał się, popatrzył na sofę i wyobraził sobie, że jego córka siedzi na niej z podwiniętymi nogami i spokojnie pisze na laptopie.

Mężczyzna odwrócił się do Fortune'a. Był niski, miał przyjazną twarz, wyglądał na życzliwego.

– Pańska córka już tu nie mieszka.

Fortune zmarszczył czoło.

– Ale mieszkała.

– No tak. Niech pan posłucha, panie...

– Fortune.

– Nie znam szczegółów. Wiem tylko, że był jakiś problem czy problemy. – Znowu podrapał się po głowie. Wyraźnie czuł się nieswojo. – Zresztą nie wiem.

Fortune ponownie rozejrzał się zdezorientowany po pomieszczeniu, spojrzął na gazety na ławie, książki na półkach.

– Czyli to wszystko ... nie należy do niej?

– Zgadza się. Właśnie to chcę powiedzieć. To moje rzeczy.

– Kiedy pan się wprowadził?

– Dwa tygodnie temu.

– W takim razie... gdzie są rzeczy mojej córki?

– Nie wiem.

– Jak to pan nie wie?

– No nie wiem. Mieszkanie było puste, kiedy się wprowadzałem. Nie było jej tu.

Przez chwilę Fortune milczał, nie bardzo wiedząc, co ma począć ani co myśleć.

– Wobec tego gdzie mieszkała?

Tom był skrupowany, nie potrafił poradzić sobie z konsternacją pogrążonego w smutku rodzica.

– Nie mam pojęcia.

– Ona... – zaczął Fortune, ale urwał na dźwięk otwieranych drzwi i kroków na schodach. W drzwiach do pokoju stanęła kobieta o rzadkich blond włosach. Na widok Fortune'a uśmiechnęła się niepewnie.

– Dzień dobry... – przerwała krępującą ciszę.

– Harriet – odezwał się Tom. – To... pan Fortune, ojciec tej kobiety, która zaginęła. Tej, która tu wcześniej mieszkała.

Jej uśmiech nieco przybladł, ale wyciągnęła dłoń na powitanie.

– Współczuję panu, to musi być okropne.

Fortune był zanadto zdezorientowany, by odpowiedzieć. Oto stał w mieszkaniu, w którym, jak sądził, żyła jego córka, i rozmawiał z młodymi ludźmi, którzy nic o niej nie wiedzieli. Nagle rozkaszał się i zgiął w pół. Wystawił przed siebie rękę, ale nie znalazł niczego, na czym mógłby się oprzeć.

– Dobrze się pan czuje? – spytał Tom.

– Muszę usiąść.

– Może tutaj – powiedziała Harriet, wskazując na sofę. – Chce pan się czegoś napić?

Fortune usiadł, oparł łokcie na kolanach, pochylił głowę i pokręcił nią.

– Nie.

Dwoje młodych ludzi stało nad nim i patrzyło, nie bardzo wiedząc, co począć z tym dziwnym, obcym człowiekiem, który przyszedł do ich domu.

– Z kim mogę porozmawiać? – spytał Fortune.

– O czym?

– O mojej córce. O tym, co się stało... Co się stało z jej rzeczami.

– Z agentem od wynajmu – powiedziała Harriet. – Ale uprzedzam, że to wredna menda.

– Mam jego wizytówkę – dodał Tom. – Poszukam.

Zaczął grzebać w szufladach. Siedzisko sofy zafalowało; to Harriet usiadła obok Fortune'a.

– Wiadomo coś o pańskiej córce?

Fortune pokręcił głową, nie odrywając wzroku od podłogi.

– Nie.

– Jakies tropy, coś... – urwała, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. – Cokolwiek?

– Nic.

– Proszę – powiedział Tom. Fortune podniósł głowę. Chłopak wręczył mu wizytówkę. – Tak jak mówiła Harriet, gość jest trochę...

– Pospolity chuj – sprecyzowała Harriet. – Kazał nam zapłacić zadatek za trzy miesiące. Myśli, że napadliśmy na bank, czy co? A i tak do tej pory nie mamy tu internetu. I ogrzewanie siada.

– On powinien wiedzieć, co się stało z rzeczami pańskiej córki – pocieszył go Tom. – Bardzo mi przykro.

Fortune dźwignął się z kanapy.

– W porządku.

– Współczuję panu – powtórzyła Harriet. – Mam nadzieję, że wszystko się wyjaśni.

Przysunęła się do Toma. Miła para, pomyślał Fortune, życzliwa,

wielkoduszna. Pokiwał głową, zebrał się do wyjścia, a po chwili odwrócił się, powiedział: „Dziękuję”, i zszedł ciemnymi schodami.

6

Gdyby biura agencji Alpha Prime Lettings stanowiły wizytówkę lokali, jakie można było wynająć za pośrednictwem tej firmy, Fortune musiałby uznać, że jego córka miała wyjątkowe szczęście. Młoda kobieta w okularach i z zaczesanymi do tyłu, przylizanymi ciemnymi włosami podniosła wzrok na Fortune'a, po czym znów go opuściła. Przez kilkanaście sekund ignorowała gościa, aż w końcu ponownie obdarzyła go spojrzeniem i odezwała się:

– Tak?

– Szukam Sama.

– Jest na oglądaniu.

– Kiedy wróci?

Zrobiła minę, jakby poczuła się urażona głupotą pytania, tak jakby nikt nie miał prawa dowiadywać się o takie rzeczy.

– Może wrócić w każdej chwili.

– Dzisiaj?

Wzruszyła ramionami.

– Pewnie tak.

Fortune popatrzył na wizytówkę, którą trzymał w dłoni, potem spojrzał na kobietę.

– Zadzwoń do niego.

Wybrał numer i usłyszał sygnał. Kobieta przy biurku obserwowała go, uderzając długopisem o blat. Kiedy włączyła się poczta głosowa, Fortune przerwał połączenie, nie zostawiając wiadomości.

– Nigdy nie odbiera – skomentowała kobieta. – Szalu można dostać.

– Wobec tego to pani będzie musiała mi pomóc. Jestem ojcem Sophie Fortune.

– Och. – Nic więcej nie powiedziała, nie chciała też spojrzeć Fortune'owi

w oczy.

– Zna ją pani?

– Nie, ale...

– Ale?

– Ona... – zaczęła, ale wtedy jej pełen ulgi wzrok padł na coś za plecami Fortune'a. Nagle otworzyły się drzwi, Fortune odwrócił się i ujrzał mniej więcej trzydziestoletniego mężczyznę o krótkich jasnych włosach, ubranego w dokładnie dopasowany garnitur. – O, jest!

Fortune wstał.

– Sam?

– To ja. – Błysnął uśmiechem. – Czym mogę służyć?

– Jestem ojcem Sophie Fortune.

Uśmiech zniknął. Sam usiłował znaleźć odpowiednie słowa, ale że nic nie przychodziło mu do głowy, więc bąknął tylko: „Aha”.

– Byłem w jej mieszkaniu.

Sam pokiwał głową.

– Rozumiem.

– Mieszka tam ktoś inny.

– To prawda. Nowi najemcy.

– Wie pan, że zaginęła?

– Tak.

– No i? – Fortune podszedł nieco bliżej. – Będzie się pan musiał bardziej postarać.

Sam potarł policzek.

– Niech pan posłucha... Może usiądźmy. – Pokazał na jedno ze stojących w kącie biurek, podsunął Fortune'owi krzesło, sam zaś zajął miejsce po drugiej stronie blatu. Fortune zawahał się, zmierzył Sama swoim najsurowszym menedżerskim spojrzeniem, jakby chciał powiedzieć: „Tylko ze mną nie pogrywaj”, po czym usiadł. Sam wyglądał na wyraźnie zdenerwowanego.

– No dobrze. Słucham. Co się dzieje?

– Mieliśmy, e... pewne problemy z pańską córką.

– Rozumiem. A jakie konkretnie problemy?

– No, w sumie... – Sam zbierał myśli. Zaczął nerwowo przekładać papiery z miejsca na miejsce. – W sumie dość poważne problemy. – Podniósł głowę i nie bez trudu spojrzął Fortune’owi w oczy.

– To znaczy?

– To znaczy... – powtórzył Sam, zyskując na czasie. Dla Fortune’a było oczywiste, że Sam wolałby być wszędzie, tylko nie tutaj, gdziekolwiek, byle nie musieć uczestniczyć w tej rozmowie. Przypadła mu w udziale rola lekarza, który przekazuje złe wieści, wyjaśnia, że choremu zostało nie kilka miesięcy, jak sądził, lecz kilka tygodni życia. – To znaczy, że były skargi. Przejawiała... postawę aspołeczną. – Rzeczywiście zabrzmiało to jak diagnoza.

– Jakie skargi?

– Na głośną muzykę. Na imprezy. Na narkotyki.

– Narkotyki?

– Tak, narkotyki... – urwał. – Bardzo mi przykro, naprawdę.

Fortune zastanowił się nad tym, co usłyszał. Sophie zawsze była trudna, ale nigdy nie pomyślałby o niej, że jest złym człowiekiem. Problematiczna, trudna, prowokacyjna. Często potwornie irytująca. Ale nie zła.

– Ostrzegaliśmy ją, ale ona... zachowywała się nedorzecznie. Nie chciała słuchać, wszystkiemu zaprzeczała. Ludzie do mnie wydzwaniali, odbierałem dwadzieścia, trzydzieści telefonów dziennie. Pisali listy. Skarżyli się. Na dowód przysyłała nagrania. Hałasy o trzeciej, czwartej nad ranem. – Nagle zamilkł, uświadomiwszy sobie, że chyba przesadza; przecież rozmawia z mężczyzną, którego córka zniknęła bez śladu.

– To do niej niepodobne – odparł Fortune. Sam milczał. Miał zaledwie trzydzieści lat. Cóż mógł wiedzieć o problemach z dziećmi?

– Przyszli do nas ludzie z samorządu. Powiedzieli, że jeśli nie zaprowadzimy porządku, to oni zajmą się tą sprawą. Takie firmy jak nasza – ogarnął biuro gestem – mogą mieć przez to grube nieprzyjemności.

– I co zrobiliście?

– No więc... – przerwał i nabrał powietrza oraz nieco odwagi. – Wyeksmitowaliśmy ją.

– Słucham?

– Wręczyliśmy jej nakaz eksmisji. Daliśmy czas na wyprowadzkę. – Podniósł i zaraz odłożył kartkę, nawet na nią nie spojrzawszy. – Nie mieliśmy wyjścia. Dilerzy wchodzili tam jak do siebie, codziennie impreza, ludzie wzywali policję... Sytuacja wymknęła się spod kontroli.

– Kiedy? – spytał Fortune. – Kiedy ją wyrzuciliście?

– Trzy tygodnie temu. Mniej więcej.

– Szukamy jej od pięciu.

Sam pokiwał głową.

– Wiem, jak to musi wyglądać.

– Ona znika, a pan przychodzi do niej i... – urwał. – Gdzie są jej rzeczy?

– Musieliśmy je zabrać.

– Gdzie są?

– W naszym magazynie.

Fortune pokręcił głową. Usiłował zapanować nad głosem, tak by nie przemawiały przez niego emocje.

– Miała zaledwie dwadzieścia siedem lat.

Sam uniósł dłonie.

– Przykro mi. Ale, panie Fortune, ona... ona była... – Nie mógł tego powiedzieć, nie miał odwagi, więc zrezygnował.

– Chcę odzyskać rzeczy córki.

Sam szybko pokiwał głową.

– Prześlemy je panu. Przynajmniej tyle mogę zrobić. – Tak jakby wyświadczał Fortune'owi przysługę. Jakby nie był tym, który wyrzucił jego córkę na bruk. A raczej wyrzuciłby, gdyby wcześniej nie zniknęła. – Proszę podać adres.

– Słucham?

– Adres. Gdzie pan mieszka?

Na to pytanie Fortune nie potrafił udzielić odpowiedzi. Gdzie mieszkał? Nigdzie. Tak jak Sophie.

– Niech pan po prostu powie, gdzie je trzymacie.

Fortune w milczeniu i z papierosem w ustach ruszył za Samem. Wyszli na deszcz, drobny, ale uporczywy, i dotarli do długiego rzędu garaży dwie ulice od biura agencji. Zatrzymali się przed jednym z nich. Sam zdjął kłódkę i pociągnął za drzwi, które otwierały się do góry. W środku, na betonowej podłodze stały kartonowe pudła, niektóre rozmiękle i zapadnięte od wilgoci.

Fortune przyjrzał się tej żalostnej kupie pudeł i pomyślał, że chyba nigdy nie widział czegoś równie smutnego.

– To wszystko jej?

– Nie, tylko te oznaczone... – urwał.

– Jak?

– PB.

Fortune zmarszczył brwi.

– Dlaczego akurat PB?

Sam nie wiedział, gdzie podziąć oczy.

– Nie wiem. Trzeba by zapytać ekipę, która opróżniała mieszkanie.

Fortune miał wystarczająco duże doświadczenie w kierowaniu ludźmi, by wiedzieć, kiedy nie są z nim szczerzy. Wiedział doskonale, jak brzmi kłamstwo.

– Daj pan spokój. PB. Co to znaczy?

– Panie Fortune...

– Mów pan!

– Proszę posłuchać, to nie ja. To chłopaki, taki żarcik, rozumie pan.

Przepraszam.

– Czekam.

Sam westchnął.

– Pomyłony Babsztyl. W porządku? Już pan wie. Zostawiam pana z tym. Proszę zamknąć, kiedy pan skończy, i podrzucić klucz do biura.

Sam czekał na odpowiedź, ale Fortune milczał. Agent nieruchomości odwrócił się więc na pięcie i wyszedł, zostawiając Fortune'a pośród rzeczy córki. A Fortune myślał, zastanawiał się, co się z nią stało i co takiego uczynił jej świat.

Wszystko staje się trochę dziwne, porąbane, i to wcale nie w pozytywny sposób. Nie w luzacki sposób, nie w taki, że mówisz sobie: „A, do diabła z tym wszystkim”, i bawisz się na całego. Raczej w taki, że zadajesz sobie pytanie: „Co się tu, do cholery, wyprawia?”. Mówiąc serio, zagrało mi na nerwach. A myślałam, że nie tak łatwo mnie zezłościć.

Odezwał się do mnie Sam, mój nieprzesadnie obowiązkowy agent od wynajmu. Zadzwoił wczoraj, a ja odebrałam, głupio sądząc, że usłyszę, kiedy w końcu naprawią światło i ogrzewanie. Ale nie. Chodziło o coś zupełnie, zupełnie innego.

- Sophie?
- Słucham cię.
- Sophie, były kolejne skargi.
- Na co?
- Na hałas.

Nie odpowiedziałam od razu. Wróciłam myślami do ostatnich kilku dni. Próbowałam przypomnieć sobie, czy hałasowałam. Czy miałam gości. Czy urządziłam niezaplanowaną imprezę. Nie, ponieważ, bądźmy szczerzy, daleko mi do duszy towarzystwa.

- Nie hałasuję – odpowiedziałam. – Siedzę cicho jak mysz pod miotłą.
- Daj spokój, Sophie. To się musi skończyć.
- Ale co?
- Muzyka. Imprezy. To, że wmawiasz mi, że nic się nie dzieje.
- Bo przecież się nie dzieje.

Sam westchnął.

– Sophie, posłuchaj. Jesteś dobrą najemczynią. Płacisz w terminie. Ale nie mogę pozwolić, żeby zaangażował się w to samorząd.

– Jak to?

– Ludzie z wydziału zdrowia środowiskowego. Podobno złożono na ciebie skargę. Dostali list.

– I co w nim jest?

– To, że przez ostatnie dwa miesiące co najmniej trzy razy w tygodniu grała u ciebie muzyka i było słychać odgłosy imprezy, które nie dawały spać.

– Kto tak twierdzi? Kto napisał ten list?

– To anonim. Autor boi się, że coś mu się może stać, jeśli dowiesz się, kim jest.

– Boi się? Sam, proszę cię, to jakieś wariactwo. Jak można się mnie bać?

– Może nie ciebie. Mam kopię tego listu. Tu jest napisane, że w grę wchodzi narkotyki i że odwiedzają cię jacyś... dziwni ludzie. To właśnie ich obawia się nadawca.

Narkotyki? Wystraszeni sąsiedzi? To przechodziło wszelkie wyobrażenie.

– Sam, posłuchaj. Bardzo cię proszę, posłuchaj mnie uważnie. Ktokolwiek to napisał, kłamie. Rozumiesz? Mija się z prawdą.

– Przesłał też nagranie – dodał Sam. – Opatrzona datą i godziną. Samorząd twierdzi, że nie może zlekceważyć takiej skargi i jeśli sytuacja się powtórzy, zostaną zmuszeni do interwencji. To nie będzie dobrze wyglądało, Sophie. Zaszkożdzi mojej agencji.

Och, serce mi krwawi. Ale zaraz, Sam powiedział, że jest jakieś nagranie. Skąd się wzięło? Kto je zrobił i wysłał? Wszystko to stawało się coraz dziwniejsze.

– Sam, powtarzam, to nieprawda. Niemożliwe. Poważnie, musisz mi uwierzyć. Ktoś mnie wrabia.

– Kto?

Pomyślałam o historii, nad którą pracowałam. Tej o gwiazdzie „prawie z pierwszych stron gazet” i jej nieletnich zainteresowaniach. To chyba nie on, prawda? Nawet nie wie, że grzebię w jego sprawach.

– Nie mam pojęcia – odparłam.

– Jeszcze jedna skarga – oznajmił Sam – i będę zmuszony wypowiedzieć umowę.

– Sam...

– Muszę kończyć. Nie zmuszaj mnie do tego, dobrze?

Kiedy się rozłączyłam, przez chwilę siedziałam bez ruchu, wpatrywałam się w ścianę i zastanawiałam się, co tu się, u diabła, dzieje. Tak jak mówię, wszystko staje się porąbane, i to wcale nie w pozytywny sposób.

Napisałam do Josha i opowiedziałam mu, co jest grane. A Josh jak zwykle sprawił, że poczułam się może nie całkiem dobrze, ale na pewno dużo lepiej. Nie mogę się doczekać, kiedy wróci z Nowego Jorku. Gdy będzie przy mnie, fizycznie tuż obok mnie, na pewno zapomnę o tym wszystkim. Potrzebuję sprzymierzeńca, który będzie stał u mego boku. Nie przełamie się, żeby porozmawiać z mamą o tym, co się tu wyprawia. Nawet gdyby mi uwierzyła, w co wątpię, to i tak by mi nie pomogła. Co by zrobiła? Powiedziała, że takie rzeczy się zdarzają i nie powinnam była przenosić się do Londynu, choć przecież uprzedzała, że w stolicy mieszka mnóstwo dziwaków, a w ogóle to czego się spodziewałam? Nie, nie będę rozmawiała z mamą.

Josh napisał tak: „Jeśli ktoś z tobą zadziera, przylecę i sam z nim zadrę. Zaufaj mi. Nie musisz się tym przejmować. Jestem z tobą, obronię cię”.

Dzięki tym kilku słowom nagle poczułam się silniejsza. Za kilka tygodni Josh kończy zdjęcia, więc nie będę musiała długo czekać. Tymczasem praca, praca, pełne niespodzianek życie dziennikarki piszącej o celebrytach. Na przykład wczoraj Jessica podeszła do mojego biurka i pochwaliła mi się historią, o której teraz pisze. Uśmiechała się od ucha do ucha, tak jakby dłużej nie mogła wytrzymać i po prostu **m u s i a ł a** komuś o tym opowiedzieć. No więc tak: parę dni temu pewien piłkarz grający w Arsenalu, nazwijmy go „Jerome”, urządził u siebie imprezę.

– Ten Francuz?

– Aha – odparła Jessica. – Pochodzi z Marsylii. Dwóch jego braci siedzi w więzieniu. A on zarabia... No, zgadnij, ile wyciąga w tydzień?

– Sto tysięcy?

– Sto pięćdziesiąt tysięcy funtów. Tygodniowo. Mieszka w Harrow, przy tej

ulicy pełnej rezydencji. Robi imprezę, ma swoją świtę, składającą się w większości z Francuzów. Z tego, co wiem, to w większości bandziory, są panienki, są procenty, no i oczywiście Jerome ma w salonie rurkę, na której dziewczyny mogą tańczyć.

– Cóż za klasa.

– Trzeba to mieć we krwi, co nie? W pewnym momencie ktoś wpada na pomysł, żeby się zabawić, uważaj... – Jessica urwała, żeby się opanować – w przeciąganie liny. Tyle że samochodami.

– Ciekawe, jak to wyglądało.

– Prawda? Ludzie dowiedzą się jutro, kiedy puścimy tę historię. Tobie opowiem teraz. Otóż Jerome ma... czekaj... – Zerknęła do notatnika. – Ferrari F350 i Astona Martina Vantage. Nie pytaj, co to konkretnie, bo wiem tylko tyle, że samochody, i to drogie. No więc panowie znajdują linę i szepiają auta za tylne zderzaki czy jakoś tak. Jerome wsiada do jednego wozu, a jego kumpel do drugiego. Ktoś odlicza: trzy, dwa, jeden, start!

– Niech zgadnę – wtrąciłam. – To nie kończy się dobrze.

– Ani trochę – potwierdziła Jessica. – Wiesz, to w końcu piłkarze, nie marynarze, i nie mają zielonego pojęcia, jak zawiązać porządny węzeł. Więc tak: jest ciemno, trzecia w nocy. Stoją na podjeździe przed rezydencją, dwóch kretynów w superautach, dokoła tłum naprutyh Francuzów i półnagich lasek, nagle koła idą w ruch, słysząc pisk, czuć smród palonej gumy i...

– Skąd wiesz to wszystko? – spytałam.

– Ktoś to nakręcił komórką.

– Miło.

– I to bardzo. Zgadniesz, co się potem stało?

– Lina się poluzowała...

– ...i samochody, gaz do dechy, dziewięć tysięcy obrotów czy ileś tam, wystrzeliły w przeciwnych kierunkach. Jeden zarył w trawiasty nasyp – do kasacji. Drugi wpadł do basenu.

– Naprawdę tak było?

– Naprawdę. Życie bogatych i głupich, co nie?

– Dzięki nim masz co włożyć do garnka.

Jest tak, jak mówiłam. Przypominam Erin Brockovich, tyle że zamiast demaskować nieodpowiedzialność korporacji, ujawniam wątpliwej jakości błazeństwa znanych i lubianych. No, ale dzięki nim mam co włożyć do garnka. Chyba że nie będę miała na czym tego garnka postawić, bo wyrzucą mnie z mieszkania.

Zresztą, nie jest całkiem źle. Bo ta historia, ta niesamowita historia, o której chcę napisać... Mam plan, genialny plan – nawet jeśli tylko ja twierdzę, że taki jest.

Fortune spędził w podróży pół życia i doskonale pamiętał czasy, kiedy odprawa była czystą formalnością. Przed jedenastym września wszyscy, od pracowników kontroli paszportowej po stewardesy wpuszczające pasażerów na pokład, uśmiechali się do ciebie. Udanej podróży. Miłego lotu. Zapraszamy, prosimy tędy. Natomiast dziś musisz poczekać, aż stojący przed tobą w kolejce Arab położy swój bagaż podręczny na taśmie do prześwietlenia, opróżni kieszenie, zdejmie buty i pasek i w samych skarpetach przejdzie przez bramkę wykrywacza metalu. Ten przed Fortune'em nie wyglądał na zadowolonego. Mężczyzna operujący ręcznym wykrywaczem metalu, też nie wyglądał na zadowolonego. Kobieta, która przekładała plastikowe tace, również nie wyglądała na zadowoloną. Fortune pomyślał, że mógłby się do niej uśmiechnąć, ale zaraz uznał, że jeśli to zrobi, towarzyszący jej ponury celnik zabierze go na rewizję osobistą. Czemu pan się uśmiecha, proszę pana? Nikt tego nie robi, proszę pana. Już nikt, proszę pana, już nikt.

Rano zadzwonił Owen. Owen, dyrektor generalny – po prywatnej uczelni, dobrze ustosunkowany, pan wszechświata. W banku nazywano go Jebanym Owenem, z oczywistych powodów, o czym przekonywał się każdy, kto zamienił z nim choć dwa słowa.

- Fortune? Gdzie jesteś?
- Nadal w Londynie.
- Czyli zbijasz jebane baki. Wiesz, co tu się dzieje?
- Słyszałem.
- Słyszałeś. – Owen zamilkł. Dyszał w słuchawkę. – Czemu więc nie wzięłeś dupy w troki i nie wróciłeś pierwszym samolotem?

– Ponieważ jeszcze nie odnalazłem córki.

– Słyszałem. Przykro mi. – Zawiesił głos, przemycając w tej krótkiej pauzie pierwiastek zrozumienia, odrobinę współczucia. – Ale potrzebuję cię tutaj, w Dubaju, a nie w jebanym Londynie.

– Ale... – zaczął Fortune.

– Brakuje prawie dziewięćdziesięciu jebanych milionów. Zniknęły. Zapadły się pod cholerną ziemię, utonęły w odmętach sieci, wyparowały. Jakkolwiek byś to, kurwa, nazwał, po prostu ich nie ma.

Fortune przymknął oczy, słuchając głosu przełożonego: rozkazującego, niedającego pola do negocjacji, jasnego i wyraźnego. „Należysz do mnie”, mówił.

– Szukam córki – powiedział.

– Nie – odparł Owen. – Jebana policja szuka twojej córki. Robi to, nawet kiedy cię tam nie ma.

Fortune pomyślał o policji, o tym jednym funkcjonariuszu przydzielonym do sprawy Sophie, i nic nie odpowiedział.

– Czyli już lecisz – odezwał się Owen i nie było to pytanie.

Fortune zacisnął powieki, po czym otworzył je i rozejrzał się za walizką. Nawet nie zdążył się rozpakować. Nie miał kiedy.

– Zaraz kupię bilet.

– Kapitalnie.

– Do zobaczenia za dwanaście godzin.

Nie czekał na odpowiedź Owena. Wcisnął czerwoną słuchawkę, odłożył telefon na stolik i przetarł oczy. Zawsze to samo, pomyślał. Wiecznie to samo. Praca ma pierwszeństwo.

Samolot ustawił się na pasie startowym i zaczął się rozpędzać. Fortune patrzył, jak wszystko zostaje w tyle. Pilot zwiększył ciąg, silniki zawyły, pęd wbił pasażerów w fotele. Maszyna nabrała prędkości, przednie koło straciło kontakt z asfaltem, samolot podniósł nos. Fortune'a opanowało mdlące poczucie nieważkości. Po chwili zaczęło się ostre wznoszenie. Ileż to razy

leciał samolotem? Nie potrafił sobie przypomnieć. Latał, powiedzmy, dwa razy w miesiącu od mniej więcej dwudziestu lat. Pięćset lotów? Mnóstwo mil lotniczych.

– Herbaty? Kawy? – spytała stewardesa, kiedy pozwolono na rozpięcie pasów. Fortune pokręcił głową. Kiedy odeszła, młody mężczyzna wręczył mu tacę.

– Śniadanie.

– Nie, dziękuję – powiedział Fortune. – Prześpię się. Proszę mi nic nie przynosić. Żadnej herbaty, kawy, jedzenia, nic. Mam zapięty pas, a oparcie pionowo. W porządku?

– Dobrze – odparł mężczyzna. – Czy jest pan pewien...?

– Tak. – To samo za każdym razem. Identyczna rozmowa. – Dziękuję.

– Bardzo proszę.

Zamknął oczy i wrócił myślami do poprzedniego dnia. Rzeczy Sophie. Nie znalazł wśród nich nic, co by rozpoznawał i co budziłoby w nim jakiejkolwiek emocje. Ubrania, buty. Parę książek, zdjęcia Jean, Sophie i Jean albo Sophie z koleżankami, na wakacjach. Talerze, sztucce, plakaty. Teczka z paskami z pensją, umową o pracę i umową najmu. Miała niemal tak mało, jak Fortune. Przeglądając pudła w tym zawilgoconym garażu, poczuł beznadziejny smutek z powodu jej zniknięcia. Tak wiele miała przed sobą, tak wiele mogła się nauczyć, tak wiele doświadczyć. Co się z nią dzieje? Gdzie się podziewa?

Zastanowił się, czego brakuje. Nie znalazł telefonu ani komputera. Przecież dziś każdy ma komputer. Sophie wечно coś pisała, prowadziła bloga, publikowała nowy post raz w tygodniu. Gdzie jest jej komputer? Zadzwoił do Sama.

– Nie mogę znaleźć komputera.

– W garażu jest wszystko, co było w mieszkaniu.

– Niemożliwe.

– Może zabrała go ze sobą – zasugerował Sam.

– Dokąd? – spytał Fortune, ale nie czekał na odpowiedź, nie interesowało go zdanie Sama na temat tego, co Sophie mogła zrobić albo dokąd pójść. – Jest pan pewien?

– Jeżeli komputer był w mieszkaniu, na pewno znajduje się w którymś z pudeł.

Brak telefonu i komputera. Brak rzeczy osobistych: pamiętnika, listów. Ale w sumie kto teraz pisze papierowe listy i prowadzi odręczne zapiski? Wybrał numer Marsha, ale policjant nie odbierał, więc nagrał wiadomość z prośbą o kontakt. Nie spodziewał się zbyt wiele. Może to dobry znak, że nie znalazł komputera? Nie zabrałaby go ze sobą, gdyby planowała targnąć się na własne życie. Bo po co? To bez sensu. Ale może miała komputer przy sobie, kiedy spotkała się z kimś, wsiadła do jego samochodu... Próbował opanować myśli, powstrzymać się od snucia domysłów, oderwać się od obsesyjnego roztrząsania najdrobniejszych informacji. Sophie zniknęła. I nikt nic nie wiedział. Brak komputera nic nie oznaczał. Dość, powiedział sobie. Przestań o tym rozmyślać. Natychmiast przestań.

W miarę jak coraz bardziej oddalał się od Londynu, coraz wyraźniej przypominał sobie, kiedy ostatni raz tak się czuł. Sophie miała szczęście, może siedem lat. Pojechali do Londynu we dwoje, bez Jean, która była chora. Tak, to było wtedy. Jean leżała w szpitalu, usuwali jej wyrostek. Były urodziny Sophie, kupili bilety na jakąś sztukę, musical. Na podstawie książki Roalda Dahla? Być może, nie pamiętał. Nie zapomniał za to drobnej dłoni córeczki, którą ścisnął, gdy szli peronem, wysiadłszy z pociągu. Sophie bez przerwy paplała rozentuzjasmowana, rozglądała się, przypatrywała się ludziom, dziwiła się sklepienemu dachowi stacji i rozmiarom miasta. Jej drobna dłoń była miękka i ciepła. Siedząc w fotelu na pokładzie samolotu, poczuł, jak serce mu rośnie na myśl o tej drobnej, ciepłej, ufnej dłoni.

Zeszli do metra, musieli pojechać linią Circle. Na peronie tłum, morze ludzi. Przyjechał pociąg, ale nie ten, do którego mieli wsiąść, ten zdążył w przeciwnym kierunku. Sophie stała przed Fortune'em, chronił ją swym ciałem. Drzwi się otworzyły, pasażerowie wysiedli i zaczęli przepychać się do schodów. Fortune spojrzał w dół i zobaczył, że nie ma z nim córki. Obejrzał się i tam też jej nie było. Nie był w stanie dojrzeć jej w tym ścisku. Wtedy nagle, gdy zamknęły się drzwi pociągu, zobaczył ją w wagonie, ujrzał jej szeroko otwarte, przerażone oczy. Przyciskała dłonie do szyby. Wyciągnął

rękę, ale nie mógł jej dotknąć, była w środku, a on na zewnątrz, na peronie. Pociąg ruszył. Próbował biec za nim, przebijał się przez ludzką ciżbę, a Sophie patrzyła na niego z niemą paniką. Biegł i krzyczał: „Na następnej stacji! Wsiądź na następnej stacji!”. Ale na peronie znajdowało się zbyt dużo ludzi, pociąg z córeczką Fortune’a nabrał prędkości i wessał go czarny tunel. Wszystko zdarzyło się bardzo szybko, w ciągu zaledwie kilku sekund.

Zaczekał dwie minuty na następny pociąg. Pomyślał o ludziach, z którymi pojechała jego mała Sophie, o tym, kim mogą być, jakie mogą mieć zamiary i pragnienia. Wyobraził sobie ogrom otaczającego go miasta, obrastające je wielkie dzielnice i mrowie mieszkańców, budynki, zamknięte pokoje, kryjówki, wszystkie te miejsca, w których sześciolatka może zniknąć na zawsze. Stał na peronie i z zamkniętymi oczami czekał na następny pociąg, jednocześnie wyobrażając sobie, jak serce miasta wciąga jego bezbronną, krzyczącą córeczkę, jak połyka ją, jak więzi na dobre.

Nadjechał kolejny skład, Fortune wsiadł do wagonu, zamknęły się drzwi. Potem jazda w tunelu, stukot i szarpanie, ogłoszenie następnej stacji. Wsiądź na tej stacji, Sophie, modlił się. Proszę, wsiądź. Pociąg zwolnił, znów zrobiło się jasno za szybą i wtedy Fortune zobaczył córeczkę, która stała na peronie. Spokojna. Spokojna i nieruchoma. Kiedy drzwi się otworzyły, wybiegł, wziął ją na rękę i mocno uścisnął. Przytulił swój policzek do jej miękkiego, gładkiego policzka i głaskał, głaskał, długo głaskał ją po włosach.

Później, kiedy w milczeniu szli ulicą, Sophie zatrzymała się, popatrzyła na Fortune’a i powiedziała po prostu:

– Wiedziałam, że mnie znajdziesz i przyjdiesz po mnie.

Nie powiedział żonie o tym, co zaszło. I od lat nie wracał do tamtego dnia. Ale teraz, będąc w samolocie i myśląc o tamtym zdarzeniu, kiedy wydawało mu się, że jego córka przepadła, doznał nagłego, podszytego paniką poczucia winy. Owszem, wtedy w Londynie nie stracił jej – za to tracił ją później, przez lata, w dodatku sam pozwolił, by do tego doszło.

Oczami wyobraźni zobaczył Sophie. Stała w niewielkiej łódce. On zaś znajdował się na brzegu. Było ciemno, woda była czarna, a jego córka powoli odpływała. Patrzyła na niego i oddalała się coraz bardziej, zanurzała coraz

głębiej w ciemność, w nieznane, którego Fortune nawet nie potrafił sobie wyobrazić. Zanim całkiem zniknęła mu z oczu, odwrócił się, odwrócił się do niej plecami. Pomyślał o jej drobnej dłoni w swojej i zamknął oczy.

Kiedy odchodził od taśmociągu bagażowego, ciągnąc za sobą walizkę, i zmierzał w stronę przeszklonego korytarza, którego nie była w stanie ochłodzić żadna, nawet najwydajniejsza klimatyzacja, widział stojące w centrum Dubaju budynki, spowite smogiem drapacze chmur, niewyraźne od drgań rozgrzanego powietrza i częściowo zasłonięte dziesiątkami żurawi usiłujących dotrzymać kroku niepowstrzymanej rozbudowie miasta. Zadzwoił jego telefon.

Zatrzymał się i odebrał.

– Halo?

– Pan Fortune? Mówi Marsh.

– Witam. – Wstrzymał oddech i poczuł, jak serce mu przyspiesza. Szykował się na najgorsze.

– Zostawił mi pan wiadomość – powiedział Marsh – więc oddzwaniam.

– A tak – odparł Fortune. Żadnych wieści, które położyłyby kres niepewności. Miejsce pobytu Sophie nadal nieznane. – Tak, chciałem pana zapytać...

– Gdzie pan jest?

– W Dubaju. Właśnie wysiadłem z samolotu.

– No tak – mruknął Marsh. – To dobrze. – Fortune usłyszał ulgę w głosie policjanta. – Tutaj nic po panu.

– Chciałem o coś zapytać.

– Słucham.

– O komputer Sophie. Nie znalazłem go wśród jej rzeczy. Telefonu też tam nie było.

– Nie? – odparł Marsh. Nie wydawał się ani szczególnie zainteresowany, ani zaskoczony tą informacją.

– Nie wydaje się to panu dziwne?

– Nie. Może miała go ze sobą, kiedy... – No tak, Marsh, mistrz w niekończącym się trudnych zdaniach. Kiedy zniknęła. Kiedy odebrała sobie życie.

– Jak pan sądzi, po co miałaby zabierać ze sobą komputer, jeśli zamierzała... jeśli postanowiła się zabić? Mnie wydaje się to dziwne.

Marsh westchnął.

– Panie Fortune, w takiej sytuacji człowiek raczej nie postępuje racjonalnie. Kto wie, co sobie myślała?

Fortune nie odpowiedział. Ludzie mijali go, jakby był kamieniem leżącym w niedogodnym miejscu, zaburzającym nurt rzeki.

– Panie Fortune, jeżeli znajdziemy komputer, telefon albo... – znów urwał. Albo ciało. To chciał powiedzieć, pomyślał Fortune. – Jeśli znajdziemy cokolwiek, natychmiast dam panu znać.

Fortune rozłączył się i schował telefon do kieszeni. Był sam w pustym korytarzu. Ruszył przed siebie, zastanawiając się, czy kiedy przejdzie kontrolę paszportową, uda mu się jeszcze złapać jakąś taksówkę.

High Times i Miss Fortune: *Czego nie mówić na pierwszej randce*

No więc tak: nie jestem tradycjonalistką. ALE. Jeśli zabierasz kogoś na randkę, to jednak liczy się pierwsze wrażenie. Tak jakbyś – powiedzmy, przynajmniej do drugiego dania – był na okresie próbnym. Dlatego należy zachowywać się jak najlepiej.

Jedną z moich przyjaciółek, kiedy jeszcze studiowała, pewien chłopak zaprosił do megaeleganckiej restauracji gdzieś na West Endzie, nazwa wyleciała jej z głowy. W każdym razie wchodzą do środka, wita ich kierownik sali, a chłopak pochyla się nad moją znajomą i szepcze jej do ucha: „Nie oddawaj mu kurtki. Urywamy się bez płacenia”.

Moja randka nie była aż tak koszmarna, ale... też nie za ciekawa. Umówiłam się ze znajomym znajomej. Nazwijmy go Chris – BO TAK WŁAŚNIE MA NA IMIĘ. Dość przystojny. Na dzień dobry zgrzyt, bo nie wiedział, czy podać mi rękę, czy pocałować w policzek – niezręcznie, prawda? – i w końcu zrobił jedno i drugie; wyszło dziwacznie, jak coś pomiędzy spotkaniem biznesowym a randką. Miło mi poznać... CMOK! Nie to jednak było najgorsze, o nie.

Gotowi? Już mówię...

Usiedliśmy przy stoliku, otworzyliśmy karty i w tym momencie on jakby mimochodem rzucił: „Jeśli zamówisz przystawkę, nie będziemy mogli wziąć deseru”.

Ożeż...

Jeśli ktoś z was może się „pochwalić” podobną historią, to chętnie wysłucham.

KOMENTARZE:

LozLoz: *LOL! Poszłam kiedyś na randkę z gościem, który zajrzał do menu i powiedział: „Nie mogę jeść pomidorów, bo mam po nich masakryczną biegunkę”. Po tych słowach już tylko odliczałam minuty.*

TinaTee: *Jeden facet zabrał mnie do eleganckiej knajpy. Chyba był kibolem, ale nie mam pewności. Przez dziesięć minut bez słowa wpatrywał się w kartę dań, nic nie mówił, tylko miał taką... wściekłą minę. Potem przywołał kelnera i wyskakuje do niego z tekstem: „Słuchaj, weź no powiedz kucharzowi, żeby mi zrobił kurczaka z frytkami, co? Serio mówię”.*

LozLoz: *TinaTee, aleś trafiła!*

Shanraj: *TinaTee, tylko nie mów, że za niego wyszłaś.*

FridayFeeling: *TinaTee, mmm. Kurczak z frytkami. Takich facetów to ja lubię...*

CrossMyHeart: *„Aktualnie mieszkam z mamą”. Błę.*

TinaTee: *Co nie, CrossMyHeart? „Mieszkam z rodzicami” – po co w ogóle mówić coś takiego?*

CatLover: *CrossMyHeart, pełna zgoda. Obrót na pięcie i do widzenia.*

Specs And The City: *„Jestem żonaty, ale zdecydowany wziąć rozwód”. Nawet miał obrączkę na palcu. Założę się, że nadal jest żonaty...*

Starry Ubado: *Zawsze coś nowego, bo pewnie normalnie na*

przystawkę bierzesz chuja do gęby, ty tępa dziwko. Durna, durna, głupia cipo.

MissFortune: *Starry Ubado, jaki konkretnie masz problem?*

Starry Ubado: *Problem, MissFortune? Problemem są kurwy takie jak ty, które zachowują się, jakby stały wyżej od facetów, podczas gdy są zwykłymi wywłokami.*

TinaTee: *Starry Ubado???*

CatLover: *Starry Ubado, spadaj na drzewo, trollu.*

LozLoz: *Nie karmić trolla!*

Starry Ubado: *Oby następny, z którym się umówisz, sprzedał ci AIDS.*

MissFortune: *Starry Ubado, ogarnij się, frajerze.*

Starry Ubado: *MissFortune, wiem, gdzie mieszkasz. Dziwko.*

Tego już za wiele. Wiem, że to się zdarza bardzo często i że jeśli publikujesz coś w sieci, prędzej czy później przyciągniesz pomyleńców, ale nie potrzebuję ani kłopotów, ani nerwów. Prowadzę zwykły blog o tym, jak chodzę na imprezy, jeżdżę taksówkami i jadam w restauracjach. W czym problem? Nagle ten Starry Ubado (jasne, bo uwierzę, że naprawdę tak się nazywa) wyskakuje z tekstem, że wie, gdzie mieszkam. Okej, trochę mi brakuje do doskonałości, ale nie zasłużyłam na takie traktowanie, to na pewno.

Może więc powinnam po prostu zamknąć bloga? Skasować go? Ale w sumie dlaczego? Czemu miałabym pozwalać takiemu trollowi dyktować mi, co mam robić? Nie wiem. To plus skargi na rzekome hałasy i imprezy... Jestem zmęczona. Odliczam dni do powrotu Josha – Josh wróci i zrobi z tym porządek. Jeszcze tylko kilka tygodni. Pracuje przy reklamie Adidasa i mówi, że trudno uwierzyć w to, jakimi pieniędzmi dysponują ci ludzie i ile są

w stanie wydać. Opowiadał, że komuś w firmie nie spodobał się kąt kamery w jednej ze scen, więc po raz kolejny zebrali całą ekipę tylko po to, żeby nakręcić jedno, trwające niecałą sekundę ujęcie.

Wytrzymam dla niego. Dam radę. I nie, nie skasuję bloga. Sorry, Starry, ale jesteś nieistotny. Nie liczysz się. Jestem młoda, ładna, mam wspaniałego faceta, pracuję nad świetną historią i jestem od ciebie lepsza, dużo lepsza.

Wypchaj się więc.

Fortune zajął miejsce przy stole w sali posiedzeń. Po drugiej stronie czekali Owen i radca prawny spółki, obaj młodszy od niego o co najmniej dziesięć lat, ubrani w drogie garnitury, schludni, starannie uczesani, o nieskazitelnej cerze. Otaczała ich pełna samozadowolenia aura władzy. Nie, nie władzy, raczej uprzywilejowania. Zresztą, cholera, co za różnica? Za ich plecami znajdowało się duże panoramiczne okno, z którego roztaczał się widok na centrum Dubaju z wysokości trzydziestego piętra. Przez smog i drganie powietrza drapacze chmur wydawały się brudne i niewyraźne.

– Jezu, wyglądasz jak jebanemu psu z gardła wyjęty – skomentował Owen.

– Przyjechałem prosto z lotniska.

– No tak. Dzięki, że się zjawiliś.

Fortune nie odpowiedział, tylko pokiwał głową.

– Wszystko wskazuje na to, że mamy poważny problem – stwierdził Owen. – Nie sądzisz?

– Myślę, że jest jeszcze za wcześnie, by cokolwiek wyrokować – odparł Fortune. – Niewykluczone, że znajdziemy te pieniądze.

– Znajdziemy? Gdzie, kurwa? Pod stołem? – Owen pochylił się i zajrzał pod blat. – No patrz, nie ma.

– Zmienialiśmy serwery. Możliwe, że to jest przyczyną...

– Możliwe – powtórzył Owen. Spojrzał na prawnika. Jeremy, ma na imię Jeremy, przypomniał sobie Fortune. – Co się stanie, jeśli pieniądze jednak się nie odnajdą?

Jeremy uniósł brwi, jakby zaskoczyło go to pytanie.

– Dobrze się do nas nadzór, to oczywiste. Nie można tak po prostu zgubić czyichś pieniędzy.

– Jesteśmy ubezpieczeni – zauważył Fortune.

– Owszem, ale nie od jebanej krytyki w mediach – odparł Owen. – Tak? Fortune pokiwał głową. Musiał przyznać Owenowi rację.

– Nie zamierzam stracić przez to premii, jasne? – ciągnął Owen. – Rozumiesz, Fortune? Narobiłeś syfu, to go teraz w chuj sprzątniesz. Tak?

– Tak – odparł Fortune.

– Nie słyszę.

– Tak – powtórzył Fortune głośniej. Czuł na sobie rozbawione spojrzenie Jeremy’ego, czerpiącego przyjemność z upokorzenia Fortune’a. Ci dwaj, młodszy od niego, potraktowali go jak niesforne dziecko. Poczł, że krew się w nim burzy. Po to tyle lat pracował? Dla czegoś takiego poświęcił wszystko: małżeństwo, rodzinę? Żeby pogardzali nim gówniarze?

– Dobrze – powiedział Owen, rozpierając się na krześle. Przy stole zapanowała cisza. Po chwili Owen zmarszczył brwi, spojrzł na Fortune’a i rzucił: – Na co czekasz? Spadaj.

Fortune pomyślał, że jego bank jest prowadzony według tych samych reguł co szkoła z internatem, do których uczęszczała większość wyższej kadry kierowniczej w spółce. Kluczem i najważniejszym czynnikiem motywującym jest strach. Obowiązuje sięgająca od góry aż po sam dół kultura zastraszania. Rób, co do ciebie należy, bo jak nie... to zostaniesz publicznie upokorzony, otrzymasz miażdżącą ocenę albo pisemne upomnienie, będziemy wywierali na ciebie stałą presję. Ileż to razy widział zapłakanych pracowników? Przypuszczał, że najbardziej zapracowanym działem w banku są kadry, mimo że w Dubaju prawo pracy jest tak pobłażliwe, jakby praktycznie nie istniało. Dostałeś wypowiedzenie, bo nie wyrabiasz siedemdziesięciu godzin tygodniowo? Trudno. Takie życie. Ogarnij się.

Gdy Fortune piął się po korporacyjnej drabinie, był wymagającym przełożonym, choć dziś nie czuł z tego powodu dumy; potrafił zachowywać się jak prawdziwy tyran. Lecz czas – czas i kilka innych rzeczy – zmienił go. Fortune popatrzył po przerażonych twarzach piętnaściorga pracowników działu operacji i uświadomił sobie, że większość z nich od dwóch dni nie była

w domu.

– No dobrze – odezwał się łagodnie. – Wiem, że pracujecie na okrągło. I wiem, że staracie się najlepiej, jak potraficie. Damy sobie z tym radę. – Zamilkł. – Czy ktoś mógłby mi powiedzieć, na czym w tej chwili stoimy?

Cisza. Po chwili odezwał się Alex.

– Wyparowało. Wszystko, cała kasa. Po prostu... – wzruszył ramionami – zniknęła.

– Czy wiemy, w jaki sposób to się stało?

– Pewnie ktoś nas zhakował. – Parę osób przytaknęło. – To jedyne wytłumaczenie.

– Ale jak mogli... – zaczął Fortune, ale Alex mu przerwał.

– Nie mamy pojęcia. W ogóle nic nie wiemy. – Znów wzruszył ramionami i spróbował się uśmiechnąć. – Mówię, jak jest. Żebyś nie miał złudzeń.

Fortune poczuł uderzenie adrenaliny, a wraz z nią przyływ paniki. Niedobrze. Zaczął pocierać dłońmi po policzkach, kiedy nagle zawibrował jego telefon. Wyjął aparat i zerknął na wyświetlacz. Marsh – rozpoznał numer. Powinien odebrać. Popatrzył po twarzach zespołu, pełnych wyczekiwania, liczących, że powie im, co mają robić, i rozwiąże problem. Odrzucił połączenie i odłożył telefon.

– Okej. Sadler, co o tym sądzisz?

Sadler wstał. Młody chłopak, dzieciak jeszcze, ale znał się na rzeczy. Nie bez powodu, pomyślał Fortune, firma płaci mu tysiąc dolarów dziennie.

– Moim zdaniem – powiedział Sadler – to nie jest przypadkowy włam. Ktoś to zrobił w konkretnym celu.

– Jakim?

Sadler wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Potrzebujemy szczegółowej ekspertyzy. Ktoś powinien prześledzić atak krok po kroku i sprawdzić, skąd go wykonano.

Fortune przeniósł spojrzenie na Aleksa.

– Co możemy zrobić?

– Zmieniliśmy metodę szyfrowania, postawiliśmy nowy firewall. Powinniśmy być bezpieczni.

– Powinniśmy?

Alex zrobił zbolaną minę.

– Do tego nie powinno było dojść.

Fortune pokiwał głową.

– Dobrze. Słuchajcie. Niech wszyscy pójda się przespać i wrócą jutro z samego rana. Damy radę?

Pokiwali głowami, zarazem ucieszeni, że idą do domu, i świadomi, że za niespełna osiem godzin muszą być z powrotem w biurze. To niewiele czasu, a sytuacja, do której mieli wrócić, nie była godna pozazdroszczenia. Współczuł im, ale cóż, na tym polegała ich praca, tak zarabiali na życie. Nikt nie obiecywał, że będzie łatwo.

Fortune siedział z tyłu w taksówce, która sunęła oddaną niedawno do użytku czteropasmową arterią Dubaju przez las wieżowców przetykany żurawiami. Tablice z napisami po arabsku i angielsku kierowały podróżnych do lotnisk, centrów handlowych i dzielnic biznesowych. Fortune zawsze postrzegał Dubaj jako swego rodzaju Disneyland dla dorosłych, biznesowy park tematyczny, w którym role Myszek Miki i Kaczorów Donaldów odgrywa imigrancka siła robocza – Hindusi, Pakistańczycy i Chińczycy – która sprząta, buduje, gotuje, obsługuje, dba o potrzeby ludzi interesu, zapewnia im wygodę oraz rozrywkę. To miejsce pełne skrajności, pomyślał, patrząc na mknące autostradą mercedesy i bmw, a na drugim planie – robotników poruszających się pieszo bądź rowerami i taszcących ciężary. Bogaci i biedni. Oni i my. Brudni i zaniedbani mieszkają w slumsach poza pełnym lśniących wież śródmieściem. Starał się o nich nie myśleć. To nie jego kraj. Cóż może poradzić?

Zadzwoił do Marsha i czekając na połączenie, przyjrzał się zebrakom, którzy stukali w szyby stojących na czerwonych światłach aut. Włączyła się poczta głosowa. Taksówka wreszcie dotarła na miejsce i zatrzymała się przed apartamentowcem, w którym mieszkał Fortune: pięćdziesięcioletnim wieżowcem, wyposażonym w siłownię na najniższym poziomie oraz restaurację na najwyższym. Fortune kojarzył portiera z widzenia, ale nie znał

jego imienia, mimo że ten, ilekroć otwierał mu drzwi, zwracał się do niego per „panie Fortune”. Wjechał windą na siedemnaste piętro i poszedł gustownie oświetlonym korytarzem. Za mieszkanie, dwustumetrowy pałac, w którym czuł się jak szczur w klatce, płacił bank. Jedyna różnica pomiędzy lokalem a pokojem hotelowym polegała na tym, że gdy do niego wchodził, nie musiał wypakowywać garniturów, bo te już wisiały w szafie. Żadnych zdjęć na ścianach, brak jedzenia w lodówce. Mieszkał tu od roku i ani razu nie przyjął żadnych gości.

Sprawił automatyczną sekretarkę – brak wiadomości – i nalał sobie szkockiej. Usiadł i rozejrzał się po pustym mieszkaniu. Pomyślał o skromnym dobytku córki, o jej życiu przechowywanym w pudłach w zawilgoconym garażu. Pomyłony Babsztyl. Podłe, okrutne słowa przyszły mu nieproszone do głowy. Sophie. Czy to prawda, co usłyszał o niej od Sama? Przypomniał sobie jej wahania nastroju, niezadowolenie i nedorzeczne zachowanie. Niewykluczone.

Ten bieg myśli skłonił Fortune’a do wyjęcia laptopa i odszukania bloga córki. Może dzięki jego lekturze trochę ją zrozumie, znajdzie jakiś trop albo punkt oparcia w jej psychice. Lepiej ją pozna, zagłębi się w jej życie. Być może nie zostało po niej już nic więcej. Przeczytał opis imprezy, na której drinki serwowały jeżdżące na wrotkach dziewczyny w bikini, i jednoznaczną opinię Sophie na ten temat. Tekst był zabawny, inteligentny i prześmiewczy; czytając go, Fortune słyszał sarkastyczny, zjadliwy i naturalnie buntowniczy głos Sophie. Głos, którego w realnym życiu nigdy nie zdołał polubić. Dokończył lekturę posta i przeszedł do komentarzy. Społeczność, którą stworzyła sobie jego córka, zgodziła się z jej opinią, że taka impreza to przykład poniżającego, uprzedmiotawiającego i patriarchalnego traktowania kobiet. Racja, pomyślał Fortune. Na samym końcu listy komentarzy znalazł się jeden, który wściekłym, nienawistnym tonem odstawał od reszty. Niejaki Starry Ubado napisał: „Wszystkie jesteście dziwki, więc co za różnica? Tępa kurwa piechotą czy na wrotkach to jedno i to samo”.

Zastanowił się, co takiego mogło skłonić kogoś do pozostawienia pełnego jadu komentarza. Przecież to tylko zabawna historia, owszem, poruszająca

ważny temat, ale jednak to tylko historia. Czy to coś złego?

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek telefonu. Poszedł do kuchni i sięgnął po leżący na blacie aparat. Marsh. Przymknął oczy i szybko zmówił modlitwę: „Błagam. Niech to będzie w sprawie Sophie. Niech się okaże, że jest bezpieczna”.

– Halo.

– Pan Fortune? Mówi Marsh.

– Tak? – Opanować drżenie głosu.

– Muszę prosić, żeby przyleciał pan do Londynu.

– Sophie?

Marsh zamilkł i przez chwilę Fortune sądził, że stracił połączenie.

– Znaleźliśmy ciało.

– Czy to Sophie?

– Nie wiemy.

– Co to znaczy, że nie wiecie? – Podszedł do okna i popatrzył na światła miasta, nad którym właśnie zaszło słońce. Serce tłukło mu w piersi. – To jej zwłoki czy nie jej?

– Potrzebujemy pańskiej pomocy. Chodzi o identyfikację. Możemy poczekać na wyniki badania DNA, ale to potrwa.

– Rozmawialiście z moją żoną?

– Jeszcze nie. – Marsh się zawahał. – Panie Fortune, poznałem państwa oboje i jeśli mam być szczery, to pan będzie tu odpowiedniejszą osobą.

Samochody na dole ustawiły się na skrzyżowaniu. Od ich ciemnych dachów odbijały się światła sygnalizacji.

– Jest aż tak źle?

– Bardzo mi przykro. Jeśli pan woli, zaczekamy na dane z laboratorium.

– Nie. Przylecę. Uważa pan, że to ona?

Marsh znów nie odpowiedział od razu. Fortune czekał. Miał nogi jak z waty, stał na grubej wykładzinie, a czuł się tak, jakby się unosił w powietrzu na wysokości pięćdziesiątego piętra, jakby szybował nad śródmieściem Dubaju.

– Marsh? Czy według pana to ona?

– Możliwe. To bardzo prawdopodobne.

Samochody ruszyły. Nawet z takiej wysokości Fortune zauważył zmianę świateł z czerwonych na zielone. Położył dłoń na szybie, żeby nie stracić równowagi.

– Przylecę – powtórzył.

– Proszę się odezwać, kiedy pan wyląduje – powiedział Marsh. – Zabiorę pana do niej.

Za oknem, na końcu ramienia dźwigu stojącego na ostatniej kondygnacji nieukończonego wieżowca, migąło światło. Ostrzegało pilotów śmigłowców i samolotów. „Do niej”. „Zabiorę pana do niej”. Do Sophie, do mojej córki, pomyślał. Co oni ci zrobili?

– W porządku. – Rozłączył się. Powiódł wzrokiem po dubajskich budynkach, obojętnych, wyniosłych i aroganckich. To nieprawda. To nie dzieje się naprawdę. Powoli usiadł na podłodze, nie odrywając oczu od niezwykłego widoku za oknem. Co oni ci zrobili?

Jeśli ktokolwiek z was kiedykolwiek będzie chciał się zabawić w prowokację, uprzedzam: to nie kaszka z mlekiem. O nie, to cała kupa roboty i gigantyczne, za przeproszeniem, upierdzenie.

Po pierwsze, wszyscy święci: redaktorzy, prawnicy, niezależny doradca do spraw etyki i cały zarząd wydawcy, muszą dać wam zielone światło. W zarządzie zasiadają biali faceci w średnim wieku, którzy nie lubią ryzyka i zrobią wszystko, naprawdę wszystko, byle utrzymać wysoką cenę akcji swojej spółki. Sami więc rozumiecie.

Po drugie, potrzebujecie pieniędzy. A żeby zdobyć pieniądze, musicie udać się do działu finansów i wyłuszczyć im swój plan. Objasnianie planu, który nawet mnie wydaje się, mówiąc łagodnie, nieco zbyt ambitny (choć sama go wymyśliłam), to najtrudniejsza część. Bo oni to liczykrupy, a wy – nieustraszeni dziennikarze. Im zależy, byście bezpiecznie wydawali pieniądze, wy chcecie żyć na krawędzi. Dlatego patrzą na was jak na wariatów i wydębienie od nich czegokolwiek – przekonywanie, że wasz tekst podbije sprzedaż, zapewnianie, że wszystko macie dopięte na ostatni guzik i zatwierdzone przez redaktorów, prawników, zarząd i tak dalej, może zająć całe godziny. W końcu jednak postanowią przydzielić wam fundusze. Ale i tak będą kręcić nosem.

Po trzecie, musicie znaleźć *femme fatale*, która będzie robiła za przynętę. Ponieważ, moi drodzy, mowa o klasycznej pułapce na gustującego w małolatach gwiazdora – dlatego rzecz wymaga przygotowań niczym operacja wojskowa. *Femme fatale* musi zatem mieć swoją rolę wykutą na blachę, musi mówić, co należy, i odpowiednio się poruszać. No i musi być piękna. A także mieć co najmniej osiemnaście lat, ale wyglądać na nie więcej niż piętnaście.

No i punkt ostatni, ale wcale nie najmniej istotny: trzeba zwabić wspomnianego gwiazdora do pułapki. W rzeczywistości to najłatwiejszy element planu, ponieważ wiemy, gdzie się spodziewać ofiary. Wystarczy, że podstawimy naszą piękną, długonogą osiemnastkę w ciele piętnastki. Potem należy już tylko trzymać kciuki.

No więc tym właśnie zajmuję się od tygodnia. Larry, naczelny, co godzinę podchodzi do mojego biurka, robi zmartwioną minę i pyta, czy wszystko w porządku, czy czegoś nie potrzebuję i czy jestem pewna, że chcę to zrobić. Czuję, że tak naprawdę wolałby, żebym odpuściła. Do tego, rzecz jasna, pełna konspira, nikt w redakcji, nawet Jessica, nie wie, co jest grane. Dlatego wszyscy łypią na mnie, szepczą między sobą i snują przypuszczenia. Przykład? Proszę bardzo:

– Cześć! – mówi rozpromieniona Jessica. – Jak leci?

– W porządku. Całkiem nieźle.

– Nad czym pracujesz?

– A, wiesz, nad paroma rzeczami – odpowiadam wymijająco. – Nad niczym szczególnym.

Jessica przysiada na brzegu biurka, sięga po magazyn i przegląda go w milczeniu. Trwa to pół minuty, minutę, aż w końcu Jessica pęka, rzuca pismo na biurko i mówi, nie, cedzi z wściekłością:

– Powiedz mi, na litość boską!

Wszystko to, muszę przyznać, jest dość stresujące.

Akcja dopiero za sześć dni, a ja już teraz wiem, że nie zasnę, dopóki to się nie skończy, a moje nazwisko nie znajdzie się na ustach wszystkich dziennikarzy wszystkich brukowców w całym kraju. No co? Przynajmniej jestem ambitna.

Z innej parafii: Sam nie zadzwonił po raz kolejny w sprawie tajemniczych hałasów i urojonych imprez, więc trochę mi ulżyło, bo oznacza to, że chyba jednak mi nie odbija (dodam, że w przeszłości czasem zdarzało mi się tracić rozum). Poza tym Josh nakręcił ponownie tę scenę, która wymagała poprawek,

i mówi, że jeszcze tylko ponowny montaż, odesłanie do klienta, zatwierdzenie i gotowe, będzie mógł wracać do domu. Mówiłam już, ale powtórzę: nie mogę się doczekać.

Dziwne, ale za tydzień, kiedy skończę już tę swoją historię, a Josh wróci do mojego życia, wszystkie pozostałe sprawy będą mi się wydawały jedynie odległym wspomnieniem. Muszę tylko wytrzymać jeszcze kilka dni. To chyba nie takie trudne?

Przez kilka sekund Fortune nie był pewien, na co właściwie patrzy, nie potrafił zrozumieć obrazu, który miał przed oczami. To, co widział, przypominało człowieka, a zarazem nie. Wyglądało jak nieudolnie poskładane elementy ludzkiej postaci. Ciemne włosy, takie jak Sophie. Błada skóra, taka jak Sophie. Usta zniekształcone, to samo oczy. Odrzuciło go, odwrócił głowę i oddalił się od ciała, jak tylko mógł, aż pod ścianę kostnicy. Marsh zakrył zwłoki i dał Fortune'owi kilka chwil na ochłonięcie.

– Co się z nią stało? – spytał Fortune. Nie patrzył na Marsha, mówił do podłogi.

– Nie wiemy – odparł policjant. – Wiemy tylko tyle, że została zamordowana. Brak dłoni, zęby zostały... uszkodzone. Przez pewien czas leżała pod wodą.

– Jezu. – Fortune potarł oczy i przeciągnął dłonią po twarzy. – To potworne.

– Czy to pańska córka?

Milczał. Ugniatał czoło nasadą dłoni.

– Panie Fortune, wiem, że to trudne, ale proszę odpowiedzieć. Czy to pańska córka?

– Nie wiem – przyznał.

– Nie miała tatuaży ani znamion?

– Już pan pytał. Nie. Przynajmniej ja nic o tym nie wiem. Moja żona też nie. Zatem nie, nie miała.

– W porządku. Chcę, żeby przyjrzał się pan raz jeszcze. Proszę dokładnie obejrzyć ciało.

Fortune pokręcił głową.

– Nie. Nie ma mowy.

Marsh westchnął, popatrzył na Fortune'a i pokiwał ze zrozumieniem.

– Rozumiem. Wobec tego zaczekamy na wyniki analizy DNA.

– Kolczyk.

– Słucham?

– W lewym uchu. – Zastanowił się. – W górnej części. W...

– Chrząstce?

– Właśnie. – Wpadł w szal, kiedy wróciła do domu z kolczykiem. Zapytał ją, co jej strzeliło do głowy, czy zdaje sobie sprawę, jak to wygląda, i jak sobie wyobraża, że znajdzie pracę z czymś takim. Spytał, czy bierze narkotyki, bo w jego wypełnionym wściekłością ojcowskim umyśle jedno z drugim było nierozzerwalnie związane. Spojrzała na niego z pogardą i milczała. Nie powiedziała nawet słowa, tylko patrzyła. – Powinien być ślad po przekłuciu, prawda?

– Powinien. – Marsh się zawahał. – W lewym uchu?

Fortune wyobraził sobie tamtą scenę, przypomniał posępną minę córki i pokiwał głową.

– Tak, w lewym,

– Lepiej niech się pan odwróci.

Policjant podszedł do ciała, które leżało na metalowym stole. Fortune zgodnie z sugestią odwrócił się do ściany, zamknął oczy, wstrzymał oddech.

– Nie ma – powiedział Marsh. – Jest pan pewien?

– Tak.

Chwila ciszy.

– Nie, zdecydowanie brak śladu.

– W takim razie to nie ona.

– W porządku. Dziękuję.

– Czy mogę już iść?

– Tak. Przykro mi, że musiał pan to oglądać.

Fortune nie odpowiedział, tylko pchnął drzwi i opuścił kostnicę. Ruszył korytarzem, byle dalej od zimna i od smrodu chemikaliów. Żałował, że nie potrafi wyrzucić z pamięci tego, co chwilę wcześniej zobaczył, ale pewnych rzeczy po prostu nie da się zapomnieć, zostają w człowieku na zawsze.

Żona Fortune'a przyjechała do Londynu i zatrzymała się w hotelu. Czekala na telefon od męża. Kiedy do niej zadzwonił i powiedział, że to nie Sophie, wybuchła łzami. Dzięki Bogu, dzięki Bogu, powtarzała, dzięki Bogu, a Fortune milczał i słuchał jej płaczu ulgi. Zapytał, czy chciałaby, żeby przyjechał i był przy niej. Odparła, że nie, nie ma takiej potrzeby. Godzinę później zadzwoniła i stwierdziła, że jednak mógłby przyjechać, ponieważ powinni porozmawiać, przedyskutować pewne rzeczy.

– Jakie rzeczy?

– Dotyczące nas. Domu. Musimy ustalić, co dalej.

– Czy to nie może poczekać?

– Na co? Oboje jesteśmy na miejscu. Zachowujmy się jak dorośli.

„Dorośli”. Fortune'owi nie spodobało się brzmienie tego słowa. Oznaczało nieprzyjemne rozmowy i okrutne prawdy. Wolał zrobić to na odległość, e-mailem, przez mediatorów. Wolał, żeby ktoś obcy zajął się jego niedostatkami jako męża i ojca i żeby ktoś przyjmował ciosy zamiast niego. Czy nie od tego są prawnicy? Czy nie za to im się płaci? W końcu jednak się zgodził.

– Zamówię stolik w restauracji. Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy zrobili to w miłych okolicznościach.

– Dobrze – odparł Fortune, choć wcale w to nie wierzył. Czy okoliczności towarzyszące rozstaniu, właściwie: porzuceniu przez żonę, można nazwać miłymi? – Nie ma sprawy.

Wybrała włoską restaurację w Mayfair. Fortune siedział naprzeciwko żony i zastanawiał się, co powiedzieć. Nie wiedział, dlaczego zdecydowała się na drogi lokal. Między nimi stały kieliszki z kruchego szkła, delikatnego jak atmosfera przy stoliku. Kelner przyniósł butelkę chianti, nalał Fortune'owi do spróbowania, ten powąchał, zakręcił kieliszkiem, upił łyk i pokiwał głową.

– Chcę zatrzymać dom – oznajmiła żona. Miała na sobie czarną sukienkę i buty na wysokim obcasie eksponujące jej łydki, które pomimo upływu lat nadal były zgrabne. Zresztą w ogóle wyglądała świetnie. Naraz Fortune'owi przyszło do głowy, że może ona ma romans, spotyka się z kimś, i gdy tylko o tym pomyślał, natychmiast uznał to za coś oczywistego. Przecież nie dla niego dba o wygląd i stara się być atrakcyjna. Od lat nie uprawiali seksu

i nigdy już nie będą tego robili. Przymknął oczy. Nie było między nimi miłości, nie było żadnego uczucia, nic już nie zostało. Zawiódł żonę i stracił ją, tak jak stracił córkę.

– Fortune?

– Gdzie będę mieszkał?

– Przecież i tak tam nie mieszkaś, więc co za różnica?

– Kiedy przejdę na emeryturę.

– Na emeryturę? Ty? Co poczniesz bez pracy?

Nie odpowiedział. Nigdy się nad tym nie zastanawiał. Pił wino i czekał, aż żona się odezwie. Jest niebezpieczna, pomyślał. Gotowa wyrwać, ile się tylko da. Nie szkodzi. Pewnie jej się należy. Na pewno się jej należy.

– Chyba nie będziesz utrudniał?

– Nie.

– Bo konsultowałam się i powiem ci, że jesteś na przegranej pozycji. Po tym, co się stało.

Znowu to samo, po tylu latach. Czy kiedykolwiek pozwoli mu zapomnieć?

– W porządku – odparł. – Jak sobie życzysz.

– Tak po prostu?

Westchnął.

– Tak po prostu.

Wyobrażał sobie, że najlepiej będzie ją udobruchać. Że najprościej będzie nie stawiać oporu. Ale wyglądało na to, że jego postawa, nie wiedzieć czemu, tylko ją rozwścieczyła.

– Naprawdę ci nie zależy, prawda? – powiedziała.

– Zależy mi – odparł Fortune. – Oczywiście, że mi zależy.

– Nigdy ci nie zależało.

– Jean, czego ode mnie oczekujesz?

– Tego samego, co zawsze. Żebyś choć trochę się przejął. Mną i Sophie.

– Przyleciałem z Dubaju. Zobaczyłem twarz zamordowanej dziewczyny.

– Przyleciałeś z Dubaju. Cóż za poświęcenie. – Roześmiała się i pokręciła głową. – Oderwałeś się od tej swojej ukochanej pracy.

– Wydawało mi się, że chcesz to zrobić w miłych okolicznościach.

Nie odpowiedziała. Sięgnęła po menu. Przez kilka sekund udawała, że czyta, po czym niespieszonym, ale zdecydowanym ruchem odłożyła kartę i popatrzyła na Fortune'a.

– Czy kiedykolwiek próbowałeś postawić się na moim miejscu? Zrozumieć, jak to jest samotnie zajmować się Sophie, radzić sobie z nią?

– Jean...

– Nie miałeś bladego pojęcia o jej życiu. Wiedziałaś, że miała problemy w pracy? Że, jak twierdziła, ktoś próbował zrobić jej krzywdę i przysporzyć kłopotów?

– Jakich kłopotów?

– Nie wiem. – Wzburzona sięgnęła po kieliszek. Fortune zadał sobie pytanie, czy nie wypić kilku przed spotkaniem. – Powiedziałam, że nie potrafię jej pomóc i że musi z kimś o tym porozmawiać. Z kimś, kto zajmuje się takimi sprawami. Pokłóciliśmy się. – Zamknęła oczy. – Wtedy rozmawiałam z nią po raz ostatni.

– Myślisz, że słusznie podejrzewała, że ktoś chce ją skrzywdzić?

– Kto wie? Nie, nie sądzę. Mówiła bez ładu i składu. To wszystko brzmiało... nedorzecznie.

Pomyłony Babsztyl. Okrutne, niemożliwe do wymazania słowa nieproszone powróciły do Fortune'a.

– Problemy w pracy?

– Tak. Nie wiem. Nie mam pojęcia, co się działo. – Znow sięgnęła po menu i znow je odłożyła. – To był zły pomysł.

– Jean...

Dopiła wino. Na pewno nie przyszła tu zupełnie trzeźwa, pomyślał. Alkohol zawsze wydobywał z niej to, co złe. Podsunęła mu kieliszek. Napełnił go.

– Chcę zatrzymać dom – powtórzyła.

– Już to mówiłaś. W porządku, dostaniesz go.

– To dobrze. – Pokiwała głową. – Okej.

– Jean, posłuchaj... chcę powiedzieć... – przerwał i nabrał powietrza jak przed skokiem na głęboką wodę. – Wiem, że nie było mnie przy was, przy tobie i Sophie. Nie wiem, nie potrafię wyjaśnić dlaczego. Po prostu... nie

byłem w tym dobry.

Wybuchła szyderczym śmiechem, a ponieważ nie odpowiedziała, Fortune brnął dalej, nie patrząc na żonę, tylko na białą przestrzeń obrusu tuż za talerzem.

– Chcę powiedzieć, że żałuję. Wszystkiego, co zrobiłem i czego nie zrobiłem. Jest mi przykro z powodu błędów, jakie popełniłem. – Dopiero teraz podniósł wzrok i przekonał się, że Jean patrzy na niego bez żadnych emocji. – To tyle – zakończył cicho i potulnie.

Wpatrywała się w niego przez kilka długich chwil, aż w końcu odezwała się beznamiętnie:

– Ach, czyli w porządku. Jest okej.

– Jean...

– Po dwudziestu latach tej... tej u d r ę k i... jest ci przykro i żałujesz? Twoja dorastająca córka próbowała odebrać sobie życie, a ty chowałeś głowę w piasek, uciekałeś w pracę, bo stamtąd nie słychać wołania o pomoc. A teraz, kiedy zniknęła, jest ci p r z y k r o? – Wstała i głośno odsunęła krzesło. Para siedząca przy sąsiednim stoliku zaczęła się im przyglądać, a mężczyzna siedzący za Jean się odwrócił.

– Dwadzieścia lat – powtórzyła, unosząc głos. – Tyle się spóźniłeś ze swoimi przeprosinami. Dwadzieścia lat.

Fortune uniósł dłonie w obronnym geście.

– W porządku, Jean, rozumiem. Usiądź, proszę.

Pozostali goście zaczęli szeptać. Kobieta ze stolika obok robiła wielkie oczy.

– Gdzie byłeś? – odezwała się Jean. – Gdzie byłeś, kiedy cię potrzebowała? Kiedy potrzebowała ojca? – Skończyły jej się słowa. Stała przez chwilę bez ruchu, a potem celowo przewróciła kieliszek, tak że wino popłynęło po obrusie i zachlapało koszulę Fortune'a. Siedząca obok kobieta głośno nabrała powietrza. Jean odwróciła się i wyszła, lekko chwiejąc się na nogach. Popatrzył na jej obleczone rajstopami kształtne łydki.

Wytarł koszulę serwetką, starając się nie zwracać uwagi na spojrzenia pozostałych gości. Nie mógł mieć do niej żalu. Bo przecież miała rację, a on

się mylił. I przez całe życie ich córki robił wszystko nie tak.

Po powrocie do hotelu Fortune położył się na łóżku i zamknął oczy. Był zmęczony, bardzo zmęczony. Zaczął już powoli odpływać, kiedy wybudził go dzwonek telefonu.

– Halo.

– Pan Fortune? Mówi, y... doktor Aziz.

– A, witam.

– Tak, y... był pan... byliśmy umówieni. – Doktor Aziz odchrząknął. – Umówił się pan na wizytę.

Wypowiedzenie pełnego zdania zajęło doktorowi Azizowi nieco czasu. Jak na ironię, pomyślał Fortune. Zważywszy że to właśnie on powiedział Fortune'owi, jak niewiele czasu mu pozostało.

– Wiem. Ale musiałem wrócić do Londynu.

– Jest pan w Wielkiej Brytanii?

– Tak. Wydarzyło się... – Co powiedzieć? – Moja córka zaginęła.

– Och! Bardzo mi przykro.

– Dziękuję.

– Rozumiem, że przyleci pan, y... że wkrótce wróci pan, y... do Dubaju?

– Nie jestem pewien.

– Ale pańskie leczenie...

Kolejna dawka chemioterapii. Tak jakby poprzednie cokolwiek dały.

– Obawiam się, że nie będę kontynuował leczenia – powiedział Fortune.

– Ależ panie, y... Fortune, bez tego... bez tego, y...

– A z tym? – spytał. – Przecież to mnie nie uleczy. – Przypomniał sobie zdjęcia swoich płuc, które oglądał w gabinecie Aziza. Widział nieostre zawijasy, jak uwięziony w klatce dym, powoli rosły i rozwijały się.

– Może uleczyć! Oczywiście, nie możemy wykluczyć, y... Zapewne, y... być może, a nawet najprawdopodobniej, panie Fortune, y... przedłuży to panu życie.

Fortune pomyślał o swojej żonie. I o córce, zaginionej i dawno przez niego

porzuconej. Ile jest warte moje życie? – zadał sobie pytanie.

– Rozumiem – odparł. – Niczego to nie zmienia.

– Panie Fortune... – zaczął doktor Aziz, ale Fortune mu przerwał.

– Jestem w Londynie – rzucił. – Odezwę się po powrocie. – Rozłączył się pomimo protestów lekarza, wyłączył telefon i położył się na łóżku. Poczł odrętwienie, oderwanie od wszystkiego, co się dzieje. Od raka, który po cichu go zabijał. Od zaginionej córki. Od potwornego widoku w kostnicy. Dotarł do niego, że być może jest w szoku. Nie wiedział, nie dbał o to. Zamknął oczy i spróbował nie wyobrazić sobie dziewczyny na metalowym stole i jej pozbawionej sensu twarzy. Nie, to nie była Sophie. Ale teraz już Fortune wiedział, co może się wydarzyć i do czego zdolni są ludzie. Koszmar, gdzieś tam czał się koszmar.

High Times i Miss Fortune: *Wczoraj wieczorem komandos ocalił mi życie*

Wczoraj wieczorem byłam na imprezie gwiazdkowej mojej gazety. Ubrałam się może nie jak z igły, ale na pewno co najmniej jak z igiełki. Mała czarna, szpilki, paznokcie i w ogóle. Uznałam, że wyglądam nieźle, a że mam problem, między innymi, z poczuciem własnej wartości (nie wnikajmy w to teraz), to musiałam wyglądać bosko.

Ale do rzeczy. Otóż szłam chwiejnym krokiem Great Portland Street w tych swoich butach za pięćset funtów, czułam się jak milion dolarów, a przynajmniej jak milion rubli, i kiedy mijałam bezdomnego młodego chłopaka, przyszło mi do głowy kilka myśli, wszystkie szybko, jedna za drugą:

To smutne ciekawe co mu się w życiu przytrafiło że jest bezdomny mój Boże jaki on jest młody a ja mam na nogach te cholernie drogie buty dzisiaj tak strasznie zimno no nie mogę tak obok niego przejść ale nie mam drobnych szlag by to trafił mam robotę i kasę a on nie ma nic dam mu dziesiątaka.

No i dałam. Powiedział „dziękuję” i uśmiechnął się, ja też się uśmiechnęłam. Wtedy, dokładnie w tym momencie, poczułam się znacznie lepiej, niż wyglądałam.

Idę potem na imprezę, wlewam w siebie alkohol, tańczę, śmieję się, świetnie się bawię – to jedna z tych „świetnych zabaw”, z których,

kiedy próbujesz ją sobie przypomnieć, pamiętasz jedynie szalony miks światła, muzyki i śmiechu.

Teraz będzie nieprzyjemnie. Otóż idę sobie, znów chwiejnym krokiem (ale tym razem raczej się zataczam), do metra i nagle, nie wiadomo skąd, jakiś facet łapie mnie za rękę. Ma twarz zasłoniętą chustą, chyba bandaną.

Boję się tak, że nie jestem w stanie zareagować, nawet nie próbuję uciec, stoję, jakby nogi wrosły mi w ziemię, a pot płynie mi po plecach. Gość patrzy na mnie, a ja tak naprawdę widzę tylko jego oczy, i mówi, powoli i spokojnie: „Zastanawiałaś się kiedyś, jak to jest być brzydkim?”. W wolnej ręce trzyma jakąś butelkę, jest pełna, widzę jej zawartość, wygląda jak płyn do mycia naczyń. Nadal nie potrafię wydobyć z siebie głosu, żeby chociaż wrzasnąć, ale zaczynam się wyrywać, choć nie tak mocno, jak bym chciała i jak wiem, że potrafię. Co się ze mną dzieje? Dociera do mnie, że facet ma w butelce kwas i że kroi się coś bardzo, bardzo niedobrego.

Nagle dostrzegam ruch. Dopada do nas ten bezdomny chłopak i odciąga ode mnie napastnika. Nie, nie odciąga go, a raczej odrzuca i popycha na ulicę. Mężczyzna z zasłoniętą twarzą ląduje na czworakach i powoli obraca głowę w naszą stronę, zupełnie jak wilk spogląda na niedoszłą ofiarę. W następnej chwili nadjeżdża samochód, a wtedy ten facet wstaje, odchodzi spokojnym krokiem i po chwili puszcza się biegiem.

Bezdomny pyta, czy nic mi nie jest, a kiedy kręcę głową, że nie, i dziękuję mu, zatrzymuje mnie i mówi: „Myślałaś, że cię zapomnę?”.

Okazuje się, że Jake – tak ma na imię – to były żołnierz, który nie potrafił przystosować się do życia poza koszarami. Kiedy policja odjechała, zabrałam go na kawę i zaproponowałam więcej

pieniędzy, ale nie chciał ich przyjąć. Był miły, zabawny i skopany przez życie. Okej, żaden z niego komandos, ale i tak jest moim bohaterem.

KOMENTARZE

LozLoz: *O mój Boże! Nic ci nie jest? Kwas? Ilu chorych sukinsynów chodzi po ulicach! Zdrowiej, kochana!*

TinaTee: *Trzymaj się mocno!*

CatLover: *Oby policja go złapała. Przeróżające.*

Starry Ubado: *Podobały mi się twoje buty. Czerwone. Wyglądałaś w nich jak kurwa, którą przecież jesteś. Następnym razem nie wywiniesz się tak łatwo.*

LozLoz: *Powiedz, że nie były czerwone.*

LozLoz: *Sophie?*

LozLoz: *Czy twoje buty były czerwone?*

Koniec z blogiem. Dość już. Pora zgasić światło. Tak, miałam czerwone, jasnoczerwone buty. Jak tylko przeczytałam ten komentarz, od razu poszłam na policję. I wiecie, co mi powiedzieli? Sierżant za biurkiem i jego koleżanka, pełna dezaprobaty kobieta w cywilnym ubraniu, która patrzyła na mnie, jakbym cuchnęła, powiedzieli, że nic nie mogą zrobić, ponieważ nie popełniono przestępstwa.

– Znajomość koloru czyichś butów nie stanowi naruszenia prawa – stwierdziła kobieta. Czułam, że próbuje się nie śmiać. Mogłam ją zdzielić, tyle że, rzecz jasna, byłam na komisariacie, więc akurat zdzielenie jej nie byłoby dobrym pomysłem, niezależnie od tego, jak bardzo była wyniosła.

– Ale skąd o tym wiedział? – odparłam. – To właśnie mnie niepokoi.

Pokazałam im pozostałe komentarze, które Starry zostawił na moim blogu, a oni przeczytali je z taką miną, jakbym puściła pornosa starym babciom: „O co jej chodzi, że każe nam oglądać takie nieprzyzwoitości?”.

– Nie popełniono przestępstwa – powtórzyła kobieta, tym razem wolniej, jakbym była opóźnionym umysłowo dzieckiem. – Nic nie możemy zrobić.

– Dwa dni temu mnie napadnięto. Wezwałam policję. Mam numer zgłoszenia. A teraz ktoś pisze do mnie i z jego słów wynika, że tam był. Może to on jest sprawcą. Nadal pani twierdzi, że nie popełniono przestępstwa?

Spojrzałam na sierżanta, ale ten tylko wzruszył ramionami.

– Proszę zachować czujność – powiedział. – A jeśli naprawdę coś się wydarzy, proszę do nas przyjść i poinformować nas o tym. Albo zadzwonić pod numer alarmowy. – Sposobem, w jaki wymówił „naprawdę”, dał mi jasno do zrozumienia, że jego zdaniem nic się nie wydarzy, ponieważ, jak wyraźnie wynikało z postawy obojga, uznali mnie za pospolitą histeryczkę.

No więc wróciłam do domu. A tam zastałam przed drzwiami dwóch facetów w tanich garniturach. Obaj mieli nadwagę, i to nie była lekka, tylko taką nadwagę nadwagi. To znaczy byli po prostu – żeby użyć słowa, którym opisywało się takich jak oni, zanim stało się zakazane – tłuści.

– Panowie do mnie? – spytałam.

Jeden z nich – będę go nazywała Tłusciochem (bo mi to rybka, jasne?) – podał mi swoją wizytówkę. Było na niej napisane: „Wydział zdrowia środowiskowego, samorząd dzielnicy Hackney”. O mój Boże.

– Dotarły do nas skargi na hałas – odezwał się. – Przyszliśmy zbadać sprawę.

– Jakie skargi? – spytałam z poczuciem *déjà vu*, bo przecież taką samą rozmowę odbyłam z Samem. Sądziłam, że to się już skończyło.

– Na głośną muzykę, na imprezy – wyjaśnił drugi, którego w myślach ochrzciłam Grubasem (bo nadal jest mi wszystko jedno).

– Na pewno nie u mnie.

– Nazywa się pani Sophie Fortune – Grubas nie tyle zapytał, co stwierdził.

– Tak.

– I mieszka tu – dorzucił Tłuscioch.

– Tak.

– Zatem obawiam się, panno Fortune, że te skargi złożono na panią – poinformował mnie z zadowoleniem. Czy ja mam jakiś problem z przedstawicielami władzy?

– Czy możemy wejść? – zapytał Grubas.

Nie, pomyślałam. Absolutnie nie. I tak też powiedziałam:

– Nie. Absolutnie nie.

Nie zniechęciło to jednak ani Grubasa, ani Tłusciocha. Ten drugi wręczył mi teczkę.

– A to co?

– Akta. Lista wszystkich skarg, jakie do nas wpłynęły w związku z zajmowanym przez panią lokalem. A to – podał mi kartkę – oficjalne ostrzeżenie, że jeśli nie zmieni pani swojej społecznej postawy, zostanie pani pociągnięta do odpowiedzialności oraz eksmitowana z lokalu.

– Aha. – Tak, wiem, muszę popracować nad ripostami.

Po chwili już ich nie było. Czyli co – w oczach dzielnicy Hackney zostałam wrogiem publicznym numer jeden, prześladowuje mnie psychopata, i do tego nie mam pojęcia, o co tu chodzi.

Naprawdę myślę, że dłużej już nie zdzierzę.

Fortune był przyzwyczajony do przepychu w miejscu pracy, do wiszących w holu przy wejściu obrazów wartych miliony dolarów, wind w marmurze, pełnej samozadowolenia ciszy na korytarzach. Milczącego opanowania i wygody, jaką zapewniają pieniądze. Karnetu na siłownię, miejsca parkingowego. Porządku, uprzywilejowania, cudownego świata prywatnej bankowości.

Redakcja, w której pracowała jego córka, była zupełnie inna. Kiedy wszedł, zobaczył proste biurko – zdaje się, że była to recepcja – a za nim młodą kobietę z tatuażami na rękach i ramionach. Trzymała telefon przy uchu. Zerknęła na Fortune'a, ale nie przerwała rozmowy. Była dość ładna, więc nawet zbytnio się nie zżymał, kiedy, każąc mu czekać, słuchała koleżanki, która, jak się zorientował, opowiadała o nocy spędzonej u chłopaka, ale dziewczyna była tak pijana, że nie pamiętała, czy się z nim przespała, czy nie. Z ogólnego przebiegu rozmowy i z reakcji recepcjonistki wynikało, że jeśli jednak to zrobiła, nie wyjdzie z tego nic dobrego.

W końcu kobieta rozłączyła się, podniosła głowę i zapytała:

– Słucham?

– Nazywam się Fortune. Moja córka tu pracuje. Ma na imię Sophie.

– Okej – powiedziała powoli, jakby była lekarką, a Fortune pacjentem, który właśnie poinformował ją, że zauważył krew w swoim stolcu. – Okej – powtórzyła i rozejrzała się, jak gdyby liczyła, że znajdzie się ktoś, kto pomoże jej wybrnąć z opresji. – Może pan usiądzie?

Redakcja mieściła się na szóstym piętrze biurowca w centrum Londynu, niedaleko Oxford Street. Na ścianach wisiały oprawione okładki magazynu, który zatrudniał córkę Fortune'a – jaskrawe kolory, zdjęcia celebrytów, nagłówki wielkimi literami, informujące o zaskakujących skutkach diet,

rozpadach związków, imprezach i wysypujących się z taksówek zużytych aktorkach. Przysiadł na sofie i zaczął bezmyślnie wertować leżący na ławie egzemplarz gazety. Recepcjonistka sięgnęła po telefon, zerknęła na Fortune'a, ale rozmyśliła się, wstała i poszła po kogoś. Fortune znów poczuł ukłucie niepokoju, jakby siedział w gabinecie u lekarza, świadom, że za chwilę usłyszy złe wieści. Złe, najgorsze wieści. Akurat tych jego lekarz miał ostatnio pod dostatkiem. Spróbujcie go przebić.

Po kilku minutach recepcjonistka wróciła w towarzystwie drugiej, również młodej, kobiety. Ta podeszła do Fortune'a i wyciągnęła do niego rękę, którą ten uścisnął.

– Nazywam się Anne. Bardzo proszę za mną, panie Fortune.

Usiedli w sali konferencyjnej, urządzonej w przeszklonym pomieszczeniu pośrodku biura o otwartym planie. Anne zapytała Fortune'a, czy życzy sobie coś do picia. Poprosił o kawę. Kiedy wyszła, rozejrzał się po rzędach biurek i komputerów oraz ludziach, w większości młodych, pochylonych nad klawiaturami albo zatopionych w rozmowach przez telefon. Na drugim końcu biura otyła kobieta rozmawiała z młodym mężczyzną i śmiała się, odchylając głowę, wydawała z siebie pisk zachwytu, który Fortune słyszał nawet za ścianą ze szkła.

Anne wróciła z kawą. Postawiła ją przed Fortune'em i usiadła naprzeciwko niego. Poświęciła chwilę na zebranie myśli i dopiero wtedy spojrzała na gościa.

– Bardzo mi przykro z powodu pańskiej córki. Wciąż jej nie znaleźli?

– Nie.

Potrząsnęła głową.

– To straszne. Musi pan się zamartwiać.

Fortune uznał, że Anne jest zbyt młoda, by rozumieć ból towarzyszący zaginięciu dziecka, ale nie skomentował tego, tylko pokiwał głową.

– Oczywiście.

– Czy są jakieś postępy w poszukiwaniach?

Zaprzeczył.

– Żadnych.

– To straszne – powtórzyła.

– Czy pracowała pani z Sophie? – zapytał Fortune.

– Nie bezpośrednio – odparła. – Jestem zatrudniona w kadrach.

– Rozumiem – powiedział i zamilkł na chwilę. – Przyszedłem, bo... Minęło trochę czasu, od kiedy ostatni raz z nią rozmawiałem, ale podobno... nie wiem, tak słyszałem... miała problemy w pracy.

– Jakie problemy? – spytała Anne tonem, który miał zabrzmieć niewinnie, ale nie zabrzmiał. Nie patrzyła Fortune'owi w oczy.

– Nie wiem. Dlatego przyszedłem. Chciałem się czegoś dowiedzieć.

– Chodzi o to – odparła powoli Anne – że Sophie... no, Sophie już tu nie pracuje.

Obok szklanej klatki, w której siedzieli, przeszedł młody mężczyzna i zafascynowany popatrzył na Fortune'a, tak jakby ten był jakimś egzotycznym gadem, o którego istnieniu mężczyzna słyszał dotąd jedynie legendy.

– Nie?

– Nie. Odeszła.

– Ach tak. Wydawało mi się, że uwielbiała tę pracę.

– Nie zawsze wszystko się układa.

Fortune pomyślał o tych wszystkich pracownikach, których przez lata musiał zwolnić. O tym, jak na początku trudno mu było to robić i jak z czasem rutynowy i chłodny stał się ten proces. Pierwsze ostrzeżenie, drugie ostrzeżenie i cześć. Przykro mi. Widocznie się nie nadajesz. Oto odprawa. Do widzenia.

– Odeszła z własnej woli?

– Obawiam się, że nie mogę rozmawiać z panem o szczegółach.

Fortune zmarszczył brwi.

– Sama zrezygnowała czy została zwolniona? Tylko tyle chcę wiedzieć.

– Naprawdę nie mogę rozmawiać o okolicznościach tej sprawy. Przykro mi.

Fortune odchylił się na krześle i powiódł wzrokiem poza szklaną ścianę sali konferencyjnej. Uchwycił spojrzenie jednej, dwóch... Chryste, ile osób mi się przygląda? – pomyślał. Odwrócili głowy, gdy tylko zorientowali się, że Fortune na nich patrzy. Byli jak kierowcy mijający miejsce makabrycznego

wypadku: zafascynowani. Pomyślał o recepcjonistce i o plotkach. No tak, wieść o jego przybyciu szybko się rozeszła.

– Proszę mi powiedzieć, co się dzieje.

– Słucham?

– Co jest grane? Co tu zaszło?

– Jak już mówiłam...

– Tak, tak, wiem, nie może pani o tym rozmawiać. – Popatrzył jej w oczy, wypróbował swoje najbardziej onieśmielające spojrzenie przełożonego. Przecież to dzieciaki, pomyślał. Tymczasem od lat miał do czynienia z dorosłymi, grał według ich reguł. – Interesuje mnie, co stało się z moją córką. Nie wyjdę, dopóki się tego nie dowiem.

– Panie Fortune, proszę...

– Sophie zaginęła – powiedział. – Przyleciałem z Dubaju. I nie ruszę się stąd, dopóki nie usłyszę od pani czegoś konkretnego.

– Nie mogę. Naprawdę nie mogę.

Fortune westchnął.

– Proszę posłuchać. Rozumiem, że są pewne rzeczy, o których nie wolno pani mówić. Może więc przyprowadzi pani do mnie kogoś, kogo nie obowiązują takie ograniczenia? Co pani na to? Zrobi pani choć tyle? Bardzo proszę.

Anne przez chwilę milczała, po czym wstała.

– Proszę zaczekać.

Opuściła salę konferencyjną, a kiedy szła korytarzem przez biuro, odwracały się za nią wszystkie głowy.

Jean się nie odzywała. Nic, żadnych telefonów ani esemesów. Przypuszczał więc, że zamiast niej skontaktuje się z nim jej adwokat. Nie mógł mieć pretensji. Niech weźmie dom, niech weźmie wszystko, co chce, przecież i tak nie będzie miał jak tego upłynnić i wydać. Kiedy siedział w tej szklanej klatce, dotarło do niego, że nie ma na świecie miejsca, które mógłby nazwać domem. Miał pięćdziesiąt cztery lata. Niezły wynik, jak na kogoś, kto przegrywa

z życiem, pomyślał z goryczą.

– Panie Fortune.

Podniósł głowę i zobaczył czterdziestokilkuletniego mężczyznę o siwych włosach i w okularach w czarnych oprawkach. Wstał, uściśnął wyciągniętą rękę.

– Z kim mam przyjemność?

– Larry. Szef tego... – zrobił szeroki gest, którym ogarnął biuro, pracowników, rozgardiasz – wariatkowa. – Mówił z akcentem z wyższych sfer, powoli i niespiesznie, jakby znajdował się ponad tym wszystkim. – Proszę usiąść. Podobno przyleciał pan z Dubaju. Nie byłem tam, ale słyszałem, że to koszmarnie miejsce. Czym pan się zajmuje?

– Pracuję w bankowości – odparł Fortune. – Dbam – albo nie dbam, dodał w myślach – o pieniądze innych ludzi.

– Miło – powiedział Larry. – Pozazdrościć tamtejszej polityki podatkowej.

Fortune pokiwał głową, ale powściągliwie, żeby nie ulec niewymuszonemu urokowi tego człowieka.

– Przyszedłem w sprawie córki.

– Sophie. – Larry kiwnął głową. – Tak... Wspaniała dziewczyna, bardzo obiecująca. Nienasycona, a to pożądana cecha w naszej branży. – Ponownie ogarnął gestem biuro. – Niektórzy z tych ludzi to prawdziwe zwierzęta. Dla materiału pożarliby własnych rodziców.

– Dlaczego odeszła?

Larry zrobił minę i lekko się wzdrygnął.

– To akurat skomplikowane.

– Mam czas.

– Na pewno – odparł Larry. Przysunął sobie krzesło i usiadł. – Problem polega na tym, że o pewnych rzeczach nie mogę panu powiedzieć.

– Niech pan da spokój.

– Nie – powiedział Larry – naprawdę nie mogę. Widzi pan, chodzi o kwestie prawne, po prostu nie wolno mi ujawniać szczegółów.

– Zdaje pan sobie sprawę, że zaginęła, prawda? Ja... chcę się tylko dowiedzieć, co się stało.

– A ja, proszę mi wierzyć, bardzo bym chciał panu pomóc. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, przez co pan przechodzi. Co nie zmienia faktu, że mam zakaz ujawniania szczegółów. Wiem, jak to dla pana brzmi, ale tak to wygląda.

Fortune westchnął, załamał ręce i lekko osunął się na krzesło. Naraz poczuł się zmęczony i stary, otoczony przez pełną życia i energii młodość. Co takiego próbuje zrobić?

– Proszę tylko odpowiedzieć na pytanie: odeszła sama czy została zwolniona?

Larry patrzył na niego, kiwał głową i myślał.

– Ujmę to tak, panie Fortune – odezwał się w końcu. – Nie wyobrażam sobie, żeby chciała od nas odejść. Więcej nie mogę powiedzieć. Jest mi naprawdę bardzo przykro.

Fortune milczał przez chwilę i przyglądał się biurku, w którym pracowała jego córka.

– Czym się zajmowała?

– Historiami – odparł Larry. – Szukała tematów i pisała o nich. Z początku podsuwaliśmy jej pomysły, mówiliśmy, co i jak, z kim porozmawiać, gdzie pójść. Ale bardzo szybko się usamodzielniała. Często bywała, wie pan, na imprezach, eventach, kontaktowała się z ludźmi, nawiązywała znajomości. Była w tym dobra, proszę mi wierzyć. Nawet bardzo dobra.

– Jakie to były historie?

– Takie, które mogą zainteresować naszych czytelników – uśmiechnął się Larry. – Kto się z kim bzyka, kto trafił na odwyk, kto cierpi na anoreksję, kto poszedł w tango. Tego rodzaju historie.

– Czyli skandale.

– Skandale się sprzedają – odparł Larry. – A Sophie miała do nich nosa.

Wstał i zerknął na zegarek.

– Przykro mi, panie Fortune, ale...

Fortune też się podniósł.

– Nic więcej mi pan nie powie?

– Żałuję, ale nie mogę. Naprawdę.

Fortune pokiwał głową. Larry otworzył szklane drzwi i przytrzymał je Fortune'owi.

– Odprowadzę pana – powiedział.

Kiedy szli korytarzem przez biuro, Fortune czuł na plecach ciężar ukradkowych spojrzeń.

– Oby pańska córka się odnalazła. – Sposób, w jaki Larry wymówił te słowa, sugerował, że ma nadzieję, że policja w końcu znajdzie jej zwłoki, tak jakby nie spodziewał się innego rozwiązania sprawy.

Dotarli do recepcji. Larry wyciągnął rękę, której Fortune wcale nie miał ochoty ścisnąć, ale zrobił to.

– Powodzenia – powiedział Larry i odwrócił się, nie czekając na odpowiedź. Wrócił do biura i zanim zamknęły się za nim drzwi, Fortune zobaczył, jak podbiega do niego młoda kobieta. Pewnie żeby się dowiedzieć, czego ten człowiek, ojciec Sophie, chciał.

Fortune wyszedł na ulicę i przez kilka minut stał w miejscu, nie bardzo wiedząc, co począć i dokąd się udać. Nie chciał wracać do hotelu, ale uświadomił sobie, że nie ma nic więcej do roboty, nic do załatwienia. Biuro Sophie okazało się ślepyim zaułkiem. Jak zwykle w takich chwilach pomyślał o pracy. Wyjął telefon i wybrał numer Aleksa.

– Halo?

– Mówi Fortune.

– Cześć – rzucił głosem pozbawionym entuzjazmu.

– Co nowego?

– Nowego? – Usłyszał w tonie Aleksa napięcie, którego zwykle nie było. Człowiek u kresu wytrzymałości. Na pewno wykończony, pomyślał Fortune. Pewnie od kilku dni nie był w domu. – Zniknęło prawie dziewięćdziesiąt milionów dolarów i nikt nie potrafi znaleźć tych pieniędzy. Dyrektor jeździ po mnie jak po łysej kobyle, reszta ekipy lada moment się zbuntuje... – Westchnął. – Poza tym nic nowego.

Miał serdecznie dość, było to słycać aż nadto wyraźnie. Fortune pracował

z Alekssem od lat, lubił go i szanował, potrafił wiele dla niego zrobić. Nagle poczuł wyrzuty sumienia. powinien być w Dubaju i zająć się tym, co do niego należy.

– Rozumiem – powiedział. – W porządku. Zróbcie przerwę. Idźcie do domu, odpocznijcie. Wróćcie ze świeżymi umysłami.

– Jasne – odparł Alex. – No pewnie. Kiedy... – urwał. Nie chciał zadawać tego pytania. – Kiedy wracasz?

Fortune pomyślał o braku jakichkolwiek postępów, o kłapie, jaką okazała się wizyta w biurze Sophie, o bezsensowności tego, co robi.

– Niedługo – rzucił. – Wkrótce.

Rozłączył się. Stwierdził, że może powinien zaspokoić te potrzeby kulturalne, których nie dało się zaspokoić w Dubaju. Pójść do galerii, do muzeum. Na przedstawienie. Ale zamiast tego odwrócił się i ruszył do metra, by wrócić do hotelu, do barku i telewizora z VOD. Kiedy był przy wejściu do metra, na schodach prowadzących w głąb trzewi miasta, ktoś dotknął jego ramienia. Odwrócił się i zobaczył młodą kobietę.

– Pan Fortune? Ojciec Sophie?

– Tak.

– Pracowałam z Sophie. Mogę panu powiedzieć, co się jej przytrafiło.

Stało się. Dorwałam gościa, wszystko się nagrało, legalne, uczciwe, czyste jak łąza. Mnóstwo pracy, wiele tygodni planowania, ogromna odwaga kobiet biorących w tym udział. No, ale jednak się udało. Popłynął szampan, Larry wygłosił przemówienie do całego piętra. Jessica płakała i udawała, że nie jest zazdrosna. Nawet prawnicy się uśmiechali. Dział finansowy stwierdził, że odwaliłam kawał dobrej roboty. Miałam sukces w kieszeni. Byłam cudownym dzieckiem.

Wiecie, co się potem stało?

Sukinkot się wywinął.

Jak? Dobre pytanie. Odpowiedź: nie mam pojęcia. No dobrze, to nie do końca prawda. Otóż stało się to, że dziewczyna, która się do mnie zgłosiła, z dnia na dzień zmieniła zdanie. Powiedziała, że tak naprawdę do niczego nie doszło. Że wcale go nie poznała i się z nim nie spotkała. Że wszystko jej się pomieszało i w ogóle strasznie, strasznie przeprasza. Miała zaledwie piętnaście lat. Chciała, żeby ktoś zwrócił na nią uwagę. Która piętnastolatka tego nie chce?

Domyślcie się, co wtedy poczułam, prawda?

No właśnie.

Pierwsze, co zrobiłam, to zadzwoniłam do jej matki – do tej, która, przypomnijmy sobie, życzyłaby sobie, aby naszego ulubionego celebrytę-zboka powiesić i poćwiartować, żywcem ugotować i na dokładkę rzucić psom na pożarcie. Jak to się mówi? Zrobić mu z dupy jesień średniowiecza.

– Mówi Sophie – odezwałam się. – Z gazety.

– Nie chcę z wami rozmawiać.

– Pani... bardzo proszę. Gramy w jednej drużynie. Proszę powiedzieć, co się dzieje.

– Nie mogę. Proszę do mnie nie dzwonić.
– Czy ktoś pani coś powiedział? Groził?
– Jeśli jeszcze raz pani zadzwoni, pójdę na policję.
– Proszę – dodałam błagalnym tonem. Tak, błagalnym. – Niech pani współpracuje. Inaczej jemu się upiecze. Jeśli coś pani zrobił albo powiedział, pomożemy. Ochronimy panią.

Szczerze mówiąc, niepotrzebnie to powiedziałam. Bo tak naprawdę nie wiedziałam, czy potrafilibyśmy zapewnić jej bezpieczeństwo. Źle się z tym poczułam.

– Rozłączam się. Niech pani nigdy więcej nie dzwoni. Nie mam nic do dodania.

I przerwała połączenie.

Pytanie jest takie: kto puścił farbę? Skąd ta kanalia dowiedziała się o akcji i jak dotarła do naszego najważniejszego świadka? Jego prawnicy oskarżają nas o prowokację, nękanie, fałszywe oskarżenia, zniesławienie... reszty nie pamiętam. Jest tego długa lista, tak długa, że podczas lektury naszym prawnikom oczy wyszły z orbit. To by było na tyle. Zmarnowane tygodnie pracy. Wszystko na nic.

Kto wiedział? Larry. Prawnicy, redaktorzy, zarząd. Konsultant do spraw etyki, ten kiwający głową, świętoszkowaty piesek. I ja. A także nasza *femme fatale* i jej agent. Nikt więcej.

Zatem, jak mówi „ta dzisiejsza młodzież”, WTF?

Josh stwierdził, że tak czasem bywa. Odparłam, że akurat komunały to ostatnie, czego mi teraz potrzeba. Po raz pierwszy się poróżniliśmy. Jak to mówią? Nie stroiliśmy. Mój Boże, co za okropny świat, w którym ludzie używają takich słów.

Tydzień później do moich drzwi zapukali policjanci i powiedzieli, że były na mnie skargi i doniesienia o nękanii.

– Nękanii kogo? – spytałam.

– Charliego Jacksona – odparli i dodali, że zasypują Jacksona e-mailami

i nie tylko i że to podpada pod uporczywe nękanie.

– Niczego takiego nie robię – powiedziałam.

Uśmiechnęli się, jakbym była dzieckiem, które próbuje sprowokować rodziców.

– Ależ tak – stwierdzili. – To musi się skończyć, bo inaczej zostanie pani aresztowana. Czy to jasne?

Nie. Nie jasne. Oczywiście, że nie jasne. Nic z tego nie rozumiem. Chciałabym, ale nie rozumiem.

Zadzwoiłam do mamy, licząc, że poczuję się lepiej, kiedy usłyszę znajomy, pełen zrozumienia głos. Nadzieja matką głupich.

– Sophie, pracujesz w jakimś... nie wiem, jak to nazwać... w jakimś s z m a t ł a w c u . Mieszkasz w Londynie... nie, w H a c k n e y . Kochanie, czytam gazety, oglądam wiadomości. Wróć do domu, dobrze? To wszystko n a p e w n o ci nie służy.

– Chwila. Czyli co? Chcesz powiedzieć, że to wszystko moja wina? To, że mam pracę? Że jestem ambitna?

– Co takiego? Nie wierzę. Słyszysz w ogóle, co mówisz? Te imprezy, narkotyki, ludzie, którzy chcą ci zrobić krzywdę... Sophie, na litość boską.

Dzięki, mam. Dzięki za wszystko. Najpierw opuścił mnie tata, a teraz ty. Przepraszam, że żyję. Przepraszam, że się urodziłam i że jestem takim nieznośnym ciężarem.

– Widziałam cię już w takim stanie. Musisz wrócić do domu. Potrzebujesz wyciszenia i dystansu. Bierzesz leki?

– Nie.

– Sophie! Przecież wiesz, co się z tobą dzieje.

– Nie potrzebuję ich. Dobrze się czuję. Jestem szczęśliwa. Byłam – poprawiłam się. – Jest dobrze. Ta sytuacja teraz... nie ma nic wspólnego z tym, co się wcześniej wydarzyło. Po prostu... chciałam pogadać.

– Wróć do domu.

– Nie. Mam tu pracę.

– Nie mogę ci pomóc, jeśli sama tego nie chcesz.

Och, mamó, proszę cię. Nie wpędzaj mnie w poczucie winy. Nie jestem tą samą osobą, którą byłam dwa, trzy lata temu. A wiesz dlaczego? Bo nad sobą pracowałam, bo postarałam się, bo zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, stworzyłam sobie nowe życie, zbudowałam je na gruzach poprzedniego. Oczywiście nie powiedziałam tego wszystkiego do słuchawki, tylko w myślach. Na głos rzuciłam tylko:

– Na razie, mamó. Zdzwonimy się później.

– Sophie, nie rozłączaj się.

– Do usłyszenia, mamó – powiedziałam i wcisnęłam czerwoną słuchawkę. Komu potrzebni wrogowie, kiedy ma się taką rodzinę? Matka lubiąca rządzić innymi i ojciec, który ma gdzieś swoją jedyną córkę i od pół roku nie potrafi się do niej odezwać. Josh, przyjeźdź wreszcie, proszę, bo – oto smutna, tragiczna prawda na temat biednej Sophie Fortune – oprócz ciebie nie mam już nikogo.

– Była naprawdę dobra.

Młoda kobieta, która to powiedziała, miała na imię Jessica i zdradziła Fortune'owi, że pracowała z Sophie, dawała jej wskazówki, gdy ta dołączyła do zespołu, pokazywała co i jak. Dodała, że Sophie szybko się usamodzieliła, bo miała do tego smykałkę.

Siedzieli w kawiarni. Jessica miała krótkie czarne włosy, obcięte na chłopaka, i duże niebieskie oczy. Bardzo ładna. Wręcz uderzająco piękna. Piła *flat white*. Co to takiego to „*flat white*”? – zastanawiał się Fortune. Kiedy już nawet nie wiesz, jaką kawę pije się w twoim kraju, znaczy to, że zbyt długo przebywałeś za granicą, skonstatował.

– Mimo to zwolnili ją.

Jessica potwierdziła skinieniem głową. Reagowała bardzo emocjonalnie. Flakonik energii. Wpatrywała się w Fortune'a tymi swoimi wielkimi oczami. Fortune chciał odwrócić wzrok, ale nie potrafił, więc odwzajemnił spojrzenie.

– No tak. I nikomu nie wolno o tym opowiadać. Ale wie pan... – Upiła łyk kawy. – A co tam!

– Co się wydarzyło?

– To długa historia – powiedziała Jessica. – Zanim zacznę, muszę pana spytać: czy na pewno chce pan wiedzieć?

– Oczywiście, że tak.

– Ponieważ w tej opowieści Sophie nie wypada zbyt dobrze. – Uśmiechnęła się, ale nie był to radosny uśmiech. – Tak jak wszyscy.

– Chcę wiedzieć.

– W porządku. No więc to, czym się zajmuję i czym Sophie się zajmowała, to... no, syf, mówiąc najkrócej.

– Na pewno nie jest aż tak źle – wtrącił Fortune z uśmiechem, mimo że po

tym, co zobaczył w redakcji, był skłonny przyznać Jessice rację.

– U nas jest trochę jak w policji – powiedziała. – Prowadzimy dochodzenia. Mamy swoich informatorów, ludzi, którzy w tym siedzą. Pozyskujemy ich, chodząc na imprezy i na eventy, poznając odpowiednich ludzi. Nadaża pan?

Pokiwał głową.

– Podajemy rękę trzecioligowym gwiazdkom. Piszemy o nich, pomagamy awansować do drugiej ligi. A oni odwdzięczają się materiałami. Historiami o tym, kto ćpa, kto zdradza żonę, kto lubi seks gejowski, kto woli prostytutki, kto trafił na odwyk. Rozumie pan?

Potwierdził.

– Symbioza.

– Właśnie. Dokładnie to. Podbijamy twój status, ty w zamian obsmarowujesz kumpli. Tak to z grubsza działa. Jak mówiłam, syf na kółkach, ale niestety, to stały element celebryckiej maszyny.

– Sophie też to robiła?

– Tak jak my wszyscy. Chodzimy na imprezy i eventy. Wdajemy się w pogaduszki... Czytał pan jej bloga?

– Tak.

– No więc wie pan mniej więcej, jak to wygląda.

– Chyba tak. – Zamilkł. – To nie mój świat.

Jessica zmierzyła go wzrokiem, jego praktyczną fryzurę, garnitur, konserwatyzm, ale nie skomentowała. Napiała się tylko kawy.

– W każdym razie to, co przytrafiło się Sophie... to było coś innego...

Przy ich stoliku zatrzymał się jakiś mężczyzna. Dobrze ubrany, zadbane włosy, szczupła, blada twarz, ciemne oczy.

– Hej, Jess. A to kto? Papcio Bankomat?

Jessica nie uśmiechnęła się, ledwo podniosła wzrok.

– Cześć, Frank.

– O, pamiętasz, jak mam na imię. Myślałem, że zapomniałaś. Co się kręci?

– Niewiele.

– Ta? Może mam coś dla ciebie.

– Wątpię. Nie widzisz, że jestem zajęta?

– Ej, no – udał, że go zabolalo. – Nie możesz być miłsza?

– Próbowałam, ale to nie dla mnie.

– Ta? – powtórzył. Pochylił się do ucha Jessiki. Nie odwróciła się, nie spojrzała na niego. – No to się wal.

Jessica powoli pokiwała głową, nadal na niego nie patrząc.

– Aha.

Fortune zaczął się podnosić, żeby zrobić porządek z natrętem, ale Jessica go powstrzymała.

– Nie trzeba. Frank już sobie idzie.

– No, idę. Pójdę z tym tam, gdzie ktoś tego potrzebuje.

– Powodzenia – powiedziała. Frank stał przez chwilę, próbując wymyślić ripostę, ale zrezygnował. Odszedł nerwowym krokiem, wyraźnie wzburzony.

– Kto to był? – zapytał Fortune.

– To – odparła Jessica – przykład trzecioligowca, który awansował do drugiej ligi, zaczął ćpać na potęgę i wnerwiać wszystkich dokoła, po czym pewnego dnia obudził się w lidze podwórkowej i się zorientował, że ma problem z kokainą.

– Jasne. – Fortune starał się przetrwać historię o błyskawicznym wzlocie i upadku Franka w świecie pomniejszych celebrytów. – Rozumiem.

Jessica machnęła lekceważąco dłonią.

– Kolejna zgasła gwiazdka *reality shows*. Niedługo znów zaszyje się na tych swoich przedmieściach. – Sięgnęła po filizankę z kawą, zajrzała do środka – pusta – i odstawiła ją. – Może przejdziemy się na spacer? Jakoś lepiej mi się rozmawia na świeżym powietrzu.

Wstali i włożyli kurtki. Kiedy wychodzili, Jessica wyjęła papierosa i zapalniczkę. Uchwyciła spojrzenie Fortune'a i rzuciła:

– Tak, wiem. Od tego się umiera.

Poszli Regent Street, skręcili w prawo i po chwili znaleźli się w Mayfair. Jessica wskazywała drzwi, wejścia do ekskluzywnych klubów, ulubione miejsca spotkań celebrytów, w świetle dnia nijakie i nierzucające się w oczy.

Fortune też zapalił. Zaciągnął się i rozkaszał.

– W porządku?

Pokiwał głową, nadal kaszłąc.

– Nic mi nie będzie.

– Kiepsko to brzmi.

– To nic takiego.

– Chodźmy do parku.

Przebiegli Piccadilly i weszli do St. James's Park, stosunkowo pustego wczesnym popołudniem. Minął ich ubrany w kurtkę odblaskową mężczyzna z pojemnikiem na śmieci. Usiedli na ławce.

– Nie powinnam panu mówić tego wszystkiego – powiedziała Jessica.

– Wiem. Larry uprzedził.

– Larry, mój Boże. Sztywny jak kołek – roześmiała się. – Więc tak: Sophie miała swoje źródło. I nie była to typowa gwiazdka małego kalibru, czekająca, żeby ją podsadzić, tylko prawdziwy informator z krwi i kości, źródło porządnych materiałów. I ten informator miał dla niej coś dobrego... Chwileczkę – przerwała. Wyjęła papierosy, poczęstowała Fortune'a, zapaliła jemu i sobie. – Dziewczyna. Młoda. Przespała się z... Jak dobrze zna pan brytyjską telewizję?

– Niezbyt.

– Słyszał pan o Charliem Jacksonie?

– Nie.

– Prezenter w kanale dla dzieci. Można powiedzieć, że pierwsza liga. Zaczynał w radiu, teraz prowadzi programy w telewizji, zapraszają go do *talk-shows* i tym podobnych, wręcza nagrody muzyczne i tak dalej. Krótko mówiąc, znane nazwisko.

– No i?

– I ta dziewczyna powiedziała Sophie, że spotkała się z Jacksonem w klubie, a ten podał jej narkotyki, zabrał ją do hotelu i przespał się z nią.

– Ile miała lat?

– Piętnaście. Chyba piętnaście, nie pamiętam. W każdym razie była bardzo młoda.

– Och.

– Właśnie: „Och”. To była poważna sprawa, coś, co... miało ją ustawić, to znaczy Sophie. Oczywiście nikt z nas nie wiedział o sprawie. To była historia Sophie, nie chwaliła się nią. Mogła po prostu napisać artykuł, ale wolała pójść krok dalej i przyłapać Jacksona na gorącym uczynku.

Jessica opisała Fortune’owi, jak to się odbyło. Mówiła z podziwem i zaangażowaniem, jakby to ona, nie Sophie, przygotowała akcję. Wymarzony materiał, historia, dla jakich dziennikarki pokroju Jessiki i Sophie robią to, co robią. Prezenter telewizji da dzieci wykorzystuje nieletnie, podaje im narkotyki, uprawia z nimi seks. Czyste złoto.

Sophie udała się do agencji aktorskiej i znalazła dziewczynę, która miała dziewiętnaście lat, ale wyglądała na nie więcej niż piętnaście. Gazeta zatwierdziła budżet operacji, Larry podpisał się pod planem działania. Sophie zapłaciła aktorce pięć tysięcy funtów za to, by ta poszła do klubu i zagała rozmowę z Jacksonem. Co dalej? O tym mieli się dopiero przekonać.

– Sophie to zrobiła? – spytał pełnym niedowierzania głosem. Jego Sophie? Zagubiona, dezorientowana, niezdecydowana Sophie?

– Tak, wszystko zorganizowała. Za wiedzą redakcji i prawników. Bo wie pan, przy tego typu akcji lepiej się asekurować.

Aktorka powiedziała Jacksonowi, że weszła do klubu na fałszywy dowód i zrobiła to nie po raz pierwszy. Miała podpięty mikrofon, a w torebce, którą postawiła na barze, kiedy rozmawiała z Jacksonem, miniaturową kamerę. Zdaniem Jessiki jakość nagrania nie powalała, ale była wystarczająco dobra.

– Chce pan obejrzeć? – spytała Fortune’a.

– Ma je pani przy sobie?

Jessica sięgnęła do torebki i wyjęła telefon.

– Mam. Nie powinnam, ale... Niech to zostanie między nami, dobrze? Jeśli komuś pan o tym powie, zwolnią mnie z pracy.

– Ma się rozumieć. Tajemnica.

Obiektyw kamery znajdował się pod takim kątem, że było widać tylko Charliego Jacksona. Było ciemno, światło padało jedynie na część jego twarzy, rozświetlało grzbiet nosa, policzki i brodę. Mikrofon nieźle

wyłapywał głosy Jacksona i aktorki, z tym że chwilami tonęły one w dźwiękach muzyki i rozmów innych ludzi. Fortune przysunął telefon bliżej ucha.

– Nie pierwszy raz to robię.

Kobięcy głos. Śmiech Jacksona.

– To ile naprawdę masz lat?

– Za mało. – Chichot. – A co, przeszkadza ci to?

– Nie. Ani trochę.

– Widziałam cię w telewizji. Nie mogę uwierzyć, że z tobą rozmawiam.

– Rodzice wiedzą, gdzie jesteś?

– Mają to gdzieś. Myślą, że nocuję u koleżanki.

Jackson nie odpowiedział. Milczał przez kilka sekund. Potem spytał:

– Chcesz drinka?

– Tak, poproszę. – Niezłe to z tym „poproszę”, pomyślał Fortune. Zabrzmiało, jakby wypowiedziało je dziecko.

– Czego się napijesz?

– No nie wiem. Może wódkę z tonikiem?

– Już się robi.

Jackson pochylił się nad barem i z banknotem w dłoni zaczekał, aż barman go zauważy. Zamówił drinki i zapłacił, a potem odwrócił się z powrotem do aktorki.

– Proszę bardzo. Na zdrowie.

– Na zdrowie.

Napiła się, rozkasłała i roześmiała. Jackson też zaczął się śmiać.

– Próbowalaś czegoś mocniejszego? – zapytał.

– Na przykład czego?

– Na przykład, no wiesz, kokainy.

– Nie.

– A chcesz?

Jessica zabrała Fortune'owi telefon, zatrzymała nagranie i schowała aparat do torebki.

– Co było dalej?

– Nic. Dostała, co chciała. Dziewczyna powiedziała Jacksonowi, że musi pójść do toalety, wyszła z klubu i już nie wróciła.

Brawo, Sophie, pomyślał.

– Czyli w porządku. Wszystko dobrze, prawda? Więc co się stało? Co poszło nie tak?

Jessica westchnęła.

– Wszystko. Jackson, nie wiadomo skąd, dowiedział się o całej sprawie. Zaangażował swoich prawników. Poza tym dziewczyna... Wie pan, ta, która przyszła do Sophie... Ona nagle oświadczyła, że wszystko zmyśliła i że zapłacono jej, żeby powiedziała to, co powiedziała. I że to się nie wydarzyło.

– Ale przecież nagraliście go. Mieliście go w garści.

– Nagraliśmy to, że kupił dziewczynie drinka. Nioletniej, która zresztą wcale nie była nioletnia. Wielkie halo. Jego prawnicy zarzucili nam zorganizowanie prowokacji i zagrozili, że jeśli wykorzystamy nagranie, pozwą nas. Dotrą do źródła oskarżenia, to znaczy do tej dziewczyny, i skłonią do złożenia zeznań. Wie pan, sprawy tego rodzaju szkodzą reputacji gazet takich jak nasza.

– Co zrobiła Sophie?

– Źle to przyjęła. Proszę nie zapominać, że praca nad tą historią zajęła jej kilka tygodni. Poza tym Jackson był winny ponad wszelką wątpliwość. Byliśmy pewni, że przespał się z tą dziewczyną, a potem ją zastraszył. To kanalia.

– I co? Przez to zwolnili Sophie?

– Nie. Wszyscy jej współczuliśmy. Świetna robota, ale pech, zdarza się. Sophie straciła pracę, ponieważ po tym, jak Jackson się wywinął, zaczęła za nim łązić.

Nie mogę myśleć i nie potrafię zrozumieć, co się dzieje. Chcę się schować, mam ochotę położyć się do łóżka, opatulić się i pozostać tam na zawsze. Może gdybym się obudziła po jakimś czasie, okazałoby się, że wszystko to było wytworem mojej wyobraźni, że tak naprawdę nic się nie stało. Niech to się skończy. Niech się natychmiast skończy.

Dobrze, opowiem wam mniej więcej po kolei, co się wydarzyło.

Najpierw zjawiała się policja. Znowu. Który to już raz? Straciłam rachubę.

– Jeszcze jeden taki incydent – powiedzieli – i postawimy pani zarzuty. To się musi skończyć.

– Ale co? – odparłam. – Mówię przecież, że to nie ja.

– Proszę zapamiętać: jeszcze jeden raz... – powtórzyli i poszli. Zjawili się, zagrozili mi w związku z czymś, czego nie zrobiłam, i po chwili już ich nie było. To już chyba jakiś schemat. Ale czy schematy nie powinny być łatwe do zrozumienia?

Potem Charlie Jackson przysłał mi e-mail z prośbą o rozmowę. To się wydarzyło, na pewno, na sto procent. Przecież mam tę wiadomość w skrzynce. Ona istnieje. Napisał, że wystarczy tego dobrego i że powinniśmy sobie wszystko wyjaśnić. zaproponował spotkanie sam na sam.

Poszłam do niego do domu. Podał mi adres, więc tam poszłam. Wysłał mi adres w e-mailu, patrzę na niego w tej chwili, jest tu, czarne literki na białym tle.

Otworzył mi drzwi, zapytał, kim jestem, a kiedy mu powiedziałam, wpadł w szal. Stwierdził, że złożył na mnie doniesienie, że zajmują się tym jego prawnicy, że weszłam na teren prywatny i że jeśli natychmiast sobie nie pójdę, on wezwie policję. Wrzeszczał i pluł, a ja patrzyłam na niego zdumiona, bo przecież to on mnie zaprosił do siebie. Mam e-mail na dowód.

W każdym razie poszłam sobie, mówiąc, że to koniec, *finito*, nie chcę mieć z nim nic wspólnego, z nim i z całą tą historią, z tym jednym wielkim, żalonym bajzłem. Wróciłam do domu, napuściłam wody do wanny, nalałam sobie porządną szklankę ginu z tonikiem i pomyślałam: „Do diabła z tym”.

Wtedy rozległo się pukanie do drzwi. Wyszłam z kąpieli, narzuciłam na siebie szlafrok, otworzyłam, a tam – policja. Powiedzieli, że przed domem Charliego Jacksona znaleziono nóż, który ich zdaniem należy do mnie.

– To niemożliwe – odparłam. – Przepraszam na moment. – Poszłam do kuchni i spojrzałam na drewniany stojak do noży. Brakowało największego. Nogi się pode mną ugięły i zrobiło mi się ciemno przed oczami. Kiedy się ocknęłam, leżałam na podłodze w kuchni, a policjantka przystawiała mi do ust szklankę z wodą. Rozpłakałam się i nie mogłam przestać, a ta policjantka tylko patrzyła, nie mówiąc ani słowa. W końcu się opanowałam, a wtedy ona poleciła, żebym się ubrała. Zabrali mnie na komisariat i to było okropne, po prostu okropne. Chcę zasnąć i już nigdy się nie obudzić.

Fortune obudził się i leżał bez ruchu. Poczuł ból w piersi i zacisnął powieki. Zastanawiał się, gdzie jest. Wiedział, że wszystko poszło źle. Nie chciał się obudzić, nie miał ochoty na powrót do rzeczywistości, bo w niej czaiło się coś niedobrego.

Praca. Chryste. Uzmysłowanie sobie ogromu tej pierwszej zawodowej porażki, było niczym gwałtowne szarpnięcie w sercu, jak reakcja na koński zastrzyk mrocznych myśli. Zniknęło prawie dziewięćdziesiąt milionów dolarów. Wyparowało akurat wtedy, kiedy Fortune miał nad nimi pieczę. Co tu robi, do diabła? Powinien być tam, na miejscu.

A potem... mój Boże, Sophie. Jęknął odruchowo. Myśl o tym, co spotkało jego córkę, przetoczyła się mdlącą falą przez umysł, zalała organizm straszliwym odczuciem. Sophie. Eksmitowana z mieszkania i zwolniona z pracy. Wrócił do rozmowy z Jessicą, do tego, co usłyszał o córce. Ponownie zamknął oczy. Na jawie nie czekało nic, czemu miałby ochotę stawić czoło. Nic, czemu by podołał.

Z zamkniętymi oczami wyobrażał sobie, że znów siedzi na ławce w St. James's Park obok Jessiki, która opowiada mu o Sophie, o jej upadku: od dziennikarki śledczej do *persona non grata*, do stalkerki. O tym, że wysyłała temu człowiekowi, Charliemu Jacksonowi, e-maile, groziła mu, obrażała go, pisała, że wszyscy się dowiedzą o jego postępkach. I o tym, że następnego dnia Jackson zobaczył na drzwiach swojego domu napis „pedofil”. Że problem się nasilał, chociaż Sophie cały czas zaprzeczała, wszystkiego się wypierała. A ten dzień, kiedy policja przyłapała ją u niego z nożem... No cóż, Jessica roześmiała się cicho i smutno. Z tego już nie dało się wykpić. A jednak Sophie powtarzała, starała się przekonać każdego, kto chciał ją słuchać, że to nie ona, że nie ma z tym nic wspólnego.

– Ale była tam?

– Była. Znaleźli nóż. – Jessica odwróciła się do Fortune’a i położyła dłoń na jego ramieniu. – Proszę posłuchać, ja lubiłam Sophie. Bardzo ją lubiłam i szanowałam. Ale... – przerwała i westchnęła. – Z nią było coś nie tak. Była... niestabilna. Nie panowała nad sobą.

Pomyłony Babsztyl, pomyślał Fortune. Och, Sophie, moja Sophie.

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek telefonu. Otrząsnął się. Jestem w pokoju hotelowym, przypomniał sobie. Światło dnia przebijało przez grube zasłony. Wsparł się na łokciu i sięgnął po leżący na szafce nocnej aparat.

– Halo.

– Fortune. – Owen. Fortune miał ochotę się rozłączyć i oddzwonić później, twierdząc, że stracił zasięg. Powstrzymał się jednak.

– Owen. Jak się masz?

– Chujowo, Fortune. Chujowo.

– Jasne. – Nie wiedział, jak to skomentować, więc zamilkł.

– Nadal nie znaleźliśmy jebanych dziewięćdziesięciu milionów.

– Wiem. Rozmawiałem z Alekssem.

– Tak? A powiedział ci, że na dodatek straciliśmy jeszcze – słuchaj uważnie, Fortune – siedemdziesiąt milionów?

– Mój Boże.

– Tak, tak, już go prosiłem o pomoc. I gównu. Moje pytanie brzmi: kiedy ruszysz dupę, wrócisz do Dubaju i rozwiążesz jebany problem?

– Nie wiem – odpowiedział Fortune.

– Słucham? Powiedz mi, że się przesłyszałem.

– To skomplikowane.

– Nie, Fortune, to w chuj proste. Albo przylecisz tu jeszcze dziś, albo się pożegnamy.

– Zaginęła moja córka. Nadal jej nie odnaleziono.

– Wiem o tym. Mam tego świadomość. Ale potrzebuję cię tutaj. I to już.

– Postaram się. Zobaczę, co da się zrobić.

– Postaraj się, i to bardzo – odparł Owen. Zamilkł. Fortune wyobraził sobie, że szef siedzi za biurkiem, a za jego plecami rozciąga się pretensjonalna

i bezwstydną panoramą Dubaju. – Daję ci dwa dni. Masz dwa dni na zebranie się w garść. Jeśli nie wrócisz, będziesz skończony. Rozumiemy się?

– Rozumiemy.

– Wsiąkło jebane sto sześćdziesiąt milionów dolarów. Chcę się od ciebie dowiedzieć, jak do tego doszło.

– Postaram się – powtórzył Fortune. – Muszę kończyć.

– Widzimy się za dwa dni.

– Tak.

Fortune rozłączył się i położył na łóżku. Patrzył na sufit i długo, bardzo długo, kłął pod nosem.

W najlepszych latach Fortune potrafił posłać piłeczkę golfową na odległość ponad dwustu metrów, zakończyć dołek jednym uderzeniem poniżej jego para – to znaczy potrafiłby, gdyby nie to, że był żałośnie marny w krótkiej grze. Jednym ruchem przerzucał tę cholerną piłeczkę na green, ale potem umieszczenie jej w dołku zajmowało mu pięć uderzeń putterem. Wprawiało go to w takie zakłopotanie, że w ogóle przestał grać, mimo że w Dubaju czego jak czego, ale akurat pól golfowych nie brakowało.

Zadzwoił do Marsha, ale policjant znów nie odbierał. Zostawił mu wiadomość. Utknął w Londynie, nie mając nic do roboty ani gdzie pójść. Zastanawiał się, czym się zająć, żeby nie zwariować. Zapytał w hotelu, czy przypadkiem nie ma w pobliżu terenu treningowego. Obsługa powiedziała, że owszem jest, i zamówiła mu taksówkę. I tak oto znów trzymał kij w ręku i posyłał piłki w powietrze. Był jedynym klientem strzelnicy, która znajdowała się na wyniesionej platformie, wychodzącej na pole z namalowanymi liniami – po to, aby golfiści mogli ocenić, jak daleko poleciała piłeczka. Fortune wiedział, że o odległości nie decyduje siła, lecz wyczucie, tyle że nie przyjechał tu, by się bawić w finezyjne zagrania, ale żeby się wyżyć, wyładować frustrację i żale na Bogu ducha winnych piłeczkach do golfa. Zamach – i piłeczka wystrzeliła w górę, pokonując ponad sto metrów. Po dziesięciu minutach strzelania Fortune'owi zabrakło tchu i zrobiło się

niedobrze. Dopadł go kaszel i musiał przerwać. Rak, uznał, nie pomaga w grze.

Wreszcie przestał kasłać, sięgnął po piłeczkę i umieścił ją na podstawce. Zamachnął się kilka razy na próbę, ale w uderzeniu przeszkodził mu dzwoniący telefon.

– Halo?

– Pan Fortune? Mówi Marsh.

– Marsh, świetnie. Musimy porozmawiać. Spotkajmy się.

– Dobrze się pan czuje? Mówi pan, jakby miał zadyszkę.

– Tak, wszystko w porządku. Niech pan posłucha, musimy się spotkać i porozmawiać o jednej rzeczy.

– Tak?

– Lepiej nie przez telefon.

– Panie Fortune, jestem bardzo zajęty.

– Chodzi o moją córkę.

– Tak, domyślam się, że chodzi o nią.

– Czy słyszał pan o niejakim Charliem Jacksonie? – Marsh nie odpowiadał. Fortune czekał, trzymając telefon przy uchu i patrząc na pole, na którym leżały jego piłeczki.

– Wie pan o tym? – odezwał się w końcu Marsh.

– Pan też?

– Oczywiście. Przyjrzeliliśmy się wszystkiemu, czym zajmowała się pańska córka.

– A zatem przesłuchaliście go? Miał motyw, prawda? Mógł chcieć zrobić jej krzywdę.

Marsh westchnął.

– No dobrze. Niech pan przyjdzie. Będę w pracy do szóstej.

Rozłączył się. Fortune schował telefon, wziął kij i zamachnął się kilka razy. Kiedy odchyłał się do tyłu, poczuł ucisk w piersi. Opuścił kij, kopnął piłeczkę i stłumił kaszel. To by było na tyle, pomyślał, jeśli chodzi o golfa.

Siedzieli w tym samym pokoju co poprzednio. Marsh wyglądał na skonanego; wyglądał tak, jak Fortune się czuł. Miał pogniecioną marynarkę, a w blasku światełek jego skóra nabrała szarego odcienia. Biła od niego nieświeża woń kawy i potu. Pił kawę, której, jeśli sądzić po jego wyglądzie, bardzo potrzebował i bez której zasnąłby przy biurku.

– Dobrze się pan czuje? – spytał Fortune.

Marsh pokiwał głową, ale bez przekonania.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa. Pierwsze dni zawsze są najtrudniejsze, zero snu, niekończący się kołowrót. – Upił łyk kawy. – Odbija się to na człowieku.

Fortune się uśmiechnął.

– A sądziłem, że bank potrafi wykończyć.

Marsh nie odwzajemnił uśmiechu.

– Chciał pan porozmawiać o Charliem Jacksonie.

– Tak. Słyszałem o tym, co się wydarzyło. I jak moja córka była w to wplątana. Czemu pan mi o tym nie powiedział?

Marsh wzruszył ramionami.

– Uznałem, że to nie ma związku z jej zaginięciem i nie musi pan o tym wiedzieć. Nie sądziłem, że te informacje mogłyby się panu do czegokolwiek przydać. – Znów podniósł kubek do ust, ale natychmiast odstawił go na stół, był już pusty. – Chciałem panu tego oszczędzić. Sam mam córkę.

– Często pan ją widuje?

– Nie tak często, jakbym chciał.

Witam w klubie, pomyślał Fortune.

– Słyszałem, że ten cały Charlie Jackson, niezależnie od tego, co oficjalnie twierdzi, naprawdę przespał się z tą dziewczyną. Z nieletnią.

Marsh pokiwał głową.

– Pewnie tak było. To łajdak. Rozmawiałem z nim, przesłuchiwałem go. Uśmiech nie schodził mu z ust.

– No i...

– No i co miałem zrobić? Prowadziłem dochodzenie w sprawie zaginięcia pańskiej córki, a nie tego, czy Charlie Jackson przespał się z czternastolatką.

– Piętnastolatką.

– Na jedno wychodzi. Nie jestem w stanie badać wszystkich tropów, poza tym jego prawnik rozłożyłby mnie na łopatki.

– Czyli pan go puścił. Tak po prostu?

– Nie miałem podstaw do zatrzymania – westchnął Marsh. – Sprawdziłem go, przepytalem i niczego nie znalazłem.

– A jak dobrze pan szukał?

– Myślę, że całkiem uważnie.

– Moja córka była prześladowana przez kogoś w sieci. Przez trolla.

Marsh podrapał się w kąciку oka.

– Buty.

– Wiedział, jakiego były koloru.

– Zgadł. To jakiś dzieciak. Siedzi w swoim pokoju, czyta jej bloga, zgaduje. – Marsh wzruszył ramionami. – Sprawdziliśmy adres IP komputera autora komentarza. Nie da się określić precyzyjnie, można najwyżej wskazać pewien obszar, ale lokalizacja wypadła daleko od miejsca zamieszkania Jacksona. Jak więc pan widzi, zajęliśmy się tym.

Fortune potrząsnął głową. Nie wierzył policjantowi, nie ufał jego słowom. Zirytowany Marsh zmarszczył brwi i westchnął.

– Na litość boską. W porządku. Chce pan wiedzieć, w czym był problem? Otóż w tym, że nikt nie wierzył pańskiej córce. Wydawała się niewiarygodna. Miała problemy, nie panowała nad sobą. Nie sądzę, by słyszał to pan po raz pierwszy.

Punkt dla Marsha, pomyślał Fortune i powiedział nieprzekonująco:

– To do niej niepodobne...

– Nie? Proszę to przeczytać.

Położył przed Fortune'em kartkę formatu A4. Lista incydentów. „Skarga na hałas. Wysłanie funkcjonariusza na miejsce. Doniesienie o handlu narkotykami w lokalu. Wysłanie funkcjonariusza na miejsce. Skarga na hałas. Skarga na hałas. Skarga na nękanie. Złośliwy e-mail. Doniesienie o handlu narkotykami w lokalu. Zachowanie społeczne. Znieważanie w internecie. Skarga na hałas. Nękanie fizyczne”. Niewielki odstęp czasowy pomiędzy poszczególnymi

zdarzeniami. Policja odwiedzała Sophie raz w tygodniu, a nawet częściej.

– Była niestabilna. Moim zdaniem miała problemy natury psychicznej. Wiem, że mówiło się o tym, żeby trzeba by ją skierować na badania, a może nawet umieścić w szpitalu psychiatrycznym.

– Nie – zaprotestował Fortune. – Miała pracę. Dobrze sobie radziła.

Marsh wyjął z kieszeni taśmę z nagraniem i włożył ją do stojącego na biurku odtwarzacza.

– Proszę posłuchać. Może to pana przekona.

Nacisnął „play”, odchylił się na fotelu i zapatrzył na sufit. Jeśli sądzić po jego minie, nie cieszyło go to, co robił. Fortune wbił wzrok w odtwarzacz.

Dlaczego mnie nie słuchacie?

Panno Fortune...

Dlaczego, dlaczego, dlaczego?

Bardzo proszę...

Nie mogę, nie mogę, nie mogę.

Z początku Fortune nie rozpoznał głosu córki. Histeria Sophie sprawiała, że przypominał rozdzierający krzyk, lament zranionego zwierzęcia. Dopiero po chwili Fortune zrozumiał słowa, które Sophie próbowała przekazać. Słuchał z przerażeniem, czując ciarki na grzbiecie.

Panno Fortune, proszę się uspokoić...

Nie słuchacie, nie słuchacie, nie słuchacie. Ktoś. Mi. To. Robi.

Miała pani nóż przy sobie.

To nie mój nóż. Nie mój nóż.

Były na nim pani odciski palców.

Czemu mi nie wierzycie?

Chcę pani uwierzyć, panno Fortune, ale...

Sophie zawyła, wydała z siebie bolesny jęk, jak matka, która dowiedziała się, że umarło jej dziecko. To było coś przerażającego i rozdzierającego, ten głos zdesperowanej kobiety. Był w Dubaju. Kiedy to się działo, on był w Dubaju i pracował w banku.

Marsh wcisnął „stop” i upiorne wycie ustało. Zapadła cisza. Fortune oddychał szybko i płytko.

– Przykro mi – odezwał się Marsh. Fortune nie odpowiedział, nie był w stanie. Nie wiedział zresztą, co miałby powiedzieć. – Pańska córka miała się stawić w sądzie dzień przed tym, jak zniknęła. Jackson wystąpił o nałożenie na nią zakazu zbliżania się. Przykro mi – powtórzył.

– Rozumiem – odparł Fortune.

Wstał. Marsh też się podniósł, podszedł do drzwi i otworzył je. Fortune powiedział, że sam trafi do wyjścia. Nie patrzył Marshowi w oczy, tak jakby wstydził się hysterii i wybryku córki.

Marsh odprowadził Fortune'a wzrokiem. Miał nadzieję, że pewnego dnia ten biedny człowiek zrozumie, że jego niestabilna emocjonalnie córka nie żyje. Umarła, prawdopodobnie sama była sobie winna, i nigdy nie wróci.

Kobieta powiedziała, że nie sposób stwierdzić, jak długo rzeczy jego córki tam przeleżały. Dodała, że to stara chata, zapewne rybacka, z czasów, kiedy rzeka stanowiła dobro publiczne i pełno było w niej pstrągów. To dość niesamowite, że w ogóle ktoś się na nie natknął, no ale dzieciaki wszędzie zajrzą, prawda? Jeszcze bardziej zdumiewające, że nie przywłaszczyły sobie laptopa, który wygląda na dość drogi i jest w niezłym stanie. Okazuje się, że są jeszcze uczciwi ludzie, nawet bardzo młodzi, zaznaczyła, którym można ufać.

Powiedziała, że ubranie Sophie starannie złożono i pozostawiono na komputerze, na obudowie, na stole w chacie rybackiej. Zapewne dlatego urządzenie nie zostało uszkodzone. Fortune wyobraził sobie tę chałupę: przegniłe deski, lepik na dachu, porośnięta chaszczami i trawą, zarówno na zewnątrz, jak i w środku. Wyobraził sobie rzekę: brązową, wezbraną od niedawnych deszczów, rwącą – wiry na powierzchni, prądy pod powierzchnią – głęboką, obojętną. Wyobraził sobie ciało córki: którym miota rzeka, które odbija się od skał pod wodą i zaplątuje w gałęzie rosnących na brzegu wierzb. Jej włosy rozłożone w wachlarz, jej oczy otwarte, choć niewidzące.

Wiadomo, że rzeczy należały do Sophie, ponieważ był między nimi portfel, w nim zaś znajdowały się jej karta kredytowa i prawo jazdy. Kobieta powiedziała, że kiedy włączyli komputer, na ekranie powitalnym, tuż nad polem, w którym wprowadza się hasło, widniało nazwisko Sophie. Dodała, że mimo iż nie odnaleziono ciała, raczej trudno mieć wątpliwości co do tego, co się wydarzyło. Córka Fortune'a odebrała sobie życie. Zdjęła ubranie i złożyła je – to częste, zaskakująco częste zachowanie w przypadku prób samobójczych. Przyczyny tego zjawiska nie są znane. Może chodzi o poczucie

winy i chęć pozostawienia po sobie porządku. Być może staranne składanie ubrań to podświadomy wyraz tego pragnienia. Kto to wie?

Fortune słuchał głosu w słuchawce i milczał. Kobieta sprawiała wrażenie życzliwej, choć podejrzewał, że mówi więcej niż zwykle, że zagaduje zdenerwowanie. Bo czy naprawdę Fortune musi wiedzieć, dlaczego jego córka złożyła ubranie?

Tak czy inaczej, kobieta poinformowała go, że rzeczy Sophie przesłano na komisariat i jeśli chce, może je odebrać, wystarczy zgłosić się na recepcję i przedstawić dwa dokumenty potwierdzające tożsamość, w tym jeden ze zdjęciem. Czy odpowiada to panu? Marsh powiedział, że w tej sprawie lepiej kontaktować się z Fortune'em niż z jego żoną. Bo ten ma po prostu bliżej. Fortune odparł, że tak, to mu odpowiada, i owszem, zgłosi się po rzeczy córki. Jest jej bardzo przykro, dodała kobieta, że musiała przekazać mu tę złą wiadomość, i jeśli chciałby z kimś porozmawiać, to ona ma numer bardzo dobrego psychologa, który specjalizuje się w tego typu sprawach. Fortune podejrzewał, że mówiąc o „tego typu sprawach”, miała na myśli coś mniej konkretnego niż utonięcie córki, ale odpowiedział, że nie, nie chce z nikim rozmawiać. Podziękował jej, ona zaś powtórzyła, że jest jej bardzo przykro, i rozłączyła się, zostawiając Fortune'a samego w pokoju. Nigdy nie czuł się bardziej samotny niż w tej chwili.

Na komisariacie Fortune musiał zaczekać, aż kobieta z mewą wyklóci się z dyżurnym. Mewa, o której mowa, spoczywała w kartonowym pudle. Kobieta twierdziła, że ptak ma złamane skrzydło i umrze, jeśli nikt się nim nie zajmie. Funkcjonariusz cierpliwie tłumaczył, że nic nie może zrobić, ponieważ policja nie opiekuje się rannymi mewami, i powinna zgłosić się do przychodni weterynaryjnej. Mewa siedziała spokojnie w pudełku i żółtym okiem przyglądała się otoczeniu. W końcu kobieta uniosła się godnością i z urażoną miną wymaszerowała z posterunku.

– Słucham.

– Nazywam się Fortune. Przyszedłem po rzeczy mojej córki, Sophie Fortune.

Policjant pokiwał głową.

– Zgubiła je?

– Nie, ona... – Fortune zawahał się. Nie był w stanie przemóc się, by wypowiedzieć słowa: zabiła się. – Ona umarła.

– Och, rozumiem. Przepraszam. Proszę tu poczekać. – Wyszedł, zostawiając Fortune'a samego w pustej poczekalni. Pod dwiema ścianami stały rzędy krzeseł, a nad nimi wisiały plakaty ostrzegające przed kradzieżami samochodów, wykorzystywaniem dzieci i zagrożeniami wynikającymi z braku czujnika dymu.

– Panie Fortune?

Odwrócił się. Policjant trzymał zamknięte i oklejone kartonowe pudło. Ostrożnie, niemal z nabożną czcią, postawił je na blacie. Fortune był mu wdzięczny za ten gest, nawet jeśli rzeczy Sophie dosłownie przed chwilą były jak zapakowano do kartonu i zaklejono taśmą.

– Przepraszam, ale muszę zobaczyć pana dowód tożsamości.

Fortune pokazał paszport, a po chwili schował go do kieszeni i podniósł pudło. Nie było ciężkie.

– Dziękuję – powiedział.

– Nie ma sprawy. Bardzo mi przykro z powodu pańskiej córki.

Fortune pokiwał głową i wyszedł z komisariatu. Usiadł na ławce, wyjął telefon i wybrał numer żony. Na pewno ją poinformują, pomyślał, ale wolał zadzwonić. Bał się tej rozmowy, dlatego najpierw z wałącym sercem wysłuchał sygnału, a potem poczuł ulgę, kiedy włączyła się poczta głosowa. Nie zostawił jednak wiadomości. Cóż mógł powiedzieć? Zapalił za to papierosa. Kiedy dym dotarł do płuc, Fortune rozkaszał się, kasłał, kasłał i nie mógł przestać.

– Nieciekawie to brzmi.

Odwrócił głowę i zobaczył Marsha, który zszedł za nim po schodach komisariatu.

– No – wydusił.

– Mój ojciec zmarł na raka płuc – powiedział Marsh. – Też pan to ma?

Fortune potwierdził skinieniem głowy. Próbował opanować kaszel,

zatrzymać go za zębami. Wyszedł z tego nieprzyjemny charkot.

– Na to wygląda.

– Jest bardzo źle?

– Niewykluczone. Nie byłem ostatnio u lekarza. Przyjmuje w Dubaju.

– Och. – Marsh popatrzył na Fortune'a. – Wiem, że to marna pociecha, ale jest mi bardzo przykro.

Fortune znów pokiwał głową.

– Dziękuję.

– Miałem nadzieję, że jeszcze pana złapię. Sądzę, że już się więcej nie spotkamy.

– Nie? – Fortune zmarszczył brwi.

– Zamykamy sprawę. Oficjalnie.

– Słucham? Nie. Przecież nadal... nie odnaleźliście jej.

– I możliwe, że nigdy nie odnajdziemy. To głęboka rzeka. Przykro mi to mówić, ale jestem pewien, że to ona pochłonęła pańską córkę. Nie ma innego wytłumaczenia.

– Oczywiście, że jest – zaprotestował Fortune, mimo że żadne nie przychodziło mu do głowy.

Siedział na ławce obok pudła zawierającego rzeczy Sophie. Oparł dłonie na udach i wpatrzył się w ziemię.

– Co pan robi?

– Nie wiem – odparł, nie podnosząc wzroku. – Wrócę do Dubaju.

– Przykro mi – powtórzył Marsh. Fortune pokiwał zwieszoną głową. Poczł, że policjant odchodzi. Siedział na ławce jeszcze przez kilka minut, po czym wstał, zabrał pudło i poszedł złapać taksówkę.

W pudle były dzinsy, trampki, koszulka z logo AC/DC, bluza z kapturem, kurtka puchowa, bielizna oraz portfel. Gdybym nie wiedział, powiedziałbym, że to rzeczy mężczyzny, pomyślał Fortune. Oczywiście, jeśli nie liczyć stanika. Fortune zajrzał do portfela. Karty, prawo jazdy, wizytówki: fotografa, dziennikarza, paru knajp, baru, kogoś z lokalnego wydziału zdrowia; pewnie

przyszli do niej w sprawie hałasów i imprez. Odłożył to wszystko na bok i włączył komputer.

System zażądał hasła. Fortune wypróbował te najbardziej oczywiste i wbrew pozorom często stosowane kombinacje: „1234”, „hasło”, datę urodzin Sophie. Nic z tego. Nie spodziewał się, że się uda, ale nie zaszkodziło spróbować. Siedział przed ekranem i zastanawiał się, czy w ogóle powinien próbować dostać się do tego komputera. Czuł się tak, jakby miał wejść do pokoju Sophie, przeczytać jej pamiętnik, zajrzeć do miejsc, do których nie miał prawa zaglądać. Raz już to zrobił. Nie przeczytał wprawdzie pamiętnika Sophie, ale przetrząsnął szuflady i znalazł paczkę papierosów. Dobrze zapamiętał minę córki, kiedy jej o tym powiedział. Nie było w niej skruchy, a jedynie złość, że ośmielił się zignorować prawo do prywatności. Wybuchła wielka kłótnia z Jean w roli arbitra. W końcu żona i tak wzięła stronę Sophie. Pewnie miała rację. Najprawdopodobniej miała rację.

Wybrał numer Aleksa. W Dubaju było już po północy. Cóż, trudno.

– Fortune?

– Obudziłem cię?

– Nie. Tak, oczywiście, że tak. Późno już, wiesz?

– Potrzebuję twojej pomocy?

– Tak?

– Wiesz, jak się włamać do komputera? Do maca?

– Że co? Fortune...

– Wiesz jak?

– E... – Fortune wyobraził sobie, jak Alex siada na łóżku, przeciera twarz i próbuje się obudzić. – Włamać się do maca? Po co?

– Znaleźli rzeczy mojej córki. Nad rzeką.

– O Jezu... Fortune, przykro mi.

– Dzięki. Problem polega na tym, że nie mogę się zalogować do jej komputera.

– Okej, okej. – Alex zamilkł. Myślał. – Masz go przed sobą?

– Tak.

– No dobra. – Westchnął. – Rób dokładnie to, co ci powiem.

Pięć minut później Fortune miał już dostęp do urządzenia i patrzył na ekran laptopa córki, drzwi do jej świata. Podziękował Aleksowi.

– Nie ma sprawy. Słuchaj?

– No?

– Wrócisz teraz?

Fortune pomyślał o Marshu, o dochodzeniu, które wkrótce zostanie zamknięte, jeżeli jeszcze tego nie zrobiono.

– Niedługo.

– Bo mamy tu Sajgon, wiesz? Pieniądze się nie znalazły.

– Wiem. Obiecuję, że wkrótce przylecę.

– Okej. Ale nie dzwoń już dziś do mnie.

– W porządku. Dzięki, Alex.

Fortune schował aparat i położył palce na klawiaturze komputera. Co tu znajdzie? A czy w ogóle chce cokolwiek znaleźć? Przesunął kursor nad „plik”, wybrał „nowe okno findera” i zaczął szukać.

21 lutego

Jest coraz gorzej. Tylko gorzej, gorzej i gorzej.

Znów była u mnie policja. Tym razem wydział do spraw narkotyków. Powiedzieli, że dostali sygnał, że w moim mieszkaniu handluje się narkotykami, kręcą się podejrzani ludzie, czuć zapach niedozwolonych substancji i słyszeć głośną muzykę. Dodali, że wszelkie doniesienia związane z narkotykami traktują bardzo poważnie, i zapytali, czy mogą wejść. Okazało się, że właściwie nie mam nic do gadania, po prostu odsunęli mnie na bok i zaczęli szperać. Spytałam, czy mają nakaz. Odparli, że jest niepotrzebny. Policjant powiedział to z takim uśmiechem, jakby mówił: „I co nam zrobisz?”.

Niczego nie znaleźli, bo przecież nie mam żadnych prochów, jeśli nie liczyć tabletek nasennych. Mnóstwa tabletek. Tępych tabletek.

Charlie Jackson ciągnie mnie do sądu.

Aha, a Larry mnie wylał.

Już nie mogę pisać. Muszę się przespać.

Josh, proszę, wróć wreszcie. Wróć, zanim będzie za późno.

Fortune znalazł to na pulpicie komputera Sophie. Data sprzed kilku tygodni. Zawartość dysku jej laptopa była równie nieuporządkowana jak ona sama: zagracony pulpit, piętrowe foldery, zdjęcia, dokumenty. Fortune nie wiedział, od czego zacząć. Odsunął od siebie urządzenie, z którego korzystał przy szklanym stole w pokoju hotelowym. Blask bijący od ekranu był jedynym źródłem światła w pomieszczeniu. Fortune próbował przetrwać to, co właśnie przeczytał. Co się działo w życiu Sophie? Czy cierpiała na tak głębokie urojenia, że nawet nie zdawała sobie sprawy, że źródłem problemów jest ona sama? Czytał o schizofrenii, lekarze wspominali o niej, kiedy z Sophie bywało naprawdę źle, kiedy zachowywała się najbardziej nieracjonalnie. Czyżby choroba aż tak się rozwinęła?

Druga możliwość była taka, że Sophie miała rację i niczemu nie zawiniła.

Że za tym wszystkim – incydentami, skargami, dochodzeniami – stał ktoś inny. Ale przecież poszła pod dom Charliego Jacksona i miała przy sobie nóż. To się wydarzyło. Tu nie ma żadnej wątpliwości. Podrapał się po głowie. Moja Sophie, pomyślał. Co się z tobą stało?

No i Josh. Kim był Josh? Nie słyszał o nim; Jean nie wspominała, Jessica też nie. Pewnie chłopak, i to taki pracujący poza Londynem, tak jak Fortune. Miał nadzieję, że to wszystko, co ich łączy. Sophie zasługiwała na kogoś lepszego.

Otworzył wyszukiwarkę i wpisał „Charlie Jackson”. Przeszedł do zakładki „grafika” i zaczął przeglądać zdjęcia mężczyzny, na którego punkcie jego córka miała obsesję. Około trzydziestki, przystojny, intensywnie niebieskie oczy, wręcz nierzeczywiste, takie, od jakich nie sposób oderwać wzroku. Włosy popielaty blond, na wszystkich fotografiach trzydniowy zarost. Wyglądał trochę jak bohater hollywoodzkich filmów akcji, błękit oczu potęgował to wrażenie i sprawiał, że ten mężczyzna o kwadratowej szczęce i regularnych rysach twarzy wydawał się niewinny i wrażliwy. Pewny siebie, ale wrażliwy. Fortune potrząsnął głową. Człowieku, o czym ty mówisz? Znalazł galerię zdjęć Jacksona: tu ujęcie samej głowy, tam pełna sylwetka na czerwonym dywanie, tu z nagrodą w dłoni, tam obejmuje atrakcyjne kobiety. Wyglądał jak ktoś, komu się powodzi, ma świetne życie i żadnych powodów do narzekań.

Fortune sięgnął po telefon i wybrał numer, który podała mu Jessica. Powiedziała, żeby bez wahania dzwonił o każdej porze.

– Halo?

– Jessica? Mówi Fortune.

Milczenie po drugiej stronie słuchawki, kojarzenie nazwiska z osobą.

– Ach, cześć – odezwała się wreszcie.

– Chciałbym prosić panią o przysługę, ale nie wiem, czy mogę.

– Jasne. Spróbuję pomóc.

– Po pierwsze, czy moja córka... Czy Sophie wspominała o swoim chłopaku?

Jessica się zamyśliła. Fortune usłyszał śmiech i cichą muzykę w tle.

– Przeszkadzam?

– Mm? Nie, nie, jestem na łodzi. Płyniemy Tamizą, to impreza z okazji premiery... – ściszyła głos – okropnej płyty, nagranej przez jeszcze okropniejszą gwiazdę *reality show*. Koszmar. Dziewczyna jest napruta, weszła w szpilkach na pokład i ledwo może ustać. Dam sobie rękę uciąć, że się zaraz porzyga.

– Przyjemna impreza.

– Tak, przyjemna jak sól w oku – odparła Jessica. – O chłopaku, mówi pan? – Zastanowiła się. – Wydaje mi się, że z kimś się spotykała, ale nie poznałam go. Nie utrzymywałyśmy ze sobą kontaktu poza pracą.

– Ma na imię Josh.

– Nic mi to nie mówi. O... i już po niej! – roześmiała się Jessica. – Leży. O matko!

– Chciałbym porozmawiać z Charliem Jacksonem.

– Chwileczkę – rzuciła do słuchawki i zwróciła się do kogoś na łodzi: – Czy ktoś może ją podnieść? I dopilnować, żeby więcej już nie piła? Bo w takim tempie padnie i już nie wstanie. – Wróciła do rozmowy z Fortune'em. – Przepraszam. Nie wiem, po co się przejmuję. Przecież im bardziej będzie pijana, tym lepszy temat. Z Charliem Jacksonem, mówi pan. A o czym chce pan z nim rozmawiać?

– Po prostu chcę się dowiedzieć, co się wydarzyło.

– Panie Fortune, Sophie zamieniła się w stalkerkę. Nie chciała odpuścić.

– Muszę to usłyszeć od niego.

Jessica westchnęła.

– Nie mogę.

– Proszę mi tylko powiedzieć, jak się z nim skontaktować.

– Nie mam jego numeru.

– Ale może go pani zdobyć.

– Pewnie tak – przyznała. – Ale nie zrobię tego. Jeśli to się wyda, będę skończona. – Milczała przez chwilę. – Za to powiem panu, gdzie on mieszka. Akurat tę informację każdy może znaleźć.

– Dziękuję.

– Nie ma sprawy. Ale czy nie powinien pan tego zostawić, panie Fortune? Obawiam się, że nie spodoba się panu to, czego pan się dowie.

– Być może. Ale dawniej nie było mnie przy niej. Dlatego teraz muszę to zrobić.

– W porządku, rozumiem. Muszę już kończyć, bo zaczyna się robić ciekawie. Prześlę panu adres esemesem. – Fortune usłyszał krzyki i brzęk tłuczonego szkła.

– Dziękuję.

– Tylko proszę go potem skasować.

– Tak zrobię.

– Do widzenia.

Rozłączyła się. Fortune wyobraził sobie, jak Jessica wyjmuje kieliszek szampana z wymuskanej, opalanej dłoni gwiazdy *reality show*. W jakim świecie obracała się Sophie?

Fortune poświęcił pół godziny na przeglądanie folderów, plików, zdjęć. Panował w nich chaos taki jak w życiu jego córki. Fortune znalazł strzępy informacji, numery telefonów ludzi, o których nigdy nie słyszał, pomysły na artykuły, notatki z wywiadów, fragmenty nagrań. Niedokończone teksty i przypadkowe refleksje. Szef Sophie... Jak on się nazywał? Larry. Larry powiedział, że Sophie była dobra i miała talent. W tym zaśmieconym, nieuporządkowanym komputerze nie znalazł wiele na potwierdzenie tej oceny, a jedynie obraz córki takiej, jaka była od zawsze: niechlujnej, chaotycznej, irytującej.

Poddał się i zamknął komputer. Zajrzy do niego znowu, kiedy wykrzesze w sobie dość energii. Teraz czuł się zbyt zmęczony, coś ścisnęło go w piersi. Uświadomił sobie, że nic nie jadł od lunchu dzień wcześniej. Nie odczuwał jednak głodu. Położył się na łóżku. Czekał na esemesa od Jessiki i zastanawiał się, co robi, kiedy już spotka się z Jacksonem.

Fortune nie obawiał się konfrontacji. Nie da się przecież zupełnie bezkonfliktowo prowadzić globalnych operacji dużej firmy. Nie sposób poradzić sobie z narzucanymi przez górę wyśrubowanymi celami, nie stawiając od czasu do czasu wygórowanych wymagań ludziom, których ma się pod sobą. Nawarstwianie presji, stawianie ultimatum – na tym polegała jego praca. Na maksymalizacji wydajności.

Mimo to czuł się nieswojo. Charlie Jackson mieszkał w ekskluzywnej okolicy, to było osiedle z placykiem i prywatnym ogrodem pośrodku. Można się było dostać na jego teren przez bramę, do której klucze mieli jedynie mieszkańcy kompleksu. Za ogrodzeniem znajdował się kort tenisowy oraz ławki. Fortune pomyślał, że mógłby przysiąść na jednej z nich, zamiast stać i palić papierosa na chodniku przed domem Jacksona. Wyglądał, co tu dużo mówić, mocno podejrzanie. Bo czy to normalne, że człowiek stoi w miejscu przez ponad dwie godziny i nic nie robi? Było zimno i wietrznie, dobrze że przynajmniej nie padało. Gdy tylko myśl o deszczu pojawiła się w głowie Fortune'a, gruba kropla z sykiem wylądowała na żarzącym się bursztynowo papierosie. Spojrzał ze złością w niebo. Czemu nie wziął parasola?

Kiedy Jessica przysłała mu adres, od razu pojechał na miejsce. Nacisnął dzwonek, licząc, że ktoś się odezwie, ale najwyraźniej nikogo nie było w domu. Postanowił zatem zaczekać. Czekał i czekał. Żałował, że nie ma psa. Bo ludzie wyprowadzają psy na spacer. Mężczyźni w średnim wieku spacerują z psami, a nie sterczą godzinami na chodniku. Chyba że są bezdomni i schorowani, ale Fortune nie wyglądał na takiego. Na przesadnie zdrowego, musiał przyznać, też nie. Niemniej sprawiał przyzwoite wrażenie. Pomyślał, że przydałby mu się taki namiot, jaki mają robotnicy naprawiający ulice. Albo furgonetka hydraulika, jakiś pojazd, który mógłby gdzieś zaparkować na kilka

godzin.

Dobrze, że przynajmniej kręciło się tu mało ludzi i nikt nie obrzucał go podejrzliwymi spojrzeniami. Jakakolwiek aktywność miała miejsce jedynie na drugim końcu placu, gdzie coś remontowano, zdaje się, że piwnicę. Fortune czytał o londyńskich krezusach, którzy drążą ziemię pod swoimi domami, budują dwie, trzy kondygnacje podziemne. Odwrotnie niż w Dubaju, gdzie budynki strzelają wysoko w górę. Przypuszczał, że to miało coś wspólnego raczej z zazdrością o penisa, z arabskim kompleksem niższości. Mój wieżowiec jest wyższy niż twój. Co to mówi o rosyjskich oligarchach, którzy wolą drążyć ziemię? Może chodzi o poczucie winy? Może wolą zakopywać skarby niż się z nimi obnosić. Może, może. Kto wie? Fortune westchnął. Nudził się, strasznie się nudził.

Padało coraz mocniej. Fortune spojrzął posepnie na bezlistne drzewo, pod którym stał. Marna ochrona. Zerknął na zegarek. Minęło południe. Wystarczy na dziś. Wróci tu innym razem. Przepuścił czarną taksówkę i zaczął przechodzić na drugą stronę ulicy. Tymczasem taryfa zatrzymała się kawałek dalej i wysiadł z niej Charlie Jackson. Pochylił się i zapłacił kierowcy. Fortune szybko ruszył w stronę Jacksona, który wchodził już po schodkach, trzymając w ręku klucz.

– Panie Jackson!

Prezenter odwrócił się i spojrzął na Fortune'a. Rzeczywiście miał niewiarygodnie niebieskie oczy. Wydawał się czymś zaabsorbowany.

– Tak?

– Chciałbym z panem porozmawiać.

– O czym? A właściwie to, wie pan, nie mam czasu. – Mówił z londyńskim akcentem, Fortune nie potrafił ocenić, czy jest on autentyczny.

– To ważne.

– Tak samo jak to, że muszę się wysikać – odpowiedział Jackson. – Poprawka: to jest ważniejsze. Żegnaj więc. – Odwrócił się do drzwi i wsunął klucz do zamka.

– Chodzi o moją córkę.

Jackson zeszytniał. Fortune dostrzegł napięcie w jego plecach i barkach.

– Aha. – Zapewne żyje w strachu przed wściekłymi ojcami, którzy domagają się wyjaśnień, co zrobił ich córkom. A raczej: z ich córkami.

– Sophie Fortune.

Jackson się odwrócił.

– Żartuje pan? Chodzi o nią?

– Tak, jestem jej ojcem.

– No, to masz pan niezłą córeczkę. Taka trafia się jedna na milion.

– Chcę o niej porozmawiać.

– Niech pan posłucha. Naprawdę ostro mnie ciśnie, a poza tym nie mam nic powiedzenia. – Zamilkł na chwilę. – Zresztą i tak nie powinniśmy rozmawiać. Nie wiem, czy pan wie, ale toczy się postępowanie...

– Wiem.

– No to w porządku. Super. Świetnie. – Uśmiechnął się. – Mam wobec tego propozycję: spadaj pan na drzewo i zostaw mnie w spokoju.

Fortune przyglądał się Jacksonowi. Półuśmiešek na twarzy młodszego mężczyzny powoli układał się w przepojony pewnością siebie pogardliwy grymas. Fortune nie pozwolił się zniechęcić. Podszedł do schodów i zaczął wchodzić.

– Wie pan, że zaginęła?

– Słyszałem.

– Znaleźli jej komputer. Przejrzałem jego zawartość.

– Ta?

– Tak. I znalazłem coś o panu. Coś, czego, jak sędzę, nikt inny nie widział. Jeszcze nie widział... – dodał po chwili.

– Bzdury. Piętrowe bzdury.

– Zdjęcia. – Fortune sam nie wiedział, do czego zmierza. Przecież niczego nie znalazł. Ale przynajmniej Jackson przestał się uśmiechać. – Tak jak mówię, na razie nikt ich nie widział.

Jackson rozejrzał się, jakby chciał się upewnić, że nie krążą nad nim sępy z prasy, a potem popatrzył na Fortune'a i westchnął.

– No dobrze, niech pan wejdzie.

Kto normalny montuje akwarium w ścianie? – pomyślał Fortune. Wnętrze domu Charliego Jacksona wyglądało jak mieszkania celebrytów, które czasem pokazują w MTV, jak zaprojektowane przez gwiazdę rocka – nie, poprawka: jak mieszkanie zaprojektowane przez szejka, gdyby tylko ten miał gust. Nie znaczy to, że Jackson dysponował wybornym zmysłem smaku, po prostu miał więcej wyczucia niż typowy arabski plutokrata. W salonie znajdowały się kremowe skórzane sofy, szklana ława, a także żyrandol, który wyglądał jak ukradziony z Wersalu. Jackson stał na kremowym dywanie i patrzył wyzywająco na Fortune'a. Był niski i drobny. Fortune pomyślał, że zapewne nosi w sobie głęboką urazę, od dawna skrywane poczucie niższości.

– Nie zaproponuję panu kawy – odezwał się.

Fortune pokiwał głową.

– Chcę tylko wiedzieć, co się wydarzyło. Z moją córką.

– Co się wydarzyło? – Jackson rozejrzał się, spojrzawszy na sofy i podjął decyzję. – Usiądźmy zatem – powiedział niechętnie.

Fortune usiadł, Jackson zajął miejsce po drugiej stronie szklanej ławy.

– Wydarzyło się to, że próbowała wrobić mnie w akcję z nieletnią dziwką. Kiedy to nie wypaliło, odbiło jej i dostała obsesji na moim punkcie. Zachowywała się jak wariatka.

Pomyłony Babsztyl, pomyślał Fortune.

– To znaczy?

Jackson zmarszczył brwi i popatrzył na Fortune'a zaskoczony.

– Nie wie pan?

– Właśnie nie.

– Zaczęła bombardować mnie e-mailami. Nie chciała zostawić mnie w spokoju. Groziła mi. Mój Boże, chyba zdaje pan sobie sprawę, że była niepoczytalna? Miała nierówno pod sufitem.

– Nie.

– Niech pan da spokój. Przecież był pan jej ojcem.

– Dlaczego „był”? Wie pan coś, o czym nie wiem?

Jackson na chwilę zaniemówił. Potem pokręcił głową i uśmiechnął się.

– O rany, widzę, że jest pan tak samo stuknięty jak ona. Jaki ojciec, taka

psychiczna córka.

– Co jeszcze? – spytał Fortune, starając się nie zwracać uwagi na pogardliwy uśmieszek Jacksona.

– Co jeszcze? Chce pan wiedzieć?

– Tak.

– Naprawdę? Jest pan pewien? W porządku, proszę zaczekać.

Jackson wstał i wyszedł. Fortune wykorzystał to, żeby rozejrzeć się po pokoju. Na ścianach wisiały oprawione czarno-białe akty, jakie można zobaczyć w kalendarzach Pirelli: pociągające i zarazem gustowne. No, powiedzmy.

– Proszę. – Jackson wrócił do salonu i niedbale rzucił na ławę zwykłą kopertę. – Proszę zobaczyć. Proszę się dobrze przyjrzeć.

Fortune pochylił się i sięgnął po kopertę. Była otwarta. Wysunął zawartość. Zobaczył zdjęcie, też akt, ale inny niż te na ścianach. Młoda osoba, bardzo młoda, przestraszona, skulona z bólu. Odwrócił głowę i przykrył fotografię kopertą.

– Jezu.

– Od pańskiej córki. Przysłała mi to zdjęcie. I wiele innych. Miło, prawda?

Fortune pokręcił głową, szukając słów.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Za to policja wiedziała. Poinformowała ją, że posiadanie tego rodzaju materiałów jest przestępstwem. Powiedzieli, że jest chora. Na szczęście zabrali ode mnie wszystkie zdjęcia – z wyjątkiem tego jednego, bo przyszło później. Dobrze się pan przyjrzał?

Fortune nie odpowiedział.

– Dowiedziałem się od policji, że wszystkiemu zaprzeczyła. I że podczas przesłuchania zupełnie jej odbiło. Stuknięta suka.

Fortune objął głowę rękami i zamknął oczy. Obraz, który zobaczył, wciąż do niego wracał, nieproszony jak słowa „Pomyłony Babsztyl”. Jak zwłoki, które widział w kostnicy. Pewnych rzeczy nie sposób wymazać z pamięci.

– Przychodziła do mnie, krzyczała, wrzeszczała. Nie chciałem jej wpuścić. Sąsiedzi wychodzili z domów, żeby zobaczyć, co się dzieje. Mój Boże.

Zadzwońnięm po gliny. Przyjechali całym oddziałem, przeszukali teren, znaleźli nóż. Wielki kuchenny nóż.

– Wiem – odparł Fortune. – Od policji.

Jackson pokiwał głową.

– No, to mów pan – powiedział. – Co pan znalazł?

Fortune podniósł głowę.

– Co?

– W jej komputerze. Co tam było?

Fortune szczyił się swoją uczciwością. Nie potrafił kłamać i dobrze o tym wiedział.

– Zdjęcia – powtórzył ze świadomością, jak kiepsko to brzmi.

Jackson uniósł brwi.

– Aha. Co przedstawiają? Mnie w łóżku z uczennicą? Albo jak ćpam w hotelu?

– Może.

Jackson przeszył Fortune'a spojrzeniem zmrużonych niebieskich oczu.

– Wciska pan kit. Nic pan nie ma.

– Skąd pan wie? – Chryste, zachowuję się jak gówniarz, pomyślał Fortune. Nieporadny blef, żałośnie łatwy do przejrzenia.

– Dość tego – powiedział Jackson, wstając. – Wynocha. Jazda z mojego domu. Bo zadzwonię po policję. Proszę mi wierzyć, że to zrobię. Dzięki pańskiej córce mam ich numer w najczęściej wybieranych.

Fortune podniósł się i popatrzył na Jacksona, w którego uśmiechu arogancja mieszała się ze współczuciem.

– Ale zrobił pan to, prawda? – odezwał się. – Przespał się pan z nieletnią, a potem się z nią kontaktował. To się naprawdę wydarzyło, tak?

Jackson pokręcił głową

– Ty żałosny harcerzyku. Wyjdź już.

– Moja córka miała rację. Nie myliła się co do pana, niezależnie od tego, co się później wydarzyło.

– Won.

– Jeszcze się spotkamy.

– Oczywiście. Jasne, że tak.

Fortune odwrócił się i wyszedł z salonu, ruszył korytarzem i dotarł do drzwi. Kiedy je otwierał, Jackson odezwał się za jego plecami:

– Wie pan co? Cokolwiek stało się z pańską córką, należało się jej. Proszę mi wierzyć, ta psychiczna jędza zasłużyła sobie.

Fortune się zatrzymał. Przeszło mu przez głowę, że powinien bronić pamięci Sophie, ale jeśli miał być szczery, to nawet nie wiedział, jaka była prawda. Nie znał swojej córki, nie miał pojęcia, jakim stała się człowiekiem. Zszedł powoli po schodach, z powrotem na deszcz. Bardzo potrzebował papierosa.

Zapalił i ruszył przed siebie, myśląc o tym, co usłyszał od Jacksona – i starając się nie wracać pamięcią do zdjęcia, które ten mu pokazał. Istniało w jego umyśle jako upiorny powidok, odrażający, niemożliwy do zrozumienia. Tacy ludzie potrafią... robić różne rzeczy... dzieciom. A Sophie? Co jej przyszło do głowy, żeby oglądać takie zdjęcia i wysyłać je Jacksonowi? Nie chciał uwierzyć, że to zrobiła, że wysłała fotografię, którą zobaczył u Jacksona, ale nie mógł zlekceważyć dowodów. Wzięła nóż i poszła do domu Jacksona. Dlaczego? – pomyślał. Sophie, moja Sophie. Dlaczego?

Zadzwoił telefon. Odebrał.

– Halo.

– Tak, panie, y..., Fortune.

Doktor Aziz. Fortune rzucił papierosa na chodnik i przydeptał go z poczuciem winy.

– Słucham.

– Nadal jest pan w, y... Nie ma pana w Dubaju?

– Tak, nadal jestem w Londynie.

– Naprawdę powinien, y..., powinien pan już wrócić. Należy kontynuować terapię.

– No tak. – Fortune rozejrzał się z telefonem przy uchu. Popatrzył na akrobacje pary szpaków, na piętusa z reklamą wakacji na plaży. – Wiem.

– Czyli, y... wraca pan?

Fortune nie odpowiedział od razu. Potem westchnął.
– Tak – powiedział. – Tak, wracam.

Jedną z zalet latania klasą biznesową jest dostęp do osobnej poczekalni na lotnisku. Żadnych wrzeszczących bachorów, żadnych zorganizowanych wycieczek, żadnych nastoletnich wczasowiczów, którzy rozkręcają się przed odlotem. Fortune rozejrzał się po sali i popatrzył na pozostałych uprzywilejowanych: w większości mężczyźni, pod sześćdziesiątkę albo starsi, w garniturach. Wygodni, zadowoleni z siebie. Zupełnie jak on. Nijacy. Antypatyczni.

Komunikat zakłócił ciszę. Opóźniony lot QR4584 do Dubaju. Samolot Fortune'a. Jakies problemy techniczne. Fortune zerknął po pozostałych oczekujących. Czy ktoś okaże rozdrażnienie? Ze złością złoży gazetę? Zacznie wściekle pisać na klawiaturze telefonu? Parę osób na pewno tak jak on miało pilne sprawy do załatwienia i nie mogło sobie pozwolić na zwłokę. Odczekał kilka chwil, po czym sięgnął do bagażu podręcznego i wyjął komputer Sophie. Nie wiedział, dlaczego zabrał go ze sobą. Być może sam przed sobą chciał zachować pozory, że tak naprawdę nie rezygnuje z prywatnego śledztwa, jeśli można to tak nazwać. Dla podtrzymania fikcji, że nie odpuścił jej sobie, nie przyjął do wiadomości jej samobójstwa.

Bałagan na pulpicie laptopa Sophie stał w rażącej opozycji do praktycznego, świetnie zorganizowanego środowiska poczekalni na lotnisku. Jak można cokolwiek znaleźć w tym chaosie? – pomyślał. Sophie znajduje. Znajdowała, poprawił się. Czas przeszedł. Jej już nie ma. Lepiej zacznij się przyzwyczajać, dodał w myślach, choć nadal w to nie wierzył. Otworzył folder zatytułowany „Pierdoły”. Znajdowały się w nim kolejne foldery: „Osobiste”, „Więcej pierdół”, „Refleksje”, „Dziwaczne pierdoły”. Uśmiechnął się wbrew sobie i otworzył ten ostatni. W środku pliki Worda, każdy o innym tytule. *Powrót do domu, Chłopcy, Rzeczy, których nie ośmielę*

się powiedzieć. Ponownie wybrał ostatni i przeczytał, co Sophie napisała:

Nie mam pojęcia, jak smakuje „dobre” wino.

Wymiękam przy dzieleniu pisemnym.

Nie lubię dzieci i nie chcę ich mieć (raczej nie).

Bez sensu się denerwuję, kiedy mam komuś wręczyć napiwek.

Bywa, że jedyną rzeczą, jaka daje mi radość, jest gin.

Nie potrafię zastanawiać się nad przyszłością.

Nie lubię siebie.

Złe wieści u innych ludzi czasem sprawiają, że czuję się lepiej.

Szkoda, że brak mi śmiałości, żeby być bardziej bezczelną.

Fortune mógł się podpisać pod jednym albo dwoma zdaniem. Gin, to na pewno. Popierał, choć sam nie przepadał. Mógł też pomóc Sophie w ostatnim. Uśmiechnął się do swoich myśli, dopóki nie powrócił do nich widok rzeki, nad którą znaleziono rzeczy córki. Wezbrana, pełna wirów woda. Wyobraził ją sobie, była jak żywa. Znowu poczuł wyrzuty sumienia, że narusza prywatność Sophie. Pomyślał, że powinien wyłączyć komputer i zostawić jej tajemnice w spokoju. Jakie ma do nich prawo? Nie zapracował przecież na zaufanie Sophie, nie zrobił nic, co dawałoby mu wgląd w jej intymność.

Zamknął dokument i zajrzał do folderu „Osobiste”. Znajdowało się w nim mnóstwo dokumentów, większość już wcześniej przejrzał – to głównie sprawy administracyjne, umowy najmu, stare paski z pensją. Był tam też folder „Nie ma mowy”, którego jeszcze nie sprawdził. Otworzył go. W środku tylko jeden dokument. Zatykułowany *Do taty*.

Fortune wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę. *Do taty*. W poczekalni ucichło. Ekran komputera, na którym widniały te słowa, wydawał się naładowany mocą i niewypowiedzianą groźbą, był jak bomba. *Do taty*. Co takiego do niego napisała? Nie wyobrażał sobie, żeby było to coś dobrego, czuły list do kochanego ojca. Fortune nie był przecież „kochającym ojcem”. Był kiepskim ojcem, zaniedbującym swoje obowiązki i nieobecnym. Wiedział o tym doskonale. Czy naprawdę musi jeszcze o tym czytać? Czy potrzebuje potwierdzenia od nieżyjącej córki? Patrzył na ekran i czuł, jak wypełnia go strach. Nie mógł tego nie przeczytać. Choć wolałby tego nie robić.

Podniósł głowę i zobaczył, że dopiero za godzinę będzie mógł wejść na pokład samolotu. Co innego ma do roboty? Wziął głęboki oddech, pomyślał, że chętnie poszedłby na papierosa, ale uznał, że tego nie zrobi. Potem. Najpierw lektura.

Drogi Tato,

minęło dużo czasu, wiele lat, od kiedy mieliśmy okazję poważnie porozmawiać. Żałuję tego i źle się z tym czuję. Chciałabym móc wymazać cały ten czas, gdy byliśmy sobie obcy, i wrócić do tego, co było wcześniej. Do czasów, kiedy trzymałam Cię za rękę, kiedy brałeś mnie na barana i byłeś tatą, a ja chciałam być tylko z Tobą.

Wiem, że to w dużej części moja wina. Wiem, że byłam trudna, a ty nie miałeś pomysłu, co ze mną zrobić, co mi powiedzieć. Rzecz w tym, że sama nie wiedziałam, co ze sobą począć, i chciałam, żebyś mi powiedział, że będzie dobrze i że jestem coś warta. Że mnie kochasz. Zawsze zależało mi na tym, byś mówił mi, że mnie kochasz, ale im było ze mną gorzej, tym rzadziej to robiłeś. Aż w końcu zdałam sobie sprawę, że już mnie nie kochasz, że wszystko zepsułam i że już za późno.

Być może to nieuniknione, tak się po prostu dzieje, kiedy dwoje ludzi nie potrafi się zrozumieć. Nadal bardzo cię kocham i nie chcę myśleć, że zostawiłeś mnie, odszedłeś, ponieważ miałeś dość. Ale muszę Ci to powiedzieć. Żałuję, że to zrobiłeś. Wolałabym, żebyś bardziej postarał się mnie zrozumieć i zechciał mi pomóc. Tylko trochę bardziej. Kto wie? Może coś by z tego wyszło. Naprawdę mogło się udać.

Pamiętasz, jak byłam mała i rozdzieliliśmy się w metrze? Byłam całkiem sama, musiałam zaczekać, aż przyjdiesz i mnie odnajdziesz. Ciekawe, czy pamiętasz. Powiedziałam Ci wtedy, że wiedziałam, że po mnie przyjdiesz, że nie wątpiłam w to. Wiedziałam, że będziesz przy mnie, ponieważ jesteś moim tatą.

Teraz już nie mogę tego powiedzieć i na samą myśl o tym chce mi się płakać. Nie obarczam Cię winą. Byłam trudna i przepraszam za to z całego serca. Wiem, że jest dla nas za późno i że nigdy nie wyślę tego listu. Nawet nie mam Twojego adresu. Ale chcę powiedzieć, że jest mi przykro i że bardzo, bardzo chciałabym móc znów powiedzieć, że będziesz przy mnie tak jak kiedyś.

Całuję,

Twoja córka Sophie.

Fortune nie wiedział, jak długo wpatrywał się w ekran, w dokument, który przy całej swej wspaniałomyślności i życzliwości – których Fortune nigdy nie będzie miał okazji odwzajemnić – obnażał wszystkie jego błędy w relacjach z córką. Sophie, pomyślał, to ja przepraszam. Żałuję tego od lat, ale zawsze brakowało mi odwagi albo pokory, by ci to powiedzieć. A teraz jest już za

późno. Zostawiłaś mi ten list i będzie mnie on prześladował do końca życia.

– Proszę pana?

Fortune podniósł głowę i zobaczył, że stoi nad nim kobieta. Patrzyła na niego zaniepokojona i Fortune naraz uświadomił sobie, że płacze i ma policzki mokre od łez.

– Wszystko w porządku?

– Tak – odparł. – Tak. Nic mi nie jest.

– Może coś panu przynieść?

– Nie, dziękuję. – Kobieta odwróciła się, ale zanim odeszła, Fortune zmienił zdanie. – Albo tak. Czy mógłbym poprosić o gin z tonikiem?

– Oczywiście. Czy jest pan pewien, że wszystko dobrze?

– Tak – powiedział. – Niech będzie sam gin. Dziękuję – dodał po chwili.

Kiedy kobieta wróciła z drinkiem, Fortune wypił go jednym haustem. Poczuł, jak ciepło alkoholu rozlewa się po jego organizmie. Koniecznie musiał zapalić. Schował komputer, zabrał torbę i ruszył do wyjścia z poczekalni. Przeciął halę odlotów i udał się do strefy dla palących. Zapalił na zimnie, wciągnął dym głęboko do płuc i spróbował go tam zatrzymać, by nie dopuścić do ataku kaszlu. Młoda kobieta, która też ćmiła, skinęła mu głową; tajne braterstwo wiernych niemodnemu nałogowi. Fortune odpowiedział skinieniem głowy i odebrał telefon, który w tej samej chwili zadzwonił w kieszeni.

– Fortune.

– Mówi Alex. Upewniam się, że jesteś już w drodze.

– Jestem. Co prawda mój lot ma opóźnienie, ale czekam już na lotnisku.

– To dobrze. – W głosie Aleksa słychać było ulgę.

– Coś nowego? – spytał Fortune. – Jak wygląda sytuacja?

– Tak, że pieniędzy jak nie było, tak nie ma. Sadler próbuje to ugryźć z innej strony. To dotyczy kwoty, która zniknęła.

– Tak?

– Uważa, że nie jest bez znaczenia. Bo skoro kradniemy, to czemu nie równą sumkę? Dlaczego akurat niecałe dziewięćdziesiąt milionów? Albo nieco ponad siedemdziesiąt? Uczepił się tego.

– Może to kwestia kursu? – podsunął Fortune.

– To samo powiedziałem. Zdaniem Sadlera to bez związku. Mówi, że musi być w tym jakiś głębszy sens.

– W porządku. W sumie za to mu płacimy. Odezwę się, kiedy wyląduję.

– Koniecznie.

Fortune rozłączył się, zgasił papierosa i wrócił do poczekalni z postanowieniem, że wbrew temu, co Sophie napisała w liście, tym razem jej nie zostawi. Tyle że akurat w tej chwili nic nie mógł zrobić.

Pasażerowie klasy biznesowej weszli na pokład przed pozostałymi, Fortune jako jeden z pierwszych. Zajął miejsce przy oknie blisko dziobu. Miał tyle miejsca na nogi, że musiał się wyciągnąć, żeby dotknąć butem fotela przed sobą. Czekał, aż pozostali wywalczą sobie miejsca w klasie ekonomicznej, przejrzał emaile na telefonie; szukał wiadomości od Aleksa. Nie pamiętał, kiedy tamten ją wysłał, pewnie jakieś cztery, pięć dni wcześniej. Może sześć.

– Witamy na pokładzie – odezwała się stewardesa. – Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, proszę nacisnąć ten przycisk – pokazała.

– Dziękuję – odparł. Klasa biznesowa. Niemal autentyczna troska. Niemal. Przesunął listę wiadomości, otworzył email od Aleksa. To nie ten. Zamknął go, przesunął niżej, znalazł kolejny. Ten. Informacja o tym, jaka dokładnie suma zniknęła. Osiemdziesiąt dziewięć milionów dziewięćset siedemnaście tysięcy czterdzieści dwa dolary. Mnóstwo pieniędzy. Ale Sadler miał rację. To dziwna suma. Bo czemu nie zabrać pełnych stu milionów?

– Bardzo proszę o zapięcie pasów – powiedziała ta sama stewardesa. Angielka, długie, ciemne włosy, intensywnie czerwone paznokcie. Ładna. Fortune usłuchał.

– Oczywiście.

Wrócił do liczby widniejącej na ekranie telefonu. Dziwna, tajemnicza, prawie na pewno ma znaczenie. Tylko jakie? Wykraczające poza ciąg cyfr i sumę pieniędzy. Wpatrywał się i kręcił głową. Może to przez list od córki, może przez niego nie myślał trzeźwo. Pewnie tak.

Sophie. Poczul ukłucie w piersi, a potem jakby wszystko stanęło w miejscu.

Sophie.

– Przepraszam! – zawołał do stewardesy. Znajdowała się kilka rzędów dalej i szła w drugą stronę, ale zawróciła.

– Słucham pana?

– Czy ma pani kartkę i długopis?

– Długopis tak. – Wyjęła go z kieszeni spódnicy. – Ale kartki nie. Przykro mi.

– Nie szkodzi. – Sięgnął po magazyn linii lotniczej. – Mogę?

– Oczywiście, to pański egzemplarz.

Fortune otworzył magazyn, znalazł stronę z reklamą perfum, na której było dużo niezadrukowanego miejsca, i zapisał liczbę. 89917042. Poniżej napisał ją od końca. Powoli, żeby się nie pomylić. To niemożliwe, nie może być. Musi tu być jakiś błąd.

24071998.

24.07.1998.

Tego dnia urodziła się Sophie. Dwudziestego czwartego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku.

Rozpiął pas bezpieczeństwa, wstał i sięgnął do schowka po bagaż. Wyjął torbę i ruszył do wyjścia. Przy zamkniętych drzwiach stała ta sama stewardesa, która pożyczyła mu długopis.

– Tak, proszę pana?

– Muszę wsiąść.

– Ale drzwi zostały już zamknięte. Za chwilę startujemy.

– Muszę wsiąść – powtórzył.

– Ale...

– Teraz. Natychmiast. Muszę wsiąść. Rozumie pani?

– Ale... proszę poczekać.

Odeszła szybkim krokiem. Znalazła starszego kolegę i zamieniła z nim kilka słów. Mężczyzna podszedł do Fortune'a.

– Obawiam się, proszę pana, że jest już za późno na opuszczenie samolotu – powiedział. – Wszyscy są na pokładzie.

– Ale ja muszę wsiąść. W tej chwili.

– Przykro mi, proszę pana – odparł mężczyzna. Stewardesa przyglądała się Fortune’owi z z troskaniem. – To po prostu niemożliwe.

Fortune spojrział na drzwi. Były wyposażone w dużą dźwignię, na której umieszczono skierowaną w lewo zakrzywioną strzałkę i napis: „OTWIERANIE”. Nie wyglądało to na „niemożliwe”. Chwycił dźwignię, pociągnął i drzwi się otworzyły.

– Ależ proszę pana! – zaprotestował steward. Jedna z pasażerek krzyknęła. Fortune miał to gdzieś. Za nic w świecie ten samolot nie wystartuje z nim na pokładzie.

Ktoś mi to robi. Ktoś, kto wie o mnie za dużo. Może Charlie Jackson. To może być on. No nie wiem. Ktoś próbuje zniszczyć mi życie, rozbierając je kawałek po kawałku. I wiecie co? Nie pozwolę na to. Nie pozwolę, żeby do tego doszło.

Wczoraj Sam, posiadacz zaszczytnego tytułu „najgorszego gospodarza w historii”, zadzwonił z informacją, że podjęto decyzję o mojej eksmisji. Z jakiegoś powodu, nie wiem dlaczego, naprawdę nie potrafię tego wyjaśnić, wnerwiło mnie to bardziej niż zwolnienie z pracy, bardziej niż brednie o Jacksonie i stalkingu, bardziej niż to, że znaleźli u niego mój nóż. Żeby wykopać mnie z mieszkania, wyrzucić na bruk, to po prostu... niesprawiedliwe.

Przeszłam się po mieszkaniach, domach i sklepach w najbliższej okolicy, w zasięgu głosu, i pytałam ludzi, czy ostatnio mieli powody, żeby skarżyć się na hałas. I wiecie co? Od wszystkich usłyszałam, że nie, jest cicho, to znaczy cicho jak na ulicę w Hackney. Nikt nie słyszał niczego niezwykłego. Szczęściarze z nas.

Tak, jasne.

Rozmawiałam z adwokatem, któremu przydzielono moją sprawę – tę, którą wniósł Charlie Jackson. To młody chłopak, odniosłam wrażenie, że nie ocenia moich szans zbyt wysoko. Spotkaliśmy się u niego w biurze, klitce wciśniętej pomiędzy punkt bukmacherski a sklep monopolowy o nazwie Tanie Chłanie. Usiadłam, a on najpierw poświęcił kilka minut na przekartkowanie moich akt, a potem podniósł głowę i zapytał:

– Czy była pani leczona psychiatrycznie?

Bez żadnych wstępów, bez zbędnych ceregieli. Bez zastanawiania się, od której strony ugryźć sprawę.

– Tak.

– Czy oskarżano już panią o nękanie?

– Nie. Ponieważ nigdy nikogo nie nękałam.

Zignorował tę deklarację niewinności i powiedział:

– Czy podejmowała pani próby samobójcze?

– Tak.

– Ile?

Wicie co? Musiałam się zastanowić. Naprawdę.

– Cztery – odparłam w końcu. W tym jedna nie do końca poważna, ale chyba liczą się wszystkie, zwłaszcza te, po których lądujesz w szpitalu na płukaniu żołądka.

– Czy przyjmuje pani leki?

– Nie.

– A czy pani przyjmowała?

– Tak.

– Jakie?

– Prozac. Lit. Jakieś neuroleptyki, ale nie pamiętam nazwy. Chlorcośtam.

– Dlaczego pani przestała?

Bo dostawałam od nich drgawek. Sprawiały, że pociłam się w nocy. Traciłam zainteresowanie czymkolwiek. Pozbawiały mnie emocjonalnego zaczepienia w świecie. Potrzebowałam celu, niezależności i kogoś, kogo mogłabym kochać i kto kochałby mnie – nie znalazłabym tego, gdybym całymi dniami snuła się jak lunatyk. Nie powiedziałam tego wszystkiego. Odparłam za to:

– Bo poczułam się lepiej.

– Trzeba będzie zrobić badania psychiatryczne. Zobaczymy, co pokażą.

– Myśli pan, że jestem winna, prawda?

– Nie ma znaczenia, co ja myślę.

I tak to. Nie mam pracy i nie będę miała gdzie mieszkać, chyba że pójde do więzienia, co zdaniem mojego beznadziejnego adwokata jest wielce

prawdopodobne. Jakim cudem ktoś zdołał zrobić mi coś takiego? Tchórz. Małostkowy, nikczemny, podstępny, ohydny tchórz.

Josh uważa, że powinnam się stąd wyrwać, bo w przeciwnym razie sama proszę się o kolejne kłopoty. Za dwa dni leci do Paryża. Podał mi nazwę restauracji i godzinę. Spotkamy się tam, w obcym kraju, z dala od wszystkiego. Nie mogę się doczekać. Przez dzień albo dwa to, co się tu dzieje, wyda mi się odległe, nieistniejące. Kto wie, może nawet nie wrócę do Anglii? Gdyby tak zacząć nowe życie w jakimś odległym zakątku, gdzie nikt mnie nie znajdzie? Zobaczymy, co powie Josh. Może wyruszy razem za mną. Wyobraźcie to sobie.

W świecie po zamachach z jedenastego września, dżihadu i ludzi z bombami ukrytymi w butach, człowieka, który otwiera drzwi samolotu szykującego się do startu, traktowano bezwzględnie, wręcz brutalnie. Czterech ochroniarzy wykręciło Fortune'owi ręce, skuło go plastikowymi kajdankami i poprowadziło przez halę odlotów, trzymając mu ręce wysoko w górze, tak że piekły go ramiona, a pęd sprawiał, że musiał szybko przebierać nogami. Trzymał go jeden ochroniarz, pozostali trzej torowali drogę przez tłum przerażonych pasażerów. Ludzie patrzyli na niego z otwartymi ustami i nie mogli uwierzyć, że to się dzieje, że tu i teraz dochodzi do aktu t e r r o r u. Jeden z ochroniarzy podbiegł do niepozornych drzwi i otworzył je. Drugi wepchnął Fortune'a do środka. Ruszyli wyłożonym wykładziną korytarzem.

Umieścili Fortune'a w pomieszczeniu bez okien, w którym znajdowały się stół i dwa krzesła. Kazali mu podejść pod ścianę i rozstawić nogi. Rozkuli go i polecili, by oparł dłonie o ścianę. Odebrali mu paszport, portfel i telefon. Musiał też zdjąć buty. W pomieszczeniu było gorąco, jasno i bardzo, bardzo cicho. Fortune'owi przysłała do głowy procedura nadzwyczajnego wydania zbiega i zaczął się zastanawiać, czy Afgańczycy i Syryjczycy też trafiają do tego pokoju, zanim nieoznakowane samoloty zabiorą ich do podziemnych baz w Polsce, Ukrainie i Jordanii. Ściany pomieszczenia pomalowano na pastelową zieleń. Nie było nic do picia, nie było gdzie się wysikać. Jedna z jarzeniówek migotała i buczała. Ochroniarze wyszli bez słowa, nie informując go, kiedy wrócą, ani co go czeka. Oczywiście, rozumiał, że dżihadyści nie muszą wyglądać stereotypowo, ale bez przesady, raczej nie skrywają się pod przebraniem pięćdziesięcioczworoletnich ekspatriantów z lekką nadwagą. A może i tak – i stąd to traktowanie. Tak czy owak, Fortune chwilowo nigdzie się nie wybierał i nie miał nic lepszego do roboty, niż

zastanawiać się nad tym, co odkrył.

Nad zbieżnością pomiędzy skradzioną sumą pieniędzy a datą urodzin Sophie. Czy to możliwe, że to tylko splot okoliczności? Fortune dał sobie spokój z nauką w wieku szesnastu lat, w dodatku nie był orłem z matematyki, ale przypuszczał, że prawdopodobieństwo przypadku jest niewielkie. Wobec tego, co to oznacza? Czy to, że Sophie jednak miała rację i ktoś ją dręczył, pogrywał z nią – wrabiał? O kogo mogło chodzić? Kto byłby w stanie ukraść sto sześćdziesiąt milionów z jednego z najlepiej zabezpieczonych banków na Bliskim Wschodzie? Fortune nie mógł tego pojąć, nie umiał połączyć faktów tak, by złożyły się w sensowną całość. Wszystko to brzmiało jak zupełne wariactwo. Do diabła, znajdował się gdzieś w trzewiach Heathrow, w łapach ochroniarzy, którzy takich jak on niewinnych ludzi przekazują agentom wywiadu, a ci z kolei wysyłają ich na tortury do dalekich krajów. „Wariactwo” to zdecydowanie za mało powiedziane.

Otworzyły się drzwi i do środka weszli kobieta i mężczyzna, oboje młodzi, trzydziestokilkuletni. Mężczyzna w garniturze, kobieta w kostiumie. Mężczyzna w okularach bez oprawek, gładko ogolony. Kobieta drobna, o południowoazjatyckiej, być może hinduskiej, karnacji. Zamknęli za sobą drzwi. Mężczyzna miał przymocowaną do paska kaburę z bronią. W Dubaju każdy policjant nosił przy sobie broń, ale w Wielkiej Brytanii to jednak rzadkość. Zaskoczony Fortune wstał.

– Pan Fortune? – odezwała się kobieta.

– Tak.

– Niech pan usiądzie.

Nie posłuchał.

– Siadać – wspomógł koleżankę mężczyzna.

Posłuchał. Kobieta zajęła miejsce po drugiej stronie stołu. Mężczyzna ustawił się przy drzwiach – Data urodzenia.

– Trzynasty sierpnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego.

– Adres.

– W Dubaju czy w Anglii?

– W Anglii.

Podał adres żony, numer telefonu, nazwisko pracodawcy, wysokość miesięcznych zarobków, dzień wyjazdu z terytorium Wielkiej Brytanii, imiona żony i córki, nazwę uczelni, którą ukończył, otrzymane oceny, potwierdził pięć ostatnich transakcji kartą kredytową, wniosek o wypłatę ubezpieczenia po wypadku samochodowym sprzed dziesięciu lat, markę i model auta. Był zdumiony liczbą informacji, jakie udało im się zgromadzić w tak krótkim czasie. Całe jego życie w kilka minut.

– Kim jesteście? – zapytał.

– W tej chwili to nie ma znaczenia – odparła kobieta. – Proszę odpowiadać na pytania.

– Chcę wiedzieć, kim i na czyich usługach jesteście.

– „Na czyich usługach”? – powtórzyła kobieta. – Reprezentujemy rząd Wielkiej Brytanii. Proszę przestać zadawać pytania i pozwolić mi wykonywać obowiązki.

– W porządku. Niech pani pyta.

– Dlaczego otworzył pan drzwi samolotu?

– Chciałem wsiąść.

– Dlaczego?

Dlaczego? Fortune zastanowił się nad swoją historią, nad tym, że brzmiała jak bredzenie wariata. Popatrzył na kobietę. Nigdy nie widział kogoś aż tak wyzutego z poczucia humoru. Co pomyśli o jego wyjaśnieniach? Uzna go za wariata.

– Dostałem ataku paniki.

– Czyżby? – Nie przekonała jej ta odpowiedź.

– Jestem ostatnio mocno zestresowany.

– Chodzi o córkę.

Mój Boże, o tym też wiedzą?

– Tak.

– Odebrała sobie życie?

Fortune pokiwał głową.

– Nie jestem sobą.

– Nie. – Kobieta popatrzyła mu w oczy, a Fortune postarał się wytrzymać

spojrzenie. Miała brązowe tęczówki i była dość ładna, choć wyglądała na bezwzględną. – Zdaje pan sobie sprawę, że samolot nadal stoi na płycie lotniska? Musieliśmy przeprowadzić kontrolę, znaleźć pański bagaż.

– No tak. – Nie pomyślał o tym.

– Pomijam to, że połowa pasażerów spanikowała. Czy pan to rozumie?

– Chyba tak. – Brzmiał jak skruszony uczeń. Poczł obrzydzenie do samego siebie. Ta młoda kobieta mogłaby być jego córką.

– Zapytam raz jeszcze: dlaczego otworzył pan drzwi?

– Bo... po prostu musiałem wysiąść. Przyszła mi do głowy szalona myśl, że moja córka nadal żyje i nie mogę jej tak zostawić. Nie mogłem... Nie mogłem jej porzucić. – Naraz uświadomił sobie, że mówi prawdę. Właśnie to się zdarzyło. Po prostu nie wspomniał o pieniądzech. Nie mów o pieniądzech, pomyślał. Bo uznają cię za wariata.

– Na litość boską – syknął mężczyzna przy drzwiach, ale kobieta uciszyła go podniesioną dłonią. Widać, kto tu dowodzi. Zatrudniłby taką osobę bez mrugnięcia okiem. Urodzona szefowa. Twarda sztuka.

– No dobrze – odezwała się. – Zrobimy tak: zatrzymam pański paszport.

– Dlaczego?

– Dlaczego? Ponieważ chcę sprawdzić kilka rzeczy. I wolałabym, żeby nie powtórzył pan tego, co tu wywinał, na pokładzie kolejnego samolotu. Jasne?

Fortune pokiwał głową.

– Jasne. – Wzbudzała respekt, bez dwóch zdań.

– Proszę. – Podsunęła mu wizytówkę, na której widniało jedynie nazwisko: Sunita Gandham, oraz numer telefonu.

– Tajemniczo.

– Jeśli będzie pan miał jakiś problem, będzie chciał porozmawiać, proszę dzwonić – powiedziała, ignorując jego komentarz. – Jeśli nie odbiorę, proszę zostawić wiadomość. Rozumiemy się?

– Tak.

– Gdzie się pan zatrzyma?

Nie zastanawiał się nad tym. Pewnie wróci do hotelu, z którego właśnie się wymeldował. Przynajmniej znał tam barmana. Wymienił nazwę. Mężczyzna

sprawdził hotel w internecie. Poprosił Fortune'a o podanie adresu i opisanie holu. Pewnie na stronie jest zdjęcie, pomyślał Fortune. Opisał hol takimi słowami, że mogły dotyczyć praktycznie każdego hotelu na świecie, ale to najwyraźniej usatysfakcjonowało mężczyznę, bo krótko kiwnął głową z aprobatą.

– Okej – powiedziała kobieta.

– Okej?

– Okej, jest pan wolny. Okej, zachował się pan jak kretyn, ale myślę, że w tym przypadku zachodzą okoliczności łagodzące. Okej, jest szansa, że nie będę zmuszona pana aresztować. Tak?

Fortune przyznał jej rację.

– Dziękuję.

– Proszę mi nie dziękować. Fab? Możesz przynieść jego rzeczy?

Mężczyzna skinął głową i wyszedł. Fortune i kobieta siedzieli w milczeniu.

– Przeżywa pan ciężkie chwile – odezwała się w końcu.

– Można tak powiedzieć.

– Okropne. To z pańską córką.

Fortune potaknął.

– Tak.

Mężczyzna o imieniu Fab wrócił z rzeczami Fortune'a: bagażem, telefonem, portfelem i butami. Fortune wstał, zabrał wszystko od mężczyzny i uklęknął, żeby założyć buty. Kiedy zawiązywał sznurówki, czuł na karku spojrzenie oczu agentów. Wyprostował się i przez chwilę stał, nie bardzo wiedząc, co robić.

– Co pan tu jeszcze robi? – odezwała się Sunita. – Sio!

Czekając na taksówkę, Fortune zadzwonił do Owena, chociaż wcale nie miał na to ochoty. Zapalił papierosa. Patrzył, jak dym ulatuje w chłodne, wieczorne powietrze, i słuchał sygnału.

– Tak?

– Owen? Mówi Fortune.

– Fortune. Jesteś już w Dubaju?

- Nie. Nadal w Londynie.
- Udam, że tego nie słyszałem.
- Muszę zostać.

Owen milczał przez chwilę.

- Pamiętasz, co ci mówiłem?
- Pamiętam.
- Doigrałeś się. Jesteś skończony.
- Muszę tu zostać. To ważne.

– Ważne jest to, że jakiś sukinsyn ukradł sto sześćdziesiąt milionów dolarów z mojego banku, a mój jebany szef operacji, czyli ty, bo może zapomniałeś, przez tydzień opierdalał się w Londynie, szukając swojej córki, która, powiedzmy sobie szczerze, raczej nie wróci.

Fortune poczuł szarpnięcie w okolicy serca; przyspieszony puls, uwolnienie adrenaliny. Do diabła z tym, pomyślał.

- Jesteś tam? – odezwał się Owen.

– Jestem. Jestem tu i zamierzam odnaleźć moją córkę, a ty... ty możesz sobie znaleźć innego durnia, który będzie dla ciebie harował, bo ja rezygnuję. Odchodzę. Powodzenia.

- Nie możesz, do kurwy nę...

– Owszem, mogę – przerwał mu Fortune i się rozłączył. Wypuścił powietrze, wyjął papierosa i zapalił go. Zaciągnął się i pomyślał, że po rozmowie z szefem czuje się jednak dużo lepiej, niż się spodziewał.

Trzeci raz w ciągu pięciu dni pokonywał trasę z lotniska do hotelu i wiedział, na których odcinkach można się spodziewać wzmożonego ruchu. Ale że było już późno, podróż zajęła tylko niecałą godzinę. Fortune uiścił niebotyczną opłatę za przejazd z jeszcze większą niechęcią niż dwoma poprzednimi razy. Zameldował się w tym samym hotelu, co ostatnio. Kobieta w recepcji uniosła pytająco brwi, ale opuściła je, kiedy zobaczyła minę Fortune'a. Fortune wziął klucz i podziękował za usługi bagażowego, uznawszy, że rozstał się z wystarczająco dużą sumą pieniędzy jak na jeden dzień. Wiedział

przecież, jak wygląda pokój i jak działa telewizor. Był tu już dwa razy.

Z pokoju zadzwonił do Aleksa. Był mu to winien. Poza tym miał do niego jeszcze jedną prośbę.

– Fortune?

– Słyszałeś?

– Owen nam powiedział. Nie wracasz?

– Nie, nie wracam. Przykro mi.

Alex westchnął.

– Cholera, sam nie dam rady.

– Masz Sadlera. Owen znajdzie kogoś na moje miejsce.

– Ta. Pewnie kolejnego Wielkiego Dyndającego Kuta... – Alex urwał. – Sorry. Nie chciałem...

– Nie szkodzi. – Fortune prawie się roześmiał. – Mam pytanie.

– Wal.

– Chodzi o tę drugą sumę, która zniknęła. Wiem, że około siedemdziesięciu milionów, ale ile dokładnie?

– Siedemdziesiąt jeden milionów dwadzieścia trzy tysiące trzydzieści dwa dolary – odparł bez wahania Alex. Nauczył się tej liczby na pamięć, pomyślał Fortune i zapisał ją, czując wyrzuty sumienia. Porzucił Aleksa, którego lubił i darzył szacunkiem.

– Przepraszam – powtórzył.

– Jasne. Do zobaczenia przy okazji.

– Oby. – Fortune rozłączył się i przyjrzał liczbie. Zapisał ją ponownie, tyle że od końca.

23032017.

23.03.2017.

Dwudziestego trzeciego marca tego roku. Zerknął na zegarek. Za dziesięć dni. Pierwsza liczba, pierwsza skradziona suma, odpowiadała dacie urodzin Sophie. A druga – cóż mogła oznaczać? Czy w ogóle miała jakieś ukryte znaczenie? A może to dzień, w którym Sophie... umrze?

– Są solidne tropy i są spekulacje.

Był zimny ranek. Fortune ponownie siedział naprzeciwko Marsha w dusznym pokoju przesłuchań, Marsh zaś nie wydawał właściwych odgłosów, nie mówił tego, co Fortune chciał usłyszeć. Pochylił się za to, zapewne po to, aby Fortune lepiej zrozumiał wagę tego, co miał do powiedzenia.

– A to są, panie Fortune, spekulacje. Za pracę policji płaci brytyjski podatnik, który nie oczekuje, że będziemy uganiai się po całym kraju za nie wiadomo czym, opierając się na nie wiadomo czym.

– Chyba nie wierzy pan, że to zbieg okoliczności.

– Dla mnie to j e s t zbieg okoliczności, dopóki nie zdarzy się coś, co skłoni mnie do zmiany zdania. Na razie mam zaginioną kobietę, która prawdopodobnie popełniła samobójstwo, oraz jej ojca, który wymyśla mało wiarygodną teorię.

– Wobec tego w jaki sposób zniknęły pieniądze?

Marsh wzruszył ramionami.

– A zniknęły? Jeśli tak, to może pan je ukradł, żebyśmy my, policja, nie zamknęli dochodzenia? Żeby się tego dowiedzieć, potrzebuję ludzi. – Odchylił się na fotelu i położył dłonie na brzegu stołu. – Nie mam środków. Gdybym o nie poprosił, zostałbym wyśmiany. Podkreślam: gdybym. Ale nie zrobię tego, ponieważ nie wierzę w ani jedno pańskie słowo. – Westchnął. – Im częściej się spotykamy, tym wyraźniej dostrzegam pokrewieństwo.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– To, że pan zachowuje się irracjonalnie i trudno się z panem rozmawia. Rozumiem jednak, że źle się pan czuje.

– Irracjonalnie? – zaprotestował Fortune, ignorując protekcjonalny ton

Marsha. – Przykro mi, ale nie mogę się z tym zgodzić. Podaję panu konkretne liczby, może pan zweryfikować ich prawdziwość. Irracjonalnie, dobre sobie! – Zdawał sobie sprawę, że podnosi głos. Przerwał i spróbował zapanować nad sobą.

– Do tego agresywny – powiedział Marsh. – Pańska córka zachowywała się tak samo.

– Przepraszam – przyznał Fortune. – To po prostu coś nowego, nowa informacja. Musi pan to zrozumieć.

Marsh nie zareagował. Zamiast tego zapytał:

– Co pan robił w domu Charliego Jacksona?

– Słucham?

– Proszę się nie zgrywać. Co pan tam robił?

– Chciałem z nim porozmawiać. Zrozumieć go.

– Aha. – Marsh pokiwał głową, tak jakby słowa Fortune’a miały dla niego sens – a nie miały. – Powiedział, że zachowywał się pan agresywnie. Że okłamał go pan i próbował szantażować. Czy to prawda?

– Nie – odparł Fortune, choć w duchu przyznał, że Jackson trafnie podsumował spotkanie. – Nie rozumiem, dlaczego bierze pan jego stronę. Jackson to kanalia, to przecież oczywiste.

– Niewykluczone. Ale jest to też osoba publiczna. Cieszy się określoną reputacją i ma ludzi, którzy o niego dbają. Na przykład prawników. Poza tym nie zrobił nic złego.

– Oprócz tego, że być może porwał i przetrzymuje moją córkę.

Marsh uniósł brwi.

– No dobrze – powiedział i zaczął wstawać. – Myślę, że rozmowa skończona.

– Nie! – zaprotestował Fortune. Miał nadzieję, że nie było słyhać desperacji w jego głosie. Ile to już razy błagał tego człowieka? – Proszę, niech mnie pan wysłucha.

– Ma pan coś więcej do powiedzenia?

– Nie, ale... Musi pan się temu przyjrzeć.

Marsh położył dłonie na stole i się pochylał.

– Panie Fortune, nie mamy już o czym rozmawiać.

– Mamy!

– Ależ nie – powtórzył Marsh. – Wychodzę. Przyślę funkcjonariusza, który odprowadzi pana do wyjścia. Uprzedzam, że kiedy następnym razem zobaczę pana numer na wyświetlaczu, nie odbiorę. Jasne?

Do Fortune'a dotarło, jak musiała się czuć jego córka w kontaktach z obojętnymi, niewrażliwymi przedstawicielami władzy. Uświadomił sobie, że siedzi zgarbiony z napiętymi mięśniami ramion. Rozluźnił je.

– Niech pan poszuka pomocy – oznajmił Marsh. – Dla własnego dobra. – Podszedł do drzwi, otworzył je i wyszedł, nie oglądając się za siebie. Po chwili Fortune wstał i ruszył korytarzem prowadzącym do wyjścia z komisariatu, drogą, którą pokonywał już zbyt wiele razy.

Kiedy Jackson uchylił drzwi i zobaczył Fortune'a, wyglądał nie tyle na zaskoczonego, co na znużonego.

– Nie – powiedział. – Nieważne, o co chodzi. Spadaj pan.

Fortune, rzecz jasna, przewidział taką reakcję, więc zamiast słów użył siły, przecisnął się obok Jacksona i wszedł do jego domu. Zatrzymał się w korytarzu i odwrócił. Jackson, który nadal stał przy otwartych drzwiach, zapytał zaskoczony:

– Co pan, u diabła, wyrabia?

– Proszę mi powiedzieć – odezwał się Fortune żalonym tonem, za który znienawidził siebie; za to, że musi błagać tego leniwego, aroganckiego, wyniosłego sukinsyna. Ale robił to dla córki, dla Sophie. Musiał się dowiedzieć. – Proszę po prostu powiedzieć mi prawdę. Muszę wiedzieć.

– Dzwonię na policję – ostrzegł Jackson, wyjmując telefon. Fortune wyrwał mu go z ręki i cisnął na schody. Aparat odbił się i poleciał na ulicę, gdzie rozpadł się na kawałki z przyjemnym dla ucha Fortune'a trzaskiem. Fortune zamknął drzwi i odwrócił się do Jacksona, który popatrzył na niego z niedowierzaniem.

– Proszę posłuchać – zaczął Fortune. – Chodzi o to... – urwał, zamrugał raz

i drugi, zamknął oczy. Zabrakło mu tchu, poczuł, że nogi się pod nim uginają. Usiadł na pierwszym stopniu schodów prowadzących na piętro. Podłoga była wyłożona kafelkami; wiktoriański wzór. Bolało go w piersi, miał wrażenie, jakby ktoś obwiązał go sznurem i coraz mocniej zaciskał. Nabrał powietrza, potem raz jeszcze, spróbował zapanować nad oddechem. Miał wrażenie, jakby się unosił, jakby opuścił ciało, naraz nic nie ważył i napędzała go jedynie wściekłość. Co ten człowiek zrobił Sophie?

– Wynoś się pan z mojego domu – powiedział Jackson.

Fortune odzyskał panowanie nad oddechem. Czuł się, jakby zbyt długo przebywał pod wodą. Piers piekła go od braku tlenu, paliła żywym ogniem. W końcu podniósł głowę.

– Chcę wiedzieć, gdzie jest moja córka.

– Niech pan posłucha uważnie – odparł Jackson. Pochylił się i chwycił Fortune'a za jedną z klap jego płaszcza. – Nie. Mam. Pojęcia. Czy to do pana dociera? Nie wiem, co się stało z tym pomyłonym babsztyłem i gównem mnie to obchodzi. – Wyprostował się. – Rozumie pan? – Podniósł głos prawie do krzyku. – Mam to gdzieś!

– O co poszło? – powiedział Fortune. – Polowała na pana, więc pomyślał pan, że się odegra, tak? Pisał pan komentarze na jej blogu. Opowiadał policji kłamstwa o tym, że pana prześladuje. Tak było?

Jackson objął głowę dłońmi i potarł się po policzkach.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Jak pan wyprowadził pieniądze?

– Jakie pieniądze?

– Pieniądze. – Fortune wsparł się na poręczy i dźwignął na nogi. Jackson patrzył na niego z niedowierzaniem, jakby Fortune był szympansem, który jakimś sposobem wtargnął do jego domu. – Co to miało być? Wiadomość dla mnie? Jeśli tak, to dotarła. Przyszedłem.

– Jesteś pan tak samo stuknięty jak ona – stwierdził Jackson. – Kompletny wariat.

Po raz drugi tego dnia porównano Fortune'a do Sophie. Nie przeszkadzało mu to. Była jego córką, kochał ją. I zamierzał ją odnaleźć.

– Nie wyjdę – powiedział – dopóki...

– Charlie? – przerwał mu kobiecy głos. Fortune odwrócił się i zobaczył dziewczynę, bardzo młodą dziewczynę, na szczycie schodów. Zasłaniała się kołdrą. Miała otwarte usta i wyglądała na przestraszoną. – Charlie, co się dzieje?

– Nic – rzucił Jackson. – Wracaj na górę.

– Ile masz lat? – spytał Fortune. Odwrócił się do Jacksona. – Ile ona ma lat?

– Wystarczająco dużo – odparł prezydent. – Czy może pan wreszcie wyjść? Fortune wyjął telefon i zrobił dziewczynie zdjęcie.

– A nie wygląda.

– Charlie? Kto to taki?

– Znam ludzi, z którymi pracowała moja córka – powiedział Fortune. – Ludzi z gazety. – Cofnął się o krok i uchwycił Jacksona i dziewczynę razem w kadrze. – Wyślę im to, jeśli nie powie mi pan wszystkiego, co chcę wiedzieć.

– Charlie? – powtórzyła spanikowana dziewczyna. – Nie chcę, żeby tata się dowiedział.

– Zamknij się – warknął Jackson. – Zamknij się, zamknij się, zamknij się.

– Spokojnie – zwrócił się Fortune do dziewczyny. – Nie przyszedłem po to, żeby cię skrzywdzić.

– Kim pan jest?

– Nieważne. Zrobił ci coś?

– Kto? – Spojrzała na niego zaskoczona. Była młoda, nie mogła mieć więcej niż szesnaście lat. Albo nawet piętnaście. – Charlie? No skąd...

– Przetrzymuje cię?

– Co? – Zmarszczyła brwi. – O co panu chodzi?

– Wbrew twojej woli – wyjaśnił Fortune, siląc się na cierpliwość. – Czy przetrzymuje cię wbrew twojej woli?

– Nie. Kto? Charlie? Nie.

– Ile masz lat?

– Nie pana sprawa – odparła dziewczyna. Poczucie winy mieszało się w jej głosie z nieposłuszeństwem. – Charlie? Charlie!

Jackson spojrział na dziewczynę, potem na Fortune'a.

– Czego pan chce?

– Odzyskać córkę.

– Przecież mówiłem. Nie wiem, gdzie ona jest. Policja już mnie o to pytała. Kiedy zaginęła, nawet nie było mnie w kraju.

– Nie?

– Nie. Byłem na Karaibach.

– Słucham?

– Przez ten czas, od kiedy widziano ją po raz ostatni, do dnia, w którym zgłoszono jej zaginięcie, przebywałem za granicą. Nie było mnie tutaj. Rozumie pan? Nie wiem, co się z nią stało. Nie. Mam. Pojęcia.

Fortune'owi zdawało się, że wszystko wokół niego zaczęło się walić. Tak jakby stał we wnętrzu rozpadającego się wieżowca. Ziemia usuwała mu się spod stóp. Dotarł do miejsca, z którego nie ma odwrotu. Nic już nie będzie takie jak dawniej.

– Czy to prawda?

– Tak, to prawda. Ten, jak mu tam, Marsh, przetrzymał mnie całą noc. Pytał i pytał wciąż o to samo. Nie było mnie tutaj. Byłem za granicą.

– Mogę do niego zadzwonić. Mam jego numer.

– Proszę bardzo. Wszystko potwierdzi. Bo wie, że nie było mnie w kraju. Nie mam pojęcia o losie pańskiej córki. – Jackson trzymał obie dłonie przed sobą, rozczapierzał palce, jakby chwycił niewidzialną piłkę, jakby chciał ją zmiażdżyć. – Nie było mnie tutaj – powtórzył po raz kolejny.

Fortune zaczął się zastanawiać. Gorączkowo myślał, co robić. Wtargnął do domu człowieka, który był osobą publiczną. Nie miał prawa tego robić, nie miał też powodu. Jackson powiedział, że nie było go w kraju, a Fortune mu wierzył. Sam wprawdzie nie potrafił kłamać, ale za to umiał poznać, kiedy kłamią inni; między innymi na tym polegała jego praca. To element zarządzania ludźmi. Co teraz?

– Ile ona ma lat? – zapytał, chowając telefon.

– Co to ma do rzeczy?

– Ile masz lat? – powtórzył Fortune, zwracając się do zbitej z tropu

dziewczyny, która patrzyła na niego niewinnie dziecięcym wzrokiem.

– Charlie? – bąknęła.

– To się nie zdarzyło – powiedział, mając na myśli najście. – W porządku? Pan będzie milczał i ja też nic nie powiem.

Jackson wzruszył ramionami.

– Wyjdę teraz i zostawię was w spokoju – dodał Fortune. – Jesteśmy kwita.

– Jak pan chce – odparł Jackson. – Niech pan wreszcie sobie pójdzie.

Fortune wyminął Jacksona, otworzył drzwi i wyszedł. Zobaczył leżące na ulicy szczątki telefonu gwiazdora. Przynajmniej to mi się udało, pomyślał.

4 marca

Muszę to spisać, muszę to dokładnie spisać, póki wszystko ma sens. Nie, nie chodzi o sens. Póki pamiętam, co i w jakiej kolejności się wydarzyło. Bo to nie ma sensu. Nie ma go ani trochę i chyba zwariowałam, zupełnie straciłam rozum, tak jak wszyscy twierdzą, i chyba wszystko, co wydaje mi się realne, wcale takie nie jest, i gdzieś, w jakiejś innej rzeczywistości, moje życie, moje prawdziwe życie zmierza w bardzo złym kierunku. Sama już nie wiem, co jest autentyczne, a co nie. Sama sobie nie wierzę.

Wczoraj spakowałam walizkę, poszłam na stację St Pancras i wsiadłam do Eurostara. Na dworcu stało pianino, każdy mógł podejść i pobrzdkać. W pewnym momencie przyszła młoda Chinka – wyglądała na turystkę – usiadła i zagrała tak pięknie, że ludzie zatrzymywali się, żeby posłuchać. Zebrał się naprawdę spory tłum, wszyscy stali urzeczeni grą tej dziewczyny. Czy to się wydarzyło? Jestem przekonana, że tak, że to naprawdę miało miejsce. Wydawało się bardzo realne. Potem odprawa, prześwietlenie walizki, przejście przez wykrywacz metalu. Później zajęłam miejsce przy oknie, patrzyłam na przesuwający się za szybą wiejski krajobraz, a kiedy wjechaliśmy do tunelu, zatkało mi uszy, nie wiem, chyba od zmiany ciśnienia. Dalej wyjazd po drugiej stronie, już we Francji, która z początku niczym nie różniła się od Anglii, może z wyjątkiem tego, że domy miały inne dachy. Następnie przybycie do Paryża i tu już wyraźne różnice: inna architektura, wysokie, smukłe budynki, dachy pokryte łupkiem, zdobione fasady, ściany od strony torów pomalowane francuskojęzycznym graffiti. Tego też sobie nie wymyśliłam. Jak mogłabym wyobrazić sobie coś tak szczegółowo, skoro nigdy wcześniej nie byłam w Paryżu?

Josh poinstruował mnie, gdzie mamy się spotkać. Powiedział, że zarezerwował stolik na pierwszą w barze Terminus Nord, znajdującym się naprzeciwko Dworca Północnego. Nadzwyczajne miejsce, wyglądało jak żywcem przeniesione z lat trzydziestych: mosiądz, żyrandole, detale w stylu art déco. Piękne, po prostu urzekające, a wszyscy goście niezwykle stylowi. Słowem: idealne. Kierownik sali zabrał mój bagaż i zaprowadził mnie do stolika. Obok kelnerka właśnie podpałała naleśnik – to się chyba nazywa flambirowanie. Pardon – flambé. I nie naleśnik, tylko crêpe. W każdym razie podpałała go i podała do stolika za mną. Usiadłam, rozejrzałam się i naraz wszystko, co wydarzyło się przez ostatnie kilka miesięcy, wydało mi się bardzo, bardzo odległe, wręcz nierzeczywiste. Mogłam odetchnąć. Pamiętam, że właśnie to sobie pomyślałam: „Mogę odetchnąć”. Tak jakby po tej stronie La Manche powietrze było lżejsze.

Przyszłam mniej więcej za dziesięć pierwsza, więc nie zdziwiłam się, że Josha jeszcze nie ma. Czułam się lekko zdenerwowana, jak przed pierwszą randką, ale w pozytywnym sensie, to było

miłe, ciepłe uczucie, jakbym nie mogła doczekać się czegoś fajnego. Siedziałam, przyglądając się otaczającym mnie pięknym ludziom, aż zrobiła się pierwsza. Potem dziesięć po. Potem dwadzieścia. Wybrałam numer Josha, ale nie odbierał. Wpół do drugiej. Kierownik sali zerkał na mnie, a ja staram się unikać jego wzroku. Nagle rozplakałam się, bo stało się dla mnie jasne, że Josh nie przyjdzie. Usiłowałam ukryć łzy, ale kierownik sali zorientował się, podszedł do mnie i zapytał, czy coś wiadomo, odparłam, że nie, nic nie wiem, i był bardzo uprzejmy, zapytał, czy może mimo wszystko chciałabym złożyć zamówienie. Ale nie, nie miałam ochoty, powiedziałam, że przepraszam, odparł, że nic nie szkodzi, proszę się niczym nie przejmować. Nie mogłam przestać płakać. Przyniósł mój bagaż, a ja nie wiedziałam, co robić, dokąd pójść. Zaczęło padać. Byłam w Paryżu, mogłam wszystko, ale zamiast tego wróciłam na dworzec i zaczęłam na pociąg, bo nic innego nie przychodziło mi do głowy. Próbowałam dodzwonić się do Josha, ale nadal nie odbierał. Przez chwilę było tak dobrze, a teraz znów zrobiło się źle, źle i okropnie. Pamiętam to. Pamiętam, że siedziałam na Dworcu Północnym, patrzyłam na tablicę odjazdów i czułam się źle, źle i okropnie. Paskudnie, beznadziejnie.

Znalazłam pociąg, pokazałam paszport, oddałam walizkę do prześwietlenia, przeszłam przez bramkę wykrywacza metalu, tak samo jak w Londynie. Kiedy ruszyłam w stronę poczekalni, nagle zatrzymał mnie mężczyzna i powiedział, że mam z nim pójść. Otworzył drzwi do pomieszczenia, w którym znajdował się drugi mężczyzna i stał metalowy stół. Obaj mężczyźni – Anglicy – mieli na sobie niebieskie koszule z emblematami, ale nie byli z policji. Poprosili, żebym postawiła bagaż na stole i cofnęła się pod ścianę. Otworzyli walizkę. Zobaczyłam, że w środku jest metalowe pudełko, coś jak puszka, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Otworzyli je i wyjęli paczuszkę owiniętą przezroczystą folią. Zapytali, co to takiego, na co odparłam, że nie wiem, pierwsze widzę, że nie miałam tego w walizce, kiedy wyjeżdżałam z Londynu, i że ktoś na pewno mi to podrzucił, na pewno, na pewno. Popatrzyli na mnie tak jak wszyscy inni, tak jak patrzy na mnie Sam, kiedy mówię mu, że ja nie hałasuję, tak jak patrzy policja, kiedy powtarzam, że nie wzięłam noża, tak jak patrzy Larry, kiedy próbuję go przekonać, że nie zrobiłam nic złego. Patrzyli na mnie jak na wariatkę i myślę, że mogli mieć rację. Ponieważ to pudełko naprawdę znajdowało się w mojej walizce. Powiedzieli, że to narkotyki. Ja na to, że nie wiem, skąd się tu wzięły. Przesłuchali mnie, pobrali ode mnie próbkę śliny i odeskortowali mnie na pociąg. Jeden z nich pojechał ze mną. A kiedy dotarliśmy do Londynu, na peronie czekali kolejni. Powiedzieli, że pójde do więzienia i spędzę tam wiele, wiele lat.

Jestem teraz w domu i nie wiem, co robić. Myślę, że zwariowałam. Nie mam gdzie mieszkać, nie mam pracy i nikt mnie nie kocha. A Josh... Josh zniknął, rozpląnął się, jakby nigdy nie istniał. Sądziłam, że go kocham. Wydawało mi się, że on kocha mnie. Może Josh tak jak inni uznał, że mi odbiło. Nie wiem. Mój Boże, nic już nie wiem.

Zanim Fortune skończył czytać dokument, który znalazł na pulpicie komputera

Sophie, wiedział, wiedział ponad wszelką wątpliwość, że jego córka nie zwariowała. Nie była ani trochę szalona, co należałoby uznać za cud, biorąc pod uwagę, co się jej przytrafiło, co jej zrobiono. Nie przemycała narkotyków, zostały jej podrzucone. Być może zrobił to ktoś w restauracji. Ktoś, kto wiedział, gdzie i kiedy Sophie będzie przebywała. To oczywiste, jasne jak słońce. Wreszcie, pomyślał, wreszcie punkt zaczepienia.

Siedział w pokoju hotelowym. Na stole, będącym jednocześnie biurkiem, stał niedokończony, i niezbyt smaczny, *coq au vin*, a na szafce nocnej w połowie pusta butelka bordo. Fortune sięgnął po telefon i wybrał numer Jessiki. Była jedyną znaną mu osobą w Londynie, która znała jego córkę i mogła mieć jakiegokolwiek pojęcie o tym, co dalej robić. Zostało dziewięć dni. Dziewięć dni do daty zakodowanej w sumie skradzionych pieniędzy. Dziewięć dni na ocalenie Sophie.

Sygnał. Czyżby Jessica była na kolejnej imprezie, na której kolejna niedoszła gwiazdka szokuje zachowaniem?

– Tak? Halo?

– Jessica? Mówi Fortune. Przepraszam, że przeszkadzam.

– Pan Fortune? – odezwała się podejrzliwym tonem. Pewnie uważa, że się do niej przystawiam, przemknęło Fortune’owi przez głowę i nagle poczuł skrępowanie.

– Potrzebuję pani pomocy – odezwał się.

– Znowu?

– To zajmie tylko chwilę. Myślałem o tym jej chłopaku. Joshu.

– Co z nim?

– Wie pani, jak on się nazywa?

– Nie. Nawet nie wiedziałam, jak ma na imię, dopóki pan mi nie powiedział. Przykro mi.

– Jest pani pewna? Bardzo proszę się zastanowić. Czy Sophie na pewno o nim nie wspominała?

– Nie wiem, panie Fortune, nie byliśmy ze sobą tak blisko.

– Okej. Nie ma sprawy.

– Przykro mi – odparła i zamilkła. Może wcale nie jest na imprezie, tylko

w domu, pomyślał, i tak jak on ma przed sobą resztki niesmacznej kolacji. Pewnie nie, uznał. Nie jest taka jak on.

– A czy w ogóle cokolwiek mówiła? – spytał. – Wspominała o czymś, co go dotyczyło? Gdzie pracuje, gdzie się poznali. Tego typu rzeczy?

– Nie – powiedziała Jessica. – Niestety. Wydaje mi się, że poznali się w sieci. Tak mi się zdaje. Musi mieć jakiś profil, coś ich musiało łączyć. Sprawdzał pan?

– Nie. Ale zrobię to. No dobrze, dziękuję za pomoc.

– Nie ma sprawy... Aha, był pan u Jacksona?

– Tak – odparł i zamilkł na chwilę. – Chyba trochę go zdenerwowałem. Jessica zachichotała.

– Ach tak? No, myślę, że mu się należało.

– O tak, należało się. Nie do końca wiem za co, ale należało się.

Jessica znów się roześmiała.

– Proszę na siebie uważać.

– Postaram się. Dziękuję.

Rozłączył się i podszedł do biurka, na którym stał włączony komputer. Serwisy społecznościowe – dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał? Nigdy nie miał konta na żadnym z nich. Z kim miałyby się dzielić szczegółami z własnego życia? Otworzył przeglądarkę i wpisał adres Facebooka. Na górze po lewej stronie widniały imię i nazwisko Sophie; przeglądarka logowała ją automatycznie. Łatwy dostęp do jej życia, do wszystkiego, co robiła, do wszystkich, których znała. Ty durniu, pomyślał Fortune. Czemu od razu tu nie zajrzałeś?

Z tego, usłyszał od kolegów, Fortune stworzył sobie obraz portali społecznościowych jako miejsc, w których ludzie prowadzący niepoważne, błahe życie mogą dzielić się swoimi niepoważnymi, błahymi sprawami, ponieważ, co zrozumiałe, tradycyjne media nie dbają o to, co właśnie zjadłeś na kolację albo że twój królik przeszedł amputację łapki, ani też nie raczą swoich odbiorców takimi wiadomościami. Fortune przyjrzał się postom na tablicy córki i pomyślał, że cóż, koledzy chyba mieli rację. Zdjęcia z wieczornych wypadów, linki do artykułów o odchudzaniu i płotkach

o celebrytach, zaproszenia na imprezy i premiery, filmiki ze „słodkimi zwierzątkami”. Przewijał stronę, coraz bardziej zniecierpliwiony, aż w końcu doszedł do wniosku, że nie znajdzie tu nic interesującego. Przeszedł więc na samą górę i otworzył zakładkę „Znajomi”. Mnóstwo ludzi, wyłącznie młodzi, na zdjęciach profilowych wszyscy w ujęciach z nocnych klubów, wyszczerzeni do obiektywu, roześmiani, rozbawieni. Zabawa. Tego jej nie dał, tego nie wniósł do jej życia. Szkoda, okropna, żałosna, niewybaczalna szkoda.

Zatrzymał się na zdjęciu mężczyzny na tle Statui Wolności. Josh MacDonald. Data urodzenia: 23 maja 1987 roku. Chodził do szkoły w Bournemouth. Studiował na Uniwersytecie Londyńskim, w University College London. Pracuje jako „DoP”. Fortune musiał sprawdzić, co to znaczy: operator filmowy. W galerii znalazł fotografie Josha na planie zdjęciowym, za kamerą, na plaży, w klubie, w barze, z kumplami, uśmiechniętego, unoszącego drinka w toaście. Miał długie włosy i był przystojny. Josh MacDonald. Czy to ten mężczyzna, którego Sophie sądziła, że kocha? Fortune poczuł niedorzeczną zazdrość, jakieś atawistyczne oburzenie faktem, że zadurzyła się w mężczyźnie tak bardzo do niego niepodobnym, o zupełnie innych cechach. Nie, nie innych – lepszych. Otwarty, pomysłowy, śmiały, wspaniałomyślny, towarzyski. Miał wszystko, czego brakowało Fortune’owi. Westchnął. Co poszło nie tak? – pomyślał, oglądając zdjęcia kochanka córki.

Ten mężczyzna ściągnął ją do Paryża i wystawił do wiatru. Kiedy wracała do domu, celnicy zatrzymali ją i znaleźli w jej bagażu narkotyki, które ktoś jej podrzucił. Josh ją zaprosił. Wiedział, gdzie będzie. Czyli co: zakradł się do restauracji, znalazł walizkę Sophie, schował w niej narkotyki i wyszedł, a w tym czasie jego dziewczyna siedziała sama, patrzyła na zegarek i zastanawiała się, co z nią jest nie tak i dlaczego jej życie rozchodzi się w szwach?

A potem? Przyszedł do niej do domu, uprowadził ją i wysłał Fortune’owi wiadomość, że ma jego córkę i daruje jej zaledwie kilka dni życia? Fortune nie wiedział, czy naprawdę tak było, ale przyrzekł sobie, że rozwiąże tę zagadkę. Dotarł do Jacksona, dotrze i do tego mężczyzny. Jeszcze nie wie jak, ale znajdzie go. Ma na to tylko dziewięć dni.

Po Oxford Circus chodził mężczyzna z tablicą reklamową zawieszoną na piersiach i plecach. Napis na niej głosił: „ŻAŁUJCIE ZA GRZECHY I ZWRÓĆCIE SIĘ KU BOGU”. Trzymał w ręku mikrofon i każdemu, kto zechciał go wysłuchać – a nie było takich wielu – tłumaczył, jak najpewniej dostać się do nieba. Spojrzał Fortune’owi w oczy, kiedy ten go mijał, ale ponieważ Fortune miał minę surowego szefa, któremu szkoda czasu na głupstwa, mężczyzna nawet nie próbował go zaczepiać i nawracać na jedyną słuszną drogę. I tak już za późno, pomyślał Fortune. O wiele za późno.

Ulicami krążył tłum zakupowiczów z reklamówkami Selfridges, GAP, Browns; przed Niketown chmara dzieciaków. Fortune przecisnął się przez tę ciżbę i skręcił w lewo w Great Portland Street. Odłączył się od mrowia ludzi tak raptownie, że poczuł się, jakby przeszedł przez portal prowadzący do wyludnionej postapokaliptycznej przyszłości. Szedł cichą ulicą, bacznie obserwując wnęki, otwory drzwiowe i kraty. Zastanawiał się, czy mężczyzna, którego szuka, nadal tu jest. Może przeniósł się gdzie indziej, może znalazł ciepłe schronienie? Było zimno, z białego nieba, po którym przemykały szare deszczowe obłoki, padała lekka mżawka.

Niewiele brakowało, a przeoczyłby go. Mężczyzna siedział w przejściu okutany w brudnoszary koc. Był młody i chudy. Leżała przed nim odwrócona do góry nogami bejsbolówka, w środku znajdowało się raptem kilka monet. Fortune przyjrzał mu się. To musi być ten chłopak, którego Sophie opisała na blogu. *Wczoraj wieczorem komandos ocalił mi życie*. Ten, który przyszedł jej z pomocą.

– Jake?

Mężczyzna zamrugnął zaskoczony.

– No.

- Nazywam się Fortune.
- Glina?
- Nie.
- Bo nic nie mam. Nie kłuję się, nic z tych rzeczy. Jestem czysty.
- Nie o to chodzi. Wydaje mi się, że znasz moją córkę. Sophie.
- Co? – Mężczyzna zmarszczył czoło i zakasłał. – Sophie?
- Pomogłeś jej. Została zaatakowana.
- Aha. – Zamyślił się. – Jesteś jej ojcem? Jak ona się czuje?
- Zaginęła – odparł Fortune. – Od kilku tygodni nie daje znaku życia. Jake nie bez wysiłku dźwignął się na nogi. Popatrzył na Fortune’a.
- Nie no. Żartujesz, co?
- Nie żartuję. Chciałem z tobą porozmawiać. O tym, co się wtedy wydarzyło.
- Jasne, pewnie, nie ma problemu. – Jake opatulił się kocem i spojrzał w niebo. Zaczynało coraz mocniej padać.
- Piwo? – rzucił Fortune
- Prowadź... – odparł Jake – skoro stawiasz.

Wcześniej, rano tego samego dnia, zadzwonił do Marsha, ale nie spodziewał się, że policjant odbierze, nie po ostatnim spotkaniu. Co on wtedy powiedział? „Niech pan poszuka pomocy” – takich użył słów. Dlatego zdziwił się, kiedy Marsh odebrał.

- Co tym razem?
- Czy pan wie, że moja córka została aresztowana w związku z przemytem narkotyków?

Marsh westchnął.

- Tak, wiem o tym.
- Ale nie przyszło panu do głowy, żeby mi o tym powiedzieć.
- To nie moja działka. Nie pracuję w Urzędzie Ceł.
- Ale wiedział pan.
- Tak, wiedziałem. To tłumaczy pewne rzeczy, nie sądzi pan?

– Na przykład jakie?
– Na przykład handel narkotykami w jej mieszkaniu. Imprezy, zachowanie...
– Nie było żadnego handlu. Ani imprez. Nic z tego nie miało miejsca.
– Czyżby? – rzucił Marsh. – Jak pan doszedł do tego wniosku?
– Gdyby robił pan, co do pana należy – odparł Fortune – wiedziałby pan.
Tyle że nie uznał pan sprawy mojej córki za dość ważną, żeby się przyłożyć.
– Rozłączam się – powiedział Marsh.
– Moja córka jest niewinna. Nic nie zrobiła, zupełnie nic. Mylicie się we wszystkim.
– Do widzenia – usłyszał Fortune i po chwili w słuchawce zapadła cisza.
Być może nie powinien był oskarżać policjanta o niewywiązywanie się z obowiązków, ale w sumie nie żałował tego, co powiedział. Marsh nie mógł uczynić już nic więcej – ani dla Fortune’a, ani dla jego córki. Nie po raz pierwszy w życiu Fortune uznał, że jeśli chcesz, aby coś zostało zrobione porządnie, lepiej sam się do tego zabierz.

– Czego się napijesz? – spytał Jake’a.
– Lagera. Albo... – przerwał Jake i przesunął wzrokiem po półce.
– Lagera i szkocką?
– Jak chcesz.

Barman przyglądał im się nieufnie. Jake nadal był opatulony kocem, miał brudne paznokcie i zmierzwił włosy. I nieszczególnie pachniał, jak zauważył Fortune. Niemniej był to mężczyzna, który uratował jego córkę. Fortune uchwycił wzrok barmana i zapytał:

– Jakiś problem?
– Nie, żadnego – padła odpowiedź.

Barman podał zamówienie i zainkasował dwudziestkę, którą wręczył mu Fortune. Wzięli szklanki i poszli do stolika, Jake przygarbiony i z miną wyrzutka.

– Od jak dawna mieszkasz na ulicy? – zapytał Fortune.
– Pół roku, może dłużej.

– Służyłeś w wojsku?

Jake potwierdził skinieniem głowy.

– W Afganistanie. – Sięgnął po szkocką, upił najpierw łyk, po czym opróżnił szklaneczkę. Zamknął oczy, czując, jak ciepło rozchodzi się po ciele. Odetchnął z zadowoleniem.

– Sophie twierdziła, że miałeś problem z powrotem do cywilnego życia.

– Można tak to ująć – odparł krótko Jake i wyciągnął rękę po piwo.

– Pewnie jest ci ciężko.

– No raczej. Twoja córka zachowała się porządnie.

– Wiem.

– Naprawdę. Jak to powiedzieć? Była otwarta. Przyjazna. Miała w sobie taką... życzliwość, sam nie wiem, wielkoduszność.

Na pewno nie odziedziczyła tego po mnie, pomyślał Fortune.

– Co się właściwie wydarzyło? – zapytał.

– Nie powiedziała ci?

– Nie. Tylko o tym czytałem. Pomyślałem, no wiesz, że będziesz mógł powiedzieć mi coś więcej. – I że w twoich słowach znajdę potwierdzenie, że moja córka nie była szalona, dodał w myślach. Że to, o czym napisała, naprawdę się wydarzyło. Że została zaatakowana, a ty ją uratowałeś. Że sobie tego nie wymyśliła. Poczul wyrzuty sumienia, że w ogóle dopuścił do siebie myśl o szaleństwie Sophie, ale trudno – musiał się upewnić.

– Dała mi dziesiątaka – powiedział Jake. – A to nie zdarza się często. Jakiś czas później znowu ją zobaczyłem. Jakiś facet ją złapał, a wiesz, mi więcej nie potrzeba, zerwałem się, doskoczyłem i odciągnąłem go od niej. – Wzruszył ramionami, napił się piwa. – O czym tu gadać?

– Dziękuję – powiedział Fortune.

– Nie ma za co – odparł Jake. – Każdy by się tak zachował.

– Nie, nie każdy. Naprawdę nie każdy.

– Ale mówiłeś, że zaginęła...

– Tak. I nie wiadomo, co się z nią stało. Policja uważa, że odebrała sobie życie.

– Nie – odparł Jake z przekonaniem. – Nie ma mowy. Sophie by tego nie

zrobiła. To nie w jej stylu.

– Tak myślisz?

– Słuchaj. Widziałem, jak to wygląda. Widziałem, jak ludzie, czaisz, kończyli ze sobą. Poddawali się, kończyły im się możliwości. Sophie była szczęśliwa, zainteresowała się mną. Nie. – Pokręcił głową. – To do niej niepodobne.

– Być może – odparł Fortune, myśląc o próbach samobójczych córki. Niewykluczone, że się zmieniła. Jean tak uważała. – Dzięki.

Przez kilka chwil siedzieli w milczeniu. Fortune przyglądał się Jake'owi. Był młody, miał nie więcej niż dwadzieścia pięć lat i szczere oblicze, wychudzone, ale łagodne.

– A ty? – odezwał się Fortune. – Co ci się przytrafiło?

Jake westchnął i zaczął obracać szklanke w dłoni. Skroplona para mieszała się z brudem z palców chłopaka, zostawiając na szkle czarne, wilgotne smugi.

– Nie zrozumiesz.

– Pewnie nie – zgodził się Fortune.

– Nie tylko ty. Nikt nie rozumie. W tym problem. Miałem dziewczynę, mieszkalem z nią. Ale kiedy wróciłem – napił się – nie było tak jak dawniej. Wszystko się zmieniło.

– Z powodu tego, co wydarzyło się w Afganistanie?

Jake zamknął oczy i pokiwał głową, po czym znów je otworzył.

– Kumpel szedł obok mnie i nadepnął na minę. Rozległ się huk i spadł deszcz ziemi i krwi. Widziałem ją na tle nieba, była jak mgła. To był on. Zamienił się w mgłę, w popiół. Ale w tej ziemi były też grudy, większe kawałki. Potem, po powrocie, Stacey, moja dziewczyna, któregoś dnia powiedziała, że mógłbym się wreszcie nauczyć wkładać kubek do zmywarki. Pomyślałem o tym moim kumplu i przyszło mi do głowy, dlaczego, do diabła, wkładanie kubka do zmywarki jest takie ważne. Co w tym takiego istotnego, w chwili gdy dzieją się inne, okropne rzeczy? Ale wiedziałem, że ona nie zrozumie, i po prostu wpadłem w szal. I tyle. To był koniec.

– Wyrzuciła cię?

– Sam odszedłem. Nie mogłem już tego znieść. Woląłem zamieszkać na

ulicy.

Znów siedzieli w milczeniu. Fortune nagle uzmysłowił sobie, że obu im lepiej w samotności. Wyjął z kieszeni kopertę i położył ją na stole.

- Co to jest? – spytał Jake.
- Pieniądze. Za to, że pomogłeś mojej córce.
- Nie zrobiłem tego dla pieniędzy.
- Wiem. Tym bardziej powinienes je przyjąć.

Jake wziął kopertę, otworzył ją i zajrzał do środka. Popatrzył na Fortune'a.

- Sporo tego.
- Tysiąc. Jeśli będziesz potrzebował więcej, odezwij się. Masz telefon?
- Mam.
- Podaj numer.

Fortune wprowadził numer Jake'a do pamięci swojego aparatu i zadzwonił dla pewności.

- Nic z tego, bateria się wyczerpała. Muszę naładować.

Fortune wstał.

- Trzymaj się. Jeżeli będziesz czegoś potrzebował, zadzwoń.
- Dlaczego to robisz? – spytał Jake.
- Mówiłem ci – odparł Fortune.

To w sumie dobre pytanie. Dlaczego to robi? Bo myśli, że w ten sposób odpokutuje to, że nie poświęcał Sophie dość uwagi? Bo próbuje naprawić swój błąd, dając pieniądze mężczyźnie, który jej pomógł? Nie. Marna wymówka – zupełnie jakby jego pracownik nie zrealizował żadnego z zakładanych celów, ale przekonywał Fortune'a, że nie warto go zwalniać, ponieważ nieźle złapał piłkę na firmowym meczu krykieta. To za mało. Zdecydowanie za mało i zbyt późno. Mimo to dzięki gestowi w stosunku do Jake'a Fortune poczuł się ze sobą choć odrobinę lepiej. A to już coś.

- Cóż – odezwał się. – Do grobu tego nie zabiorę.

Jake zmarszczył brwi i przyjrzał się bacznie Fortune'owi.

- Dobrze się czujesz?
- Tak. Dlaczego pytasz?
- Bo już widziałem takie spojrzenie. Wcale nie czujesz się dobrze.

- Nie – przyznał Fortune.
- Mam nadzieję, że odnajdziesz córkę. To dobra dziewczyna.
- Też mam taką nadzieję. – Fortune wstał i wyszedł, zostawiając Jake’a sam na sam z alkoholem i wspomnieniami z wojny.

Wciąż miał wizytówkę, którą dała mu kobieta na lotnisku. Sunita Gandham. Nie wiedział, w której agencji pracowała, ale przypuszczał, że zajmowała się ochroną granic. Powiedziała, żeby zadzwonił, jeżeli będzie chciał porozmawiać. Tak się złożyło, że właśnie teraz chciał rozmawiać. Potrzebował rozmowy. Uznał, że w tej chwili ta kobieta jest jedyną znaną mu osobą, która może pomóc.

– Halo.

– Pani Gandham? Nazywam się Fortune. Otóż... Jak by to ująć? Poznaliśmy się kilka dni temu na lotnisku.

– Owszem. Poznaliśmy się. Pamiętam. O co chodzi?

Zero uprzejmości na dzień dobry. Pamiętał jej nieustępliwą postawę, zaciętą minę, twarde spojrzenie. Skąd przyszło mu do głowy, że chciałaby mieć z nim cokolwiek wspólnego?

– Pomyślałem, że poproszę panią o pomoc.

– Tak?

– Chodzi o moją córkę. Wie pani, że zaginęła.

– Wiem.

– I pewnie wie też pani, że niedawno, kiedy wracała do kraju, została zatrzymana.

– Chwileczkę.

W słuchawce dało się słyszeć kroki, rozmowę, dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi. Potem zapadła cisza.

– Jest pan tam?

– Tak.

– Proszę mnie uważnie posłuchać. Nie powinnam z panem o tym rozmawiać. W tej sprawie toczy się postępowanie i, co ważne, nie ja je prowadzę.

Rozumie pan?

– Tak.

– Zatem wszystko, czego pan się ode mnie dowie, musi pozostać między nami. Czy to jasne?

– Oczywiście.

– No dobrze. O co pan chciał zapytać?

Fortune wziął głęboki oddech.

– Sądzę, że moja córka została wrobiona. W jej życiu miały miejsce zdarzenia... Ostatnio działy się rzeczy, które nie miały sensu.

– Aha – mruknęła Sunita. – Sęk w tym, że mnie to nie interesuje...

– Chwileczkę – przerwał jej Fortune. – Mam nazwisko osoby, która moim zdaniem wrobiła Sophie. Ten człowiek zaprosił ją do Paryża, ale nie stawiał się na spotkanie.

– Tak twierdziła. Czytałam transkrypcję przesłuchania.

– Nazywa się Josh. Josh MacDonald.

Sunita westchnęła.

– Znam to nazwisko. Wiem wszystko o MacDonalddie: kiedy się urodził, gdzie się uczył. Pańska córka nam o nim opowiedziała.

– Czyli sprawdzacie go?

– Sprawdziliśmy – odparła Sunita. – Panie Fortune, nie wiem, co się działo w życiu pańskiej córki, ale szczerze mówiąc, to nie nasze zmartwienie. Zajmujemy się ochroną granic, a nie sprawami wewnętrznymi. To problem kogoś innego.

– Świetnie – skomentował Fortune. – A jak to się ma do pani sumienia?

– Ma się nijak. Po prostu tak to jest urządzone.

– Czyli co: to wszystko?

– Niekoniecznie – odparła Sunita. – Mogę panu powiedzieć jedno: Josh MacDonald nie istnieje. Nigdy nie istniał. Nie ma takiej osoby. Może więc oświeci mnie pan, jak to możliwe, że wytwór czyjejs wyobraźni podrzuca narkotyki do bagażu?

Josh się odezwał. Nagle, ni stąd, ni zowąd. Powiedział, że to nie jego wina, że to nie on i że ktoś mu bruździ. Powiedział, że go wrobiono i pojawiły się fałszywe oskarżenia pod jego adresem. Podobno naruszył zapisy umowy poufności i rzekomo sprzedał konkurencji informacje o kampanii reklamowej, przy której pracował. Powiedział, że z jego konta zniknęły pieniądze i że ktoś wysłała złośliwe wiadomości z jego adresu. Dzieje się u niego to samo, co działo się u mnie.

Powiedział, że nie wysłał do mnie żadnego e-maila o spotkaniu w Paryżu. Przyleciał prosto do Londynu, bo po co miałby zahaczać o Paryż? To bez sensu. Racja: to nie ma sensu. Czemu o tym nie pomyślałam?

Umówiliśmy się dziś wieczorem, ale Josh nie chce, żeby ktoś widział nas razem; jego zdaniem to niebezpieczne. Ktoś się na nas uwziął, ktoś chce nas skrzywdzić. Ale kto – tego żadne z nas nie wie. Lepiej więc się nie wychylać i spotkać gdzieś w tajemnicy. Dlaczego? Bo Josh ma plan. Ma pomysł, jak nas z tego wypłatać – przynajmniej tak twierdzi. Czy to prawda? Czy to może być prawda? Czy faktycznie jest moim sprzymierzeńcem?

Spotykamy się dziś wieczorem i mam wrażenie, że to dla mnie ostatnia szansa. Nawet nie chce mi się o tym myśleć. Po prostu pójdę i zobaczę, co z tego wyniknie. Co innego mogę zrobić?

Pierwszą myślą Fortune'a po obudzeniu się było: osiem dni. Zostało osiem dni. W tej osobliwej krainie, w której zwichrowana fantazja zastąpiła rzeczywistość i wszystko stanęło na głowie. Jedynymi ludźmi zdającymi sobie sprawę, co się naprawdę dzieje, są jego córka i on sam. Sophie – żyje, jest przetrzymywana, czeka, ma nadzieję. Sophie – dawno, lata temu przestała wierzyć w ojca. W nienaturalnym, hotelowym zawieszeniu, w którym co wieczór pokój zostaje przywrócony do stanu wyjściowego: wysprzątany, wyczyszczony, ponownie zaopatrzone, tak by wyglądał identycznie jak w dniu, w którym gość po raz pierwszy przekroczył jego próg, tak by trudno było zauważyć upływ czasu. Ale Fortune miał świadomość, ile czasu minęło i ile go zostało. Osiem dni. Ale co robić, dokąd pójść, czego szukać, z kim rozmawiać – tego nie wiedział. Za osiem dni – był o tym przekonany – jego córka miała umrzeć.

Leżał w łóżku, starając się nie zwracać uwagi na ból w piersi, na uczucie duszenia się, które w snach często objawiało się pod postacią węża oplatającego go swoim ciałem i ściskającego coraz mocniej, czarnego i gnijącego, tak jak wyobrażał sobie raka, wstrętnego intruza, będącego niczym więcej, jak tylko ponurym, lepkiem rozkładem. Leżał w łóżku, oddychał i próbował myśleć, planować – i nie kaszleć. Najgorsze były poranki, długie minuty nad umywalką, do której charczał i pluł, brudząc białą porcelaną wyrzucanymi z płuc glutami, obcymi ciałami o osobliwych barwach. W lustrze odbijała się jego blada, obwisła, udręczona twarz. Każdego dnia zastanawiał się, jak do tego doszło. Co takiego się, u diabła, wydarzyło?

Rozległo się pukanie do drzwi. Fortune usiadł na łóżku. Kto to może być? Kto wie, że się tu zatrzymał?

– Tak? – Brak odpowiedzi. – Słucham? – powtórzył głośniej.

Drzwi otworzyły się szeroko i na chwilę Fortune'a ogarnęła panika, zanim usłyszał brzęczenie i do pokoju weszła pokojówka, pchając przed sobą wózek. Fortune przypomniał sobie, że nie założył na kłamce wywieszki „NIE PRZESZKADZAĆ”. Która właściwie jest godzina? Zerknął na zegarek: po jedenastej. Kiedy ostatnio zdarzyło mu się spać dłużej niż do ósmej?

– Nie, dziękuję. Nie trzeba.

– Trzeba?

– Nie, nie trzeba. Przepraszam, proszę przyjść później.

– Aha. Okej, okej. Później. – Wycofała się, ciągnąc za sobą wózek z postukającymi pojemnikami ze środkami czyszczącymi. Fortune położył się na łóżku, usiłując zdusić kaszel; jak granat, którego wybuchowi trzeba było zapobiec. Boże, ależ był zmęczony, tak bardzo zmęczony, że kręciło mu się w głowie i miał wrażenie, jakby dostał choroby morskiej. Zamknął oczy i spróbował się skupić. Osiem dni. Ma osiem dni.

No dobrze, pora ocenić sytuację. Co wiadomo? Fortune wyliczał na palcach: po pierwsze, Sophie prześladował internetowy troll; wiedział o niej rzeczy, których wiedzieć nie powinien. Po drugie, zaginęła i policja uznała ją za martwą; Fortune w to nie wierzył. Po trzecie, wysuwano pod jej adresem fałszywe oskarżenia: o hałasy, handel narkotykami, stalking, społeczne zachowanie. Po czwarte, zaatakowano ją i zagrożono oszpeceniem. Po piąte... Po piąte, z banku, w którym pracował Fortune, zniknęło sto sześćdziesiąt milionów dolarów, w dwóch, nazwijmy to, transzach, i skradzione sumy nie były przypadkowe: pierwsza odpowiadała dacie urodzin Sophie, a druga... dacie zdarzenia, do którego miało dojść za osiem dni. Po szóste, okazało się, że chłopak Sophie był zmyślony, nie istnieje.

O co w tym chodzi? Fortune leżał z zamkniętymi oczami i zastanawiał się, czy o czymś nie zapomniał. Całkiem możliwe. Trudno to wszystko ogarnąć. Po siódme, ojciec Sophie praktycznie wyrzekł się jej, kiedy miała ile – trzynaście lat? Wyrzekł się jej, odsunął ją od siebie, porzucił ją. Zachował się haniebnie. Odrażająco. Motyw odrzucenia córki przez ojca przenikał wszystko, o czym rozmyślał Fortune. Nieobecność, nieporadność w roli ojca i męża, przewiny. Naraz uświadomił sobie, że nie widzi sposobu, jak mógłby zadośćuczynić tym,

których skrzywdził. Skończyły mu się pomysły i możliwości. Mógł już tylko wkroczyć na komisariat, wziąć Marsha na zakładnika i zażądać, aby policja wreszcie wysłuchała, co ma do powiedzenia, i zaczęła działać. Nie, oczywiście nie tędy droga.

Kiedy ostatni raz coś jadł? Nie pamiętał. Chyba dzień wcześniej. Wstał, nie bez trudu, i ubrał się niezdarnie jak starzec, powoli wkładając spodnie, najpierw jedna noga, potem druga. Przysiadł na brzegu łóżka. Oddychał, jakby wdrapywał się na szczyt Everestu. Wstał, wyszedł z pokoju i ruszył korytarzem, opierając się o ścianę. Korytarz bujał się jak pokład statku podczas sztormu. Fortune straciłby równowagę, gdyby nie trzymał się ściany. Dotarł do windy i wcisnął guzik. Obraz mu się rozjeżdżał, Fortune widział dwie strzałki, niczym pijany. Pocił się, ścisnęło go w piersi, jakby ktoś włożył ją w imadło i zaczął dokręcać; jakby był szczurem, na którym naukowiec przeprowadza eksperyment. Próbował oddychać. Usłyszał stłumiony dzwonek windy. Dlaczego stłumiony? Przecież stoi tuż obok niej. Drzwi się otworzyły, wszedł do środka, potknął się i upadł na kolana. Złapał się mosiężnej poręczy i uchwycił swoje odbicie w lustrzanej ścianie. W rozświetlonym jaskrawym światłem mroku windy jego częściowo skryta w cieniu twarz wyglądała jak oblicze stwora z horroru, była okropna, wręcz nieludzka. Musi coś zjeść. Musi jeść, dbać o siebie, żeby dać radę funkcjonować jeszcze przez kilka dni.

Dźwignął się z kolan i nie bez trudu wstał, akurat kiedy winda dotarła na parter. Drzwi się otworzyły. Fortune wziął się w garść i wysiadł, przeszedł korytarzem i ruszył w stronę hotelowej restauracji. Skupił się na tym, aby iść prosto; był jak pijany gość w pubie, który w stanie upojenia usiłuje dotrzeć do toalety. Otrząśnij się, człowieku, pomyślał z wściekłością. Sophie cię potrzebuje. Ma tylko ciebie. Ciebie, ty głupi, słaby, godny pogardy człowieku. Myślisz, że dasz radę, co? Uważasz, że zdołasz ją uratować? Wcale nie był przekonany. Ale kiedy z ulgą usiadł i zamówił kawę, wiedział jedno: spróbuje, postara się, zrobi, co będzie mógł. Obiecał przecież.

Dałam się złowić jak głupia. Jak nastolatka. Jak nieopierzona gówniara. Żałosne. Smutne. Nie, raczej tragiczne. Właśnie tak. Sophie, ty kretynko. Ty głupia, histeryczna, zdesperowana, tragiczna kretynko. Właściwie to nawet sobie zasłużyłaś. Chociaż nie – nie chcę umrzeć, akurat na to sobie nie zasłużyłam. Ale obawiam się, że tak to się może skończyć. Naprawdę.

Josh nie istnieje. Nigdy nie istniał. Nie ma takiej osoby, jest tylko fałszywy profil i nic więcej. W sumie co takiego nas połączyło? E-maile, parę telefonów. A mnie się wydawało, że go kocham. No dobrze, może nie to, że go kochałam, ale pragnęłam go pokochać i sądziłam, że to możliwe. Opowiedziałam mu o sobie wszystko – o swoich lękach i słabościach, o znajomych i rodzinie. I to tylko dlatego, że spodobało mi się jego zdjęcie, uznałam, że ma fajną pracę, a jego e-maile poprawiały mi humor. Naprawdę, Sophie? Serio?

Za wszystko odpowiada o n. Nie Josh – Josh nie istnieje – tylko ten drugi. Ten, który trzyma mnie tutaj, w tym pokoju. W tej celi. Ten, który udawał Josha, który mnie wrobił, pisał skargi na wymaginowane hałasy i imprezy, włamał się na moje konto i wysyłał wiadomości do Jacksona, ukradł mi nóż z kuchni, podrzucił narkotyki do bagażu, doprowadził do tego, że zwolnili mnie z pracy, próbował oblać mnie kwasem. Facet, który zniszczył mi życie, pozbawił mnie wszystkiego, co miałam, i niemal doprowadził do obłądzenia. Troll. To wszystko jego sprawa.

No więc Josh napisał do Sophie. Mówię o sobie w trzeciej osobie, bo koszmarnie się wstydzę tego, że to ja, że dałam się podpuścić. Sophie czyta e-mail od niego i jest tam napisane, że ktoś próbuje dopaść ich dwoje i że nigdzie nie są bezpieczni. Och, myśli Sophie, biedny Josh, spotkało cię to samo, co mnie. Od razu mi lepiej, bo mamy wspólny problem i tak dalej.

Wiesz, gdzie jest London Fields Brewery? – pyta on.

Tak, odpowiada Sophie. Pamiętajmy, że Sophie jest idiotką.

Zaraz obok znajduje się skład materiałów budowlanych, mówi on. Będę tam na ciebie czekał. Znajomy pożyczył mi furgonetkę.

Oczywiście, na tym etapie nawet Sophie wyczuwa pismo nosem i odpowiada Joshowi, że nie bardzo jej się podoba ten plan. Jasne?

Jasne, że nie!

Otóż przejęta Sophie wysyła odpowiedź:

Okej. O której?

„O której”! Czujecie?

Słowo daję, niemal sobie zasłużyła...

Sophie zjawia się na miejscu o wyznaczonej porze. I rzeczywiście, widzi skład materiałów budowlanych, a na placu zaparkowaną furgonetkę. I słyszy jęk. I słowa, słabe, niewyraźne. Pomocy. Niech mi ktoś pomoże. Proszę.

Sophie podbiega do furgonetki, ponieważ Sophie jest prosta, nie ma ani grama zdrowego rozsądku i instynktu samozachowawczego. Podbiega do auta i odkrywa, że ktoś jest w środku. Tyle że ta osoba nie wygląda, jakby coś jej dolegało, jest za to... akurat to Sophie Ptasiemu Mózdzkowi umyka, ponieważ w tej samej chwili otrzymuje cios, traci przytomność i zostaje, nazwijmy to po imieniu, p o r w a n a.

Moja cela jest mała. Nie wiem, gdzie się znajduje, może być gdziekolwiek: w środku wielkiego miasta albo na pustyni w Syrii. Siedzę oparta o ścianę i wpatruję się w drzwi. Raz, że nie ma tu nic innego, na co mogłabym patrzeć, a dwa, że najbardziej boję się właśnie drzwi. Tego, że się otworzą. Dzielą mnie od nich dwa metry. Są zielone, metalowe i nie da się ich otworzyć kopniakiem – wiem, bo próbowałam, i to wiele razy. Podłoga jest betonowa, a ściany zbudowane z cegieł. W celi jest wiadro. I łóżko, nawet pościelone; wygląda jak zwyczajne łóżko w tanim hotelu. Tyle że akurat w tym przybytku konsjerżem jest wariat. Tuż nad moją głową znajduje się okno, ale nie ma oświetlenia, więc kiedy zapada noc, robi się zupełnie ciemno. Modlę się, żeby

noc nie przychodziła – tak jakbym mogła zmienić prawa natury. Bo kiedy jest ciemno, słyszę tylko siebie, swój oddech i nic więcej. W Londynie zawsze słychać jakieś odgłosy, zawsze są jakieś dźwięki. Tymczasem tutaj nie ma nic, zupełnie nic. Tak jakbym nie istniała, tak jak nie istnieje Josh; jakbym zniknęła z powierzchni ziemi. Ale... ach, to „ale”, wielkie „ale”. Ale przynajmniej wiem, że, cokolwiek się zdarzy, nie oszalałam. Nie zwariowałam. A to już coś.

Josh nie istnieje, więc mnie nie uratuje. Policja nigdy mi nie wierzyła. Ojciec jest w Dubaju i pracuje, zawsze pracuje. Nikt mnie nie ocali, nikt nie przybędzie na ratunek. Jestem w rękach sadysty, pomyleńca, psychola, i nikogo na świecie to nie obchodzi. Boję się. Och, tak bardzo się boję.

Fortune skończył jeść. Musiał przyznać, że czy człowiek chory, czy nie, talerz pełen jajeczniczy z bekonem i pieczarkami sprawia, że wszystko wygląda zupełnie inaczej, o ile zdoła się coś przełknąć. Do tego kawa, dużo kawy. I jeszcze papieros na wzmocnienie – oczywiście na zewnątrz. Najedzony odchylił się na krześle i popatrzył na świat za szybą hotelowego okna: mokrą jezdnię, taksówki, rowerzystów, betoniarkę powoli zatrzymującą się przed przejściem dla pieszych. Porządny posiłek porządnym posiłkiem, ale Fortune nadal był w kropce. Co dalej? Wiedział tylko tyle, że jego córka, żywa, choć przerażona, jest gdzieś przetrzymywana. I będzie jeszcze przez co najmniej siedem dni. Poczł, jak niepokój wyzwała kolejną falę adrenaliny i serce zaczyna mu mocniej bić. Co robić, do diabła?

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek telefonu. Wyjął aparat z kieszeni, zerknął na wyświetlacz i rozpoznał numer.

– Alex?

– Jezus Maria, Fortune, dzięki Bogu. Słuchaj... – przerwał, żeby nabrać powietrza. – Coś... coś ty, u licha, najlepszego zrobił?

– Co takiego?

– Musiałem najpierw z tobą o tym pogadać. Wiem, że nie powinienem, ale... Jezu, Fortune, jak mogłeś?

Fortune odwrócił się, trzymając telefon przy uchu, i powiódł wzrokiem po korytarzu i recepcji; para zgarbionych staruszków wysiadła z windy i ciągnęła za sobą walizkę.

– O co ci chodzi?

– Daj spokój. Od jak dawna pracujemy razem?

– Alex, powiesz mi, co się dzieje?

– Sam chciałbym to wiedzieć – odparł Alex.

Fortune wyobraził go sobie w biurze w Dubaju: podwinięte rękawy koszuli, poluzowany krawat, mina, która mówi: „cholera, i co teraz?”.

– Daj mi jakąś podpowiedź.

– Okej, w porządku. – Był podenerwowany, rozgniewany. – Mówi ci to coś? – Przeczytał ciąg cyfr. Fortune zgubił się w połowie, ale sekwencja brzmiała znajomo.

– Możesz powtórzyć?

Alex przeczytał raz jeszcze.

– To chyba numer rachunku bankowego.

– Wiesz czyjego?

– Chyba... – zaczął Fortune – mojego. Tak, to mój rachunek oszczędnościowy.

– Ile pieniędzy się na nim znajduje?

– Jakies sto tysięcy. Dlaczego pytasz?

– Błąd – sprostował Alex. – Jest dużo, dużo więcej, mianowicie trochę ponad sto trzydzieści milionów funtów szterlingów. Czyli jakies sto sześćdziesiąt milionów dolarów. Brzmi znajomo, prawda?

Fortune poczuł, że zaczyna się pocić. Przetarł czoło dłonią.

– Tak.

– Wiesz, że muszę poinformować o tym dyrektora.

– Wiem.

– Chciałem tylko... – Alex przerwał, próbował opanować emocje. – Chciałem zapytać dlaczego. Dlaczego to zrobiłeś?

– Niczego nie zrobiłem.

– Daj spokój, Fortune. Rozmawiasz ze mną, nie z Owenem. A ja muszę wiedzieć. Jesteś mi to winien.

– Nie ukradłem tych pieniędzy. To nie ja.

– Mam spotkanie z Owenem za jakies pięć minut.

Fortune zamknął oczy, zapadł się w krzesło i stracił resztki pewności siebie.

– Rozumiem.

– Za to ja nie. Po prostu nie rozumiem, Fortune, nic. Dlaczego?

– Alex, nie zrobiłem tego. To skomplikowane, wierz mi. Powiedz

Owenowi, powiedz, komu musisz. Ale uwierz mi, że tego nie zrobiłem.

– Jasne – odparł Alex beznamiętnym tonem. – Jak chcesz. Do zobaczenia.

– Alex... – zaczął Fortune, lecz rozmówca zdążył się rozłączyć.

Fortune siedział jeszcze przez chwilę z telefonem zbyt mocno przyciśniętym do ucha, po czym położył aparat na stół, pochylił się i oparł czołem o blat, którego chłodna powierzchnia podziałała kojąco na rozpaloną skórę. No dobrze, pomyślał, czyli teraz przytrafia mi się to samo co Sophie. Nie szkodzi. Spokojnie. Skoro Sophie dała sobie z tym radę – no, prawie – dam i ja. Spokojnie. Bez paniki. Poradzisz sobie.

Fortune nie wrócił do pokoju, tylko od razu wyszedł z hotelu, zatrzymał taksówkę i poprosił kierowcę, żeby jak najszybciej zawiózł go do najbliższego oddziału HSBC. Nie wiedział, kto przelał pieniądze ani jak to zrobił. Miał jednak świadomość, że wkrótce, bardzo szybko, włączy się alarm. Myślał intensywnie, przyglądając się ludziom, którzy w deszczu szli do pracy osłonięci parasolkami, przemykając chodnikiem. Pracował w bankowości wystarczająco długo, by wiedzieć, jak to się odbywa; sam przecież wychwycił mnóstwo podejrzanych operacji, zbadał je, przeszedł aż do źródła, którym często okazywał się „słup” potrafiący „zagwarantować” pochodzenie pieniędzy.

Jeżeli Alex powiedział prawdę, zapewne w tej chwili ktoś przygląda się kontu Fortune'a i zastanawia, skąd nagle znalazło się na nim dobrze ponad sto milionów funtów. Chodzi o pranie brudnych pieniędzy? A może o finansowanie terroryzmu bądź omińnięcie sankcji; może pieniądze trafiły na rachunek Anglika po to, by ten przelał je na Kubę albo do Korei Północnej? Jeśli ta suma rzeczywiście jest na jego koncie, musi się dowiedzieć, skąd się tam wzięła. Nie może zrobić tego przez internet, musi porozmawiać z żywym człowiekiem. Kiedy samochód zatrzymał się przez bankiem, uznał, że lepiej będzie poprosić taksówkarza, by zaczekał. Na wszelki wypadek. Bo nigdy nie wiadomo.

Utknął przy okienku obsługi klienta, bo zażądał rozmowy z kierownikiem. Ponieważ to, o czym chce porozmawiać, jest ważne, bardzo ważne. Sprawa delikatnej natury. Oczywiście, że zdaje sobie sprawę, że pracownica okienka jest świetnie przeszkolona i tak dalej, ale jednak wolałby spotkać się z kierownikiem. Proszę go zawołać, już, natychmiast.

Kierownikiem okazał się trzydziestolatek z nadwagą, do tego rodzaju ludzi Fortune nigdy nie potrafił nabrać zaufania. Bo jeśli nie przeszkadza ci, że masz niewyprasowaną koszulę, jest bardzo prawdopodobne, że w codziennych zadaniach w pracy będziesz równie mało staranny. Wygląda, pomyślał złośliwie Fortune, jak młody Marsh, z którego wyrosnie przyklejony do biurka, niekompetentny gość, który zaszedł niewspółmiernie wysoko w stosunku do swoich niskich umiejętności. Uśmiechnął się z fałszywą życzliwością i uściśnął dłoń kierownikowi, ten zaś powiedział, że ma na imię Michael, i spytał, w czym konkretnie mógłby pomóc.

– Wolałbym porozmawiać w pańskim gabinecie – odparł Fortune.

– Wobec tego zapraszam.

Fortune ruszył za Michaeliem, któremu koszula na plecach wystawała ze spodni. To taki typ, pomyślał Fortune, przypominając sobie stary dowcip, że wyglądałby niechlujnie nawet w piance do nurkowania. Michael wpisał kod, otworzył drzwi, przepuścił Fortune'a i otworzył kolejne drzwi, tym razem prowadzące bezpośrednio do jego gabinetu. Usiadł za biurkiem i wskazał Fortune'owi krzesło.

– Słucham, panie Fortune. Jak mogę panu pomóc?

– Chciałbym uzyskać dostęp do swojego konta.

– Może pan to zrobić w dowolnym oddziale w każdym okienku.

– Sądzę, że na moim koncie dokonano... nieprzepisowych operacji.

– Ach. – Michael przywołał pewny siebie uśmiech człowieka przyzwyczajonego do irracjonalnych obaw klientów. Ten uśmiech mówił: „Aha, w porządku, widzę, że jest pan paranoikiem. Jasne, rozumiem”.

– Sądzę, że ktoś przelał na nie sto trzydzieści milionów funtów.

Uśmiech zastygł na ustach Michaela. Kierownik przekrzywił głowę i lekko zmarszczył czoło.

– Słucham?

– Sto trzydzieści milionów. Tyle, jak mi się wydaje, w tej chwili znajduje się na moim koncie. Chcę się dowiedzieć, skąd wzięły się tam te pieniądze. Dlatego przychodzę do pana. Może więc – Fortune nabrał powietrza i dokończył rzeczowym tonem, próbując zapanować nad zniecierpliwieniem – zajrzemy na mój rachunek?

Podał Michaelowi numer konta, kod bankowy, odpowiedział na wszystkie pytania zabezpieczające, podał datę urodzenia, nazwisko panięskie matki – Hemmings – i pierwsze dwie cyfry PIN-u.

– Sprawdźmy – odezwał się Michael; pytania, które zadał Fortune’owi, sprawiły, że odzyskał poczucie władzy i panowania nad sytuacją. Spojrzał na ekran, poruszył myszką, znów popatrzył na monitor i bardzo powoli zamrugał, jakby oglądał drastyczną scenę morderstwa. Fortune w tym czasie ogarnął wzrokiem biurko: stało na nim zdjęcie Michaela z kobietą i dzieckiem; kobieta była ładna, bardzo ładna, i Fortune zastanowił się, czy kierownik lepiej sobie radzi w roli męża i ojca niż on sam. W końcu Michael oderwał wzrok od ekranu i popatrzył na Fortune’a.

– Trochę ponad sto trzydzieści milionów – powiedział słabym głosem. Odchrząknął i odezwał się nieco pewniej. – Dwanaście godzin temu na pańskie konto ktoś wpłacił ponad sto trzydzieści milionów funtów.

– Kto?

– Tego nie wiem.

– Czy może pan się tego dowiedzieć?

– Na pewno postaramy się to zrobić – odparł kierownik. – Mam kilka wiadomości dotyczących pańskiego konta. Od specjalistów do spraw nadzoru wewnętrznego z działu zapobiegania przestępstwom finansowym. Chcieliby z panem porozmawiać.

– O, to na pewno – zgodził się Fortune. Dodadzą dwa do dwóch i zarobią kilka milionów. Z kont byłego pracodawcy giną pieniądze i trafiają na rachunek Fortune’a. Najkrótsze śledztwo w historii działu zapobiegania przestępstwom finansowym. – Niech pan posłucha. Muszę wiedzieć, skąd wzięły się te pieniądze. Ta informacja jest mi potrzebna natychmiast. Co może

mi pan powiedzieć?

– Nic. Mój system nie rozpoznaje numeru konta nadawcy przelewu. Pierwsze trzy cyfry to zera, czyli konto może się znajdować gdziekolwiek, w Genewie albo na Kajmanach. Zresztą, panie Fortune, i tak nie mógłbym panu nic powiedzieć. Nie wolno mi.

Fortune westchnął, pochylił się i uświadomił sobie, że trochę już za późno na czarowanie urokiem osobistym, ale co tam!

– Naprawdę, ale to naprawdę muszę się dowiedzieć. W przeciwnym razie ktoś może się znaleźć w niebezpieczeństwie. Prawdziwym i wielkim niebezpieczeństwie. Rozumie pan?

Michael przełknął ślinę. Żaden kurs nie przygotował go do postępowania w takich sytuacjach.

– Nie bardzo – bąknął.

– Proszę mi podać numer rachunku, z którego przyszedł przelew.

– Nie mogę. To nielegalne. Trwa postępowanie...

– Podejdę z drugiej strony biurka i sam sprawdzę.

– Nie – odparł Michael. Sięgnął pod blat i spojrzał wyzywająco na Fortune'a. – Nie mogę panu na to pozwolić.

– Co pan zrobił? Co pan tam wcisnął? Alarm?

– Proszę nigdzie się stąd nie ruszać – oświadczył Michael. – Sprawdzimy, co się dzieje na pańskim koncercie...

Fortune już nie słuchał. Wstał, otworzył pierwsze, potem drugie drzwi, przemaszerował przez główną salę, starając się nie biec i nie wzbudzać podejrzeń, i wyszedł na deszcz. Taksówka nadal czekała. Wsiadł i kazał się zawieźć z powrotem do hotelu. Kiedy auto ruszało, Fortune odwrócił się i zobaczył Michaela. Kierownik wybiegł przed budynek i zaczął się rozglądać. Padający deszcz błyskawicznie przemoczył mu białą koszulę, spod której przebijało różowe, leniwe, tłuste ciało.

Fortune nie przypominał sobie, by umieszczał zawieszkę „NIE PRZESZKADZAĆ” na klamce. Nie mógł tego zrobić, kiedy wychodził, bo wtedy wystarczyło mu sił jedynie na zwleczenie się z łóżka, przejście korytarzem, trzymając się ściany, i wezwanie windy. Zawieszka musiała znajdować się na drzwiach już wcześniej; pewnie umieścił ją tam dzień wcześniej. Tak, na pewno.

Wsunął kartę do czytnika, zamek szczęknął i światelko na czytniku zmieniło się z czerwonego na zielone. Otworzył drzwi. Lampy były wyłączone, a zasłony zaciągnięte; blade światło deszczowego dnia nie przedostawało się do środka pokoju. Drzwi zamknęły się za jego plecami, zanim zdążył uruchomić oświetlenie. Zrobiło się ciemno i przez chwilę Fortune nie był w stanie namierzyć włącznika. Nie potrafił go znaleźć, mimo że miał wrażenie, jakby mieszkał w tym hotelu od wielu tygodni. W końcu znalazł, włączył światło w wejściu i zobaczył swoje odbicie w lustrze. Wyglądał fatalnie. Kiedyś miał nadwagę, po której teraz nie było śladu. Dieta rakowa. Każdy powinien spróbować.

Od drzwi do pokoju prowadził krótki korytarz. Na wprost znajdował się stół. Po prawej była główna część pomieszczenia, a w niej łóżko – nadal tonęło w ciemności, ale Fortune od razu zorientował się, że ktoś na nim leży i się nie rusza. Włączył górne światło i zobaczył, że tym kimś jest Charlie Jackson. Leżał na plecach z głową skierowaną w stronę wejścia i zwieszoną przez krawędź łóżka, tak że jego oczy spoglądały wprost na Fortune’a.

– Dobrze się pan czuje? – spytał Fortune, ale wiedział już, że niepotrzebnie. Ostatnie zwłoki, jakie widział – jeśli nie liczyć ciała biednej dziewczyny w kostnicy – należały do jego ojca, przed dwudziestu laty, ale dobrze zapamiętał ich wygląd. Oczy otwarte, ale niewidzące, brak zrozumienia, nadziei, śmiechu, pogardy, nienawiści. Powoli ruszył w stronę Jacksona,

uświadamiając sobie, że ten nie żyje i że się nie obudzi. Mimo to podszedł bliżej, pochylił się i zobaczył, że Jackson ma ranę z boku głowy. Wyglądała jak pęknięcie w desce podłogowej, czerwona od zaschniętej krwi, o nieokreślonej fakturze, a pod nią, na białym prześcieradle, szeroka plama. Kto mógł zrobić coś takiego? – pomyślał Fortune. Naraz cofnął się i wyprostował. Poczł ukłucie w sercu i ucisk w żołądku, kiedy raptem dotarło do niego, że to przecież jego pokój i że to on będzie głównym podejrzanym, skoro kilka dni wcześniej odwiedził Jacksona, rzekomo ukradł miliony swemu pracodawcy i najwyraźniej pomieszało mu się w głowie – i skoro jego córkę coś łączyło z tym martwym celebrytą. Podejrzenie padnie na Fortune'a, to więcej niż pewne. Wpadł po uszy.

Cofnął się, uderzył o stół, sięgnął ręką za plecy, znalazł krzesło i usiadł na nim. Przez pewien czas przyglądał się Jacksonowi, potem wstał, wyłączył światło i ponownie usiadł, wpatrując się w niewyraźny w półmroku zarys sylwetki Jacksona. Tak jakby ciało mogło w magiczny sposób ożyć. Tak jakby wszystko to, co się wydarzyło: pieniądze, zaginięcie Sophie, mogło się okazać tylko złym snem. Jackson nie ruszał się, za to Fortune wiedział, że musi uciekać. Musi opuścić pokój, musi się oddalić. Był już poszukiwany za defraudację na wielką skalę i lada moment miał do tego dojść zarzut morderstwa.

Jak to się stało? Kto mu to robi? I kto – na tę myśl jęknął, niemal z podszytym grozą podziwem – mu uwierzy? Został wrobiony, wmanipulowany, ktoś się zabawiał jego kosztem. Dopiero teraz w pełni zrozumiał, co przeżywała jego córka. Przeszła stopniową, niezrozumiałą dekonstrukcję własnego życia. Teraz kolej na Fortune'a. Ale dlaczego? Z jakiego powodu ktoś miałby podejmować cały ten wysiłek?

Wstał, wyjął walizkę i zaczął pakować ubrania. Nie zapalił światła, nie chciał bowiem patrzeć Jacksonowi w te okropne martwe oczy. Potrzebował paszportu i gotówki. Paszport oddał Sunicie Gandham. Co do gotówki – miał przy sobie niecałe sto funtów, a jego konta już zapewne zablokowano. Od dawna, od bardzo dawna nie zdarzyło mu się nie mieć pieniędzy. Teraz nie miał nic, ani paszportu, ani gotówki. Niezły początek...

Usłyszał dźwięk. Buczenie. Przerwał pakowanie, obejrzał się i zobaczył światełko przy łóżku. Jasny ekran telefonu komórkowego. Nie należał do Fortune'a, jego aparat nadal spoczywał w kieszeni. Podeszedł do telefonu jak do nieznanego i podejrzanego urządzenia. Pochylił się, przyjrzał; nie, to tylko zwykły telefon. A na nim wiadomość. Od: Starry Ubado. To ten troll Sophie, pomyślał Fortune, ten, który pisał ohydne, pełne nienawiści komentarze na jej blogu. Podniósł aparat i stuknął w ekran. Otworzyła się wiadomość:

„Podoba ci się?”

Wpatrywał się w nią, nie mógł oderwać od niej oczu. Po kilku sekundach zniknęła, rozpląnęła się, jakby nigdy nie istniała. „Podoba ci się?”. Pytanie było okrutne, świadczyło, że nadawcę bawi brutalność. Starry Ubado. Człowiek, który prześladował Sophie, kawałek po kawałku zdemontował jej życie i uprowadził ją. A teraz niszczył życie Fortune'owi. Kim on jest, do diabła? Fortune poczuł złość i bezsilną wściekłość. Mimowolnie zacisnął pięści. Poczuł, jak serce mu przyspiesza, a skóra płonie.

Wcisnął „odpowiedz”, napisał: „Kim jesteś?” i wysłał. Patrzył w ekran, przez kilka minut czekał, co się stanie, ale nic się nie wydarzyło. Starry Ubado, pomyślał, znajdę cię, kimkolwiek jesteś. Nieważne, ile będzie mnie to kosztowało. Znajdę cię. To jedyny powód, dla którego muszę żyć.

Spojrzał na zegarek na wyświetlaczu telefonu i uzmysłowił sobie, że spędził w pokoju prawie godzinę. Pora ruszać. Schował aparat do kieszeni, włożył komputer Sophie do walizki i się rozejrzał. O czymś zapomniał? Przez chwilę rozważał, czy nie warto wyczyścić pokoju z odcisków palców, ale przypomniał sobie, że przecież mieszkał tu, obsługa zdążyła poznać go z widzenia, i że to bez sensu, bo i tak ma przerabane. Włożył płaszcz, wysunął rączkę walizki i podeszedł do drzwi. Ponownie spojrzął na swoje odbicie. Wyglądał jak typowy zmęczony długą podróżą samolotem konsultant z korporacji, dobiegający wieku emerytalnego, przewidywalny, nudny. Nie sprawiał wrażenia człowieka, którego można podejrzewać o to, że w pokoju hotelowym zostawił trupa z rozbitą czaszką. Sprawdzał, czy zawieszka znajduje się na swoim miejscu, i zastanowił się, jak długo będzie tam wisiała, to znaczy ile miał czasu.

Fortune miał kartę kredytową i zapłacił nią za hotel. Poszedł do najbliższego bankomatu i korzystając z tej samej karty, pobrał pięćset funtów, najwięcej, na ile pozwoliła maszyna. Przypuszczał, że karta nie podziła długo, zostanie zablokowana, gdy tylko jeden dział porozumie się z drugim i rozejdzie się informacja o tym, co zrobił Fortune. To znaczy: co rzekomo zrobił. Nie wiedział, na jak długo wystarczy mu pięćset funtów – sześćset razem z pieniędzmi, które już miał w kieszeni – w Londynie. Nie znał ceny mleka, chleba czy biletu na metro, bo i po co? Podejrzewał, że daleko na tym nie zajędzie.

Tym jednak, co pozwoliło Fortune'owi przeżyć trzydzieści lat w trudnym, agresywnym środowisku korporacji, była doskonała umiejętność radzenia sobie w sytuacjach kryzysowych. Nie tracił głowy, zachowywał zimną krew, potrafił podejmować szybkie decyzje w stresujących warunkach – decyzje, które, gdy opadł kurz, z reguły okazywały się trafne. Wiedział, że umie nad sobą zapanować. Nie wiedział tylko, jak dobrze te zdolności ze świata korporacji przełożą się na przetrwanie w prawdziwym życiu.

Powinien zacząć od pozbycia się telefonu komórkowego. Otworzył aparat, wyjął baterię i kartę SIM, po czym każdy element wrzucił do innego kosza na śmieci. Następny krok to znalezienie miejscówki na noc: taniej, dyskretnej i najlepiej wyposażonej w Wi-Fi. Znał mnóstwo dyskretnych miejsc, ale takich, w których za przywilej dyskrecji słono się płaciło. Nie mógł sobie teraz na nie pozwolić. Kupił dobowy bilet na metro. Popatrzył ze zdumieniem na ekranik biletomatu: dwanaście funtów. Mój Boże, jak żyć w tym mieście? Zjechał na peron i wsiadł do pociągu Central Line jadącego na wschód, w stronę Oxford Circus. Przyszło mu do głowy miejsce, w którym mógł się ukryć.

Jake leżał w tej samej wnęce, co poprzednio, przed dwoma dniami. Spał pod kocem zwinięty w pozycji embrionalnej. Wyglądał bardzo młodo i niewinnie. Fortune zawahał się, nie chciał go budzić, ale Jake uniósł jedną powiekę i się odezwał:

– Wróciłeś.

– Zastanawiałem się, czy cię jeszcze znajdę. Nie starczyło ci pieniędzy?

– Wolę spać tutaj. Pieniądze wpłaciłem do banku.

Fortune pokiwał głową. Nie rozumiał wyboru Jake'a, ale szanował go.

– Potrzebuję twojej pomocy.

Jake otworzył oczy, usiadł i ziewnął.

– Jakiej pomocy?

– Mogę? – spytał Fortune, pokazując brodą na wolne miejsce obok Jake'a.

– Co? A, tak, jasne, siadaj.

Fortune położył walizkę przed drzwiami i usiadł na niej. Jake bacznie mu się przyglądał.

– Dołączasz do mnie?

– Niewykluczone – odparł Fortune.

Wyjął papierosy, poczęstował Jake'a, wziął dla siebie, zapalił oba. Siedzieli w milczeniu, palili i obserwowali przechodniów. Było sucho, ale wiał zimny, przenikliwy wiatr, który Fortune szybko poczuł na skórze. Jak można tak żyć – pomyślał – na ulicy przez okrągłą dobę?

– Jakiej pomocy? – powtórzył Jake i wypuścił z ust dym, który natychmiast porwał wiatr.

– Mam kłopoty – powiedział Fortune. – Sophie też.

– Jakie? Wiem, co to kłopoty.

– Została porwana przez człowieka, który zamierza ją zabić za siedem dni. A ja niedługo będę poszukiwany za morderstwo.

– Aha – mruknął Jake. Zaciągnął się ostatni raz, aż po filtr, i pstryknął papierosa na ulicę. – No, z takimi kłopotami to się jeszcze nie spotkałem.

– Mam mało pieniędzy, a muszę znaleźć jakąś dziuplę. Tanią. I potrzebuję dostępu do internetu. Żeby nikt nie zadawał pytań. Znasz takie miejsce?

– Chcesz osobny pokój?

Fortune spojrzał na Jake'a i zmarszczył brwi, tak jakby ten spytał go, czy Ziemia jest okrągła.

– Oczywiście, że tak.

Jake się roześmiał.

- No pewnie. Ale wiesz, żebraka nie stać na wybrzydzenie.
- Jeszcze nie jestem na tym etapie.
- Niedługo będziesz. Wiem, co mówię. Chcesz z powrotem swoją forszę?
- Nie.
- Na pewno? Dla mnie to żaden problem.

Ciekawe, ilu jest takich jak Jake? – pomyślał Fortune. Otwartych, uczciwych, wielkodusznych. Pracując od dawna w bankowości właściwie chyba nigdy ich nie spotykał.

- Na pewno – odparł. – To co? Wiesz, gdzie mógłbym się zatrzymać?
- Znam mnóstwo takich miejsc – powiedział Jake, wstając i spoglądając z góry na Fortune’a. – Ale najpierw będziesz musiał pozbyć się tego płaszcz.

Jake zaprowadził Fortune’a do wiktoriańskiego domu w zachodniej części Londynu. Poszli piechotą, ponieważ Jake nie miał kasy na metro. Podróż zajęła godzinę i dała się Fortune’owi we znaki. Kiedy się zatrzymali, trzęsły mu się ręce i miał płytki, urywany oddech. Poczł się stary. Poza tym nowy płaszcz – zielony, kupiony w sklepie z używaną odzieżą i ewidentnie wymagający prania – pod względem osłony przed zimnem nie umywał się do starego, z wielbłądziej wełny.

- W porządku? – spytał Jake.
- Nie – odparł Fortune. Przysiadł na murku, oparł dłonie na kolanach i zwiesił głowę. – Mam raka płuc. To prawdopodobnie nieuleczalne.
- Wow! – wypalił Jake. – Coś jeszcze? – zaśmiał się. – Niezły jesteś. Dobrze wiedzieć, że ktoś ma bardziej przesrane ode mnie.

- Miło z twojej strony.
- Gotów?

Fortune wstał.

– Tak. To tutaj? – Surowe, niemalowane framugi, brudne firanki, stos gruzu na poziomie suterenu.

- No. Miało być tanio, nie?
- Chodźmy.

Weszli po schodkach. Jake zadzwonił do drzwi. Dzwonek zabrzmiał jak silnik, który nie chce zapalić. Czekali, wsłuchując się w odgłosy dobiegające z wnętrza budynku. Otworzył im mężczyzna. Był ubrany w skórzaną kurtkę, miał ciemne włosy, ciemną karnację i kilkudniowy zarost. Fortune, człowiek przyzwyczajony do pięciogwiazdkowych hoteli i służalczej obsługi, poczuł, że rzędzie mu mina.

– No?

– Mój kumpel szuka pokoju.

– Dwie dychy za noc.

– Macie Wi-Fi? – spytał Fortune.

– Ta, mamy. – Fortune nie potrafił określić jego akcentu. Turecki? A może bułgarski, rumuński albo albański? Albo kosowski? – Z Wi-Fi dwie i pół dychy.

– Pokój dla jednej osoby?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Ta, dla jednej.

– Mogę obejrzeć?

– Pokój jak pokój. Najpierw kasa, potem oglądanie. – Sprawiał wrażenie pobudzonego, nerwowo zaciskał pięści, tak jakby miał ważniejsze rzeczy do roboty i nie mógł się doczekać, kiedy do nich wróci. Pewnie rozmontowuje kradzione auta, pomyślał Fortune. Albo robi coś gorszego.

– Jak się nazywasz? – spytał.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Na co ci to? Georgi.

– Georgi. W porządku, Georgi, macie tu wodę? Pysznic?

– A jak myślisz? Ta, mamy. Chcesz pokój, czy nie?

Jake zarechotał pod nosem.

– Jak ci się nie spodoba, jutro możesz poszukać czegoś innego.

– Kurwa – zaklął, jak rzadko kiedy, Fortune. – No dobra – zwrócił się do Georgiego. Wyjął pieniądze i zapłacił. – Masz. Zaniesiesz mi walizkę? – Ale Georgi zdążył już odwrócić się i odejść. – Ty też chcesz pokój? – spytał Fortune Jake'a. – Zapłacę.

- Nie-e. Nie trzeba.
- Za wygodnie dla ciebie?
- Powiedzmy. Wiesz, gdzie mnie znaleźć, jakby co.
- Dzięki – rzucił Fortune.
- Nie ma za co – odparł Jake i zszedł na dół. Odwrócił się i roześmiał. – Słodkich snów! – zawołał.

Fortune pokiwał głową, podniósł walizkę i wszedł do budynku, w zupełnie inne życie.

Gra. Lubi grać. Wszystko jest grą. Wszystko. Jest tylko jeden zwycięzca, prawda? To niesprawiedliwa rozgrywka. On dyktuje warunki, rozdaje karty, manipuluje ludźmi i bawi się nimi. Bawi się mną. Dla niego wszystko jest grą, dla mnie – nie. Bo nie znam reguł. Wiem tylko jedno: na końcu ginę. To cel rozgrywki. Przegrywam. Umieram. Dla niego wszystko ma być grą, inaczej to żadna przyjemność.

Czy dowiedziałam się czegoś nowego? Owszem. Okazuje się, że troll jest co najmniej sto razy gorszy, niż sądziłam. A także ze sto razy bardziej stuknięty, i to w bardzo, bardzo przerażający sposób.

Dziś rano zapukał do drzwi i powiedział, że mam się odwrócić twarzą do ściany. Dlaczego? – spytałam. Nie odpowiedział od razu, a potem rzucił: bo tak mówię. Jeśli mnie nie posłuchasz, załatwię ci trwały uraz

Jak w wiadomościach. Zawsze się zastanawiałam, co to właściwie znaczy: „trwały uraz”. Utrata ręki? Oka? Nieważne, nie chcę się przekonać. Odwróciłam się więc, stanęłam twarzą do ściany, i powiedziałam, że już. Usłyszałam, że drzwi się otworzyły i zamknęły, pomyślałam, że wszedł do pokoju, i poczułam ciarki na plecach. Zaczęłam się cała trząść. Wtedy usłyszałam jego głos zza drzwi. Powiedział, że już mogę się odwrócić. Zobaczyłam czarny worek – albo może poszewkę na poduszkę – na podłodze. Powiedział, żebym założyła go na głowę. „Tylko dokładnie, żebyś nic nie widziała”, dodał. Zrobiłam, co kazał, czując jednocześnie strach i zażenowanie. Worek był bawełniany i na szczęście czysty, wyprany, czułam zapach płynu do płukania. „Już”, powiedziałam. Otworzyły się drzwi, złapał mnie za rękę i oświadczył: „Chodź za mną”.

Ma dziwny sposób mówienia, wypowiada się... precyzyjnie, z jakąś taką, nie wiem, pewnością. Jakby był świeżo nawrócony. Nie musi kwestionować

tęgo, co robi, bo w i e, że to jest słuszne. Kiedy się go słucha, wiadomo, że dyskusja nie wchodzi w grę. Będzie tak, jak on chce. Koniec i kropka. Naprawdę mnie przeraża.

„Dokąd idziemy?”, zapytałam. Odpowiedział, że do Pokoju Gier. Co to takiego? Milczał przez chwilę, a potem odparł, że Pokój Gier to magiczne miejsce, pełne niespodzianek i nieoczekiwanych zdarzeń. Na tym skończył. „Co?”, rzuciłam po chwili, ale się nie odezwał.

Otworzył drzwi i zaciągnął mnie do środka, cały czas trzymając za rękę. Powiedział, że mam stać i nie ruszać się, więc stałam i się nie ruszałam. Drzwi się zamknęły i usłyszałam jego głos dobiegający z drugiej strony. Kazał mi zdjąć kaptur. Z jakiegoś powodu wolałam tego nie robić, naprawdę nie chciałam ściągać tego kaptura, ale co miałam począć? Zdjęłam więc i rozejrzałam się po Pokoju Gier.

Był nieduży, rozmiarów typowego salonu w domu pod miastem. Miał pomalowane na czarno ściany z cegieł. W kącie stała zupełnie niepasująca do tego miejsca zwyczajna lampa z czerwonym abażurem i czerwonymi frędzlami. Żarówka musiała być bardzo słaba, bo prawie nie dawała światła. Poza tym pokój był pusty. Jeśli nie liczyć dwóch umocowanych na ścianie żelaznych kółek i haka pośrodku sufitu. Ach, i jeszcze pliku kartek na podłodze. To wszystko. Może, pomyślałam, nie będzie tak źle.

Pora na grę, odezwał się troll zza drzwi. Jesteś gotowa? Nie czekał na odpowiedź. „Masz dokładnie dziesięć minut, powiedział. Chcę, żebyś ułożyła kartki we właściwej kolejności. Jeżeli kolejność będzie poprawna, dostaniesz coś do jedzenia. Jeżeli nie – nie będziesz jadła przez dwa dni. Czy rozumiesz zasady?”

„Odbiło ci”, powiedziałam.

Nie roześmiał się. Milczał. Pozałowałam swoich słów. Potem powtórzył: „Dziesięć minut. Proponuję, żebyś się skupiła, jeśli zależy ci na jedzeniu”.

Poszedł. Zostawił mnie samą w Pokoju Gier. Wbiłam spojrzenie w plik kartek. Byłam tak bardzo zdezorientowana, zdumiona i oszołomiona, że niewiele brakowało, a wybuchłabym śmiechem. Nie roześmiałam się jednak.

Rozłożyłam kartki na podłodze. Było ich sześć, na każdej znajdowała się

para liter.

AK

TF

SS

OM

GA

FL

Macie jakieś pomysły? Tak myślałam. U mnie też pustka. Wpatrywałam się w te kartki, a czas płynął. Miałam wrażenie, że minęła wieczność. Niesamowite, jak szybko potrafi przelecieć dziesięć minut. Stany – tak brzmiała moja pierwsza myśl. AK – Arkansas? GA to na pewno Georgia. FL – Floryda. OM... może Omaha? Czy to w ogóle stan? Albo Oklahoma, ale to chyba prędzej OK, chociaż może być i OM. TF? Raczej nie Tennessee, ale nie przychodził mi do głowy żaden inny stan na T. No, ale nie jestem specjalistką od geografii. ss? Też nic. Poza tym, niby w jakim porządku miałabym je ułożyć? Alfabetycznym? Najpierw Północ, potem Południe? Od najmniejszego do największego? Nie wiem.

Potem: symbole chemiczne. FL mógłby oznaczać fluorek albo fluor albo fluorescencję... ech, kogo próbuję oszukać? Na chemii znam się jak na samolotach.

Potem: kraje. GA jak Gambia. AK jak Afganistan, gdyby miał k w nazwie, ale oczywiście nie ma. Jezu, pomyślałam, mój Boże, na pewno minęło już dziesięć minut, a ja nie mam zielonego pojęcia, co oznaczają te litery. Najmniejszego pojęcia. Mój umysł pracował na najwyższych obrotach, ale nic z tego nie wychodziło, miał na próżno. Czułam się jak w szkole na matematyce, kiedy nauczycielka zadawała pytanie o równanie kwadratowe, a ja miałam ochotę uciec z klasy. To takie poczucie mijającego czasu i pustki w głowie. Zaczęłam przesuwając kartki po podłodze, ustawiać je w różnych kombinacjach, a nuż samo wyjdzie. Liczyłam, że może mnie oświeci, że dostrzegę oczywisty związek pomiędzy literami i powiem: no jasne! Gdzie ja miałam rozum! Nic takiego się jednak nie stało.

Troll wrócił i powiedział zza drzwi: „I co?”

„I nic – odparłam. – Nie mam pojęcia”.

Och. Sprawiał wrażenie zaskoczony i zawiedziony. „Naprawdę? Nie rozwiązałaś zagadki?”

„Nie”.

Westchnął. „Wobec tego nie dostaniesz kolacji”.

Nie powiedział nic więcej i ja też nie wiedziałam, jak zareagować. Bo co miałam mówić? Po pewnym czasie zrezygnował i rzucił tylko: „Założ worek”. Kiedy to zrobiłam, drzwi się otworzyły i troll odprowadził mnie do celi. W środku zdjęłam worek z głowy i starałam się nie myśleć o jedzeniu.

I wiecie co? Rzeczywiście nie dostałam kolacji. Ani śniadania. Nawet kęsa. Następnego dnia to samo. Wtedy to już byłam naprawdę głodna, bardzo, ale to bardzo chciało mi się jeść. Wyobrażałam sobie bigmaki, kebaby i indyjskie żarcie. Zabiłabym za chipsa krewetkowego. Przez cały ten czas myślałam o literach, zastanawiałam się, co mogą znaczyć. I być może dlatego, że byłam głodna i chyba trochę majaczyłam, w końcu wpadłam na rozwiązanie. Mimo że wydawało mi się niemożliwe, szalone, nierzeczywiste.

AK. Anthony Knight. Bankier, nudziarz, jeździł ferrari i zachowywał się, jakby samo to nadawało mu szczególny status i upoważniało do bycia skończonym kretynem. Co mi strzeliło do głowy?

TF. Ted Fulbrook. Nie najbystrzejszy. Ani, skoro już o tym mowa, najlepszy w te sprawy.

SS. Steve Smith. Z początku wydawał się fajny, ale miał okropne tatuaże i okazało się, że kiedyś był kibolem. Miło.

OM. Ollie Matthews. Najcudowniejszy facet, jakiego można sobie wymarzyć. Ale kiedy zaczynało być jasne, że spotykamy się na poważnie, nagle oznajmił, że wyjeżdża w roczną podróż dookoła świata. Beze mnie. Płakałam przez kilka dni.

GA. Gary Allen. Krótko: patałach.

FL. Frannie Livings. Przyjemny gość. Rozeszliśmy się w zgodzie, bo, o ile zdążyliśmy się zorientować – i nawet to przegadaliśmy – nie mieliśmy ze sobą zupełnie nic wspólnego.

Zgadza się, troll wziął inicjały sześciu osób, z którymi się przespałam (dwóch nie uwzględnił, bo nie mógł; nikt o nich nie wie, a ja wolałabym

zapomnieć), i kazał mi ułożyć je w kolejności. Skąd wziął te nazwiska? Czy jest coś, czego o mnie nie wie?

Ostatnią rzeczą, jaką od niego usłyszałam, było to, że ma nadzieję, że się poprawię w jego grach. Powiedział, że zostało jeszcze sześć dni, więc jest mnóstwo czasu.

Mój Boże. Sześć dni. Co on mi zrobi? Co zaplanował ten chory sukinsyn?

Dobre choć to, pomyślał Fortune, że można palić w domu. Dlatego że Georgiego nieszczególnie obchodziło, co się dzieje w środku. „Pokój” Fortune’a był w istocie połową pokoju; pomieszczenie przedzielono na pół gipsową ścianką i stworzono dwie wąskie, mające wspólne drzwi na korytarz klitki, w których zmieściło się tylko pojedyncze łóżko. Fortune słyszał chrapanie sąsiada zza prowizorycznej ściany tak wyraźnie, jakby obaj leżeli w jednym pokoju. Technicznie rzecz biorąc, tak właśnie było.

Fortune wszedł za Georgim na piętro po gołych schodach, poplamionych farbą przez poprzednich właścicieli, zobaczył swój pokój, zostawił walizkę i wrócił na dół. Poszedł do wspólnej kuchni. Była pełna mężczyzn, którzy palili, pili i gotowali. Rosłych mężczyzn, którzy wyglądali na zmęczonych i rozmawiali między sobą w nieznanym Fortune’owi językach. Kiedy stanął w progu i przywitał się po angielsku, spojrzeli na niego podejrzliwie i natychmiast zamilkli. Odwrócił się więc na pięcie, wyszedł z domu i znalazł najbliższego McDonalda. Przynajmniej coś zjadł. Wrócił i umył się w letniej wodzie w wannie z przerdzewiałymi kurkami. Światło w łazience nie działało, musiał wystarczyć blask z korytarza, wpadający przez szybkę nad drzwiami. Wszystkie grzejniki były lodowate. Dom był ponury, zimny i osobliwy, zamieszkały przez przedstawicieli obcych narodowości. Fortune poczuł się tak, jakby nagle przeniósł się do innego świata, mrocznego i posępnego, w jakiejś sowieckiej wersji Wielkiej Brytanii.

Położył się na łóżku i spróbował zasnąć, ignorując dźwięki zza ścianki, głosy z korytarza, niecichnące kroki na schodach i nieustanne otwieranie i zamykanie drzwi. Był przyzwyczajony do cichych, tłumionych odgłosów, do ciepła i wygody, do wszystkich tych rzeczy, których tu nie znalazł.

Nazajutrz obudziło go światło słoneczne wpadające przez gołe okno. Zimno wywołało napad kaszlu, którego nie potrafił opanować. Sąsiad zaczął walić w ściankę i mówić coś w niezrozumiałym dla Fortune'a języku. Fortune usiadł, przetarł oczy i zajrzał do walizki. Zniknął komputer Sophie. I telefon, ten, który znalazł w pokoju w hotelu i na który odebrał wiadomość od porywacza. Przepadł.

Włożył buty i poświęcił chwilę, by zebrać się w sobie. Potem obszedł przepierzenie. Jego sąsiad nie zdążył się jeszcze dobrze obudzić. Miał ciemne włosy i był średniego wzrostu, nie za wysoki, nie za niski. Fortune pochylił się nad nim, a zaskoczony mężczyzna wystraszył się i otworzył szeroko oczy.

– Gdzie on jest? – spytał Fortune.

– Kto? Co?

– Komputer. Rozumiesz? Komputer. I telefon. Gdzie one są?

– Nie wiem, nie wiem!

Fortune zmarszczył brwi i pokręcił głową.

– Owszem, wiesz.

– Nie wiem! – powtórzył mężczyzna. Fortune przyglądał mu się przez chwilę, po czym wstał i rozejrzał się po „pokoju” sąsiada. Oprócz łóżka znajdowała się tam jedynie gruba płócienna torba na zakupy. Podniósł ją i opróżnił: ubrania, żel pod prysznic, książka w obcym języku. Nic poza tym. Zerwał kołdrę z mężczyzny. Okazało się, że ten spał w ubraniu, nie zdjął nawet butów.

– Wstawaj – zarządził Fortune.

Mężczyzna wstał i przywarł do ściany, byle dalej od Fortune'a. Ten zaś podniósł materac i zajrzał pod spód. Nic.

– Podnieś ręce – powiedział Fortune. Mężczyzna nie wiedział, co robić. Fortune obszukał go, rozłożył mu ręce, sprawdził rękawy i nogawki. Mężczyzna miał telefon w kieszeni kurtki, ale inny niż ten, który Fortune znalazł w hotelu.

– Policja? – odezwał się mężczyzna i naraz Fortune zorientował się, że ten człowiek nie wie, z kim ma do czynienia. Nie ma pojęcia, że kipisz robi mu facet, obok którego przespał całą noc i który obudził go kasłaniem.

– Nie. Tak. Nieważne. Wracaj do łóżka. – Mężczyzna zrobił krok w stronę łóżka, zawahał się i popatrzył na Fortune’a pytającym wzrokiem. – Tak. Łóżko. Kładź się.

Fortune wrócił do swojej części pokoju i przysiadł. Schował twarz w dłoniach. Myśl. Ukradziono ci jedyną rzecz, która łączyła cię z córką. Telefon, musisz odzyskać telefon. Myśl. Zabrał go któryś z mieszkańców domu. Nie zastraszysz ich wszystkich. Jesteś pięćdziesięcioletnim mężczyzną chorym na raka. Musisz znaleźć kogoś, kto ci pomoże i zmusi ich do posłuszeństwa. Gospodarz. Georgi. Przyciśnij go, a on przyciśnie resztę. Musisz znaleźć Georgiego i zmusić go, żeby ci pomógł.

Jak to zrobić? Przekupić czy zablefować? – pomyślał Fortune. Przekupić czy zablefować? Ile miał pieniędzy? Niewiele ponad pięćset funtów. Potrzebował ich. Poza tym nawet dla takiej szumowiny pięćset funtów to znowu nie aż tak duża suma. Nie, przekupić się nie da – ta opcja odpada. Dłonie, którymi obejmował głowę, zacisnął w pięści. Myśl. Im dłużej tu siedzisz, tym będzie ci trudniej. Im dalej od telefonu i komputera, tym gorzej. Musisz działać.

Zajrzał do walizki, pogrzebał, znalazł portfel córki i schował go do kieszeni. Wyszedł z pokoju i ruszył schodami do kuchni. Znowu zastał w niej mężczyzn, ale tym razem było ich znacznie mniej niż wieczorem poprzedniego dnia.

– Ktoś widział Georgiego? – zapytał Fortune.

Spojrzeni na niego i nie odpowiedzieli. Było ich trzech. Wszyscy stali. Dwóch piło kawę, jeden piwo nieznanego Fortune’owi marki. Mieli na sobie ubrania robocze, ciężkie buty i kombinezony. Wszyscy palili, więc Fortune też wyjął papierosa i zapalił, naiwnie licząc, że może przekona ich tym do siebie, nawiąże jakąś, jakąkolwiek, nic porozumienia. Zaciągnął się, wypuścił dym i uśmiechnął się. Nie odpowiedzieli.

– Muszę z nim pogadać. Georgi. Znacnie go, nie? Muszę z nim pogadać.

Ponieważ nadal milczeli, Fortune postanowił jednak spróbować wcielić w życie plan A. Wyjął dwudziestkę.

– No, który mi powie, gdzie on jest? – Popatrzyli na banknot, ale nie zareagowali. – No?

Mężczyzna z piwem wychylił puszkę, odstawił ją i podszedł do Fortune'a. Jeden z pozostałych odezwał się do niego – zabrzmiało to jak ostrzeżenie – ale ten tylko się roześmiał i wziął pieniądze. Wyszedł z kuchni i zatrzymał się przy drzwiach, dając znak głową. Zszedł po schodach do piwnicy, zatrzymał się w połowie i pokazał Fortune'owi, żeby ruszył przodem. Na dole znajdowało się duże pomieszczenie z podwieszanym sufitem, w którym ukryto oświetlenie, skórzaną sofą i dużym telewizorem. Pod jedną ze ścian stało znacznych rozmiarów akwarium, pełne tropikalnych ryb, i Fortune'owi przypomniał się Jackson i jego akwarium. Poczł się, jakby znalazł się w zupełnie innym domu, w przeciwieństwie bowiem do parteru i piętra, piwnica była urządzona luksusowo i wyglądała na nowobogacką, wschodnioeuropejską, gangsterską wersję wyrafinowanej męskiej jaskini. Georgi siedział na kanapie i oglądał telewizję. Na ekranie kowboj ujeżdżał byka na rodeo, próbował utrzymać się na grzbiecie wierzgającego zwierzęcia, jedną rękę unosił w górę, a drugą mocno się trzymał.

– Georgi?

Georgi aż podskoczył. Przestraszył się, zareagował jak człowiek, który przyzwyczał się, że niespodzianki bywają wyłącznie niemiłe. Spojrzał na Fortune'a i zmarszczył czoło.

– Czego chcesz?

Fortune podszedł do Georgiego, celowo z największą pewnością siebie i determinacją, na jaką było go stać, wyjął portfel Sophie i wydobył z niego wizytówkę, którą wręczyli jej pracownicy wydziału zdrowia środowiskowego. Podał ją Georgiemu, który popatrzył najpierw na kartonik, a potem znów na Fortune'a.

– Siadaj – poinstruował Fortune. Stworzyć pozór panowania nad sytuacją. Nie dać czasu na zastanowienie. Georgi usiadł, Fortune obszedł sofę dokoła i spojrzał z góry na gospodarza. – Wyłącz – powiedział, kiwając głową na telewizor, który brzęczał mu za plecami. Georgi sięgnął po pilota i wykonał polecenie. – Wiesz, kim jestem?

Georgi pokiwał głową. Widać było, że nie jest zadowolony.

– To dobrze. Pracuję incognito, prowadzę inspekcję, nazwijmy to, hoteli. –

Wypowiedział to słowo z nieskrywaną pogardą. – Twój woła o pomstę do nieba. Mógłbym sprawić, że do jutra zamkną ci tę budę. Łamiesz wszystkie możliwe przepisy: przeciwpożarowe, imigracyjne, BHP... wszystkie. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Georgi podniósł wzrok i bąknął:

– No i? – Odzyskał nieco ze swej wojowniczości.

Fortune rozejrzył się po piwnicy. Nie spieszył się, stopniował napięcie.

– Chcesz, żebym zadzwonił, gdzie trzeba? Mogę zadzwonić.

– Czego chcesz? – Szybko załapał, w czym rzecz. Tam, skąd pochodził, dawanie w łapę urzędnikom było zapewne na porządku dziennym. Znał reguły gry. Wiedział, że Fortune czegoś chce i że być może uda się wywinąć.

– Ukradziono mi komputer i telefon. W tym domu. Na dysku komputera znajdują się... – udał, że waży słowa, aby sprawić wrażenie, że sprawa jest delikatna – rzeczy osobiste. Materiały, które muszę odzyskać.

– Ukradziono? Tutaj?

– Kiedy spałem. Muszę odzyskać te przedmioty. Natychmiast.

– Jaki komputer?

– Mac. Takiej wielkości. – Pokazał i wyglądało to, jakby chwalił się rybą, którą złapał. – I telefon. Ukradziono je razem. Muszę odzyskać oba przedmioty.

Georgi wzruszył ramionami.

– Ja nic nie wiem, człowieku.

– No to lepiej się dowiedz – odparł Fortune. – Daję ci... – podciągnął rękaw i zerknął na zegarek – pięć minut. Jeśli za pięć minut nie wrócisz z moim komputerem i telefonem, dzwonię do kolegów z urzędu. Jasne?

Georgi zastanowił się chwilę, po czym wstał.

– Zaczekaj tu.

– Nigdzie się nie ruszę. Pięć minut, tak? Komputer i telefon. Pięć minut, bo inaczej dzwonię.

– Tak, tak, zrozumiałem. Zaczekaj.

Szybkim krokiem poszedł na górę. Fortune usiadł na kanapie. Serce waliło mu jak szalone, a żołądek podchodził do gardła. Ten telefon to jedyny kontakt,

jaki miał z córką. Jezu, proszę, pozwól mi go odzyskać, pomyślał. Muszę go mieć. Przeklął samego siebie za to, że zachował się jak ostatni frajer i pozwolił sobie ukraść aparat w pierwszym miejscu, w jakim się zatrzymał. Co za absurd. Oparł głowę na zagłówek, zamknął oczy i spróbował się uspokoić, opanować panikę. Wszystko będzie dobrze. Pewnie nie będzie. Ale musi być. Sophie, idę po ciebie. Odnajdę cię, obiecuję.

Ostatecznie odnalezienie komputera i telefonu zajęło Georgiemu nie pięć, ale siedem minut, ponieważ jednak Fortune i tak nie miał do kogo zadzwonić, ani jak poprzeć groźbę czynem, dwuminutowe spóźnienie nie miało żadnego znaczenia. Pięć, siedem, piętnaście, co za różnica. Georgi zbiegł po schodach z urządzeniami pod pachą. To, że odzyskanie skradzionych przedmiotów zajęło mu zaledwie siedem minut, świadczyło o tym, że albo sam zorganizował kradzież, albo wiedział, kto jej dokonał. To też nieważne, pomyślał Fortune. Dostał z powrotem to, czego chciał, i nic innego się nie liczyło.

Odebrał komputer i telefon bez słowa. Wrócił do swojego pokoju i usiadł na łóżku. Dostał kolejną wiadomość. Nadawca: Starry Ubado. Otworzył ją.

„Gotów na grę?”

Fortune spróbował uspokoić oddech. Myśl trzeźwo, powiedział sobie. Pamiętaj, o jaką stawkę toczy się, *nomen omen*, gra. Tak jak poprzednio, wiadomość zniknęła po kilku sekundach.

„Czego chcesz?” – odpisał.

Czekał. Słyszał ciężki oddech śpiącego sąsiada. Na zewnątrz wyła syrena, oddalała się coraz bardziej, aż w końcu całkiem ucichła. Zaskrzypiały deski na stopniach. Ktoś schodził.

Nowa wiadomość:

„To skomplikowane”.

Co to za odpowiedź? Nie bądź bierny, pomyślał Fortune. Nie bądź potulny i naiwny.

„Kim jesteś?”

Znowu czekanie. Wstał i wyjrzał przez okno. Wrona dziobała pozostałości czegoś, co mogło być rozjechanym przez samochód lisem. Albo wiewiórką. Może...

Nowa wiadomość:

„Dobre pytanie. Masz sześć dni”.

Sześć dni. Zatem to prawda. Dobrze się domyślił. Data ukryta w sumie skradzionych pieniędzy. Sześć dni. Gotów na grę? Przecież grał według reguł tego potwora już od wielu dni, od tygodni.

„Skąd mam wiedzieć, że naprawdę ją masz? Że żyje?”

Wcisnął „wyślij” i dopiero wtedy uświadomił sobie, że wstrzymał oddech. To jest ta chwila. Za moment okaże się, czy jego córka naprawdę żyje – i że nie odebrała sobie życia ani nie zwariowała.

„Zadaj pytanie”.

Fortune nie musiał się długo zastanawiać.

„Wiedziałaś, że mnie znajdziesz i przyjdiesz po mnie. Kiedy to powiedziała?”

Tym razem czekanie się przedłużało. Fortune chodził jak tygrys w klatce, który dawno stracił rozum. Usiadł. Wstał. Zaczął chodzić. Wyjrzał przez okno. Znow chodź. Usiadł. Wstał. Czekał i chodził. Chodził i czekał. Telefon leżał na łóżku. Nie patrz na niego, pomyślał. Znasz powiedzenie, że woda dłużej się gotuje, kiedy ciągle zaglądasz do garnka. Nie patrz. Spojrzał. Nowa wiadomość:

„Zgubiła się. W metrze. Wtedy to powiedziała”.

Fortune przeczytał wiadomość raz, drugi, trzeci. Wziął głęboki oddech i po raz pierwszy od dawna poczuł coś na kształt radości. Sophie żyje. Przypomniawszy sobie jej drobną dłoń, ciężar jej ciała na swoich ramionach. „Wiedziałaś, że mnie znajdziesz i przyjdiesz po mnie”. Sophie żyje. Wierchem dłoni przetarł oczy, do których napłynęły łzy.

„Czego chcesz?” – napisał.

„Po kolei. Kim jestem?”

„Nie wiem”.

„Rozczarowujesz mnie. Trudno. W takim razie to twoje pierwsze zadanie. Dowiedz się, kim jestem. Wtedy zacznie się prawdziwa gra”.

Fortune wpatrywał się w ekran. Że też nie miał kartki i długopisu. Mógłby to sobie zapisać, prześledzić. Ale wiadomość zniknęła, tak jak wcześniejsze.

Chwilę później pojawiła się kolejna:

„Sześć dni. Lepiej się pospiesz”.

Fortune jechał pociągiem. Siedział przy oknie, miejsce obok niego było wolne. Patrzył na rozmyte pola, smętne krowy, szare jezioro, którego wody zlewały się z niebem tego samego koloru, bezlistne drzewa, płaski, ponury i beznadziejny krajobraz Essex. Nie miał dokąd pójść, jedynie do domu. Do domu żony, poprawił się. Potrzebował pieniędzy i samochodu. I dachu nad głową, miejsca, w którym mógłby spokojnie się zastanowić.

„Kim jestem?” Nazywasz się Starry Ubado, jesteś zagadką, sukinsynem, złem wcielonym, manipulatorem, władcą marionetek. Nie wiem, kim jesteś, pomyślał Fortune. Od wielu miesięcy nie rozmawiał z córką, nie miał pojęcia o jej życiu. Jackson i nieistniejący chłopak – to jedyne osoby, o których cokolwiek usłyszał. I Jessica. Sophie nie porwało żadne z nich. W takim razie kto?

Pociąg zwolnił. Kobięcy głos poinformował, że skład zbliża się do stacji New Street. Pasażerowie zaczęli wstawać, zdejmować bagaże z półek i wykonywać akrobacje z wkładaniem płaszcza w ograniczonej przestrzeni przedziału. Fortune spojrzął za okno i zobaczył policjantów w mundurach, liczny oddział, niektórzy funkcjonariusze byli z psami. Jak go namierzyli? Na pewno nie przez telefon, bo ten wyrzucił. Monitoring? Rozpoznawanie twarzy? Może przewidzieli, że zechce wrócić do domu, do żony, i po prostu czekali, aż wykona ruch? Pociąg się zatrzymał. Fortune rozejrzał się po wagonie. Gęsto od pasażerów, tłum ludzi. Dokąd pójść? Znalazł się w potrzasku, nie miał dokąd uciec. To koniec.

Z głośników popłynął komunikat z prośbą, aby wszyscy pozostali w przedziałach. Niech nikt nie opuszcza pociągu, powtarzam: proszę nie wysiadać z pociągu. Przez wagon przetoczyła się fala narzekań, westchnień, cmoknięć niezadowolenia, kręcenia głową. Ci, którzy już stali, gotowi do wyjścia, z powrotem usiedli na swoich miejscach. Policja stała i czekała. Na co? Fortune przyglądał się funkcjonariuszom, osłaniając twarz dłonią, jakby

chronił ją przed słońcem. Na tor po drugiej stronie peronu wjechał kolejny pociąg. Policjanci utworzyli zwarty kordon. Skład się zatrzymał, drzwi się otworzyły i z wagonów wysypali się pełni energii, żwawi mężczyźni w niebieskich koszulkach. Fala odbiła się od kordonu i popłynęła peronem, skandując, śpiewając, wykrzykując obraźliwe hasła. Kibice Chelsea. Puchar Anglii, czwarta runda. Fortune odetchnął i skupił się na opanowaniu wściekłego bicia serca. Spokojnie, nie przyjechali po ciebie. Kibice opuścili dworzec z pieśnią na ustach i udali się w stronę stadionu. Pasażerowie wstali, Fortune razem z nimi. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie wysiądzie z tego pociągu. Boże, jak mu się chciało palić!

Fortune nie miał wyboru: musiał wziąć taksówkę, licząc, że nie zostanie rozpoznany, że jego zdjęcie nie krąży we wszystkich możliwych mediach. Malwersant. Morderca. Wiedział, że na pewno jest poszukiwany. Z drugiej strony nie potrafił w to uwierzyć, wydawało mu się to wszystko nierzeczywiste. Zapłacił kierowcy za kurs i ruszył żwirowym podjazdem. Przed domem stał nieznany mu samochód. Podeszedł do drzwi domu, który nie należał już do niego, i nacisnął dzwonek. Nie uprzedził, że przyjedzie, zresztą nie miał numeru – był zapisany w pamięci telefonu, którego się pozbył, a jakoś nigdy nie zdołał go zapamiętać.

Otworzył mu jakiś mężczyzna. Był mniej więcej w wieku Fortune'a, szczupły i opalony, wyraźnie w lepszej formie, choć tu akurat nie było się czym chwalić, bo powiedzieć, że jest się w lepszej formie niż Fortune, to jak powiedzieć, że jest się bardziej dziarskim od trupa. Fortune'owi zebrało się na kaszel, ale zdołał stłumić odruch, zanim ten zaświadczył o jego słabości. Za nic nie okazać ułomności temu mężczyźnie, którzy otworzył mu drzwi jego własnego domu.

– Tak?

– Szukam Jean – odezwał się Fortune.

– Kim pan jest?

– Jej mężem – odparł i celowo urwał. – A pan to kto? – dodał po chwili.

Mężczyzna otworzył szeroko oczy.

– Jest pan jej mężem?

– Tak. A to jest mój dom. – Przynajmniej na razie, dodał w myślach.

– Wie pan, że jest poszukiwany przez policję? Byli tu dzisiaj. – Mężczyzna był nieco niższy od Fortune'a. Miał na sobie czerwony sweter, chyba kaszmirowy, w każdym razie drogi. Jego zbrązowiała skóra i stalowoszare włosy skojarzyły się Fortune'owi z bohaterami amerykańskich tasiemców z lat osiemdziesiątych: *Dynastii*, *Dallas*. Dobrze odżywiony i zdrowy... krzepki, tak, tego słowa mu brakowało. Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby Fortune tak bardzo zniechęcił kogoś od pierwszego spojrzenia.

– Jest Jean? – spytał.

– Czego pan chce?

– Porozmawiać z nią. To chyba oczywiste.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie.

– Nie?

– Jest pan poszukiwany za morderstwo. Zatem nie, nie może się pan zobaczyć z Jean. Jest pan niebezpieczny. Proszę odejść, albo wezwę policję.

– Proszę sobie darować. I tak pan do nich zadzwoni. Proszę mi natychmiast pozwolić porozmawiać z Jean.

– Powiedziałem już: nie. – Fortune musiał przyznać, że mężczyzna nie był mięczakiem. Nie speszyło go to, że stanął oko w oko ze stukilogramowym, poszukiwanym przez policję mordercą, z którego żoną sypiał. Fortune pomyślał, że powinien po prostu odepchnąć tego typka i siłą wejść do domu, ale sytuację uratowała Jean, która pojawiła się za plecami nieznajomego.

– Co tu robisz? – spytała.

– Potrzebuję pomocy. Nie mam się gdzie zatrzymać. Potrzebuję pieniędzy i samochodu.

Jean zmarszczyła brwi.

– Nie mogę ci pomóc. Była tu policja, powiedzieli, co zrobiłeś.

– Nie zrobiłem tego. To wszystko nieprawda.

– Znaleźli ofiarę w twoim pokoju w hotelu. Powiedzieli, że wcześniej na

niego napadłeś. To się chyba zgadza.

– Tak, ale... – Mężczyzna bacznie obserwował Fortune'a, gotów w razie potrzeby interweniować. Blokował wejście, stał w drzwiach domu, za który Fortune zapłacił. Irytujące... nie, „irytujące” to zdecydowanie za słabe określenie. – Nie zrobiłem tego – powtórzył.

– A pieniądze? Ich też nie ukradłeś?

– Nie, to nie ja. Nic nie zrobiłem.

– Proszę – szepnęła Jean – idź już sobie.

– Potrzebuję gotówki – powiedział Fortune. – Zablokowali mi konta.

– Zaczekaj w środku – odezwał się mężczyzna do Jean i położył dłoń na jej ramieniu. Fortune spojrzał na żonę, która cofnęła się do domu i patrzyła na niego z niewzruszoną miną. Fortune'owi przyszło do głowy, że może powinien powiedzieć jej o Sophie, zdradzić, że córka żyje. Czy uwierzyłaby mu? Pewnie nie. Ale po co dawać nadzieję, być może złudną? Pozostało sześć dni na uratowanie Sophie. Wiedział, że policja nie pomoże. Pieniądze. Samochód. Tylko tyle.

– Jean, proszę. Naprawdę potrzebuję twojej pomocy. Daj mi pieniądze i samochód, a odejdę i zostawię was w spokoju.

Mężczyzna wrócił z młotkiem. Nie do wiary. Obcy człowiek grozi mu jego własnym młotkiem w jego własnym domu. Jak do tego doszło?

– Proszę stąd iść – powiedział mężczyzna. – Natychmiast.

– Proszę – zwrócił się Fortune do żony, ignorując mężczyznę. – Pomóż mi. Daj mi samochód. Możesz powiedzieć policji, że odebrałem ci go siłą.

– Zadzwoń na policję. Już tu jadą.

– Ty kretynie – odparł Fortune. Ty... – przerwał. Nie miał na to czasu. – Jean, proszę, uwierz mi.

– Dlaczego? – odparła. – Czemu miałabym ci wierzyć? – Zwróciła się do mężczyzny. – Widzisz? Widzisz, jaki on jest?

Mężczyzna pokiwał głową.

– Pójdzie pan sobie czy nie?

– Zdaje pan sobie sprawę, że to mój dom, a Jean jest moją żoną?

Jean wybuchła śmiechem.

– Zamknij się. Nawet o tym nie wspominaj.

– Jean, proszę...

– Nie, nie, nie. Ile lat sypiałeś z tamtą kobietą?

– Czy możemy teraz o tym...

– Cztery? Pięć? Praktycznie prowadziłeś podwójne życie. Nie waż się mnie pouczać.

– Posłuchaj... – zaczął, ale nie dokończył. Nagle poczuł się zmęczony i zapragnął usiąść. Rozejrzał się, podszedł do auta stojącego na podjeździe i oparł się o nie. Drżącymi palcami wyjął papierosa, zapalił go, zaciągnął się i rozkasłał. Zgiął się wpół, rzucił niedopałek na ziemię i oparł dłonie na kolanach. Starał się, próbował opanować kaszel, ale nie był w stanie.

– Na miłość boską – odezwała się Jean. Fortune usłyszał chrzęst żwiru i poczuł dłoń na ramieniu. – Dobrze się czujesz?

Pokręcił głową. Wyprostował się.

– Nie, nie bardzo.

– To coś poważnego?

– Poważniej się nie da.

– Och, Fortune. – Spojrzała na niego z troską i smutkiem w oczach. Prawdziwym smutkiem, tak jakby już nie żył, jakby był zjawą, melancholijnym duchem, który przybył, aby przypomnieć jej, jak dawniej bywało. Ale czy naprawdę nie był nim przez te wszystkie lata? Duchem, zjawą, gościem we własnym domu? Tak, tym właśnie był. – Coś ty narobił?

– Proszę – powiedział. – Daj mi tyle gotówki, ile masz. I samochód. Błagam, jest mi potrzebny samochód.

Zamrugła, otarła łzę i zwróciła się do mężczyzny:

– Jeff, ile masz przy sobie?

Jeff. Powinienem był się domyślić, stwierdził Fortune. Jeff jak w pysk strzelił. Stuprocentowy Jeff.

– Jean...

– Rób, co mówię. – Potem zwróciła się do Fortune'a. – Zaczekaj tutaj.

Poszła do domu. Podniósł tłącego się papierosa i stał, paląc i słuchając wycia syren. Ile im zajmie dotarcie tutaj? Pięć minut? Dziesięć? Jean wróciła

z pieniędzmi i kluczami.

– Trochę ponad osiemset. Weź samochód. Ale jeśli będą pytać, powiesz, że nie dałeś mi wyboru, jasne?

– Jasne. Oczywiście. Dziękuję, Jean. – Wziął od niej gruby plik banknotów i kluczyki.

– Jedź już.

– Tak.

– Uważaj na siebie.

– Postaram się.

Odblokował zamek w aucie, otworzył tylne drzwi, zapakował walizkę, usiadł za kierownicą i odruchowo odsunął fotel. Zapalił silnik i położył dłoń na dźwigni zmiany biegów. Kiedy ostatnio prowadził samochód? Dawno. Nie szkodzi, to jak z jazdą na rowerze. Wyczuł, kiedy sprzęgło zaskoczyło, potem wrzucił bieg i ruszył podjazdem. W tylnym lusterku uchwycił postać żony, która objęła się z zimna. Po chwili podszedł do niej Jeff, zdrowy, przystojny Jeff, i otoczył ją ramieniem, zapewnił poczucie bezpieczeństwa i zadowolenia. Do diabła, pomyślał Fortune, odrywając wzrok od lusterka i skupiając się na drodze. Na pewno sprawdzi się w tej roli lepiej ode mnie.

Troll zapytał, kiedy powiedziałam: „Wiedziałam, że mnie znajdziesz i przyjdiesz po mnie”. Po co mu to? Byłam wtedy z tatą, zgubiłam się w metrze. Tylko tata o tym wie, nikomu więcej nie wspomnieliśmy o wydarzeniach z tamtego dnia. Tata nie jest trollem, na pewno nie. Więc o co chodzi? Czy to oznacza, że tata mnie szuka?

Nie, głupia, przecież nie rozmawiałaś z nim od wielu miesięcy, siedzi w Dubaju i robi... to, co zwykle robi. Rozdziela ludziom zadania, zaharowuje ich na śmierć, wyciska jak cytryny. W takim razie skąd to pytanie? Nie potrafię rozgryźć trolla. Wymyka mi się. Lubi gry, tyle wiem. Ale na czym polega gra, którą teraz ze mną prowadzi?

Wczoraj spytał, czy czegoś potrzebuję. „Tak – odparłam – potrzebuję wydostać się z tej dziury i znaleźć się jak najdalej od ciebie”. Roześmiał się, czy raczej wydał odgłos przypominający śmiech. Kto wie? Powiedział, że szkoda, bo mnie polubił i chciałby mieć siostrę taką jak ja. Powiedział, że byłoby zabawnie, razem byśmy wymyślali historie, razem się bawili, i tak dalej, i tak dalej. Odparłam, że chyba zwariował i że wolałabym, żeby odciął mi palce jeden po drugim. Tym razem się nie roześmiał. Zamiast tego kazał mi założyć kaptur. „Po co?”, spytałam. „Ponieważ – odpowiedział – wracamy do Pokoju Gier”.

Nadal nie wiem, jak on wygląda, ale jestem pewna, że jest młody. Nie widziałam jego twarzy, kiedy mnie porywał, a gdy wychodzę z celi, zawsze każe mi naciągać na głowę kaptur. Więc równie dobrze może być biały, jak i czarny, mieć jedno oko albo dwie głowy. Zastanawiam się, dlaczego nie pokazuje mi swojej twarzy, i wbrew sobie mam nadzieję – choć zapewne płonną – że nie chce, abym go zobaczyła, bo zamierza mnie uwolnić. Za kilka dni powie: „Dobra, miło było, gra skończona, spadaj i do widzenia”.

Taaa, jasne.

Tym razem nie było kartek. Była za to liczba napisana kredą na ścianie. Liczba ze znaczkem dolara:

89 917 042 \$.

I nic więcej. Troll powiedział: „Jeśli zgadniesz, do kogo należą te pieniądze, dostaniesz jedzenie. Masz równo dziesięć minut. Czy rozumiesz zasady?”. Nie odpowiedziałam, patrzyłam tylko na tę liczbę. Powtórzył: „Czy rozumiesz zasady?”. Umierałam z głodu, tak bardzo chciało mi się jeść, że ledwo stałam na nogach. Kłuło mnie w żołądku, tak że chwilami zginałam się w pół. „Tak – powiedziałam. – Tak, rozumiem”. Troll odszedł, słyszałam jego kroki. Usiadłam na podłodze. No już, Sophie, skup się, pomyślałam. Zignoruj głód. Dasz sobie radę. No, dawaj.

Co to znaczy: do kogo należą te pieniądze? Jest znaczek dolara, więc są amerykańskie. Należą do kogoś nadzianego. Może do kogoś, kto wygrał na loterii? Nie. To za proste, zbyt ogólne. On lubi gry, w których trzeba ruszyć głową. Więc rusz nią, dziewczyno. Poprzednim razem chodziło o twoich chłopaków. Tak jakby troll się popisывał, prężył muskuły, chwalił się swoją wiedzą na twój temat. Żeby pokazać ci, że tu rządzi i wie wszystko, i wszystko może. Okej. Czyli może teraz to też dotyczy ciebie.

Siedziałam na betonowej podłodze w rdzawe plamy, o których nawet nie chciałam myśleć, starałam się ignorować żelazne kółka w ścianie, hak w suficie i tę porażająco zwyczajną lampę z czerwonym abażurem, która wyglądała jak zwędzona z szeregowca w Croydon, i wpatrywałam się w liczbę. Gapiłam się na nią. I bardzo szybko przeczytałam ją od końca, bo uznałam, że to dobry pomysł. Od razu załapałam. No dobrze, nie od razu, ale zmieściłam się w dziesięciu minutach. Pieniądze należały do mnie, bo liczba oznaczała moje urodziny. Łatwe, nie robi szczególnego wrażenia, pomyślałam. Każdy by to rozpracował.

Załomotałam w drzwi i zawołałam trolla. Powiedziałam mu, że znalazłam rozwiązanie tej jego durnej gry. Pieniądze należą do mnie. O mało nie dodałam: więc może mi je pokażesz, co? – ale bałam się, że zmieni zdanie i każe mi dalej głodować.

„Czyli znalazłaś rozwiązanie?” „Tak”. „Czy było trudno?” „Niespecjalnie”. „To dobrze”, odparł. Usłyszałam ulgę w jego głosie, tak jakby obawiał się, że zadanie będzie zbyt trudne. Może jednak nie chce, żebym zagłodziła się na śmierć? Może to jednak nie skończy się aż tak źle? Może to wszystko to jeden wielki żart, wielka gra? Może. A może bredzę.

Zjadłam pizzę i wypiliśmy sok pomarańczowy. Dostałam też paczkę ciastek. Smakowało świetnie, doskonale, pierwszorzędnie. Nie sądziłam, że zwyczajna pepperoni może być taka dobra. Potem położyłam się na łóżku i zasnęłam. Sen przyszedł szybko, bo wymyśliłam nową metodę. Otóż wyobrażam sobie, że troll wchodzi do celi, a ja rzucam się na niego, przyduszam go i okładam, walę i walę, a potem jeszcze poprawiam, aż zaczyna jęczeć, płakać i przeproszać. I wiecie, co wtedy robię? Zgadliście – znowu go okładam.

Dlaczego zapytał mnie o to, co powiedziałam tacie? Chciałabym, żeby tata mnie szukał. Chciałabym, żeby przyszedł i uwolnił mnie, tak jak wtedy, kiedy odnalazł mnie na peronie metra. Ale to się nie zdarzy. On nie jest takim człowiekiem. Nie jest tak naprawdę moim tatą, tylko facetem, który go udawał, dopóki nie stało się to dla niego za trudne. Zostało pięć dni. Tak powiedział troll, kiedy dawał mi jedzenie. Za pięć dni zrobi to, co sobie zaplanował. Boję się, strasznie, okropnie się boję.

Lubi gry, pomyślał Fortune. Kimkolwiek jest, lubi grać. Fortune pojechał na północ. Oddalał się od Londynu, zmierzał w stronę wybrzeża, ku Suffolk, unikając głównych dróg i kamer monitoringu. Zatrzymał się na parkingu przed kempingiem. Nie wiedział, czy plac jest otwarty, ale kiedy zapukał do drzwi recepcji, otworzył mu jakiś nastolatek i powiedział, że jasne, mają otwarte, tylko że w przyczepach zimno. Chłopak zwracał się do Fortune'a per „stary”, co niespecjalnie mu przeszkadzało. Cóż, pomyślał, trudno oczekiwać traktowania jak w Hiltonie, kiedy człowiek ucieka przed policją. Zapłacił chłopakowi sto funtów za tydzień, stawkę obowiązującą poza sezonem, choć sądząc po stanie przyczep, w sezonie nie mogła być o wiele wyższa.

Wstąpił do pobliskiego sklepu i zaopatrzył się w jedzenie w puszkach oraz butelkę szkockiej. Ponieważ wypalił prawie wszystkie papierosy z kartonu, który kupił w sklepie wolnołowym, poprosił też o dużą paczkę marlboro. Cena wprawiła go w osłupienie. „Co jest – powiedział – niemożliwe, że kosztują aż tyle. Poważnie? Nie wierzę”. Gdyby w czasach jego młodości papierosy kosztowały tyle co dziś, w ogóle nie zacząłby palić. Wziął też gazetę. Sprawdził, czy piszą coś o nim albo o Charliem Jacksonie, ale nie znalazł żadnej informacji. Pewnie jest zbyt wcześnie, uznał. Trafi na pierwszą stronę zapewne dopiero nazajutrz.

Ściemniło się. Usiadł w przyczepie z papierosami i alkoholem pod ręką i ponownie zajrzał do komputera Sophie. Być może jest w tym chaosie plików coś, co przeoczył. Porywacz lubi gry, pomyślał. Starry Ubado. Troll. *Kim jestem?* Na pewno zostawił jakiś trop, wskazówkę, która umożliwi Fortune'owi odgadnięcie nazwiska. Fortune spróbował przypomnieć sobie treść wiadomości w telefonie, słowa, których użył nadawca; mogły mieć ukryte znaczenie. Ale nic z tego, nie potrafił wydobyć ich z pamięci, zresztą

i tak były krótkie i konkretne, żadnej wieloznaczności.

Wszedł raz jeszcze na bloga Sophie i przeczytał komentarze trolla. Znów to samo: żadnych niejasności, żadnego ukrytego przekazu, teksty proste i dosadne. „Mam nadzieję, że kierowca cię zgwałci, ty tępą dziwko”. „Oby sprzedał ci AIDS”. Przykre, obrzydliwe, ale bezpośrednie. Nic tu nie ma. Idziemy dalej.

Nazwisko. Starry Ubado? Czy coś mu to mówi? Że troll ma afrykańskie korzenie? Sam w to nie wierzył. Nazwisko nie jest, ma się rozumieć, prawdziwe. Wobec tego dlaczego wybrał takie, a nie inne? Starry. Fortune nalał sobie whisky i zgasił papierosa w kubku, bo nie znalazł popielniczki; nic dziwnego, skoro w przyczepie pełno było ostrzeżeń o zakazie palenia: TU NIE PALIMY, NIE PAL, ZABRANIA SIĘ PALENIA i tak dalej. Cóż to za przewinienie w porównaniu do przestępstw, za które mnie poszukują? – pomyślał Fortune i niemal uśmiechnął się pod nosem. Starry. Jak *starry night*, gwiazdzista noc. Jak *star signs*, znaki zodiaku. Jak *star*, gwiazda. Celebryta. Może to to? Ktoś z przeszłości Sophie. Ktoś, o kim pisała? Nie, już to przerobił z Charliem Jacksonem. Fortune’owi trudno było uwierzyć, żeby ten, kto zabił Jacksona, sam też był znaną osobą. Gwiazdy wykańczające gwiazdy, jak na jakiejś bratobójczej, szołbiznesowej wojnie. Potarł policzek. No, myśl, myśl. Kim on jest?

Zapisał nazwisko na kartce i się mu przyjrzał. Ot, nazwisko. Dziwne, to fakt. Na ostatniej stronie gazety znajdowała się krzyżówka. Kiedyś, kiedy był młodszy, lubił je rozwiązywać. Pamiętał, że ich autorzy celowali w anagramach, on zaś potrafił sprawnie je odszyfrowywać. Przeniósł spojrzenie z powrotem na nazwisko. Starry Ubado. Rozbił je na litery, które umieścił na kartce w przypadkowej kolejności. Lubi gry, pomyślał. Zaczął układać słowa z liter. *Board*, tarcza. *Darts*, strzałki. *Dartboard* – tarcza do gry w strzałki? Nie. Jest tylko jedno „d”. *Bay*, zatoka. *Bat*, nietoperz. *Bury*, zakopać. *Boat*, łódź. *Bar*, *bard*, *barb* – pręt, bard, kolec. *Bastard*, bękart. Zatrzymał się. Bękart. Zostały litery „r”, „o”, „y”, „u”. Poczuł wielką pustkę w piersi i bijące na jej dnie serce, które spadało, spadało, długo leciało w dół. *Your*, twój. *Your bastard*, twój bękart.

Sięgnął po telefon, drżącymi palcami wpisał wiadomość i wysłał ją. Trzy

słowa:

„Wiem, kim jesteś”.

Czekając na odpowiedź, nalał sobie szkockiej i zapalił kolejnego papierosa. Nie musiał długo czekać.

„Kim jestem?”

„Moim synem”.

„Tak. Twoim bękartem”.

„Czego chcesz?”

Pił, palił i wpatrywał się w ekran – i znów odpowiedź przyszła szybko.

„Wiesz, kim jestem. Teraz musisz już tylko mnie znaleźć. Pięć dni”.

Kiedyś byli z Jean szczęśliwi, mieli nadzieję na przyszłość i plany, które uwzględniały ich oboje. Czy przyczyną, dla której każde odpłynęło w swoim kierunku, była jakaś fundamentalna niezgodność charakterów? A może to, że Fortune tak naprawdę wcale nie pragnął założyć rodziny, ale uważał, że powinien – powinien znaleźć sobie żonę i spłodzić potomka; tyle że kiedy już to zrobił, poczuł niechęć do takiego życia. Nie znosił spędzania czasu w domu i uświadomił sobie, że dużo bardziej woli pracę. Znajduje w niej więcej sensu. Bardziej ją ceni. Im więcej pracował, tym lepiej się czuł i tym mniej czasu mógł poświęcić rodzinie, której nie chciał i nie rozumiał. Czy o to właśnie chodziło? Nalał sobie szkockiej. Nie wiedział. Przestał bywać w domu, bo źle się tam czuł. Przestali z Jean ze sobą rozmawiać, mijali się tylko w kuchni, każde żyło we własnym świecie.

Wtedy poznał Claudię. W pracy, bo gdzie indziej? Claudia. Była jego sekretarką, to chyba jasne. Piękna i młoda, dwudziestodwuletnia. Fascynująca, olśniewająca, zniewalająca. Potrzęsnęła burzą czarnych włosów, pomyślał: do diabła z tym, i wkroczył na zakazaną, niebezpieczną ścieżkę. Zostawiała mu swoją bieliznę w szufladzie biurka. Rezerwowała pokój w hotelu na popołudniową schadzki. Któregoś wieczoru poszła za nim do samochodu, wsiadła i... Fortune odpłynął, uwiedziony uwagą, jaką mu poświęcała, tajemnicą, egzotyką tego romansu. Była młoda, lecz potrafiła doskonale

kontrolować sytuację. Pewna siebie. Zadurzył się, zauroczył, uzależnił od dreszczu emocji, braku wyboru w spełnianiu jej zachcianek, groźnych wybryków. Stanowiła przeciwieństwo domowego życia, sprzeczek z żoną i cichych dni, i Sophie, zawsze Sophie, która krzyczała, głośno wyrażała swoje żądania, a Jean się załamywała... Im więcej czasu spędzał z Claudią, tym, rzecz jasna, mniej mógł go poświęcić rodzinie, to znaczy: jeszcze mniej. Zostawiał Jean samą z dzieckiem. Ile Sophie wtedy miała? Rok? Może półtora.

Usłyszał pomruk silnika. Snop światła z reflektorów omiótł wewnątrz przyczepy. Fortune wstał i wyjrzał, ale nie potrafił stwierdzić, co to za samochód i czy należy do policji. Kto mógłby tutaj szukać czegoś o tej porze? Stał bez ruchu, wsłuchując się w coraz bliższy odgłos. Wreszcie auto się zatrzymało. Drzwi się otworzyły i zamknęły. Fortune zerknął na butelkę – w razie czego chyba mógłby użyć jej jako broni. Uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech, i powoli wypuścił powietrze. Usłyszał czyjeś kroki, a potem pukanie do drzwi.

– Tak?

Brak odpowiedzi. Podszedł do drzwi i otworzył je. Zobaczył chłopaka z recepcji. Chwiał się. Był zawiany.

– Słucham?

– Elo, stary, tak tylko... tylko spławdzam – powiedział. Mówił powoli, plątały mu się słowa. Upity i do tego upalony. Oto przyszłość narodu, pomyślał Fortune. – Eee... wszystko wporzo?

– Tak.

Chłopak spojrzał na papierosa tłącego się w opartej o framugę drzwi dłoni Fortune'a.

– Tu się nie... e... pali.

– Och, przepraszam.

– No – mruknął chłopak i się zamyślił. – To może nie pal, co?

– Dobrze – odparł Fortune, ale nie zgasił papierosa, a chłopak jakoś się tym nie przejął. Był chudy jak patyk, miał ogoloną głowę i tatuaż na karku i wyglądał, jakby potrzebował dużo, dużo witamin. – Coś jeszcze?

– Nie. Tylko to.

– W porządku – powiedział Fortune. – To dobranoc.

Zamknął drzwi przyczepy i nalał sobie szkockiej. Przyszło mu do głowy, że sam powinien być mniej przytomny po tym, co wypił. Wsłuchał się w odgłos silnika samochodu. Chłopak był tak młody, że chyba nie powinien sam prowadzić. Silnik zawył – za dużo obrotów na złym biegu. Wóz zaczął się oddalać. Potem dało się słyszeć łoskot – chyba zderzenie. Fortune zastygł w bezruchu, ale przez pewien czas nic nie słyszał, dopóki nie doleciał go odległy trzask zamykanych drzwi. Wyjrzał na zewnątrz, ale było zbyt ciemno, by cokolwiek dojrzeć. Zapadła cisza. Wrócił do środka i usiadł w mrocznym bezruchu przyczepy.

Powróciło wspomnienie. Fortune siedział w ciemności, ale nie w przyczepie, tylko w swoim gabinecie, sam, długo po tym, jak wszyscy rozeszli się do domów. Wymyślał sobie zajęcia, żeby tylko nie zdążyć na kolację, nie wrócić na czas i nie musieć pomagać przy Sophie. Zadzwoił telefon. Odebrał.

– Słucham?

– Przyjdź do recepcji. – Claudia. Dziś nie pamiętał już dokładnie brzmienia jej głosu, wiedział tylko, że było chropawe.

– Po co?

– Przyjdź. – Zachichotała. – I zaczekaj.

Wstał, minął rzędy pustych biurek i ruszył korytarzem w stronę recepcji. Wszędzie pusto i ciemno. Zaczekał. Ile? Kilka minut. Zaczął się niecierpliwić. Nagle odezwał się dzwonek windy i zapaliła się strzałka. Drzwi się rozsunęły i stanęła w nich Claudia. Miała na sobie futro, które opadło z jej nagich ramion. Futro i nic więcej. Tylko szpilki i uśmiech. Cała Claudia.

Jak długo to trwało? Jak długo żonglował pracą, rodziną, romansem tak, aby wszystkie piłeczki pozostawały w powietrzu? Dwa lata? Nie dłużej, wbrew temu, co sądziła Jean. Pomyślał, że jego romans z Claudią był jak gwiazda, która płonie, wypala się i prędzej czy później eksploduje, nie jest w stanie wytrwać, nieodmiennie zmierza ku przerażającemu końcowi. Próbował to zakończyć, próbował wiele razy, ale Claudia była groźniejsza na dystans niż

z bliska, jej namiętność zamieniała się w dziką furję, niekontrolowaną, potężną, pozbawioną przyczyny. Groziła mu: że powie jego żonie, że pójdzie na policję, oskarży go, postawi przed sądem. Doprowadzi go do ruiny, zniszczy mu życie, rozbije rodzinę. Aż w końcu oznajmiła, że to wszystko i tak jest bez znaczenia, bo jest w ciąży, spodziewa się jego dziecka, więc i tak będzie musiał odejść od żony i zacząć z nią – z Claudią – nowe życie. Odmówił, powiedział, że nie ma mowy. Zostawił ją samą sobie i na tym się skończyło. Odepchnął ją i przestał się nią przejmować.

Ale to wcale nie był koniec. Claudia bowiem nie zamierzała się poddać. Przyszła do niego do domu, porozmawiała z jego żoną. Opowiedziała jej o wszystkim, co robili, ze szczegółami, wyłożyła całą prawdę o zdradzie Fortune'a. Jean zareagowała chłodną obojętnością. Fortune wyobrażał sobie, że spotkanie obu kobiet musiało przypominać starcie sił światła i ciemności, potyczkę przeciwieństw, ognia i lodu. Claudia odeszła, zostawiła Fortune'a, zwolniła się z pracy, zniknęła. Fortune nigdy jednak o niej nie zapomniał, a Jean nigdy mu nie wybaczyła. Ich małżeństwo już się po tym nie podniosło. Podejmowali symboliczne próby ratowania związku: a to wybrali się na kolację, a to wyjechali razem na wakacje, ale było już za późno. Zostali razem wyłącznie ze względu na Sophie, ze względu na jej szkołę, na klub golfowy, na pracę Fortune'a. Tak było łatwiej, zachowali pozory. Za to zniknęło zaufanie, a wraz z nim – miłość.

Cztery lata później Fortune dowiedział się, że Claudia popełniła samobójstwo. Powiesiła się. Poinformowała go o tym jedna z jej dawnych koleżanek, która uznała, że Fortune „powinien wiedzieć”, choć przypuszczał, że chciała tylko zobaczyć jego reakcję, poczuć perwersyjny dreszczyk emocji, towarzyszący przekazywaniu złych, szokujących wieści.

Tak, pomyślał Fortune, przelewając ostatnie krople szkockiej i zapalając kolejnego papierosa. Tak, jesteś słabym, samolubnym i godnym pogardy człowiekiem, w dodatku zdajesz sobie z tego sprawę dopiero teraz, kiedy jest już o wiele, wiele za późno. Chciałby móc cofnąć się o dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat i zacząć raz jeszcze. Zrobić to lepiej, postarać się, włożyć więcej uczucia. Spróbować zrozumieć żonę i córkę, dwie dobre istoty,

które kiedyś w niego wierzyły. Zaśmiał się z samego siebie, cicho, pogardliwie. Zawsze szkoda mu było czasu dla ludzi żyjących w świecie „co by było, gdyby”.

„Kim jestem?” Fortune znał już odpowiedź na to pytanie. Porywaczem Sophie był jego syn. „Twój bękart”. Odpowiedź była jednak tylko częściowa i wcale nie stanowiła rozwiązania. Fortune nadal bowiem nie znał nazwiska ani adresu, nie wiedział, kim tak naprawdę jest ten człowiek, gdzie mieszka ani jak zarabia na życie. Nie wiedział nic. Miał do czynienia z duchem, z osobą, z której istnienia nie zdawał sobie sprawy – której istnienia nie pragnął. Usiadł przy stole, gdzie poprzedniego wieczoru pił szkocką. Wziął dwie aspiryny i dorzucił trzecią; dwie na ból głowy, jedna na raka, pomyślał, oczywiście nie licząc, że wyleczą go z jednej czy drugiej przypadłości.

Zastanów się. Objął głowę dłońmi i zamknął oczy. Pomyśl. Musisz się dowiedzieć, gdzie go szukać. Najpierw jednak musisz poznać jego prawdziwą tożsamość. Nazwisko. Zaczynij od nazwiska.

No dobrze. Jak brzmiało nazwisko Claudii? Emmerson. Claudia Emmerson z... Skąd ona pochodziła? Miała dwadzieścia cztery lata, kiedy się rozstali. Co robią dwudziestoczteroletnie kobiety, gdy kończy się związek, gdy mają złamane serce? Wracają do domu. Do matki. Która mieszkała w... Do diabła, gdzie ona mieszkała? Skąd pochodziła Claudia? Przecież wiedział, no, wiedział, kiedyś, przed dwudziestoma laty wiedział to. Z południa, blisko wybrzeża. Brighton? Nie. Hastings! To jest to. Przyjechała z Hastings, zamieszkała w Londynie – wynajęła pokój – żeby rozejrzeć się za pracą. Hastings. Tak jest. Zawsze to jakiś punkt zaczepienia.

Spakował walizkę, zamknął przyczepę, wszedł do auta i podjechał pod recepcję. Stał przed nią byle jak zaparkowany samochód. Nie, nie zaparkowany, jak się okazało, tylko rozbity, z dużym wgnieceniem z boku i jednym kołem w rowie. Tak to się kończy, kiedy za kółkiem siada napruty nastolatek, pomyślał Fortune. Minął uszkodzony wóz, ale zanim dotarł do

wyjazdu z kempingu, z recepcji wybiegł chłopak i machnął do niego. Fortune zatrzymał się i opuścił szybę.

– Twoja robota? – spytał.

– No, z wczoraj.

– Piłeś?

– Troszeczkę.

Jasne. „Troszeczkę”.

– To twój samochód?

Chłopak pokręcił głową.

– Mamy. – Zagryzł wargę. – Pomożesz mi to jakoś załatwić? – zapytał po chwili.

– Sorry – odparł Fortune. – Mam sprawę.

– Proszę. Matka mnie zabije.

– Gdzie ona jest?

– Na wakacjach. Wyjechała z facetem.

– Rozumiem – powiedział Fortune. Popatrzył we wsteczne lusterko i zobaczył kłęby spalin, wydobywające się z rury wydechowej swojego auta. – W ogóle wolno ci wynajmować te przyczepy?

– Potrzebowałem kasy. – Powiedzmy, że to była odpowiedź na pytanie Fortune’a.

– Kiedy wraca?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Za parę dni.

Fortune przyjrzał się młodemu. Wyglądał na piętnastolatka, ale sprawiał wrażenie niedożywionego, więc równie dobrze mógł być starszy. Tak czy owak, nie zbywało mu na bystrości. Fortune wyczuł okazję. Wpadł na pomysł, ryzykowny i bardzo nieuczciwy, ale musiał to zrobić – dla Sophie. Nie mógł wybrzydzać ani mieć skrupułów.

– Słuchaj – odezwał się – chciałbym ci pomóc, ale nie mogę. Muszę wyjechać.

– Proszę cię, stary. No proszę.

Fortune westchnął i zgasił silnik. Zobaczył swoje odbicie w lusterku i sam

siebie nie poznał. Musiał spojrzeć raz jeszcze. Wyglądał na zmęczonego i chorego. Zaczynała mu rosnać broda. Do tej pory zawsze chodził gładko ogolony. Ludzie jego pokroju nie noszą zarostu.

– Mam znajomego, który naprawia auta. Dam ci jego adres. Może coś poradzi.

– Nie no, człowieku, nie mogę tak. Nie mam prawka.

– Cóż. – Fortune pokiwał głową. – Wobec tego przykro mi. – Zapalił silnik i wrzucił bieg, ale nie ruszył. Był mu potrzebny środek transportu. Okej, miał samochód, ale miał też świadomość, że auto jest poszukiwane przez policję. Wiedział o istnieniu systemu automatycznego odczytu tablic rejestracyjnych. Przejechał spory kawałek i na pewno gdzieś go namierzono. Z początku planował porzucić wóz i resztę drogi pokonać autostopem, ale teraz wpadł mu do głowy lepszy pomysł. Zwiększył obroty, ale nadal nie ruszał. No proszę, on, bankowiec z korporacji, gra na przetrzymanie z nieletnim ćpunem na kacu. Do czego to doszło?

Chłopak położył dłoń na opuszczonej prawie do końca szybie w drzwiach od strony kierowcy.

– A ty nie możesz?

Bingo, pomyślał Fortune, choć bez radości. Po raz drugi zgasił silnik i powoli odwrócił głowę w stronę chłopaka.

– Co nie mogę? – spytał po starannie odmierzonej pauzie.

– Zabrać go do naprawy. Możesz... – zastanowił się chwilę – Mógłbyś mieszkać tu za darmo. Jak długo chcesz. Dopóki matka nie wróci. Jeśli mi pomożesz.

– A co z moim wozem? – spytał Fortune. Zadać mu pytanie, dodać pewności, zaangażować go.

– Niech zostanie tutaj.

Fortune się uśmiechnął.

– Żebyś mógł go rozwalić? – Kapka humoru. Podręcznikowo.

– Nie, nie. Przyrzekam, nie zrobię tego.

– Aha. – Fortune przymknął oczy i udał, że się zastanawia. – Czyli mam zabrać twoje auto, naprawić je i przyprowadzić z powrotem? I mogę tu

mieszkać za darmo?

– No.

– A kto zapłaci za naprawę?

Chłopak włożył rękę do kieszeni i wyjął pieniądze, które dzień wcześniej dostał od Fortune'a.

– Mam tylko tyle.

Fortune się skrzywił.

– Potrzeba więcej.

– Nie mam. Stary, błagam.

Fortune głęboko westchnął.

– Jak masz na imię?

– Lee. – Lee. Pasowało do niego, tak jak Jeff pasowało do Jeffa.

– Jeśli dziś wyjadę, wrócę dopiero jutro – zaznaczył Fortune.

– Nie ma sprawy. Super.

– Jezu. – Fortune pokręcił głową, otworzył drzwi i wysiadł. Ten niewielki wysiłek wystarczył, by odezwał się kaszel i pojawiły się zawroty głowy. – Chyba mi odbiło. Dobra, dawaj te kluczyki.

Matka Lee jeździła dziesięcioletnim golfem. Pokonała nim ponad sto sześćdziesiąt tysięcy kilometrów, z tego większość, jak podejrzewał Fortune, na niewłaściwym biegu. Niepokoił go stan opon, które raczej nie przeszłyby kontroli drogowej, gdyby taka się przytrafiła. Po wyjechaniu na autostradę starał się nie przekraczać stu dziesięciu kilometrów na godzinę; samochody wyprzedzały go po obu pasach. Na kempingu skorzystał z komputera matki Lee i wyszukał Emmersonów mieszkających w Hastings. Znalazł trzy osoby. Dobre choć to, pomyślał, że miał dwadzieścia kilogramów mniej i wyglądał dziesięć lat starzej niż na zdjęciach, którymi mogła dysponować policja – i dzięki płaszczowi, który kupił za radą Jake'a, z wyglądu plasował się trzy klasy społeczne niżej, niż można by sądzić.

Usłyszał w radiu swoje nazwisko. Wymieniono go jako człowieka poszukiwanego w związku z morderstwem Charliego Jacksona. Przyglądał się

mijającym go samochodom i uświadamiał sobie, jak wiele różni go od kierowców i pasażerów tych aut, jadących do pracy, na zakupy albo w odwiedziny do znajomych. Ci ludzie są wolni, mogą robić, co chcą, nic ich nie ogranicza. Tymczasem on musi oszukiwać dzieciaki, liczyć się z groszem, spać w przyczepach, nie wychylać się. Prowadzić życie, jakiego dotąd nawet sobie nie wyobrażał. Przypomniawszy sobie czytane w dzieciństwie opowieści o jeńcach wojennych, którym udało się zbiec z obozu, o brytyjskich żołnierzach w Niemczech, będących w ciągłym ruchu, posługujących się podrobionymi dokumentami, egzystujących w wiecznym strachu. Musiał robić to samo, przemykać w inwigilowanym, naszpikowanym kamerami monitoringowym środowisku, któremu niewiele brakowało do rzeczywistości państwa policyjnego. Nie mógł dać się namierzyć i złapać, ponieważ był potrzebny córce. Dobrze, że przynajmniej Lee nie sprawiał wrażenia takiego, który pilnie śledziłby doniesienia z kraju.

Zjechał z M25 i skierował się na południe. Wyłączył radio. Starał się nie myśleć o czyhających na niego niebezpieczeństwach i o tym, że szanse na pozostanie niezauważonym są bliskie zeru. Trzydzieści kilometrów przed Hastings usłyszał syrenę i zobaczył radiowóz z błyskającymi światłami. Zastanowił się, czy zdoła uciec, i uznał, że nie, w tym wraku nie ma szans. Zwolnił więc, włączył kierunkowskaz i zjechał na pobocze. Radiowóz minął go na pełnej prędkości, a policjanci nawet nie spojrzeli w jego stronę. Zatrzymał się na stacji benzynowej, kupił mapę Hastings i ładowarkę do telefonu, którym kontaktował się z trollem. Ze swoim synem. Nie myśleć o tym. Jechać dalej. Liczy się Sophie. Cztery dni. Znajdź ją. Znajdź!

Pierwsza osoba o nazwisku Emerson i imieniu zaczynającym się na „P” – nie wiadomo, czy chodziło o kobietę, czy o mężczyznę – zajmowała mieszkanie w wysokiej wiktoriańskiej kamienicy z widokiem na morze. Fortune nacisnął dzwonek domofonu i czekał. Dom, który kiedyś pomalowano białą farbą, był teraz szaro-brudnego koloru, nosił barwę morskiej piany, takiej jak ta, która obmywała kamienistą plażę.

– Tak? – odezwał się zniekształcony głos w domofonie. Ledwie słyszalny na wietrze wiejącym od morza. Należał do kobiety.

– Pani Emmerson?

– Panna Emmerson – poprawiła rozmówczyni. – Niczego od pana nie kupię.

– Chciałem tylko porozmawiać – odparł Fortune. – Otóż badam historię rodziny Emmersonów...

– Rodziny? – przerwała mu kobieta. – Nie mam żadnej rodziny. – Słaby, cienki głos – należał do starszej osoby, to było oczywiste pomimo blaszanego podźwięku w głośniku.

– Czy znała pani Claudię Emmerson?

– Claudię Emmerson?

– Tak.

Fortune cierpliwie czekał na odpowiedź.

– Nie ma żadnej Claudii Emmerson – odezwała się w końcu kobieta.

– Wiem – potwierdził Fortune. – Ale czy znała ją pani? Przed laty?

– Przecież mówię – odparła głosem drżącym od starczego oburzenia. – Nie znam nikogo takiego.

– Jest pani pewna? – nie ustępował Fortune. Sprawia wrażenie zdzienniałej, pomyślał. Raczej niczego nie jest pewna.

– Proszę dać mi spokój – zapiszczała. – Przez pana nie wysłucham mojego programu w radio!

– Tak, oczywiście, pani... panno Emmerson. Przepraszam za fatygę – powiedział i puścił guzik domofonu. Wykreślamy pannę P. Emmerson, pomyślał. Kto następny?

Wróciłam do Pokoju Gier. Dziś było jednak inaczej. Troll kazał mi pozostać w kapturze, ale zdjąć wszystko inne.

Co?

„Wszystko. Ubranie. Zdejmij je”.

„Dlaczego?”

„Ponieważ to element gry – powiedział. – Nie bój się, nie dotknę cię”.

„Nie – odparłam. – Nie zrobię tego”.

„Owszem. Zrobisz. Ponieważ jeśli odmówisz, odetnę ci palce u nóg”. Powiedział to z całkowitym przekonaniem, z niezachwianą pewnością. Odetnie mi palce. Od razu wiedziałam, że mówi poważnie i na sto procent to zrobi.

No więc się rozebrałam. Zdjęłam ubranie, poskładałam je i położyłam na łóżku. Potem naciągnęłam kaptur na głowę. Było mi zimno, ale nie tylko dlatego cała się trzęsłam. To było jak – nie wiem, czy użyję dobrego określenia – przekroczenie granicy. Gorsze niż wszystko, co mi do tej pory kazał zrobić, gorsze niż wszystkie groźby. Powiedziałam, że już. Czuję się jak iracki żołnierz, na którego zaraz spuszczą psy. Troll przyszedł, zaprowadził mnie do Pokoju Gier i zamknął za mną drzwi.

Powiedział, że mam dziesięć minut na rozwiązanie zagadki, albo nie odda mi ubrania. „Czy rozumiesz zasady?” „Tak”. I odszedł.

Sześć słów na ścianie:

Upojenie alkoholowe.

Nieprzyzwoitość.

Cudzołóstwo.

Obżarstwo.

Gniew.

Morderstwo.

A pod spodem:

Co powinno być następne?

Okej. Zaczynamy od nowa. Rozwiązesz tę zagadkę, pomyślałam, i odzyskasz ciuchy. Nie pozwolisz mu się upokorzyć. Tu chodzi o władzę, o pokaz siły, że może zrobić z tobą wszystko, co zechce. Nie pozwól mu na to. Myśl.

Problem w tym, że z jednej strony troll wie o mnie wszystko, a z drugiej ja też zaczynam go rozgryzać. Jego zdaniem wiedza równa się władza – to klucz do zagadki. Wiedza to broń, co oznacza, że jego gry zasadzają się na wiadomościach o mnie. Rozwiązanie ma związek z czymś, co robiłam albo kim jestem. Trzeba tylko wykombinować, o co tym razem chodzi.

Moja pierwsza myśl brzmiała oczywiście: siedem grzechów głównych. Tyle że wśród nich nie ma upojenia alkoholowego – to na pewno. Jest za to lenistwo – wiem, bo kiedy byłam mała, zastanawiałam się, co obok grzechów robi ten słodki zwierzak¹. I zazdrość, tak, zazdrość na sto procent była na liście. Zatem nie chodzi o grzechy główne. Zapomnij. Leć dalej.

Może powinnam zastanowić się, które z tych „grzechów” sama popełniłam? Upojenie? Owszem. Nieprzyzwoitość? Tak. Cudzołóstwo? Nie, tego raczej nie, chyba że któryś z facetów, z którymi się przespałam, był żonaty, ale nie wydaje mi się, poza tym to trochę naciągane. Obżarstwo? Jasne. Gniew? Aha. Morderstwo? To zdecydowanie mogę wykreślić; na pewno bym zauważyła.

No więc co jeszcze? Wiedziałam, że czas płynie, ale nie poddawałam się panice. Skupiłam się i myślałam.

Upojenie alkoholowe.

Nieprzyzwoitość.

Cudzołóstwo.

Obżarstwo.

Gniew.

Morderstwo.

Co powinno być następne?

Tu jest haczyk, pomyślałam. Co powinno być następne. Nie: co jest następne, ale: c o p o w i n n o być. Czyli nie jest, choć powinno.

Mam. Dotarło do mnie. Oświeciło mnie. Nie wiem jak i skąd, ale popatrzyłam na „cudzołóstwo” i „obżarstwo” i nagle przyszła mi do głowy myśl. Zerknęłam na pozostałe kategorie i pomyślałam: tak, to musi być to.

Upojenie alkoholowe. J.P., znany i z reguły czysty jak łąza członek boysbandu, wychodzi, a właściwie wypada skuty z nocnego klubu, totalnie napruty, nawalony wódą i prochami. Wsiada do taksówki, ale taryfiarz odmawia kursu, więc co robi J.P.? Zamachuje się na faceta na oczach grupki paparazzi. I, oczywiście, przed obiektywami aparatów.

Nieprzyzwoitość. C.C., prezenterka telewizyjna, gospodyni nadawanego w porze największej oglądalności niedzielnego programu dla całej rodziny. Jej nagie zdjęcia wyciekły do internetu. Żegnaj, lukratywny kontrakt z telewizją, witajcie nocne kluby w Essex dla celebrytów z czwartej ligi.

Cudzołóstwo. Minister zabawia się z sekretarką. Zieeew.

Obżarstwo. H.T.D., raper i sławny *bad boy*, tyje i tyje, i tyje, aż jedyne, w co się mieści, to luźne dresy i czapy.

Gniew. H.T.D., tęgi raper, tłucze swoją dziewczynę.

Morderstwo. R.L., modelka, dokonuje aborcji. Reportaż ze smakiem, zawierał moralny komentarz na temat prawa kobiet do wyboru. Ale zasadniczo chodziło po prostu o skandal. To nie był mój najlepszy tekst.

Ostatnie sześć artykułów, jakie napisałam do gazety. Ostatnie sześć podpisane moim nazwiskiem. Och, jestem specjalistką od grzechu, jego badaczką. Co powinno być następne? Amator młodych dziewczyn, Charlie Jackson, a jakże. Tyle, że ten się wykpił.

Co więc powinno być następne? Pedofilia? Nie, to nie pasuje. Zboczenie? Też nie. To musi brzmieć... biblijnie. Jak w dziesięciu przykazaniach. Pożądanie. To było pożądanie. Ono powinno być następne. Zastukałam w drzwi, zaczęłam w nie walić. Pożądanie! – wrzasnęłam. Chodzi o pożądanie! O Charliego Jacksona i pożądanie. Troll wrócił i powiedział pełnym zawodu głosem, że tak, zgadza się. Kazał mi włożyć kaptur, otworzył drzwi, rzucił mi ubranie, a potem zawlókł do celi, dosłownie wepchnął do niej, jakbym zepsuła mu dzień, jakby mną gardził.

Jakby gardził. Sophie, dorośnij. Ten człowiek zniszczył ci życie, porwał cię,

głodził i upokarzał. Zamierza cię zabić. Kurwa, to przecież jasne, że tobą gardzi.

Druga na liście była S. Emerson. Mieszkała przy poźłobionej koleinami uliczce, biegnącej pomiędzy dwoma rzędami szeregowców, w domu, który wyglądał, jakby rozpoczął swój żywot jako szopa, a potem w miarę upływu lat dokładano do niego nowe elementy. Stanowił osobliwy zlepek przybudówek, daszków z blachy falistej i pomalowanych ścian z cegieł. Prowadził do niego wysypany żwirem i otoczony wianuszkami chwastów podjazd, na którym stał garbus ze składanym dachem; nic nie wskazywało na to, żeby prędko miał się stamtąd ruszyć. Fortune podszedł do, jak mu się wydawało, drzwi wejściowych, i zapukał. Z dziury w dachu garbusa wystawił łepiek kot i zamiauczał, patrząc na Fortune'a, zupełnie jakby ten znał odpowiedź na nurtujące futrzaka pytanie. Drzwi otworzyła kobieta o krótkich siwych włosach, ubrana w poplamiony farbą podkoszulek.

– Tak? O co chodzi?

– Dzień dobry. Badam historię rodziny Emersonów.

– O? – Kobieta założyła okulary połówki, które nosiła na łańcuszku na szyi.

– Czy mógłbym zadać pani kilka pytań?

Kobieta oparła się o framugę i zmierzyła Fortune'a wzrokiem.

– O co konkretnie?

– O pani potomków, o osoby będące członkami pani rodziny.

– Chodzi panu o genealogię.

– Otóż to – odparł Fortune, uśmiechając się. Nawet zaryzykował żart. – Niektórzy nie rozumieją znaczenia tego słowa, więc staram się go nie używać.

– Ja rozumiem – zapewniła kobieta, ale nie odwzajemniła uśmiechu. Uważnie przyglądała się Fortune'owi. – Czego chciałby się pan dowiedzieć?

– Czy ma pani córkę, siostrzenicę, bratanicę, jakąkolwiek krewną o imieniu Claudia?

– Claudia?

– Tak. Chciałbym zacząć od niej badania.

– Jakiego rodzaju badania?

Gorączkowo usiłował znaleźć wiarygodne uzasadnienie swojej ciekawości. O genealogii wiedział tyle, co o wychowywaniu dzieci. Kobieta wyprostowała się i powtórzyła:

– Jakiego rodzaju badania?

– Tak jak mówiłem – odparł. – Chodzi ogólnie o genealogię. – Mówiąc to, niemal odruchowo się skrzywił; tak słabo i nieprzekonująco to zabrzmiało.

Kobieta przekrzywiła głowę najpierw w jedną, potem w drugą stronę, jak ptak, który ocenia dżdżownicę przed zjedzeniem jej.

– Kim pan jest? – zapytała.

Fortune cofnął się o dwa kroki. Musiał się dowiedzieć, musiał wyciągnąć z niej odpowiedź.

– Claudia. Czy zna pani kogoś...

– Jest pan tym człowiekiem, o którym mówią w wiadomościach?

Nie odpowiedział, tylko odwrócił się i odszedł szybkim krokiem, ale tak, żeby nie wyglądało, jakby uciekał. Usłyszał kobietę, krzyknęła za nim:

– To pan! To o panu mówią!

Skreślił za róg i ruszył ulicą prosto do zaparkowanego tam auta. Jeszcze tylko jedno nazwisko na liście. Jeżeli pani S. Emerson zawiadomi policję, nie zostanie Fortune'owi wiele czasu.

Ostatnie miejsce na liście Fortune'a zajmował T. Emerson. Fortune dysponował adresem, ale, jak się okazało, brakowało mu wiarygodnego powodu wizyty. Wrócił pamięcią do rozmowy z kobietą i uświadomił sobie, jak nieporadnie próbował się wytłumaczyć. Wymówka z „genealogią” była spalona. Potrzebował czegoś, co zamiast prowokować pytania, będzie ucinąło wszelkie wątpliwości. Czemu pyta pan o Claudię? Ponieważ badam historię rodu Emersonów. Dlaczego? – będzie chciał wiedzieć każdy, kto ją znał. A Fortune nie miał gotowej odpowiedzi. Siedział w samochodzie

i zastanawiał się. Pieniądze. To jest to. Claudia miała długi, a on przyszedł je odzyskać. Był komornikiem, właśnie tak: komornikiem. Nie, windykatozem. Egzekutorem długów. Wyobraził sobie, że byłby w tym dobry – ale to akurat żaden powód do dumy. Windykator to człowiek opanowany, rzeczowy, niezdolny do współodczuwania. Nielubiany. No więc dobrze. Jest windykatozem, przyjechał w sprawie pieniędzy, egzekucji długu sprzed dwudziestu dwóch lat, o którym wszyscy chcieliby już zapomnieć. Najlepiej, żeby zniknął, przedawnił się. Sypnie bredniami o niespłaconej hipotece, trwałej schedzie, odsetkach składanych. To wystarczy. Kiedy Claudia umarła, miała dług i przez lata należność narosła. Cyniczny wybieg? Tak, i to bardzo. Ale mógł zadziałać.

T. Emmerson mieszkał w domu z lat pięćdziesiątych, jednym z wielu, jakie w tamtych latach napędze budował rząd. Nikt nie zakładał, że siedemdziesiąt lat później te budynki nadal będą stały. Dom wyglądał na niewykończony, tak jakby czekał, aż ktoś przyjdzie i wbije ostatni gwóźdź albo nałoży ostatnią warstwę farby. Do ogródka przed domem prowadziła zielona metalowa furka. Na podwórku stał motor, równie zaniedbany, jak trawnik. Fortune pracował całe życie, żeby uciec od takich miejsc, żeby wznieść się ponad nie. Pchnął furkę, przeszedł po popękany betonowym chodniku i zapukał do drzwi. Odczekał kilka chwil i znów zapukał. Zrobił krok do tyłu i zajrzał w okno. Wtedy drzwi się otworzyły.

– Słucham? – warknął mężczyzna, który w nich stanął.

– Pan Emmerson?

– Tak. Bo co? – Nosił okulary o grubych szklach, miał kilkudniowy zarost i ziemistą cerę, był ubrany w spodnie i podkoszulek. Wyglądał staro i niechlujnie. Cholera, to zupełnie jak ja, pomyślał Fortune. Przyjrzyj się sobie, zanim zaczniesz krytykować innych, dodał w myśli.

– Nazywam się... – do diabła, zapomniał o tym szczególe!... – Thomas. – To nazwisko czy imię? Nieważne. – Pracuję w firmie windykacyjnej.

Mężczyzna opierał się jedną dłonią o framugę. Oparł czoło o wierzch dłoni i uderzył dwa razy.

– Znowu to samo.

– Przychodzę w sprawie... – Fortune wyjął telefon i udał, że szuka nazwiska dłużnika – Claudii Emerson.

Mężczyzna obrócił głowę i wyprostował plecy.

– Claudii?

– Zna ją pan?

– Znałem. Była moją siostrą.

– Muszę z nią porozmawiać.

– Ale ona nie żyje od, nie wiem... – Zamknął oczy i zaczął obliczać w myślach. Zajęło mu to kilka chwil, co skłoniło Fortune'a do wysnucia wniosku, że matematyka nie jest jego najmocniejszą stroną. – Od dwudziestu lat. Albo dłużej.

– Och. Nie wiedziałem. – Fortune zaczął stukać w telefon, odstawiając absurdalną parodię urzędnika będącego w posiadaniu niezwykle ważnego urzędu, które robi niezwykle ważne, skomplikowane rzeczy. – Wobec tego muszę pana prosić o podanie danych jej najbliższych.

– Po co?

– Ponieważ dług należy spłacić. I jeżeli pani Claudia Emerson rzeczywiście nie żyje... – zawiesił głos, dając do zrozumienia, że podaje słowa mężczyzny w wątpliwość – wówczas dług przechodzi na najbliższych. – Wiedział, oczywiście, że to bzdura. Ale po minie T. Emersona poznał, że ten nie ma najmniejszego pojęcia o tym, jak działa bądź nie działa prawo.

– Cholera. Poważnie. Nie no, nie wiem. Najbliższy to znaczy kto?

– W normalnych okolicznościach mąż.

– Nie miała męża.

– Rodzice?

– Nie żyją.

– Rodzeństwo?

– Co?

Fortune westchnął.

– Bracia albo siostry.

– No, ja jestem bratem.

– Ktoś jeszcze?

– Nie.

– W porządku. Rozumiem – przerwał i się roześmiał. – Byłbym zapomniał o dzieciach. Pomyliła mi się kolejność. Najpierw dzieci, potem rodzeństwo. Jeśli więc miała dziecko...

– Miała – prędko zapewnił mężczyzna.

– Tak? Nic mi o tym nie wiadomo.

– No tak, bo... wie pan... on nie był do końca normalny.

– Był niepełnosprawny?

– Nie w ten sensie. Chodzi mi o to, że, rozumie pan, ona i jego ojciec, nie byli razem. Potem, jak umarła, zabiła się, wie pan, nie było wiadomo, co zrobić z dzieciakiem. Moi rodzice byli starzy, a ja... Gdzie tam ja! Ja się nie nadawałem. No więc oddaliśmy chłopaka.

– Oddaliście? – Fortune zrobił krok do tyłu i udał, że wpisuje coś do telefonu.

– No.

– Gdzie? – spytał Fortune. Bał się spojrzeć mężczyźnie w oczy, żeby ten nie zobaczył w nich nadziei i palącej potrzeby.

– A bo ja wiem. Oddaliśmy i tyle.

– Nie pytał pan? – Dopiero teraz na niego popatrzył. Mężczyźnie zrobiło się nieswojo.

– Wie pan... Co ja mogłem?

– Zna pan jego nazwisko? – zapytał Fortune, świadom, że to jest ten moment, na który czekał. Chwila prawdy.

– Dzieciaka? Tak, miał na imię... zaraz. – Zdjął okulary i potarł oczy. – Nie, nie tak. Nazywał się... to było dziwne imię.

– Proszę pomyśleć.

– Przecież myślę. On tu nie mieszkał, prawie go nie znałem. No, a Claudia też nie była, wie pan, wzorową mamusią. Ciągłe na niego wrzeszczała. Jak to szło? Zamknij się, do diabła, ty bachorze... cholerny... cholerny Hector! Chłopak nazywał się Hector. I co pan na to powie?

– I nie wie pan, gdzie mógłbym go znaleźć?

– Pojęcia nie mam.

– Bo wie pan, jeśli go nie znajdę, ten dług... Przejdzie na pana.

Mężczyzna na powrót założył okulary i stwierdził:

– Gdybym wiedział, tobym powiedział. Poważnie.

Co do tego Fortune nie miał wątpliwości.

– W porządku. Czyli dowiem się od pana tylko tyle, że pańska siostra, Claudia Emmerson, miała syna nazwiskiem Hector Emmerson i że nie wie pan, gdzie on obecnie przebywa.

– Aha – mruknął mężczyzna, trawiąc słowa Fortune'a. – Tak. Nie. Nie wiem, gdzie jest. Może być?

– Dziękuję. Niewykluczone, że jeszcze pana odwiedzę. Jeśli nie odnajdę Hectora. – Odwrócił się i ruszył popękany chodnikiem w stronę furtki. Kiedy był w połowie drogi, mężczyzna krzyknął:

– Ile? Powiedz pan ile.

Fortune odwrócił się, popatrzył na mężczyznę, na jego lichy dom, pomyślał o tym, że ten człowiek nie okazał cienia zainteresowania losem swojej siostry i jej syna.

– Prawie sto sześćdziesiąt milionów dolarów – powiedział. – Ma pan tyle drobnych?

Odwrócił się, nie czekając na reakcję mężczyzny, otworzył furtkę i wrócił do samochodu. Miał nazwisko. To już coś. Bez porównania więcej, niż miał dwadzieścia cztery godziny wcześniej. Zostały już tylko cztery dni, a jeszcze mnóstwo do zrobienia. Fortune zastanawiał się, czy da radę – nie: czy zdoła przechytrzyć trolla, ale czy, utrzymując takie tempo, po prostu uda mu się pozostać przy życiu. Chciało mu się spać. Nie mógł wrócić na kemping. Musiał się przespać natychmiast. Był taki senny...

Wyglądało na to, że Fortune odnalazł syna. Syna, którego zaniedbał jeszcze bardziej niż córkę. Jaką spuściznę po sobie pozostawił? Wstydliwą. Żalosią, beznadziejną, nędzną. Wystarczy. Nie myśl o tym. Działaj. W tej chwili liczy się tylko Sophie. Wszystko inne to tylko szum, chaos, szaleństwo. Skup się na Sophie. Zostały trzy dni. Nie masz czasu na uzalanie się nad sobą.

Obudził się pięć godzin wcześniej na przednim siedzeniu samochodu matki Lee, zaparkowanego w zatoce przy głównej drodze, pomiędzy ciężarówką na polskich rejestracjach a food truckiem, z którego handlowano zawałem smażonym w głębokim tłuszczu. Zamówił kanapkę z boczkiem u stojącej za ladą kobiety o niezdrowej cerze; kanapki z boczkiem, jak się okazało, nie gryzły się z jego chorobą – były rakoodporne. Jadł, siedząc za kierownicą przy otwartych drzwiach i obojętnie przyglądając się mknącym po mokrej szosie osobówkom, samochodom dostawczym i ciężarówkom. Mijały go auta. Mijał czas. Trzy dni. Trzeba ruszać w drogę. Trzeba mieć czym. Wybrał numer Lee. Musiał kupić sobie nieco czasu.

– Lee?

– Taa – bąknął chłopak, wyraźnie odurzony alkoholem albo prochami, albo jednym i drugim. – Stary, gdzie ty się podziewasz?

– Przepraszam, ale naprawa potrwa dłużej.

– Aaa... – W słuchawce zaległa cisza, widać Lee zastanawiał się nad odpowiedzią. – Czemu?

– Bo podczas uderzenia skopał się centralny zamek. I to na amen. Trzeba wymienić.

– O nie, nie, człowieku, nie mam kasy.

– Nie przejmuj się tym. Tak jak mówiłem, mechanik jest moim znajomym. Wszystko załatwię, tylko potrwa to trochę dłużej.

– Ile?

– Ze dwa dni.

– Mama wraca za trzy. Musisz oddać wóz.

– Zaufaj mi. Odzyskasz go. – Fortune musiał uspokoić Lee; uznał, że najlepszą strategią będzie atak. Poczul wyrzuty sumienia, ale co miał zrobić? Potrzebował samochodu, żeby odnaleźć Sophie. – Wyświadczam ci przysługę. Jeśli chcesz, mogę ci go natychmiast przyprowadzić, żebyś mógł się wytłumaczyć przed matką.

– Nie, nie, stary, tylko nie to – wybełkotał Lee. Fortune spróbował wyobrazić sobie jego matkę. Musiała robić onieśmielające wrażenie i wzbudzać prawdziwy strach w biednym Lee. – Tylko przyprowadź, zanim ona wróci, dobra?

– Nie ma sprawy. Odezwę się. – Fortune zamilkł. Wyobraził sobie niepokój chłopaka. – Aha, Lee?

– No?

– Spokojna głowa. Poważnie. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

– Okej.

Rozłączył się, podjechał do pierwszej przydrożnej restauracji, w której było darmowe Wi-Fi, i w oknie wyszukiwarki wpisał nazwisko „Hector Emerson”. Znalazło tylko dwie osoby: jedną w Stanach – hodowcę bydła mlecznego z Iowa, drugą w Wielkiej Brytanii – inżyniera programistę zatrudnionego w firmie AIX Industries. Sprawdził adres i okazało się, że firma ma siedzibę we wschodnim Londynie, niedaleko miejsca, gdzie mieszkała i pracowała Sophie. Czyżby odnalezienie syna miało być aż tak łatwe?

– Wszystko w porządku?

Fortune podniósł głowę i zobaczył młodą kobietę, która patrzyła na niego zaniepokojona.

– Słucham?

– Ma pan... krew na koszuli.

Spojrzał w dół i zobaczył ciemne plamy na jasnym materiale. Przez cały dzień oglądał się wyłącznie we wstecznym lusterku, widział tylko swoje oczy. Przeprosił, zamknął komputer Sophie i poszedł do toalety. Przyjrzał się sobie

w lustrze. Wyglądał niezdrowo, był blady, miał pęknięte, ubrudzone krwią usta, zmierzwiony zarost i podkrążone oczy. Stwierdził, że jest niepodobny do siebie – ale to akurat dobrze. Uśmiechnął się do swojego odbicia, choć był to wymuszony uśmiech, który nie objął oczu i ograniczył się do niezdarne go wykrzywienia ust; Fortune wyglądał z nim jak zjawa przybyła obrzucić jakiegoś nieszczęśnika złym spojrzeniem.

Odkręcił wodę i na tyle, na ile mógł, przemył twarz. Na razie wystarczy. W walizce w samochodzie miał czystą koszulę. Pora udać się do wschodniego Londynu i odnaleźć Hectora Emmersona. Starał się nie myśleć o upływającym czasie i o tym, że prawie na pewno nie zdąży. Trzy dni to za mało. Nie uda się. Ale musi.

Fortune nie wiedział, czego się spodziewać po AIX Industries, ale wyobrażał sobie coś w rodzaju laboratorium: nowoczesny, czysty, jasno oświetlony budynek pełen mruczących cicho maszyn, buczących świetlówek; wydajną szklaną konstrukcję na utrzymanej w nienagannym porządku działce. Tymczasem miał przed sobą stary ceglany magazyn. Stał nieopodal Olympic Park, przy ulicy, której przydałby się remont, i był wciśnięty pomiędzy reklamującą się tanimi przeglądami stację kontroli pojazdów i hurtownię towarów sprowadzanych z Chin. Fortune zaparkował kawałek dalej i cofnął się piechotą. Padał drobny deszcz, w powietrzu unosił się zapach benzyny i coś jeszcze, jakaś bliżej nieokreślona woń miejskiego rozkładu.

Nacisnął dzwonek domofonu, ale zanim ktoś odebrał, drzwi się otworzyły i z budynku wyszedł młody mężczyzna z bujną brodą, niosący bazę komputera stacjonarnego. Spojrzał na Fortune'a i zapytał:

- O co chodzi?
- Szukam AIX Industries.
- Znalazł pan – odparł mężczyzna opryskliwym tonem. – Szuka pan kogoś konkretnego?
- Hectora Emmersona.
- Bez jaj.

– Słucham?

Mężczyzna zawahał się i spojrzał najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Za czym się tak rozgląda? – pomyślał Fortune. Popatrzył na Fortune'a, dobrze mu się przyjrzał.

– Mój Boże – odezwał się wreszcie.

– O co panu chodzi?

– Wygląda pan... zupełnie jak on.

– Jak Hector Emmerson?

– Jest pan jego ojcem czy co?

– Nie – skłamał Fortune. Nie zamierzał się do tego przyznawać. – Zna go pan?

Mężczyzna posłał mu kwaśny uśmiech.

– O tak, proszę pana, znam go – odparł. – Jeśli jeszcze raz go zobaczę, przysięgam, że urwę mu łeb.

– Dlaczego? Może pan wyjaśnić?

– Nie bardzo – powiedział mężczyzna i westchnął. – No, dobrze. Niech pan wejdzie. Ale od razu uprzedzam, że wybrał pan sobie kiepski moment. Jest pan pewien, że chce wejść?

– Tak, jestem pewien – odparł Fortune.

Czy miał wybór? Mężczyzna zawahał się, potem rzucił:

– Proszę przytrzymać drzwi.

A kiedy Fortune zrobił, o co prosił, wszedł z powrotem do budynku. Fortune podążył za nim, zastanawiając się, czym, do diabła, jest to całe AIX Industries.

W holu znajdowała się klatka schodowa, która prowadziła na piętro, ale mężczyzna minął ją i pchnął drzwi do magazynu. Pomieszczenie było duże i częściowo puste. Połowę powierzchni zajmowały stoły na kozłach, na nich komputery i monitory, a między nimi kilometry kabli. W rogu stał niewłączony automat do gry. Środek magazynu zajmował spory stół, przy którym zgromadzili się ludzie. Stół ugiął się od półmisków z jedzeniem i butelek wina; chyba trwała jakaś impreza. W drugim końcu pomieszczenia ulokowano

pełną splątanych przewodów i migających lampek serwerownię. Budynek, który z zewnątrz wyglądał jak ruina, w środku okazał się na wskroś nowoczesny. Wystarczyło spojrzeć na serwery i komputery, by zrozumieć, że AIX Industries dysponowała niezłą mocą obliczeniową. Mężczyzna postawił komputer na stole i odwrócił się do Fortune'a.

– Tak w ogóle, to jestem Eddie.

– Fortune.

Nie podali sobie rąk. Stali przez chwilę, patrząc na siebie z zakłopotaniem, aż z niezręczności wybawiła ich kobieta z kieliszkiem wina w dłoni.

– Ed! – zawołała. – Kim jest twój gość?

– Szuka Hectora – odparł Eddie.

Naraz wszystkie głowy zwróciły się w stronę Fortune'a. Wyglądało na to, że Hector Emmerson zostawił po sobie niezłe bagno. Ciszę przerwała ta sama kobieta. Podeszła do Fortune'a i zatrzymała się tuż przed nim, rozlewając część trunku na betonową podłogę.

– Nicki Strensky – powiedziała. – Założycielka AIX. – Mówiła z amerykańskim akcentem.

– Fortune. Szukam Hectora Emmersona.

– To zupełnie jak my – odparła. – Co nie? – rzuciła do grupy skupionej wokół stołu i raczącej się kanapkami i koreczkami. Wszyscy ze zrezygnowaniem pokiwali głowami. Nicki odwróciła się do Fortune'a. Dotarło do niego, jak bardzo jest pijana. – Czego pan od niego chce?

– On... dopuścił się pewnych rzeczy. W stosunku do mnie i ludzi, których znam.

– Włamuje się. – Stwierdzenie, nie pytanie. Fortune pokiwał głową. – Tym się właśnie zajmuje – powiedziała Nicki. – Włamuje się do cudzego życia. Niszczy je. Zabawia się nim.

– Pani też to zrobił?

Potwierdziła skinieniem głową.

– To, co tu widać – gestem ogarnęła magazyn – to ostatnie rozpaczliwe podrygi AIX Industries, zanim firma na dobre wyzionie ducha, co stanie się za... – zerknęła na zegarek – za jakieś dwie godziny, kiedy odbiorą nam

sprzęt.

– On to zrobił? Hector?

Nicki pokiwała głową i westchnęła.

– Zgadza się. Wszystko przez niego. Okazało się, że ten typ to diabeł wcielony. Czyste zło.

– Co takiego zrobił?

– Wie pan co? Chętnie bym pogadała, ale akurat jestem zajęta.

– Rozumiem i przepraszam. Chodzi po prostu o to, że muszę go odnaleźć w pewnej bardzo ważnej sprawie.

– To też jest ważna sprawa. Mój wspólnik nie żyje. Wyprawiamy mu pożegnanie od całego AIX, a raczej tego, co z niego zostało.

– Bardzo panią proszę. Wystarczy kilka minut.

Nicki westchnęła, popatrzyła na Fortune'a, potem na grupę przy stole, i w końcu pokiwała głową.

– Proszę przyjść za godzinę. Wtedy porozmawiamy. Ale uprzedzam, że niewiele pomogę. Bo okazuje się, że nie wiem kompletnie nic, a może jeszcze mniej.

Godzinę później Nicki Strensky wydawała się nieco trzeźwiejsza. Poszli do przeszklonego gabinetu w dawnym kantorku brygadzysty, albo może w pomieszczeniu, w którym kiedyś prowadzono księgi magazynu. Usiedli przy biurku, na którym stał monitor i leżały stosy dokumentów – Nicki po jednej, Fortune po drugiej stronie. Nicki zaproponowała kawę, Fortune chętnie się zgodził. Kobieta miała krótkie włosy, wyraziste rysy, nieskazitelną cerę i inteligentne spojrzenie. Wyglądała na osobę, która uprawia jogę i zajada się roślinami strączkowymi. Zdrowa i zadbana – doskonałe przeciwieństwo mnie, pomyślał Fortune.

– Zna go pan? – zapytała Nicki.

– Nie.

– Jest pan jego ojcem?

Fortune zawahał się. Spojrzał Nicki prosto w oczy i odparł:

– Tak.

– Ale nie zna go pan?

– Nie. Nigdy go nie spotkałem. Dwa dni temu dowiedziałem się o jego istnieniu.

Nicki pokiwała głową, podniosła kubek do ust i się uśmiechnęła.

– Raczej nie będzie pan dumny z syna.

– Domyślam się – przyznał Fortune. Pokazał brodą na puste biuro. – Co tu się wydarzyło? Czym się właściwie zajmujecie?

– Zajmowaliśmy – Nicki sprostowała i napiła się kawy. – Zajmowaliśmy się niezwykłymi rzeczami. Ważnymi. Takimi, które zmieniają świat.

– Tutaj? – spytał zaskoczony Fortune, jakby chciał powiedzieć: „Cóż ważnego może się dziać w t a k i m miejscu?”, i natychmiast pożałował, widząc minę Nicki.

– Owszem, tutaj. Pracowaliśmy nad projektem sztucznej inteligencji. Zainwestowano w nas, specjaliści pchali się do nas drzwiami i oknami, mówiło o nas całe środowisko naukowe.

– Co to za projekt?

Nicki wzruszyła ramionami.

– I tak by pan nie zrozumiał. Chodziło o procesy logiczne, o zdolność podejmowania decyzji. Peter, mój wspólnik, był geniuszem, wpadł na pomysł niezwykłego algorytmu... – przerwała i odchyliła się na krześle, trzymając kubek obiema dłońmi. – To było piękne, bardzo eleganckie rozwiązanie. Arcydzieło.

– Rozumiem. – Na razie nie powiedziała nic, co przybliżyłoby go do Hectora. – I co się stało?

– Co się stało? Stał się Hector, Hector Emmerson. Przyjęliśmy go do zespołu, bo był dobry, bardzo dobry, a potrzebowaliśmy... – znów urwała. – To szczegóły techniczne, naprawdę pan nie zrozumie.

– Przekonajmy się.

– Zacięliśmy się na algorytmie. Maszyna go wykonywała, ale zbyt wolno i za słabo radziła sobie z przetwarzaniem danych. To złożone zagadnienie, wiele równoczesnych obliczeń... Udało nam się skłonić roboty do

podejmowania decyzji, niesamowicie skomplikowanych decyzji, uwzględniających miliony, miliardy zmiennych. Lepiej niż ludzki mózg, racjonalniej, sensowniej. Proces decyzyjny trwał jednak zbyt długo. Sekundy zamiast mikrosekund. Za wolno to działało, nie sprawdzało się.

– Jasne. – Fortune pokiwał głową, choć nie wszystko rozumiał. Decyzje. Szybkość. To brzmiało przekonująco.

– Musieliśmy przyspieszyć proces podejmowania decyzji. A Hector potrafił to zrobić, spod jego palców wychodziły cuda. Kod, który pisał, był jak magia. Osiągał poprawę o pięćset, sześćset procent i powoli zaczęliśmy dochodzić do tego, na czym nam zależało. Dużo nas to kosztowało, Hector nie był tani, w dodatku miewał swoje odchyły... Powiem wprost: był dziwny, ale uznaliśmy, że warto. – Roześmiała się. – Jednak nie, nie było warto. Zdecydowanie nie było.

Zobaczyła coś za plecami Fortune'a. Przerwała i wstała. Wychodząc z gabinetu, powiedziała:

– Proszę tu poczekać. Pora przyjąć ostateczny cios.

Fortune odwrócił się i zobaczył, że Nicki rozmawia z jakimś mężczyzną. Powiedział coś do niej, na co ona przeczesła włosy palcami i potarła oko nasadą dłoni. Wzięła długopis i napisała coś na podkładce z klipsem, którą trzymał mężczyzna. Pojawiły się dwie kolejne osoby, zaczęły odłączać komputery i wnosić je z magazynu. Zabierali wszystko, czym dysponowała firma, a Nicki stała i przyglądała się ich działaniom. Wyglądała na bardzo, bardzo osamotnioną.

Otaczają mnie duchy, próbują powiedzieć mi różne rzeczy, okropne rzeczy. Rzeczy, których nie chcę słuchać, o których nie chcę myśleć, ponieważ to, co im, tym duchom, się stało, mnie też spotka, jestem już tego pewna. To, przez co przeszły, czeka mnie za dwa dni. Coś strasznego, czego nawet nie chcę sobie wyobrazić, nie mogę sobie wyobrazić. Moja cela tchnie historią, czuję ją, jak oddycha, czuję, jak mnie obserwuje, czeka.

Ściany rozmawiają ze mną. Mówią do mnie bez ustanku i już dłużej nie mogę ich ignorować. Z początku mogłam udawać, że to nic nie znaczy, że to nic takiego, zwykłe dzieciaki, bazgrzą po ścianach, jak to one. Ale w tych słowach jest tak wiele bólu, cierpienia i strachu, że już nie mogę udawać. To miejsce jest pełne zła, ono czeka na mnie, szczyrzy zęby i oblizuje usta.

Nie zwariowałam. Nie jestem obłąkana (znów to powtarza). Nie jestem, nie jestem, nie jestem. A jednak. Znam wszystkie te głosy. Ponazywałam je. Słyszę, jak do mnie mówią, słyszę, jak cierpią, jak proszą i błagają, bym im pomogła, ale przybyłam zbyt późno, wiele lat, dziesięcioleci za późno. Poza tym, cóż mogę zrobić? Wcale nie jestem w lepszej sytuacji niż one. Biedactwa. Myślę, że to były dzieci. To chyba były dzieci i chyba je tu zabito, w Pokoju Gier. Nie wiem, skąd ta myśl, może wkradają się, kiedy śpię, biedne duszki szepczą mi do ucha o swym losie. No dobrze, może jednak postradałam zmysły.

Jeden nazywa się Matthew. Ja go tak nazwałam. Uważa, że zasłużył na to, co go spotkało. „Jestem niedobry”. Napis na ścianie, wyryty w cegle nad moim posłaniem. „Jestem niedobry”. A poniżej: „Mam niedobre myśli”. I jeszcze niżej: „Nic na to nie poradzę”. Mam nadzieję, że to wystarczyło, ta skrucha, by stąd wyszedł. Ale martwię się o Matthew. Bo chyba jednak nie wystarczyło.

Frank jest inny. Temu, co go spotkało, stawiał czoło z obojętnością, rzucił

mu: „Pierdol się” prosto w twarz. Tak mi się wydaje, bo słowo „pierdolić” w różnych odmianach występuje we wszystkim, co napisał. „Pierdolić St Basil”. „Spierdalaj, Burridge”. „Nie złamiecie mnie”. Faktycznie, w tym ostatnim nie było „pierdolenia”, ale całe zdanie jest jednym wielkim: „Pierdolicie się!”. Lubię Franka. Swój gość. Bóg raczy wiedzieć, co mu zrobili.

Jest też Hugo. Hugo jest drobny, wąły i bardzo, bardzo przestraszony. Brakuje mu bezczelności Franka. Nie rozumie, co ani dlaczego się z nim dzieje. „Przepraszam” – pisze. Pisze raz za razem: „Przepraszam. Przepraszam. Przepraszam”. Nie wiem za co, bo sam też tego nie wie. Tylko tyle, że odbywa karę. Wyobrażam sobie jego łzy, gdy siedzi sam w ciemności. Próbuje je opanować, ale nie może, jest bezsilny. Potrafi jedynie powtarzać, że przeprasza. Ile czasu tu spędził? Wyrzył „przepraszam” dziewięćdziesiąt pięć razy. Tyle naliczyłam. Ale może być więcej. Proszę, proszę, okaż litość biednemu dziecku. Czy nie dość się naprzepraszało? Działo się tu i dzieje zło. W Pokoju Gier są żelazne kółka w ścianie, hak w suficie i krew na podłodze. Świat nic nie wie, świata to nie obchodzi. Jesteśmy tu tylko my: ja i troll. Wkrótce odejdę, tak jak Matthew, Frank, Hugo i Bóg raczy wiedzieć ile jeszcze biednych dusz. Niedługo będę z wami, mówię im nocą, zanim zasną i przyjdą szeptać mi swoje upiorne sekrety. Będę z wami, obiecuję, i postaram się dać wam tę pociechę, której tak bardzo potrzebowaliście za życia.

Dwa dni. Zostały dwa dni. Chciałabym być taka jak Frank, umieć odważnie powiedzieć: „Pierdol się”, ale bardziej przypominam Hugo. Jestem mała, przerażona i bezbronna. Frank, jesteś tu? Daj mi, proszę, odrobinę tego swojego nastawienia. Bardzo by mi się teraz przydało.

– Zabił się – Nicki powiedziała Fortune’owi, siadając naprzeciwko niego. Za jego plecami mężczyźni wynosili ostatnie sprzęty należące do AIX Industries. Magazyn opustoszał.

– Kto taki? – spytał Fortune, myśląc o Claudii, która się powiesiła, i o rzeczach Sophie, znalezionych w chacie nad rzeką.

– Peter. Mój wspólnik. Dzisiaj się z nim na swój sposób żegnaliśmy. Urządziliśmy, można powiedzieć, stypę.

– Przepraszam. Przeszkodziłem wam.

– No cóż... – urwała, bo nie wiedziała, co dodać.

– Dobrze go pani znała?

– Tak, znałam go bardzo dobrze. Tworzyliśmy zespół, świetny, nie, wspaniały zespół. On był geniuszem, a ja odpowiadałam za stronę biznesową. To, nad czym pracowaliśmy... – znów zawiesiła głos, zagubiła się w rozmyślaniu nad tym, co by było, gdyby; nad do niedawna świetlaną przyszłością AIX Industries. – Mieliśmy zmienić oblicze sztucznej inteligencji. Mowa o naprawdę inteligentnych maszynach. Które prowadzą auta, operują chorych, są całkowicie autonomiczne. Podejmują lepsze decyzje niż ludzie.

– I co się stało? – spytał Fortune. Skoro inwestorzy pompowali tak dużo pieniędzy w AIX Industries, innowacje firmy rzeczywiście musiały mieć kolosalne znaczenie.

– Tak jak mówiłam, stał się Hector Emmerson. Przyszedł, był dziwny, ale skuteczny, świetny, znakomity pracownik. Ale było w nim coś takiego... coś, co nie dawało spokoju. – Wybuchła pustym śmiechem. – Jasne, w firmie zawsze było pełno maniaków komputerowych. Taka branża. Inżynierowie oprogramowania, ci dobrzy, bywają z innej planety. Ale Hector... po prostu działał na nerwy. To, jak patrzył na człowieka. Oceniał go, szacował jego

wartość. Jakby ten był problemem do rozwiązania, wyzwaniem.

Fortune pokiwał głową.

– Ma pani rację – przyznał. – On lubi gry. Lubi bawić się ludźmi.

– Zaczął się przystawiać do dziewczyny, która u nas pracowała. Zaprosił ją na kolację. Zgodziła się, proszę nie pytać dlaczego, nie wiem. Może była zdesperowana. Pojechała z nim. Zatrzymali się przed jakimś budynkiem. Powiedziała, że to chyba nie restauracja, na co on, że zgadza się, to jego mieszkanie. Uśmiechał się, jakby wszystko przebiegało bez zakłóceń. Jego zdaniem tak to się normalnie odbywa, tak się podrywa dziewczyny. Ona odpowiedziała, że sorry, ale nie, nie ma mowy. Chciała wysiąść, ale nie mogła otworzyć drzwi. Hector się zdenerwował, zapytał ją, co jest nie tak. Ona zaczęła szarpać za klamkę i krzyczeć. A on ją pytał, co zrobił źle, o co chodzi, tak jakby nic a nic nie rozumiał. Jakby nie docierało do niego, co się dzieje.

– Wypuścił ją?

– W końcu tak. Opowiedziała mi, co się wydarzyło. Nazajutrz wezwałam go na dywanik i oznajmiłam, że ma szczęście, że postanowiłyśmy nie wnosić oskarżenia. Stał przede mną z tym swoim uśmieszkiem na twarzy i zachowywał się, jakbym bredziła, a raczej jakbym nie rozumiała, jakbym kompletnie nie chwycyła. To był taki arogancki uśmiech. Musiałam poprosić Petera, żeby mu to po męsku wyjaśnił: że nie ma już u nas dla niego miejsca, że wylatuje. A on wciąż się uśmiechał, jakby znał jakiś sekret, którego natury żadne z nas nie było w stanie się domyślić. – Przeszedł ją dreszcz. – Był odrażający.

– Domyślam się, że nie przyjął tego dobrze.

– No nie, nie przyjął. – Wstała. – Wie pan co, zaraz wyniosą tego przeklętego flippera, a ja nawet nie miałam okazji zagrać. Pozwoli pan?

– Proszę bardzo.

Zatrzymała się w drzwiach i rzuciła:

– Możemy grać i rozmawiać.

Fortune poszedł za nią na drugi koniec pustego magazynu, który bez biurek i sprzętu wydawał mu się ogromny. Kroki Nicki odbijały się echem. Pochyliła

się i włączyła urządzenie do prądu. Wyobraził sobie, jak musiało tu być, kiedy budynek tętnił życiem, pełen młodych zdolnych, stojących w kolejce do automatu, żeby na chwilę oderwać się od kodowania przyszłości. To był stary Terminator, jeden z pierwszych modeli, wyszedł w... Fortune usiłował sobie przypomnieć... na pewno w latach osiemdziesiątych. Fortune poczuł ciężar starości. Wtedy, przed trzydziestoma laty, jeszcze wszystko było przed nim. Nie myśl o tym, napomniął się, nie zwracaj sobie tym głowy. Musisz odnaleźć Sophie, a nie rozpamiętywać przeszłość.

– W porządku? – spytała Nicki. Przyglądała mu się zaniepokojona. – Nie wygląda pan za ciekawie.

– Nic mi nie jest – odparł. – Wszystko to... – pokręcił głową. – Nawet nie potrafi sobie pani wyobrazić.

Popatrzyła na niego z zaciekawieniem, ale nie zdołała nic wyczytać. Odwróciła się do maszyny, odciągnęła dźwignię i wypuściła kulkę. Tablica oszalała, zaczęła migać i brzęczeć, Arnold Schwarzenegger spojrział zza ciemnych szkieł. Fortune jak przez mgłę przypominał sobie fabułę filmu. Robot, motor, okulary przeciwsłoneczne. Nedorzeczna historia, którą oglądając, wbrew sobie dobrze się bawił. Nicki grała i mówiła, nie patrząc na Fortune'a.

– Dzień po mojej rozmowie z Hectorem okazało się, że naszą historię kredytową szlag trafił. – Kulka odbiła się od trójkątnej wyspy i poleciała prosto między dwie ruchome łapki. Nicki zaklęła i wystrzeliła kolejną, a w tym czasie tablica zamrugwała i zapiszczała. – Trafiliśmy na czarną listę i nikt nie chciał mieć z nami do czynienia.

– On to zrobił?

– A kto inny? To jeszcze nic, to był tylko początek. Przystawka. Jakimś sposobem, powiem panu, że do tej pory nie wiem jak, nikt tego nie wie, rozpracował nasz algorytm, rozgryzł wszystko, czym zabezpieczyliśmy naszą pracę, i udostępnił ją w postaci otwartego kodu źródłowego. Po prostu wrzucił wszystko do internetu. Nacisnął jeden przycisk i przyszłość AIX trafił szlag. Zniknęła. – Nicki straciła kolejną kulkę. Odwróciła się do Fortune'a. Wykonała ramionami ruch mający naśladować wybuch. – Gruchnęło i rozeszło

się po sieci. Nie zostało nic, w co warto inwestować.

Fortune tylko pokręcił głową. Nie przychodził mu na myśl żaden adekwatny komentarz.

Nicki wystrzeliła ostatnią kulkę i zaczęła ostro szarpać za łapki, tak jakby to one, a nie Hector Emmerson, były wszystkiemu winne.

– Tydzień później Peter rzucił się z wiaduktu na autostradzie. Dziesięć lat pracy poszło na marne. Straciło jakąkolwiek wartość. Pracownicy, inwestorzy czuli się oszukani. Peter nie poradził sobie z tym, nikt by nie wytrzymał...

– Pani sobie poradziła.

Kulka podskoczyła, uderzyła w metalową czaszkę, wpadła do dziury i zaraz wyleciała z powrotem, a tablica rozjarzyła się jak neon na kasynie w Las Vegas. Staromodny licznik punktów zwariował.

– Odpowiadałam za stronę biznesową. Jeśli idzie o stronę techniczną, to nie rozumiałam, szczerze mówiąc, nawet połowy. A mam doktorat z neuronauki kognitywnej.

– Przykro mi.

– Mnie też – odparła Nicki i zakłęła, bo straciła ostatnią kulkę. – Przepraszam – powiedziała. Spojrzała na tablicę i się roześmiała.

– O co chodzi?

– Nawet nie zbliżyłam się do rekordu. Należał do Petera. On miał wszystko. Był geniuszem, był zabawny, fajny, miły. – Mówiła, nie patrząc na Fortune'a, cicho, do siebie. – Byliśmy dzieciakami. Dzieciakami, które wpadły na błyskotliwy pomysł. Jak to się mogło tak skończyć?

Fortune zaczekał, aż Nicki się do niego odwróci, i dopiero wtedy zapytał:

– Poszliście na policję?

– Z czym? – Pochyliła się nad automatem, opierając dłonie na szklanej powierzchni. – Nie mieliśmy żadnych dowodów. Hector zatarł ślady, nie byliśmy w stanie z niczym go powiązać. Poza tym... – urwała i zamknęła oczy.

– Tak?

Otworzyła oczy i Fortune zobaczył w nich strach i wstyd.

– Poza tym, nie wiedzieliśmy, co jeszcze mógł zrobić. Byliśmy... no, po prostu baliśmy się go. Nie mieliśmy pojęcia, jak zrobił to, co zrobił, i jak

daleko mógł się posunąć. Był poza zasięgiem, manipulował, pociągał za sznurki. Zniszczył naszą historię kredytową i czuć było w tym, nie wiem, działanie rozdrażnionego dziecka. Byliśmy pewni, że Hector jest zdolny do dużo gorszych rzeczy.

Fortune pomyślał o martwym Charliem Jacksonie. O przetrzymywanej, przerażonej Sophie. Tak, zgodził się w myślach, jest zdolny do znacznie gorszych czynów.

– Ma pani jego zdjęcie?

– Nie.

– Wie pani, gdzie mieszka?

Nicki pokręciła głową, unikając wzroku Fortune'a.

– Nie.

– Niech pani nie żartuje.

– Nie żartuję. To człowiek-widmo.

– Ależ żartuje pani. Przecież nie prowadzi się firmy wartej... ile właściwie była warta? Pięćdziesiąt milionów?

– Więcej. Według ostatnich szacunków, choć zaznaczam, że wewnętrznych, wartość AIX Industries wynosiła czterysta milionów. Ale w rzeczywistości firma była warta więcej... – Uniosła ręce ku górze, po czym opuściła je w geście rozpacz i smutku. – Więcej niż pieniądze.

Fortune westchnął. Nagle poczuł się zmęczony i zrobiło mu się żal, potwornie żal tej ambitnej, złamanej młodej kobiety. Złamanej przez jego syna. Zwiesił głowę i pokręcił nią.

– Przepraszam. Naprawdę. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak to jest. Ja nigdy niczego nie stworzyłem, zawsze pracowałem dla innych. Byłem trybikiem. – Prychnął, wypełniony wstrętem do samego siebie. Podniósł głowę. – Ale przecież musi pani wiedzieć, gdzie mieszka Hector. Przecież chodziło o grube miliony. Na pewno prześwietlaliście wszystkich pracowników albo robili to za was inni. Sprawdzaliście adresy. – Żałował, że musi ją przycisnąć i sprowadzić na ziemię, ale odnalezienie syna było dla niego najważniejsze. Nie miał wyboru.

Nicki zmarszczyła czoło i spojrzała na niego, na jego zarośniętą,

pomarszczoną, schorowaną twarz.

– Jest pan jego ojcem, to jasne, ale... kim jeszcze?

– Nieważne. To naprawdę nieważne. Proszę, Nicki. Gdzie on mieszka? Muszę to wiedzieć.

– Nie mam pojęcia.

– Proszę...

– Policja... – zawahała się, przymknęła oczy i wzięła głęboki oddech – Policja nie chciała o niczym słyszeć, więc włamaliśmy się do niego. Wyważyliśmy drzwi.

Tak jakby to było przestępstwo karane śmiercią. To dzieciaki, pomyślał Fortune, żyją w nierealnym świecie sztucznej inteligencji i wydaje im się, że włamanie to niewyobrażalna zbrodnia. Jednocześnie uświadomił sobie, jak daleko sam zaszedł, jak bardzo oddalił się od uporządkowanego, statecznego świata swojego wcześniejszego życia.

– I bardzo dobrze – stwierdził. – Zrobiłbym to samo. Proszę mi po prostu powiedzieć, gdzie go znajdę. Proszę powiedzieć, gdzie jest, a obiecuję, że spotka go kara za wszystko, co zrobił.

– Nie wierzę – odparła Nicki, jakby wróg, z którym się zmagala, był tak potężny, tak sprytny i wszechwiedzący, że nie mógł się z nim równać żaden śmiertelnik.

– To proszę uwierzyć. Niech pani na mnie spojrzy. Czy wyglądam na kogoś, kto ma cokolwiek do stracenia?

– Nie – przyznała kobieta. – Ale pan go nie zna.

– Jest tylko człowiekiem.

Roześmiała się.

– Tak pan myśli? Moim zdaniem bardzo daleko mu do człowieka.

Hector Emmerson, mężczyzna, o którym Fortune nie chciał, nie mógł myśleć jako o swoim synu, zajmował mieszkanie w surowym budynku z lat sześćdziesiątych XX wieku, stojącym pięć minut drogi od stacji przy Old Street. Opustoszały gmach, ukryty za hipsterskimi knajpkami i gastropubami widocznymi przy głównej ulicy. Fortune zadzwonił do wszystkich mieszkań w klatce, raz, potem drugi, i czekał w zapadającym zmroku, aż ktoś znuży się brzęczeniem i wpuści go do środka.

Drzwi, które wyłamali ludzie z AIX Industries, były wprawdzie zamknięte, ale wystarczyło pchnąć je ramieniem, by ustąpiły; blokował je tylko wsunięty od spodu kawałek kartonu po pizzy. Mieszkanie składało się z kuchni, salonu, sypialni i łazienki. Wszystkie pomieszczenia były ciasne, tak jak w większości wysokościowców wzniesionych krótko po wojnie. Były też prawie całkiem puste, jeśli nie liczyć sofy i dwóch foteli w salonie oraz pościelonego łóżka w sypialni. Fortune poszedł do kuchni i otworzył lodówkę, pustą i umytą. Wysunął szuflady i znalazł w nich sztucce; w szafkach talerze, ale żadnego jedzenia, w ogóle nic, co świadczyłoby o tym, że ktokolwiek korzysta z lokalu. Wrócił do salonu i wyjrzał przez okno. Mieszkanie znajdowało się na ósmym piętrze. Na zewnątrz zmierzchało, światło latarni padało na ogrodzony siatką dziedziniec, na którym grupa dzieciaków grała w koszykówkę, a jakiś pies o potężnych mięśniach, chyba pitbul, ganiał za piłką.

Fortune zasunął zasłony, otworzył walizkę i wyjął ostatnie czyste ubranie. Nie miał ręcznika, ale trudno; poszedł do łazienki, wziął prysznic i wytarł się brudną koszulą. Był w ciągłym ruchu od chwili, w której obudził się w aucie stojącym w zatoczce, i naraz poczuł się zmęczony, bardzo zmęczony. Nie mógł skupić myśli, ogarniała go czarna rozpacz, oczy mu się zamykały. Wiedział, że jeśli ma dalej działać, musi się przespać. Wyłączył światło, zablokował drzwi

jednym z foteli, położył się na miękkim materacu i wsunął pod czyściutką kołdrę. Zamknął oczy i zanim zdążył zadać sobie pytanie, dlaczego łóżko było pościelone, zasnął. Opatulił się i zapadł w głęboki sen w osobliwie pustym mieszkaniu w tym dziwnym, pogmatwanym świecie, z którego nie potrafił uciec.

Było jeszcze ciemno, kiedy się obudził. Coś gniotło go w plecy i przenikało do snu, dawało się odczuć jako uporczywe szturchanie o nieznanym pochodzeniu. Usiadł i pomacał prześcieradło. Wsunął pod nie dłoń i wyjął złożoną kartkę. Rozprostował ją na łóżku. Kserokopia artykułu z gazety. Wstał, włączył światło i wrócił do łóżka. Artykuł ukazał się w numerze z 11 lutego 2002 roku. Fortune usiadł, zapalił papierosa i zaczął czytać:

ZAMKNIĘCIE SIEROCIŃCA W ATMOSFERZE SKANDALU

Zamknięciu sierocińca, częściowo finansowanego ze środków Kościoła anglikańskiego, towarzyszyły oskarżenia o stosowanie przemocy i znęcanie się nad dziećmi. W zakładzie St Basil, który powstał pod koniec lat sześćdziesiątych, od pewnego czasu trwało śledztwo w sprawie śmierci piętnastoletniego chłopca. Ofiara była podopiecznym zakładu. Ciało noszące ślady pobicia i tortur odnaleziono w lesie około pięćdziesięciu kilometrów od sierocińca. „Oprócz świeżych – mówi nadkomisarz Paul Spencer – znaleźliśmy również starsze ślady, świadczące o tym, że już wcześniej znęcano się nad tym chłopcem. W toku śledztwa na terenie sierocińca dokonaliśmy niepokojących odkryć, które wraz z zeznaniami obecnych podopiecznych zakładu doprowadziły nas do wniosku, iż St Basil stanowi poważne zagrożenie dla zdrowia i życia dzieci”. Na razie nie postawiono nikomu żadnych zarzutów, ale policja pouczyła wychowawcę, Olivera Jamesa Burridge’a, o jego prawach. Wkrótce więcej doniesień w tej sprawie”.

Fortune natychmiast rozpoznał wskazówkę i wiedział, że artykuł nie znalazł się tu przypadkiem. Że miał go znaleźć. Uświadomił sobie naraz niemal namacalną obecność mrocznego intelektu, tak realną, że poczuł dreszcze, jakby ktoś stał za jego plecami. Zła, wroga obecność, pociągająca za sznurki, sterująca każdym posunięciem Fortune’a.

Spakował rzeczy i opuścił mieszkanie, zabierając ze sobą kopię artykułu. Wynosił się w pośpiechu, aseptyczna czystość tego miejsca – jego rozmyślność, tak jakby zostało przygotowane specjalnie dla niego – wytrącała

go z równowagi. Poczł się stary, zmęczony i głupi, jak pozostałość po innych czasach, niezdolna do stawienia czoła tej nowej inteligencji, jej mrocznemu celowi. Musiał działać, ale nie wiedział, czy jest w stanie.

W okolicy roiło się od modnych kafejek, w których można było wypić egzotyczne mieszanki kaw i rzecz jasna, podłączyć się do sieci. Fortune zamówił americano i ciastko, włączył komputer Sophie i wpisał do wyszukiwarki hasło „St Basil”. Wskoczyło sporo stron, a nawet hasło w Wikipedii. Szybko wyłonił się z nich obraz zakładu, w którym bicie, więzienie oraz przemoc psychiczna i seksualna były na porządku dziennym; w którym dzieci żyły w nieustannym strachu przed mężczyznami, którzy mieli się nimi opiekować. Dobrze znana historia, co wcale nie znaczy, że mniej przerażająca, zwłaszcza że działo się to bardzo niedawno, w dodatku pod okiem ludzi, na których ciążył obowiązek zapobiegania tego rodzaju cierpieniom.

Jak zwykle jednak słowo dziecka niewiele znaczyło przeciwko słowu dorosłego, szczególnie że wychowawca, Oliver James Burridge, miał silne koneksje: jego brat był posłem z ramienia Partii Konserwatywnej, później zaś zasiadał w Izbie Lordów. Wielu dawnych wychowanków St Basil wyszło z cienia i opowiedziało o terrorze w zakładzie. Dorośli mężczyźni, z których sierociniec uczynił emocjonalne kaleki, zmuszeni do życia na marginesie, złęknieni społeczeństwa. W niemal każdej relacji pojawiał się motyw tortur. Jak jednak odróżnić maltretowanie od kar cielesnych, będących niegdyś usankcjonowaną przez prawo formą dyscyplinowania podopiecznych?

Zabójcy chłopca porzuconego w lesie nigdy nie ujęto. Nieznane były też losy szesnastu innych chłopców, którzy w ciągu kilku lat uciekli z St Basil. Sierociniec zamknięto, podopiecznych, a wraz z nimi ich tajemnice, przeniesiono do innych zakładów w całym kraju. Informacje, które wychodziły na jaw dekadę po zdarzeniu opisanym w skserowanym artykule, dotyczyły nieproporcjonalnie wysokiej liczby samobójstw wśród dawnych wychowanków St Basil, obecnie dorosłych ludzi. Śmierci te z czasem

zamieniły się w zwykłe dane statystyczne i interesowały już tylko badaczy. Co się stało, to się nie odstanie. Społeczeństwo wyciągnęło wnioski, narzuciło kolejne ograniczenia i regulacje i ruszyło dalej swoim torem, ofiary zaś pozostawiono bez opieki, aby same zmierzyły się z następstwami traumatycznego dzieciństwa.

Fortune oderwał się od ekranu. Dostrzegł próbę tuszowania faktów, potrafił przecież czytać między wierszami. Opuścił kawiarnię, zapalił papierosa i ruszył w stronę zaparkowanego auta. Próbował walczyć z rosnącym poczuciem winy, ale nie zdołał odsunąć go od siebie. Zawiódł córkę, ale los, jaki zgotował synowi, był nieporównanie gorszy. Przecież nie wiedziałeś o jego istnieniu, przekonywał sam siebie. Nie miałeś pojęcia, że się urodził, że rodzina się go wyrzekła i trafił do St Basil. Co mogłeś zrobić? Nie brzmiało to jednak przekonująco, tak jak nieprzekonujące wydawało się śledztwo, które prowadzono w sierocińcu. Mogłeś nie zrywać kontaktów z Claudią. Mogłeś się upewnić, że nic jej nie jest i że jakoś sobie radzi. A kiedy dowiedziałeś się, że odebrała sobie życie, to co zrobiłeś? Nic. Próbowaleś zapomnieć. Grzech zaniedbania, wyniosłe lekceważenie ze strony wygodnego białego mężczyzny, oderwanego od spraw tych, którym gorzej się powodzi. Pomyślał o Dubaju, o zagranicznych pracownikach, pokojówkach, robotnikach, wykorzystywanym marginesie, niemającym możliwości odwołania się do jakiegokolwiek sprawiedliwości. W Anglii nie było o wiele lepiej. Ktoś gdzieś siedział przestraszony, bezradny i ignorowany przez resztę społeczeństwa. A ludzie pokroju Fortune'a zwyczajnie udawali, że go nie zauważają. Był gotów przyznać, że zasłużył na wszystko, co go spotkało. Ale nie Sophie. Sophie nie zrobiła nic złego. Była ofiarą, tak jak chłopcy w St Basil. Mógł jeszcze ocalić przynajmniej tę jedną duszę.

Za dwa dni mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie spotkałam, mnie zabije.

Za dwa dni mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie spotkałam, mnie zabije.

Za dwa dni mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie spotkałam, mnie zabije.

Jeśli powtórzę to sobie wiele razy, może w końcu uwierzę, że to się dzieje naprawdę. I może nawet, że to coś normalnego. Przecież ludzie giną każdego dnia. Historia jest ich, zapomnianych, pełna. Zabitych bez powodu. W jednej chwili są, w drugiej ich nie ma. Bo ukradli kawałek chleba, bo wierzyli w niewłaściwego boga albo po prostu ich dziwny wygląd ściągnął oskarżenia o czary. Nie zasłużyli na śmierć. Ja też nie zasługuję. A może jednak? Myślę, że nie. Mam nadzieję, że nie.

Wczoraj zapytałam trolla, czy mnie zabije. Najpierw nie odpowiedział, a potem rzucił: „Pewnie tak”, zupełnie jakbym zapytała go, czy będzie padało. Pewnie tak. „Jak to zrobisz?” – chciałam wiedzieć. Rozmawialiśmy przez drzwi. Ja znajdowałam się po jednej, on po drugiej stronie. Milczał przez dłuższą chwilę, po czym odpowiedział rzeczowo, jak dentysta uspokajający pacjenta: „Nie martw się. Nie będzie tak źle”. Nie będzie tak źle. Zaczęłam walić pięściami w drzwi i kopać je, kopać i wrzeszczeć, wyzywać go na wszelkie sposoby. Sukinsyn, podły drań, gnój, tchórz, kanalia. A kiedy przestałam, zapadła cisza, długa, długa cisza, i kiedy już myślałam, że sobie poszedł, powiedział: „To nie twoja wina”. Dopiero wtedy się oddalił. Wołałam za nim, krzyczałam – ale tym razem przekonywałam go, jak strasznie mi przykro i że przepraszam, przepraszam, nie chciałam, proszę, wróć, wróć i porozmawiaj ze mną. Czy możemy porozmawiać? Nie wrócił jednak. Nie mogę przestać myśleć o tym, co powiedział. „Nie będzie tak źle”. Co to w ogóle znaczy? Jak można zabić kogoś tak, żeby nie było „źle”? Jasne, że będzie źle, będzie okropnie, Jezusie, już nie mogę, zabiję się, a nie pozwolę,

żeby coś mi zrobił. Właśnie tak.

Czy zasłużyłam na to? Może jednak tak? Mam na sumieniu kilka grzechów. Raniłam ludzi, manipulowałam nimi, wykorzystywałam ich. Nie jestem dobrym człowiekiem i nigdy nie uważałam siebie za taką osobę. Ojciec nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Trudno mu się dziwić po wszystkich kłopotach i nerwach, jakich mu przysporzyłam. No dobrze, Sophie. I tak nie masz się czym zająć, więc zrób bilans. Przekonajmy się, czy rzeczywiście zasłużyłaś.

Zacznijmy od tego, co dobre. Ta część nie powinna zająć dużo czasu. Nigdy nikogo nie zabiłam. Mam pracę. To znaczy miałam, bo mnie wylali, ale to się nie liczy, bo nie stało się to z mojej winy. Okej, praca jest. Znajomi? Powiedzmy. Niewielu. Za mało. Ale paru owszem, więc okej, niech będzie, że są. Praca, znajomi. Co jeszcze? Nieźle sobie radziłam w szkole, poszłam na studia. To nie takie oczywiste. Coś osiągnęłam. Chcę dobrze. Naprawdę, mam dobre zamiary. Nie zawsze mi wychodzi, ale się staram. Przeważnie. Staram się postępować słusznie. Nie jestem zła. I przybijamy piąteczki! Nie no, bądź poważna. Na więcej cię nie stać? Tu leży Sophie Fortune. Powiedzmy, że miała pracę i paru znajomych, średnio zdała maturę, aha, i nie była zła, a wiemy to stąd, że nikogo nie zabiła. To dopiero epitafium.

Gadam jak nakręcona i bełkoczę. Zwolnij. Uspokój się. Okej. Porozmawiajmy o tych mniej przyjemnych sprawach. O tym, co złe. Byłam, wstyd powiedzieć, okropna dla rodziców. Paskudna, ale to naprawdę paskudna, przez duże „P”. Kiedy nie dostawałam tego, co chciałam, wpadałam w szał, groziłam, wrzeszczałam i znów groziłam. Powtarzałam te swoje groźby, że się zabiję, tak często, że wkrótce spowszedniały. Do tego stopnia, że perspektywa pozbawienia się życia wydała mi się czymś realnym. No już, zabij się, bo czemu nie? To jedyne wyjście, jedyny sposób, by kontrolować własne życie i postawić na swoim. Nowy poziom egoizmu. A może faktycznie oszalałam? Naprawdę nie pamiętam. Wiem natomiast, że byłam nieznośną egoistką i manipulatką, toksyczną gówniarą. Przedawkowałam, po czym zadzwoniłam do mamy. Bo wydawało mi się to normalne, że będzie miała za swoje, że dostanie nauczkę, że zasłużyła sobie, że ona mnie do tego pchnęła.

Kto normalny tak myśli? No, powiedzcie.

Nie wiem. Pracowałam nad tym. Próbowałam stać się lepszym człowiekiem. Wydawało mi się, że do czegoś dochodzę, że robię postępy. Ale może było już za późno, tak jak w przypadku ludzi, którzy rzucają palenie, dopiero kiedy mają raka. Może rzeczywiście zasłużyłam na to wszystko.

Och, Boże. Pomyślałam o tym, co powiedział. Że nie będzie tak źle. To, co mi zrobi, nie będzie takie złe. Co to znaczy?

Mam nadzieję, że nie pchnie mnie nożem. Nie chcę zginąć od noża. Nie chcę płakać, wrzeszczeć i patrzeć, jak to robi. Proszę, tylko nie to. Ciach! Nie, błagam, już więcej nie. Ciach! Proszę, zabijesz mnie. Ciach! To uczucie, kiedy ostrze jest we mnie i z rany wypływa krew, a ja błagam o litość. Wszystko, tylko nie to. Jeśli to będzie coś innego, coś szybkiego, jeśli nie będzie bolało, jeśli on mówi prawdę, to może rzeczywiście nie będzie źle.

Sophie, co ty wygadujesz?

W drodze do samochodu, zdążając w stronę ronda przy Old Street, Fortune sprawdził swoje kurczące się zasoby finansowe. Usłyszał kroki za plecami i zaczął się odwracać, kiedy nagle chudy dzieciak w bluzie z kapturem wyrwał mu portfel i rzucił się do ucieczki. Fortune nawet nie próbował go gonić, nie miał na to siły, zresztą i tak większość gotówki trzymał w kieszeni, a kart kredytowych nie mógł przecież użyć. To nic takiego. Mogło być gorzej.

Ale wtedy usłyszał syrenę policyjną, obejrzał się i zobaczył migające niebieskie światła nad kratą maskownicy nieoznakowanego BMW, w którym siedziało dwóch ubranych po cywilnemu funkcjonariuszy. Chłopak zatrzymał się, odwrócił, zobaczył światła i znów puścił się biegiem. Odsadził Fortune'a na dobre pięćdziesiąt metrów, kierując się w stronę ronda. Na ulicy panował tak duży ruch, że radiowóz miał problem z przebiciem się przez powoli rozstępujący się sznur aut. Dzieciak przebiegł przez rondo i wypadł na trójpasmową jezdnię. Ciężarówka z platformą, na której przewoziła rusztowanie, nie zdążyła wyhamować, uderzyła w niego i przewróciła tak, że wpadł tułowiem przed przednie koło.

Na moment ulica zamarła, zszokowana tym, co się stało. W następnej chwili obok chłopaka zatrzymało się policyjne BMW, wysiedli z niego funkcjonariusze i przyklękli obok ofiary. Wezwali karetkę, chociaż dla wszystkich było oczywiste, że jest za późno. Jeden z policjantów rozejrzał się za portfelem, którego kradzieży byli świadkiem, by mieć dowód, że słusznie podjęli pościg za sprawcą. Kierowca ciężarówki wysiadł z kabiny, zobaczył chłopaka, złapał się za głowę i powoli odwrócił, wznosząc oczy ku niebu.

Fortune przyglądał się temu wszystkiemu, stojąc nieruchomo na chodniku. Zdarzenie wydało mu się hiperrealistyczne. Widział wyraźnie każdy ruch policjantów, zupełnie jakby zyskał nadzwyczajną ostrość wzroku. Jeden

z funkcjonariuszy nadal klęczał przy ofierze, ale drugi zaglądał już do portfela. Wyjął z niego przedmiot, być może kartę kredytową albo prawo jazdy, podniósł głowę i spojrzał prosto na stojącego sto metrów dalej Fortune'a, po czym przyłożył coś do ucha i zaczął poruszać ustami. Pewnie mówił: „Mam z nim kontakt wzrokowy. Przyślijcie wsparcie. Dużo i natychmiast”.

Fortune odwrócił się i ruszył w przeciwną stronę. Słyszał dźwięki klaksonów i wściekłość w głosach kierowców, którzy klęli na korek, nie wiedząc, że kawałek dalej zginął chłopak. Fortune przebijał się przez tłum przechodniów, szedł szybko, rozglądał się, zastanawiał, co robić. Odwrócił się i z początku nie zauważył policjanta, ale po chwili kobieta, która zasłaniała mu widok, skręciła do sklepu i wtedy go zobaczył: znajdował się jakieś pięćdziesiąt metrów za nim i biegł w jego kierunku. Fortune szedł wzdłuż zielonego drewnianego ogrodzenia budowy. Nagle zauważył przerwę w parkanie i bez namysłu skręcił. Na wielkim, błotnistym placu stał wysoki, nieukończony budynek, a właściwie dopiero betonowy szkielet, bardziej przypominający raczej piętrowy parking niż biurowiec, którym miał się stać. W środku wrzała praca, spod tnących stal szlifierek strzelały iskry. Fortune przeciął tonący w błocie plac i wszedł do budynku, mijając mężczyznę patrzącego przez wizjer urządzenia zamontowanego na trójnogu. W zapadającym zmierzchu Fortune prawie po omacku przemykał od jednego pozbawionego drzwi pomieszczenia do drugiego.

– Czego pan tu szuka? – zapytał mężczyzna w kasku, podnosząc głowę znad niebieskich plastikowych rur, które układał w podłodze. Fortune nie odpowiedział, tylko szedł dalej, w kierunku drugiego końca budynku. Nie zatrzymywać się, pomyślał. Nie oglądać się. Nagle usłyszał okrzyk: „Policja!” za plecami, spory kawałek za plecami, i skręcił w lewo do kolejnego wielkiego pomieszczenia bez okien i z podłogą mokrą po niedawnym deszczu. Wiedział, że nie ucieknie. Był stary, śmiertelnie chory, ostatni porządny posiłek zjadł... sam już nie pamiętał, ile godzin wcześniej, i miał wrażenie, że ma płuca jak dętki z twardej gumy, do których nie jest w stanie wtłoczyć powietrza.

Dotarł do drugiego końca budynku i ujrzał przed sobą śliską pochyłość,

pokrytą żółtobrazowym błotem, usianą kałużami brudnej wody i poprzecinaną śladami gąsienic koparek i ciężarówek. Ruszył pod górę i się poślizgnął. Jego lakierki biznesmena nie zapewniały żadnej przyczepności; uszyto je przecież z myślą o salach posiedzeń, a nie placach budów. Posuwał się, wbijając czubki butów w błoto, ale wiedział, że jest zbyt powolny, że policja zbliża się wielkimi krokami, depcze mu po piętach.

Wspinał się jednak dalej. Słyszał wycie syren i trzepot wirnika nadlatującego śmigłowca. Na górze stała żółta koparka z podniesioną i skierowaną ku pochyłości łychę. Fortune postawił stopę na metalowym stopniu i wdrapał się do kabiny. Zwolnił hamulec ręczny i wyskoczył. Nic się nie zdarzyło. Na dole zobaczył policjanta w cywilnym ubraniu, który wybiegł z budynku i spojrzał w górę; chyba nie spodziewał się, że poszukiwany mężczyzna tak łatwo da się złapać. Pewnie myślał o awansie. O kamerach, blasku sławy. Koła koparki drgnęły i przesunęły się o kilkanaście, kilkadziesiąt centymetrów. Potem maszyna zaczęła nabierać prędkości. Śliskie błoto nie zdołało zatrzymać kilku ton stali. Być może to go na chwilę zatrzyma, pomyślał Fortune.

Nie zaczekał, żeby zobaczyć, co się stanie, tylko ruszył dalej. Znalazł przejście w płocie i wyszedł na pustą, spokojną i cichą ulicę. Cichą, dopóki nie rozległ się stłumiony huk uderzenia.

Syreny i hałas. Helikoptery. Miały kamery termowizyjne. Fortune nie miał nic. Oparł się o ceglana ścianę budynku po drugiej stronie ulicy i zastanowił nad swoim położeniem. Z trudem oddychał, pracowicie tłoczył powietrze do płuc, wiedząc, że to za mało. A nawet jeszcze nie zaczął biec. Znajdował się w jednym z największych i najczęściej patrolowanych miast świata – i musiał jakimś sposobem się z niego wydostać. Jeśli tego nie zrobi, Sophie umrze. Myśl! Kucnął. Myśl. Myśl, myśl, myśl. Dasz radę. Musisz. Jak brzmiały słowa, które z lubością powtarzał jego poprzedni szef? „Porażka nie wchodzi w grę”. Policja była coraz bliżej, a on nie miał planu. Nic, żadnego pomysłu. Ale porażka nie wchodziła w grę. Bez względu na koszty.

Minął go zamiatacz ulic ze swoim wózkiem: chudy, nieogolony, zgarbiony mężczyzna dobrze po sześćdziesiątce. Fortune wstał i podszedł do niego.

– Proszę mi dać swoją kurtkę – zażądał.

– Że co?

– Dawaj pan kurtkę. – Sięgnął do kieszeni i wyciągnął garść pieniędzy. – Zapłacę. Albo zabiorę siłą. Wybieraj.

Zamiatacz popatrzył na Fortune'a i widocznie dojrzał szaleństwo w jego oczach, bo czym prędzej wziął pieniądze i zdjął kurtkę odblaskową. Fortune natychmiast ją założył; była za mała, ale nie szkodzi. Teraz można go było wziąć za zamiatacza, zabiedzzonego, zarabiającego grosze, szeregowego pracownika służb miejskich, zwłaszcza że wyglądał jak psu z gardła wyjęty, był niedożywiony i wycieńczony.

Ruszył przed siebie szybkim krokiem i z pochyloną głową, przyjmując służalczą pozę robola z najniższego stopnia drabiny społecznej. Dotarłszy do krańca ulicy, szybko obejrzał się przez ramię. Na drugim końcu ulicy zatrzymał się radiowóz. Fortune skręcił w prawo i poszedł dalej, rozglądając się z pełną świadomością, że długo tak nie wytrzyma. Musi dotrzeć do auta – tego, którego policja nie mogła z nim powiązać, bo należało do matki Lee. I które w tej chwili było dla niego jedynym narzędziem ucieczki. Sęk w tym, że nie wiedział, gdzie się ono znajduje. Pokonał plac budowy, wyszedł na jakąś uliczkę, skręcił w prawo... i się zgubił. Cholera. Jak się nazywała ta, przy której zaparkował? White Horse Street. Nieważne, i tak nie wiedział, jak się tam dostać. Znalazł się na szerokiej zatłoczonej ulicy, ale innej niż ta, z której wymknął się na budowę. Policja była tuż-tuż. Ile czasu minie, zanim zamiatacz opowie, co mu się przytrafiło, i zanim zaczną szukać mężczyzny w kurtce odblaskowej? Mógł jedynie odsunąć w czasie moment, w którym go schwytają. Musiał zyskać przewagę. Odwrócić sytuację. Jasne. Musiał p o p r o s t u przechytrzyć policję: ludzi, samochody, śmigłowce. Przecież to bułka z masłem.

Minął wejście do drogiego hotelu: kamienne schody, obrotowe drzwi, szklana markiza jako ochrona przed deszczem dla odźwiernych. Wielu rzeczy dotyczących współczesnego życia Fortune nie rozumiał, ale akurat hotele – te znał i rozumiał doskonale. Zatrzymał się i zastanowił. Popatrzył na swoje buty oblepione błotem z budowy. Musiał znaleźć dobrą wymówkę, jeśli mieli go

wpuścić do środka. Zdecydowanie nie wyglądał jak jeden z gości tego przybytku. Zawrócił i wszedł do schodkach.

– Tak? – odezwał się ubrany w długi płaszcz i rękawiczki odźwierny z podejrzliwą miną.

– Ja z budowy – powiedział Fortune. – Chodzi o gaz. Muszę porozmawiać z kierownikiem. – Nie trzymało się to kupy, ale Fortune uznał, że z hasłem „gaz” nikt nie będzie dyskutował.

– Proszę podejść do recepcji – odparł odźwierny, patrząc z dezaprobatą na buty Fortune’a. – Tam panu pomogą.

– Dzięki – rzucił i wszedł przez obrotowe drzwi. Obejrzał się za siebie, ale odźwierny stracił już zainteresowanie nim, odwrócił się plecami do wejścia i patrzył na ulicę. Przed hotelem przebiegł mężczyzna. Fortune rozpoznał w nim policjanta w cywilnych ciuchach, który gonił go po budowie. Sekundę później ulicą przemknął radiowóz na sygnale. Do dzieła, pomyślał Fortune. Pośpiech jest wskazany.

Zatrzymał się przy recepcji. Kątem oka zauważył, że jednej z par, która wychodziła, wypadła karta otwierająca drzwi do pokoju. Numer trzysta szesnaście. W drugim końcu holu stały dwa fotele, a między nimi ława. Leżały na niej gazety i stał aparat telefoniczny. Fortune podniósł słuchawkę i wybrał przycisk opisany jako RECEPCJA. Usłyszał dzwonek i zobaczył, że kobieta za kontuarem odbiera telefon.

– Recepcja – powiedziała. Fortune odwrócił się plecami i odezwał szeptem:

– Proszę o pomoc. W moim pokoju jest jakiś mężczyzna.

– Słucham? – kobieta była wyraźnie zdezorientowana. – Czy mógłby pan...

– W moim pokoju – syknął Fortune tonem bliskim paniki. – Jestem w łazience. Zamknąłem się z telefonem.

– Jaki jest pański numer pokoju?

– Trzy jeden sześć. Proszę mi pomóc. To chyba on, ten, który zabił tego gościa z telewizji.

– Proszę stamtąd nie wychodzić. Wzywam policję.

– On tu jest... – powiedział Fortune. Zasłonił słuchawkę dłonią i kilka razy stuknął nią o ławę. – Próbuje dostać się do środka.

– Proszę nie panikować. Proszę tam zostać.

– O Jezu – jęknął Fortune. – Zobaczył kabel od telefonu i... – Przerwał rozmowę, odłożył słuchawkę, wstał i się odwrócił. Recepcjonistka rozmawiała przez telefon. Wyglądała na zdenerwowaną i przestraszoną. Dlaczego to się musiało wydarzyć akurat na jej zmianie?

Fortune minął recepcję, pochylił się, podniósł zgubioną kartę i rozejrzał za tylnym wyjściem. Pchnął podwójne drzwi i znalazł się w sali restauracyjnej z barem, potem otworzył kolejne, też podwójne, i wszedł do kuchni.

W przejściu stała kelnerka, a kucharz stawiał talerze pod lampami grzewczymi. Widocznie odblaskowa kurtka Fortune'a zapewniała mu szczególny status, ponieważ nikt nie zapytał go, co tu robi, ani nie próbował zatrzymać, kiedy przechodził przez kuchnię, mijając kucharzy o rumianych twarzach i z ręcznikami przewieszonymi przez ramię, żonglujących płonącymi potrawami.

– Którędy do wyjścia? – spytał młodego mężczyznę, który sprawnie umieszczał przegrzebki na rozgrzanej patelni. Mężczyzna podniósł głowę i pokazał brodą kierunek. Fortune znalazł drzwi, wyjście ewakuacyjne, otworzył je i znalazł się na metalowych schodach, które prowadziły na parking. Pod ażurowymi stopniami znajdowały się duże kosze na odpadki. Nadal słyszał syreny policyjne. Zbiegł po schodach, zdjął kurtkę i wrzucił ją do jednego z pojemników. Wyjął telefon, zerknął na kartę-klucz do pokoju i idąc przez parking, wybrał numer. Zatrzymał się, żeby uspokoić oddech. Czekał, aż ktoś odbierze.

– Hotel Borders – odezwała się ta sama recepcjonistka, z którą wcześniej rozmawiał. Mówiła szybko, nerwowym tonem.

– On ciągle tu jest – powiedział Fortune. – To wariat. Szaleniec.

– Proszę pana, policja jest już w drodze.

– Mówi, że ma granat. Mówi, że użyje go, jeśli ktoś będzie próbował wejść do pokoju. – Podobno jeśli kłamać, to na całego.

– Jakie ma żądania?

– Nie wiem – odparł Fortune, nasycając słowa panicznym strachem. Wiedział, że kiepski z niego aktor. – Temu człowiekowi odbiło.

– Policja już tu jest.

– Niech nie podchodzą. On ma granat!

– Przekażę im – odparła kobieta. – Proszę spróbować się uspokoić.

– Ale... – zaczął Fortune, po czym przerwał połączenie. Uznał, że granatem wprowadził dość zamieszania, by przez pewien czas, może nawet przez godzinę – a tyle w zupełności mu wystarczy – policja miała co robić. Wyszedł z parkingu i skierował się w dół, do metra. Kupił bilet jednorazowy, przeszedł przez barierki i zjechał schodami na peron, uważając, by nie dać sfilmować

sobie twarzy. Wsiadł do pierwszego składu, jaki nadjechał, i wysiadł dwa przystanki dalej – dwa krótkie, zatłoczone, cudowne przystanki bliżej azylu.

Odnalazł w końcu samochód i zadzwonił do Lee. Matka chłopaka miała wrócić lada moment, a Fortune znajdował się wiele kilometrów od kempingu. Chwilę wcześniej wymknął się policji. Jeśli dowiedzą się, jakim autem się porusza, będzie po nim, nie wytrzyma nawet jednego dnia. Oznaczało to, że musiał ciągnąć szopkę z Lee.

– No?

– Lee?

– O, stary, gdzie cię wcięło? Matka może wrócić w każdej chwili.

– Dzisiaj?

– Dzisiaj, jutro, nie wiem. Wiem tyle, że nie ma jej wozu.

– Już jadę. Samochód jest naprawiony, wszystko załatwione. Będę wieczorem.

– A jeśli wróci?

Fortune wyobraził sobie Lee, który siedzi na kempingu i z ponurą miną przygląda się chaosowi będącemu jego własnym dziełem: niepozmywanym naczyniom, pustym butelkom i puszkom, wypalonym w kanapie dziurom od skrętów, które bez przerwy ćmił. A w dodatku jakiś facet zabrał samochód matki, bo Lee rozbił go, kiedy był upalony. Fortune'owi zrobiło się żal chłopaka. Co nie zmieniało faktu, że nadal potrzebował auta.

– Już jadę – powtórzył. – Jeśli matka wróci, powiedz jej, że musiałem pożyczyć samochód w nagłej sprawie. Niedługo będę.

– Stary, kurna, niepotrzebnie ci go dałem.

– Tak? Wolałbyś tłumaczyć się, skąd wzięły się wgniecenia?

– Nie. Albo tak. Sam nie wiem. Ona mnie zabije.

– Będzie dobrze. Przestań się martwić. Muszę kończyć. Niedługo będę.

– Oby.

Rozłączył się. Biedny Lee. Miał świadomość, że chłopaka tak czy owak nie czekała świetlana przyszłość, ale z pewnością nie pomógł mu odmienić losu.

Następnie wysłał wiadomość do trolla, do swojego syna, nie spodziewając się, że dostanie odpowiedź – i rzeczywiście, nie doczekał się jej. Zapewne Hector ukrył się kilka dni wcześniej i czeka na przybycie Fortune'a. Nie istniała potrzeba komunikowania się. Znajdź mnie i tyle – oto cały komunikat. Zostały dwa dni. Za mało czasu, zdecydowanie za mało. Fortune zapalił silnik i ruszył do sierocińca St Basil. Liczył, że tam znajdzie syna. Bo jeśli nie, to... nie miał więcej pomysłów.

Dziś troll zabrał mnie do Pokoju Gier i to było straszne. Najgorsze, co przytrafiło mi się w życiu, gorsze, niż mogłam sobie wyobrazić. Wolałabym być już trupem, niż nadal tu przebywać, niż żyć. Mam dość. To koszmarnie, przerażające, troll jest szalony, kompletnie stuknięty. Nigdy nie spotkałam kogoś aż tak złego. Co takiego zrobiłam? Co uczyniłam, że on robi mi takie rzeczy?

Musiał dosypać mi czegoś do jedzenia, bo obudziłam się w Pokoju Gier, ale nie pamiętałam, jak się tam znalazłam. Musiał mnie odurzyć, poczekać, aż stracę przytomność, a potem wejść i zanieść mnie do Pokoju Gier. Kiedy się ocknęłam, na jednym nadgarstku miałam plastikowe kajdanki, takie, jakich używa policja. Były do nich doczepione drugie kajdanki, a do tych – zabezpieczenie do roweru, taka linka z plastikową owijką, przymocowana do jednego z kółek na ścianie i zakończona kłódką na szyfr. Siedziałam oparta plecami o ścianę, z podniesioną ręką, i miałam ograniczone pole manewru.

Świeciła się lampa, ale słabo, w pokoju panował półmrok, a kąty pomieszczenia tonęły w ciemności. Siedziałam i czekałam. Nie wiedziałam, co zaplanował. Został jeszcze jeden dzień, prawda? Mam jeszcze dzień. Nie mógł mnie zabić, jeszcze nie pora. Nie mógł przyjść z nożem, zaatakować i dźgać, i ciąć, a ja bym kopała i rzucała się, ażbym straciła siły i już nie mogła walczyć, a on znalazłby odpowiednie miejsce, pchnął i umarłabym. Nie mógł tego zrobić.

Wtedy otworzyły się drzwi i zaczęłam wrzeszczeć bez opamiętania. Ale troll nie wszedł. Zatrzymał się za drzwiami, tam gdzie nie mogłam go zobaczyć, i wrzucił do środka siatkę z długim trzonkiem – taki podbierak na ryby. Powiedział: „Domyśl się, jaki jest szyfr, a będziesz mogła tego dosięgnąć. Nie ma żadnych zasad. Nie ma limitu czasu”.

„Co?”

„Słyszałaś. – Zaczął zamykać drzwi, ale zanim to zrobił, dodał: – Jeszcze jedno. Pytanie. Gotowa? Musisz posłuchać”.

Siedziałam na betonowej podłodze upstrzonej plamami krwi – krwi, jak sądziłam, dzieci, przykutych do ściany. Czy byłam gotowa? Nie, powiedziałam. Oczywiście, że nie.

Nie obeszło go to. Zapytał po prostu: „Czy wierzysz w fortunę?”.

„Co?”

„Czy wierzysz w fortunę?”

I zamknął drzwi.

Siedziałam, patrzyłam na tę siatkę i zastanawiałam się, co się, do diabła, dzieje. Myślałam o tym, co się przed chwilą wydarzyło, i o tym, o co mnie spytał. Ręka mi cierpła i nie wiedziałam, do czego ta siatka, i bardzo, ale to bardzo, bardzo chciałam dorwać trolla w swoje ręce. Przymknęłam powieki i znów wyobraziłam sobie, że piorę go na kwaśne jabłko. A kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam to, od razu to zobaczyłam. Poruszało się. Wylazło z ciemnego kąta. Poruszyło się, przystanęło i znów poruszyło. Szybkie, nieprzewidywalne. Tu. Tam. Ruszać się. Zmieniać pozycję. Pająk, wielki, ogromny, jak z upiornej dżungli. Jak przeszedł przez ścianę, jak się tu dostał, do tego pokoju? Pędził to tu, to tam. Stawiał jedną nogę, potem drugą, nagle przyspieszał, tak że traciłam go z oczu. Powoli, powoli, powoli, szybko. I cicho. Żadnego odgłosu, tylko ruch. Podsunęłam nogi pod brodę, potem pięty pod pupę, chciałam cała znaleźć się jak najdalej od niego. Był wielki jak moja dłoń. Większy, dużo większy. Ogromny i szybki.

Nietrudno było się domyślić, że boję się pajaków. Często o tym mówiłam, pisałam na blogu, a nawet zamieściłam w opisie profilu. Ten strach od zawsze był częścią mnie. O mój Boże. Sama mu o tym powiedziałam – Joshowi; tyle że Josh nigdy nie istniał, był nim troll. A ten ośmionóg był wielki i zbliżał się do mnie, a ja nie mogłam się ruszyć, miałam rękę przykutą do ściany i wrzeszczałam, darłam się jak opętana, jeszcze nigdy w życiu tak się nie bałam, płakałam i krzyczałam, a on tam był, przede mną, dwa kroki ode mnie. Patrzył. Mógł dopaść do mnie w parę sekund. W dwie sekundy – tyle by mu to

zajęło. Kajdanki wżynały mi się w skórę, przecinały ją, po ręce płynęła krew, ale nie czułam bólu.

Pająk trwał nieruchomo. Dopiero wtedy sobie przypomniałam. Spanikowałam do tego stopnia, że wyleciało mi z głowy, co powiedział troll. Chodzi o szyfr. Jeśli go odgadnę, będę mogła się uwolnić. Co dokładnie powiedział? „Czy wierzysz w fortunę?”. Zamek miał sześć pozycji. Zatem sześć cyfr. Powiedział: „Domyśl się”. Czyli to coś, co powinnam wiedzieć. Wtedy nagle pająk, ten wielki pająk, popędził w moją stronę. Wrzasnęłam. Podpełzł blisko i był szybki. Wszedł na ścianę, po cegłach, był nade mną, potem obok i znów nade mną. Siedział tam i patrzył na mnie z góry, a ja bałam się ruszyć. Ale przecież musiałam wypróbować kombinacje. Płakałam, płakałam jak dziecko. I nagle dotarło do mnie, że po raz pierwszy w życiu szczerze, prawdziwie, naprawdę wolałabym być martwa.

Sierociniec St Basil mieścił się w dużym wiktoriańskim budynku, do którego przylgnęły odpychające przybudówki z czerwonej cegły. Paskudne i niepotrzebne. Wyglądały jak pasożyty uczipione nosiciela. Budynek stał na końcu nierównego podjazdu, który dawniej musiał być idealnie gładki, ale z czasem przegrał walkę z chwastami, asfalt zaś popękał i się pokruszył. Wzdłuż tej drogi rosły drzewa. Fortune wyobraził sobie, że latem ich gałęzie tworzą nad drogą zielony, liściasty tunel. O tej porze roku przypominały jednak szkielety, których długie, rozczapierzone paluchy ocierały się o karoserię samochodu matki Lee.

Sierociniec stał w sercu Essex, kilka kilometrów za sielską angielską wioską jak z hollywoodzkiego obrazka. Była tu nawet sadzawka dla kaczek, po której krążyły smętne ptaki. Fortune minął tabliczkę, która wyglądała, jakby stała tam od zawsze; znajdowała się na niej informacja, że St Basil można kupić za pośrednictwem agencji Seymour Estates, a pod spodem widniał numer telefonu. Pod tabliczką ktoś zawiesił drugą, z napisem TEREN PRYWATNY. Nie napisano, żeby nie wchodzić, zresztą Fortune i tak nie zamierzał się podporządkować. Minął ruiny budynku z czerwonej cegły, ruderę ze złamanym kominem i zapadniętym dachem. W połowie podjazdu otworzył okno i opróżnił popielniczkę, zostawiając za sobą chmurę popiołu.

Wyjechał z tunelu drzew, przeciął zarośnięty trawnik i zatrzymał się przed imponującym frontem St Basil. Wyobraził sobie, że to szkoła z internatem, pod którą podjeżdżają rodzice, by oddać swoje zapłakane pociechy nauczycielom pod opiekę na kolejny semestr. Tyle że dzieci, które tu mieszkały, nie miały rodziców. Poprawka: jedno z nich miało.

Po drodze wstąpił do sklepu dla majsterkowiczów i kupił dużą ciężką latarkę – miała rozświetlić ciemności, a użyta jako broń ogłuszyć przeciwnika.

Zaopatrzył się również w szypce do cięcia prętów i solidny młot dwuręczny – liczył, że dzięki tym narzędziom pokona większość przeszkód, jakie napotka w budynku zakładu. Pierwszą był łańcuch zabezpieczający podwójne drzwi wejściowe. Przeciął go. Brzęk metalu przerwał panującą dokoła ciszę. Fortune nie zauważył żadnych samochodów, żadnych ludzi, w ogóle jakichkolwiek oznak życia. Nawet ptaki tu nie śpiewały, tak jakby cała posiadłość została poddana kwarantannie, a potem opuszczona; jakby świat nie potrafił uwierzyć w jej ponure tajemnice. Fortune nie należał do osób przesądnych, ale bynajmniej nie wchodził do budynku byłego sierocińca z przyjemnością.

Oprócz tego, że zabezpieczone łańcuchem drzwi były też zamknięte na klucz. Fortune zamachnął się na zamek młotem i drzwi, zastałe od starości i nieużywania, niechętnie ustąpiły. Fortune nie zdziwiłby się, gdyby ze środka wyleciało stado nietoperzy, a w ślad za nimi zjawił się dwumetrowy trupi lokaj ze srebrnym półmiskiem w dłoni. W środku było ciemno, jedynie przez małe, romboidalne okienka wpadało wątle światło. Wyłożony dużymi kamieniami hol wejściowy był pusty, jeśli nie liczyć zakurzonego pianina i – zdziwiła go obecność tego przedmiotu – motoroweru. Rozpoznał nawet markę i model: Honda Cub 90.

– Jest tu kto?! – zawołał i zaczekał, aż wróci do niego echo odbite od klatki schodowej, korytarzy i pokoi. Cisza. Brak odpowiedzi. Nikt się nie zjawił, nie zabrzmiał śmiech szaleńca, nie zagrały organy. Mimo to nie mógł pozbyć się myśli, że akurat ten budynek zasługiwał na miano nawiedzonego. Miał wrażenie, jakby ściany wstrzymały oddech i zastanawiały się, co począć z intruzem. Jeżeli troll tu był, nie chciał zostać odnaleziony.

Fortune przeszukał pomieszczenia na dole, duże i w większości puste; mogły być klasami. W jednym znajdowało się biurko, w drugim stos krzeseł w kącie. Wszystko pokrywał kurz. Było zimno, bardzo zimno. Znalazł korytarz, który prowadził obok toalet i do kuchni, gdzie w ciężkim dębowym blacie zamontowano dwa obszerne prostokątne zlewy. Po drugiej stronie stała masywna klasyczna kuchenka AGA, a pomiędzy nimi ciężki i zużyty dębowy stół. Nic nie wskazywało na to, żeby w ostatnim czasie ktoś korzystał z tego

miejsca.

Fortune wrócił do holu głównego i wszedł po schodach na piętro. Ruszył korytarzem, z którego prowadziły drzwi do pokoiów. Stały w nich piętrowe łóżka. Zimne, puste i niepościelone prycze w świetle latarki kojarzyły się Fortune'owi z gułagiem. Wodził wiązką światła po kątach i nie byłby zaskoczony, gdyby w jednym z nich odkrył skuloną bladą, osłaniającą w przerażeniu oczy postać. Dalej znajdowały się łazienki: prysznice po jednej stronie, rzędy odkrytych toalet – chłopcy musieli się wypróżniać na oczach myjących się rówieśników – po drugiej. Fortune nie wiedział dlaczego, ale to właśnie ten szczegół poruszył go i zaniepokoił bardziej niż cokolwiek innego. Pomyślał o cichych, wygodnych i dyskretnych toaletach w biurze w Dubaju. Bywa, że los jednego człowieka różni się od losu drugiego tak bardzo, jakby należeli do osobnych gatunków. Jego syn korzystał z tych toalet, znosił to upokorzenie. Prawdopodobnie w tym samym czasie, kiedy Fortune korzystał z wszelkich wygód zachodniego świata. Ta myśl nie dawała mu spokoju, nie był w stanie objąć jej rozumem, brakowało mu arsenału emocji, by móc ją w pełni przetworzyć. Ile łez wylano w tym miejscu? Wannę, rzekę, morze. Smutek nie do wyobrażenia.

Na pierwszym piętrze nie znalazł niczego istotnego, wszedł więc wyżej, na ostatni poziom. Poczul ucisk w piersi – za mało powietrza dla płuc i serca. Rozkaszał się i aż musiał przysiąść na schodach, żeby zaczekać, aż minie atak. W budynku było pełno kurzu. To pewnie stąd ten kaszel. Na pewno stąd.

Dopiero teraz, idąc mrocznym korytarzem, zorientował się, że warstwa kurzu na podłodze jest tak gruba, że buty zostawiają w nim ślady jak na świeżym śniegu – i zauważył odciski butów drugiego człowieka. Ktoś tu był, i to niedawno. Troll. Wyłączył latarkę, obrócił ją i chwycił za grubszy koniec.

– Jest tu kto?! – powtórzył i znów nie dostał odpowiedzi. Ruszył za śladami, powoli, jakby zbliżał się do zdradliwego urwiska. Trop prowadził do drewnianych drzwi na końcu korytarza, identycznych jak pozostałe. Były zamknięte. Fortune zawołał raz jeszcze, ale odpowiedziała mu cisza. Zastukał latarką i pustym korytarzem rozniósł się donośny dźwięk. Fortune obejrzał się zdjęty strachem, walcząc z przeświadczeniem, że skrada się do niego jakiś

potwór. Ale nie, nikogo nie było.

Położył dłoń na okrągłej, mosiężnej klamce i przekręcił. Ustąpiła. Pchnął drzwi, aż otworzyły się na pełną szerokość. Nie wchodził, stał w korytarzu. Pokój tonął w ciemności i Fortune nie widział dokładnie kształtów, ale coś tu było, tam, w głębi pomieszczenia, coś wisiało i obracało się w poruszonym powietrzu. Nie jedna rzecz, a wiele, bliżej nieokreślonych. Zrobił krok do tyłu, czując, jak serce wściekle wali mu w piersi, jak mocno i boleśnie napiera na żebra. Włączył latarkę i omiótł pokój światłem.

To była jego córka, wisiała z pochyloną głową i zwisającymi po bokach rękami. Błada, bardzo blada. I zwielokrotniona. Dziesięć, piętnaście Sophii, wszystkie obracały się i poruszały w ciemnym pokoju, zawieszane na linie przymocowanej do sufitu. Czarno-białe postaci naturalnej wielkości. Fortune wszedł do środka i wkroczył między podobizny, tak jakby znalazł się na strychu pełnym prania, o którym ktoś zapomniał. Wszystkie postaci były identyczne, starannie wycięte z fotografii. Wyglądała, jakby spała. Była spokojna i piękna, ta młoda kobieta, której prawie nie znał. Poczł wściekłość, bezsilną złość na tego, kto to zrobił, zrobił to jemu, zrobił to jej; kto nikczemnie z nimi pogrywał i był tak... skrupulatnie okrutny.

Zdjął ze sznura wszystkie podobizny i ułożył je na podłodze. Sophie żyje. W przeciwnym razie po co to wszystko? Ale ta wystawa to z pewnością wiadomość, zapowiedź jej losu. Zemsta za śmierć matki trolla. Za samobójstwo i za wszystko, co potem przydarzyło się jej synowi. Fortune zrozumiał. Powiedział to nawet na głos do pustego pomieszczenia:

– W porządku. Jasne. Dotarło.

Zszedł na dół, do holu, zabrał szczypce i młot i wyszedł na zewnątrz. Wrócił do auta i schował narzędzia do bagażnika. Pod jednym z okien we frontowej części budynku znajdowało się okno. Przysiadł i zapalił papierosa. Powoli wypuścił gęstą chmurę dymu w zimne powietrze, którym nie poruszał najmniejszy nawet powiew wiatru. Trolla tu nie było. Znalazł za to coś innego: okrutne pozostałości po dawnych zdarzeniach, niepokojące okruchy bólu, cierpienia i strachu, które mieszkwały w tych murach. Ale nie trolla. Zostały mu dwa dni na odnalezienie córki i wyczerpały się pomysły.

Naraz ciszę zmącił warkot silnika. Samochód, zbliża się. Musi być na podjeździe, zmierza w kierunku Fortune'a. Wstał i rzucił niedopałek na ziemię. W tej samej chwili ujrzał białą terenówkę. Zatrzymała się dziesięć metrów przed nim i niemal oślepiła reflektorami. Fortune widział mężczyznę siedzącego za kółkiem, ale nie dostrzegał jego twarzy, tę bowiem skrywał daszek czapki. Kierowca zgasił silnik, ale pozostał w wozie. Jego twarz zasłaniał cień. Na pewno przyglądał się Fortune'owi. W końcu otworzył drzwi i wysiadł.

– Szuka pan czegoś?

– Kim pan jest? – odpowiedział pytaniem Fortune.

– O nie – odparł mężczyzna i ruszył w stronę Fortune'a. Był postawnym dwudziestokilkulatkiem, miał na sobie coś na kształt munduru, w stylu agencji ochroniarskich: niebieska koszula, spodnie bojówki, ciężkie buty. Zatrzymał się metr od Fortune'a. – Nie pan tu zadaje pytania. Co pan tu robi?

– Nic.

– Tam jest napisane TEREN PRYWATNY – powiedział mężczyzna, pokazując brodą. – Nie widział pan tabliczki?

– Widziałem.

– Ale zignorował ją pan.

– Widocznie tak.

– Nie wolno panu tu przebywać. – Rozejrzał się. – Jest pan sam?

– Tak.

– Ma pan jakieś nazwisko?

– Mam.

Mężczyzna uśmiechnął się, ale wyraźnie nie był rozbawiony. Jego twarz szpeciły ślady po trądziku. Pewno, pomyślał Fortune, koledzy dokuczali mu w szkole, więc wyładowywał frustrację na sali gimnastycznej, a później na siłowni. Sądząc po obwodzie bicepsów, frustracji musiało być niemało.

– Zdradzi mi je pan?

– Nie.

Mężczyzna westchnął.

– Mogę pana aresztować.

– Nie może pan – odparł spokojnie Fortune. – Obaj dobrze wiemy, że to przekracza pańskie uprawnienia.

Mężczyzna spojrzął ponad ramieniem Fortune’a.

– Czy to pan przeciął łańcuch?

– Nie.

– Zadzwoń na policję.

– Nie trzeba. Już sobie jadę.

– Wkroczył pan na teren prywatny i uszkodził mienie.

Fortune nie miał na to czasu.

– Skąd pan o mnie wiedział?

– Kamera z czujnikiem ruchu – poinformował mężczyzna. – Uchwyciła pański samochód. Mam wyraźne ujęcia, na których parkuje pan przed wejściem. – Powiedział to z taką dumą, jakby osobiście wynalazł tę kamerę. Wątpliwe, pomyślał Fortune, sądząc po jego bezmyślnym uśmiechu.

– Sprytne – skomentował Fortune, postanowiwszy wykorzystać okazję. – Nie zauważyłem jej.

– O to chodziło – odparł tamten, dumny z własnej przebiegłości.

– Czy ten budynek nadal jest na sprzedaż?

– Tak.

– Od jak dawna jest na rynku?

– Od lat.

– Taki gmach? – zdziwił się Fortune. – Nie upomniał się o niego żaden piłkarz?

Mężczyzna znów się uśmiechnął z miną kogoś, kto choć raz wie o czymś, o czym inni nie mają pojęcia.

– Nic pan nie wie?

– O czym?

– O tym miejscu.

– Nie...

Mężczyzna pokiwał głową i zamilkł. Milczał tak długo, że Fortune nie mógł już znieść jego absurdalnej powagi. Powstrzymał się jednak od komentarza.

– Działy się tu złe rzeczy – powiedział w końcu.

– Jakie rzeczy?

– Kiedyś tu był sierociniec. I chłopcy... – znów zawiesił głos, tym razem, żeby dobrać słowa. – Robiono im tu różne rzeczy.

– Jasne – odparł Fortune i cierpliwie powtórzył: – Jakie rzeczy?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Bicie, tortury. Niektórzy mówią, że... no wie pan.

– Nie.

Ponownie wzruszył ramionami i wyraźnie skrepowany przestąpił z nogi na nogę.

– Że chodziło też o seks.

– Aha. – Fortune pokiwał głową. – Mój Boże – dodał nieprzekonująco.

– No – przyznał mężczyzna. – Dlatego nikt nie chce tego kupić. Mówi się, że dom jest nawiedzony.

– A jest?

– Nie wiem. Ale jedno jest pewne: ja tam nie wejść.

– Nie?

– Mowy nie ma. Przyznaję się bez bicia. A nie jestem tchórzem – dodał pośpiesznie.

– No cóż, ja też nie zamierzam tam wchodzić – odparł Fortune. – Tego rodzaju opowieści nie służą interesom.

– Jakim interesom?

– Znajduję nieruchomości dla moich klientów. Mam takiego jednego, dyrektora funduszu hedgingowego, który chce kupić dużą posiadłość w tej okolicy. Zastanawiałem się nad tym domem, ale po pańskiej opowieści...

– Czyli nie był pan w środku?

– Nie. I teraz już na pewno nie wejść. Szkoda mojego czasu.

Mężczyzna zastanowił się i pokiwał głową.

– I tak musi mi pan podać swoje nazwisko.

– Harry. Harry Marsh. Z tym że – dodał szybko, żeby ochroniarz nie zdążył poprosić o dowód tożsamości – wolałbym, żeby to zostało między nami. Rozumie pan, w moim zawodzie ważna jest dyskrecja. Gdyby ludzie wiedzieli, kim jestem i co robię, wtedy cena za taką nieruchomość... –

pokazał palcem na niebo – poszybowały w górę.

Nie był przekonany, czy sam rozumie, co właśnie powiedział, ale mężczyzna zastanowił się chwilę, po czym pokiwał głową.

– Niech będzie. Ale musi pan stąd odjechać.

– Tak jak mówiłem: już sobie jadę.

– Zaczekam, aż pan rzeczywiście odjedzie. Na wszelki wypadek.

– Jasne, jasne. – Fortune pokiwał głową. – Świetnie pan sobie radzi.

Odwrócił się i poszedł do samochodu. Zapalił silnik, zawrócił i ruszył w stronę podjazdu, pozdrawiając mężczyznę uniesioną dłonią. Udało mu się wykpić, co jednak nie zmieniało faktu, że nadal nie miał planu. Wjechał w tunel beznadziejnych, bezlistnych drzew, których gałęzie zdawały się pochylać nad samochodem w niemym błaganiu. Tak jakby prosiły go, by nie odjeżdżał. Jakby chciały mu powiedzieć, że nie powinien opuszczać tego miejsca i że nadal ma tu coś do zrobienia. Ale trolla tu nie było. Przeniósł się w inne miejsce. Jedyne problem polegał na tym, że Fortune nie wiedział w jakie.

Co mi powiedział? Co powiedział troll, zanim sobie poszedł? Jego ostatnie słowa brzmiały... Myśl, Sophie, myśl. Próbowałam, ale nie mogłam, bo był ten pająk, wielki, ogromny, siedział na ścianie, i nie byłam w stanie myśleć, no nie mogłam. Rękę miałam lepką od krwi, bolała mnie, piekła, łzy zalewały mi oczy, z nosa płynęły mięsiste gluty, tak że z trudem łapałam powietrze. Ryczałam jak dziecko, całkiem się rozkleiłam. Nie mogłam zebrać myśli. Co powiedział?

Czy wierzysz w fortunę?

Tak, właśnie to. Powiedział: czy wierzysz w fortunę?

Spojrzałam na zamek na zapięciu. Sześć cyfr. Pomyślałam o poprzednich zagadkach. Kiedy drugi raz zabrał mnie do Pokoju Gier – gier? dajcie spokój! – rozwiązaniem była zapisana od końca moja data urodzin. Lewą ręką niezdarnie sięgnęłam do zapięcia. Palce mi się ślizgały na maleńkich kółeczkach, nie byłam w stanie zapanować nad nimi. Co to miało być? No już, Sophie, twoje urodziny, od końca. Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty ósmy... Osiem, dziewięć, dziewięć, jeden. Lipiec. Siedem, zero. Cholera. Za dużo cyfr. Okej, okej, zaczekaj. Zastanów się. Dziewięćdziesiąty ósmy. Bez tysiąc dziewięćset. Osiem, dziewięć, siedem, zero. Dwudziesty czwarty. O Jezu, jak to możliwe, że tak trudno tym obracać? Cztery, dwa. Gotowe. Pociągnęłam za zamek. Nic. Nie chciał się otworzyć.

Spojrzałam na pająka. Nie poruszył się. Jakby czekał. Obserwował. Przyglądał się, jak płaczę, pociągam nosem i próbuję przypomnieć sobie, kiedy się, do ciężkiej cholery, urodziłam. Jeszcze raz. Teraz w drugą stronę. Dwa, cztery... Co dalej? Siedem? Nie, Sophie, potrzebujesz sześciu cyfr. Czyli najpierw zero, potem siedem. Później dziewięć i osiem. Gotowe. Ciągnij. Znów nic. Nie chciało się otworzyć, ciągnęłam, a to nie chciało się

otworzyć, szarpałam tak, że plastik znowu przeciął mi skórę i poleciała krew. I nie mogłam oddychać, nie byłam w stanie wypełnić płuc powietrzem, robiło mi się coraz ciemniej przed oczami. Zamknęłam powieki i spróbowałam się skupić. Uspokój się. Oddychaj. Nie mogłam jednak mieć zamkniętych oczu, bo przecież nade mną siedział pająk. Przestań. Spokój. Oddech. Oddech.

Czy wierzysz w fortunę?

W porządku. Dasz radę.

Liczby. Fortuna, los, szczęście, powodzenie. Liczby. Pechowe liczby, takie, które sprowadzają nieszczęście. Trzynaście. U Chińczyków to, zdaje się, czwórka. Budynki u nich nie mają czwartego piętra. Trzynaście, cztery, czternaście, dwadzieścia cztery? Za dużo liczb. Poza tym, to nie to, głupi pomysł. Pomyśl, Sophie, rusz głową.

No dobrze, a jeśli pytanie jest podchwytliwe? Troll uwielbia gry – może to po prostu sztuczka? Wybieg? Czy wierzysz w fortunę? Aha, czyli może wcale nie chodzi o pecha, tylko o powodzenie, rzeczywiście o fortunę. Czyli mogę wprowadzić jakiegokolwiek cyfry i nie będzie to miało znaczenia. Niech będzie. Wybrałam pierwsze, co mi przyszło do głowy. Czy to podziała? Nieważne, spróbuj. Sięgnęłam lewą ręką i przesunęłam kółeczka: jeden, sześć, trzy, cztery, nie, siedem, znowu jeden, pięć. Pociągnęłam za zamek. Nic. Można się było spodziewać. Sophie, ty kretynko, ty idiotko. Ty żaloszna istoto, ty karykaturo. Myśl, myśl.

Spojrzałam na pająka. Nie było go tam, zniknął, i naraz poczułam go na sobie, pode mną, wszędzie. Wyobraziłam sobie dotyk jego nóg, potwornie delikatny dotyk, i znów panika zapała mi dech w piersi. Gdzie on jest? Dokąd poszedł? Nie widzieć go jest znacznie gorzej niż widzieć. Miałam wrażenie, że w każdej chwili może spaść mi na głowę. Gdzie on jest?

Musisz się stąd wydostać, pomyślała. Musisz odgadnąć szyfr i wydostać się stąd. Spojrzałam na siatkę, spróbowałam jej dosięgnąć, wyciągnęłam się, na ile mogłam, ale plastik wchodził w moje ciało jak w masło. Nie znalazłam się ani centymetr bliżej.

Czy wierzysz w fortunę?

Czy wierzysz w Fortune'a?

Ojciec. Wszyscy od zawsze zwracali się do niego per „Fortune”, tak jakby nie miał imienia. Czy w niego wierzę? Nie, oczywiście, że nie. Ale wtedy pomyślałam o metrze, o tym, jak się zgubiłam, a on mnie odnalazł, i że kiedyś w niego wierzyłam, dawno, dawno temu. Kiedy powiedziałam: „Wiedziałam, że mnie znajdziesz i przyjdiesz po mnie”.

Czy wierzysz w Fortune’a?

Pragnęłam wierzyć. Zawsze tego chciałam.

Kiedy wypadały urodziny taty? Nie mogłam sobie przypomnieć. Ile on właściwie ma lat? Nie mam pojęcia. Pięćdziesiąt kilka. Ktoś mi kiedyś powiedział, że ojciec urodził się stary? Kto to był?

Nieważne. Myśl. Kiedy się urodził?

Latem.

Ale kiedy latem?

W sierpniu. Na pewno. W wakacje. Nie obchodziliśmy razem jego urodzin, bo on wiecznie pracował. Dzwoniłyśmy do niego z Hiszpanii, Grecji, Rzymu. Wszystkiego najlepszego, tato. Tak, wiem, że żałujesz, że cię tu nie ma. Tak, rozumiem. Tak. Tak. Tak, wszystkiego najlepszego.

Teraz rok. Spokojnie. Zastanów się. Wykombinuj. Obchodził pięćdziesiątkę. Nie było imprezy, ale miał pięćdziesiąte urodziny. Kiedy to było? Po moich studiach. Kiedy po raz pierwszy poszłam do pracy. Nie, w drugiej firmie. Pamiętam, że pomyślałam, że jeśli będę robiła to samo, co teraz, kiedy będę miała pięćdziesiąt lat, to chyba lepiej od razu ze sobą skończę. Niech ktoś mnie zabije, co? Czyli miałby teraz pięćdziesiąt cztery. Który to rok? Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty trzeci. Jest okej. Doba robota, Sophie. Nie poszło źle.

Dzień.

Oto i schody. No bo którego dnia się urodził? Nie miałam pojęcia.

Nieważne. Po prostu zacznij od pierwszego i leć po kolei.

Zaczęłam szybko obracać kółka. Zero, jeden, zero, osiem, sześć, trzy. Nic.

Dwa. Nic. Trzy. Nic. Szarpałam, rozrywałam ranę i wyglądałam jak najbardziej zdeterminowana samobójczyni na świecie. Cztery. Nic. Pięć. Nic. Spojrzałam na pająka i nie było go tam. Potem przeniosłam wzrok ze ściany na

podłogę i zobaczyłam go. Był na mojej nodze – na nodze! – był tam, na kostce, podnosił jedno ze swoich odnóży, jakby się zastanawiał, namyślał, co dalej. O mój Boże. Zamarłam. Bałam się poruszyć. Przestałam oddychać. Napięłam mięśnie. On był na mojej n o d z e.

Sięgnęłam do zamka i przekręciłam kółka. Sześć. Nic. Siedem. Nic. Osiem. Nic. Zerknęłam na pajaka. Nie poruszył się, ale czułam jego ciężar. Ważył tyle, co nic, ale był wielki, ogromny i czarny. Był najokropniejszą rzeczą, jaką w życiu widziałam. Dziewięć. Bez skutku. W słabym świetle lampki rana na moim nadgarstku z czerwonej zrobiła się czarna. Dziesięć. Nic. Jedenaście. Nic. Pajak pomknął po mojej nodze, minął kolano i zatrzymał się. Jęknęłam, wydałam z siebie dźwięk, jakiego nigdy wcześniej nie wydawałam, cichy i zagubiony. Dwanaście. Nic. Proszę, proszę, proszę, otwórz się. Trzynaście. Szarpnęłam i zamek ustąpił. Byłam wolna. Pajak nadal siedział w tym samym miejscu. Pomyślałam: no już, Sophie, dasz radę. Wstałam i wierzgnęłam nogą. Pajak spadł na ziemię, a ja skoczyłam, chwyciłam siatkę i nakryłam go nią. Podbiegłam do drzwi i zaczęłam walić w nie z całej siły. A kiedy troll je otworzył, po raz pierwszy ujrzałam jego twarz, i nic już więcej nie pamiętam.

Jack Sumner. To nazwisko występowało wyjątkowo często w materiałach, artykułach i newsach poświęconych sierocińcowi St Basil, które Fortune przeglądał. Miejscowy dziennikarz wytrwale drążył, grzebał, zadawał pytania, spekulował, co świadczyło o tym, że jego zainteresowanie tematem mogło wykraczać poza zawodową ciekawość.

Fortune zatrzymał się w przydrożnej restauracji i zamówił kawę. Czekając, aż kelnerka przyniesie napój, zadzwonił do redakcji gazety i poprosił o rozmowę z Jackiem Sumnerem. Kobieta, która odebrała telefon, zapytała, o jaką sprawę chodzi.

– O St Basil.

– O! – Wydawała się zaskoczona. – A czy mogę wiedzieć, dlaczego to pana interesuje? – dodała po chwili.

– Nie – odparł Fortune. – Czy pan Sumner jest w redakcji?

– Dziś nie – poinformowała kobieta. – Ale jeśli chodzi o St Basil, to na pewno zechce z panem porozmawiać. Ma pan długopis?

– Tak.

Podyktowała numer telefonu komórkowego. Fortune podziękował i się rozłączył. Kelnerka przyniosła kawę. Podziękował i wybrał numer Sumnera. Ten odebrał po dwóch sygnałach.

– Słucham?

– Dzień dobry – odezwał się Fortune. – Dzwonię w sprawie St Basil.

– Tak?

– Dzwonię, bo liczę na pańską pomoc.

– W czym konkretnie?

– Szukam osób, które mogły tam pracować.

– Mogę zapytać po co? – Ton głosu Sumnera świadczył o życzliwości

i otwartości, ale był podszyty podejrzliwością.

– Ponieważ muszę... – zawahał się. Cóż mi szkodzi? – pomyślał. – Szukam byłego wychowanka, który... no cóż... okazał się moim synem.

– Pańskim synem.

– Niedawno się dowiedziałem. Szukam go, bo wydaje mi się, że może mieć kłopoty.

– Rozumiem – odparł powoli Sumner, jakby zastanawiał się, czy przypadkiem nie ma do czynienia z szaleńcem. – Nie wiem tylko...

– Sądzę, że jest... nieźrównoważony. Z powodu tego, co działo się w St Basil. Stwarza zagrożenie. Utrudnia mi życie.

– W jaki sposób?

Na przykład porywa moją córkę i grozi, że ją zabije, pomyślał Fortune.

– Ukradł mi znaczną sumę pieniędzy. Wysuwa fałszywe oskarżenia. Prowadzi swego rodzaju kampanię przeciwko mnie. To skomplikowane.

– Tak brzmi. – Jack Sumner milczał przez chwilę. – Dlaczego zależy panu na rozmowie z kimś, kto tam pracował?

– Chcę się dowiedzieć, co mój syn przeszedł w St Basil. Co się tam działo. Sumner się roześmiał.

– Powodzenia.

– To ważne.

– Wiem doskonale. Jak pan zamierza się tego dowiedzieć?

– Pytając – odparł Fortune.

– Już próbowałem – przyznał Sumner. – Niewiele to dało.

– Na dzień dobry zapytam – powiedział Fortune. – Jeśli to nie podziała, mam w zanadrzu inne metody.

– Ciekawe... A jakie, jeśli można wiedzieć?

– Nie powiem, bo wtedy stanie się pan współwinny.

Jack znów się roześmiał.

– No, wreszcie mówi pan zrozumiale. – Ponownie zamilkł, tym razem na tak długo, że Fortune zaczął się zastanawiać, czy nie przerwało połączenia. – Wiem, gdzie przebywa tylko jeden z nich – odezwał się wreszcie. – Burridge.

– Oliver James Burridge? Wychowawca?

– Główny wychowawca – uściślił Sumner. – Najważniejsza osoba w St Basil.

– Gdzie on jest?

– W domu spokojnej starości. Miał udar, niedaleko mu do warzywa. I dobrze mu tak, sukinsynowi.

– Czy mogę zapytać, dlaczego St Basil tak bardzo pana interesuje?

– Jestem dziennikarzem. Na tym polega moja praca.

– Ale to nie wszystko, prawda?

Cisza po drugiej stronie.

– Brat mojej żony był jednym z wychowanków St Basil. Nie opuścił sierocińca jak inne dzieci, ale po prostu zniknął. Zaginął i nigdy się nie odnalazł. Jak to możliwe?

– Wygląda na to, że nie był jedyny.

– A mimo to nikogo nie pociągnięto do odpowiedzialności. No, ale nic dziwnego, skoro szefostwo chronił parasol członka Izby Lordów.

– Słyszałem o tym.

– No właśnie – bąknął Sumner z odrazą w głosie. – Co się porobiło z tym krajem, prawda?

Fortune pomyślał o Dubaju, o tamtejszym rozwarstwionym społeczeństwie, o usankcjonowanej niesprawiedliwości. Okazuje się, że w ojczyźnie wcale nie jest lepiej.

– Powie pan, gdzie mogę go znaleźć?

– Burridge'a? Pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Że nie okaże pan temu staremu złamasowi litości.

– Myślę, że śmiało mogę to panu obiecać.

Sumner kazał mu chwilę poczekać i wrócił po dwóch minutach z adresem: Burridge przebywał w domu spokojnej starości pod Brentwood. To niedaleko. Fortune podziękował i obiecał, że oddzwoni i podzieli się informacjami. Rozłączył się. Dopił kawę. Jeszcze nie jest późno. Mógłby odwiedzić Burridge'a choćby dziś. Wystarczyło znaleźć dobrą wymówkę. To akurat żaden problem. Fortune wątpił, żeby ktokolwiek zdołał go powstrzymać.

Okazało się, że wejście do domu spokojnej starości Glades i dostanie się do Olivera Jamesa Burridge'a było czystą formalnością, przede wszystkim dlatego, że najwyraźniej nikogo zanadto nie obchodziło dobro byłego wychowawcy St Basil. Fortune zapytał w recepcji, w którym pokoju znajdzie Burridge'a.

– Kogo?

– Olivera Jamesa Burridge'a.

– A, tak. – Recepcjonistka zrobiła zdeglustowaną minę. – Chce pan go odwiedzić?

– Owszem.

– Jest pan z rodziny?

– Nie, jestem starym znajomym.

– Zdaje pan sobie sprawę, że pan Burridge jest w kiepskim stanie. – Tytułowała go „panem” pomimo jego reputacji, pomimo wszystkich tych rzeczy, których podobno się dopuścił.

– Tak, wiem. Pomyślałem, że kiedy mnie zobaczy, poczuje się lepiej.

Recepcjonistka spojrzała na Fortune'a z obrzydzeniem. Chciał jej powiedzieć, że nie, nie o to chodzi, nie jest taki jak Burridge.

– Rzadko ktoś go odwiedza.

– Nie dziwi mnie to.

– Słyszał pan, co się o nim mówi?

– Oczywiście.

– I mimo to chce się pan z nim zobaczyć?

– Tak.

Recepcjonistka pokiwała głową, ale nie był to gest zrozumienia. Po co ktoś miałby przychodzić w odwiedziny do takiego potwora? Fortune doskonale rozumiał jej punkt widzenia.

– No dobrze – odezwała się bez cienia życzliwości, profesjonalnym tonem. – Zapytam go. Jak brzmi pańskie nazwisko?

– Pomyślałem, że zrobię mu niespodziankę. Dawno się nie widzieliśmy.

Recepcjonistka zmarszczyła brwi i już miała odmówić, ale widocznie uznała, że dbanie o bezpieczeństwo starego, złego człowieka nie jest warte ani jej czasu, ani energii.

– Musi pan jakieś podać – powiedziała w końcu. – Żebym mogła wpisać do rejestru. – Położyła długopis na otwartym zeszycie. Całą stronę zajmowała tabela z kolumnami: nazwisko gościa, nazwisko pensjonariusza, numer rejestracyjny auta gościa, pora wejścia, pora wyjścia. Fortune wpisał się jako Harry Marsh, niech chociaż będzie konsekwentny.

– Proszę za mną, panie... Marsh. – Obróciła zeszyt. – Pokażę panu, gdzie leży.

Wyszła zza biurka recepcji i pchnęła drzwi ze szkła zbrojonego. Ruszyła korytarzem, skręciła raz, potem drugi i zatrzymała się przed drzwiami.

– Tylko powiem panu Burridge'owi, że pan przyszedł – odezwała się. – Więcej nie zdradzę. – Otworzyła nieznacznie drzwi i wsunęła się do środka. Fortune czekał na zewnątrz. Zastanawiał się, czy jeżeli Burridge odmówi spotkania, zdoła pokonać recepcjonistkę. Moralnie, tak, fizycznie, nie był pewien. Kobieta zjawiła się po chwili i powiedziała: – Proszę.

Fortune wszedł do pokoju, który okazał się dość mały. Na stoliku przy oknie stał wazon z kwiatami. Opuszczone żaluzje zatrzymywały większość światła. Burridge spoczywał na łóżku, które ustawiono tak, że mężczyzna znajdował się w pozycji siedzącej. Był starym, wątłym człowiekiem o załzawionych oczach. Patrzył na Fortune'a bez zainteresowania. Recepcjonistka obrzuciła go pozbawionym emocji spojrzeniem, po czym odezwała się do Fortune'a:

– Trafi pan do wyjścia. – Zostawiła ich, zamykając za sobą drzwi. Nie były przeszkłone.

Zostali zatem we dwóch: Fortune i Burridge. Starzec patrzył i nic nie mówił. Fortune podszedł do okna i lekko uchylił żaluzje, tak że do pokoju wpadło nieco bladego światła.

– Kim, do cholery, jesteś? – rzucił Burridge do odwróconego plecami Fortune'a. Ten nie odpowiedział. Zbić go z tropu, pomyślał. Niech zacznie się domyślać. Nie ułatwiać mu. – Pytam, kim jesteś. – Burridge miał słaby, łamiący się głos, w którym jednak nadal pobrzmiwał władczy ton. –

Odpowiadaj, człowieku.

Fortune odwrócił się i podszedł do łóżka. Wyciągnął rękę i skrócił czerwony kabel alarmowy tak, by ten znalazł się poza zasięgiem Burridge'a.

– Nazywam się Fortune – powiedział. – Mój syn był jednym z waszych wychowanków.

Burridge powiódł wzrokiem w stronę kabla, po czym przeniósł spojrzenie z powrotem na Fortune'a.

– Przyjmowaliśmy wyłącznie sieroty – oznajmił.

– No widzisz, akurat tego przegapiliście. Może go pamiętasz? Nazywał się Hector. Hector Emmerson.

– Czego chcesz? – burknął Burridge.

– Chcę wiedzieć, co mu zrobiłeś. Ze szczegółami.

– Zrobiłem? – Usta Burridge'a otworzyły się i zamknęły raz, drugi, trzeci, dobył się z nich wilgotny, niedbały dźwięk. Fortune musiał przyznać byłemu głównemu wychowawcy, że ten nadal miał bujną fryzurę, siwe, sztywne, zaczesane do tyłu włosy. Za to twarz – osłabła, mięśnie odmówiły współpracy, jedno oko zapadło się w kąciku. – O co chodzi? Jak to: zrobiłem? Chcę, żebyś wyszedł.

Fortune mocno pociągnął Burridge'a za ucho, na co ten odwrócił się i spojrzał na niego zaskoczony.

– Pewnie, że chcesz – powiedział Fortune. – Ale nic z tego. Nie wyjdę, dopóki nie dowiem się, co zrobiłeś Hectorowi Emmersonowi.

– Nie będę z tobą rozmawiał – oświadczył Burridge. Ton klasy wyższej, wciąż protekcyjny, pomimo słabości i bezradności.

Fortune, gorzej wykształcony i mniej obyty niż większość jego kolegów, przez całe życie zawodowe miał do czynienia z protekcjonalnością. Zawsze wyjątkowo działała mu na nerwy. Podszedł do okna, wyjął kwiaty z wazonu, po czym opróżnił jego zawartość na głowę Burridge'a. Burridge zaczął otwierać i zamykać usta jak wyrzucona na brzeg ryba, strzepywał z warg kropelki wody.

– Słuchaj no – powiedział Fortune. – Dowiem się od ciebie wszystkiego, na czym mi zależy, choćbym miał cię zabić. Rozumiesz?

– Jak śmiesz? – zaprotestował Burridge wściekłym szeptem; nie był w stanie podnieść głosu.

Fortune przeszedł na drugą stronę pokoju. Na stoliczku stał czajnik, obok papierowe kubki, herbata i cukier. Podniósł czajnik. Pusty. Otworzył drzwi do łazienki i napełnił naczynie wodą z kranu. Wrócił do pokoju, nastawił czajnik i usiadł na łóżku.

– Kiedy woda się zagotuje, wyleję ci ją na głowę – oświadczył. – Będzie bolało. Sądząc po tym, w jakim jesteś stanie, wątpię, abyś to przeżył.

– Niech cię diabli – odparł Burridge. – Do czorta z tobą.

Nikt już tak nie mówi, pomyślał Fortune. Westchnął.

– Musisz mi powiedzieć, co się stało z Hectorem Emmersonem. Masz niewiele czasu.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Sądzę, że jednak masz. Myślę, że wiesz doskonale, co się działo w St Basil. Opowiesz mi o tym.

– Nie mam ci nic do powiedzenia – oznajmił Burridge.

Wciąż ten protekcyjny ton, arogancki uśmiezek. Zamknął oczy i nie otwierał ich. Fortune popatrzył na niego ze złością. Oczywiście, że nie chciał oblewać wrzątkiem schorowanego starca, bez względu na okropności, jakich ten prawdopodobnie dopuścił się w przeszłości. Do diabła, przecież nikogo nie umiałby potraktować w tak okrutny sposób. W pokoju panowała zupełna cisza, jeśli nie liczyć prawie niesłyszalnego szumu klimatyzacji i nieco głośniejszego rozgrzewającej się grzałki czajnika.

– Czas ucieka – powiedział.

Burridge nie odpowiedział ani nie otworzył oczu. Fortune miał ochotę wywlec go z łóżka i przepędzić na kopniakach przez korytarz. Wyobrażał sobie, że staruszek skomle z bólu przy każdym dobrze wymierzonym kopnięciu. Jeśli tak wygląda zło, pomyślał, to rzeczywiście jest banalne. Wątył dziadek, który zachowuje się jak dziecko i udaje, że nie słyszy, co się do niego mówi. Trudno o bardziej jałową konwersację.

Woda się zagotowała i czajnik się wyłączył. Fortune podszedł do niego, podniósł go i z powrotem odstawił. Zamknął oczy i westchnął tak długo

i głęboko, na ile pozwoliły mu płuca. Nie, nie mógł tego zrobić. Zresztą, co by zyskał, poza śmiercią Burridge'a? Ponownie westchnął, odwrócił się – i zobaczył, że Burridge podnosi się niepewnie na łóżku i sięga po kabel alarmowy. Nie udało mu się. Zachwiał się, stracił równowagę, spadł z łóżka i wylądował na głowie i karku. Na jego pidżamie w niebieskie paski wykwitła plama moczu. Leżał nieruchomo.

Fortune popatrzył z przerażeniem. Pora się stąd zabierać, pomyślał. Otworzył drzwi, zamknął je za sobą i szybko ruszył korytarzem. Nie chciał tego. Nie było tego w planie. Nie to, żeby w ogóle istniał jakiś plan.

– Skończył pan? – spytała recepcjonistka, podnosząc głowę na dźwięk otwieranych drzwi.

– Tak – odpowiedział Fortune. – Już po wszystkim.

– Naprawdę jest pan jego znajomym?

– Powiedzmy.

– Mówią, że robił okropne rzeczy.

– Kto mówi?

– Ludzie. – Recepcjonistka odwróciła głowę i wbiła spojrzenie w biurko, jakby zawstydzona tym, co powiedziała.

– Ludzie mają rację. To okropny człowiek.

– W takim razie dlaczego...?

– Nieważne – odparł Fortune. – Musiałem zapytać go o pewną rzecz.

– I dostał pan odpowiedź?

– Nie.

Kobieta pokiwała głową. Wyglądała, jakby się zastanawiała przed podjęciem decyzji.

– Nie powinnam tego mówić, ale... – przerwała i upewniła się, że nikt nie usłyszy. – Jakies trzy, cztery miesiące temu odwiedził go pewien mężczyzna. Poprosił, by go powiadomić, jeśli ktokolwiek będzie pytał o pana Burridge'a.

– Co to za człowiek?

– Nie wiem. Powiedział, że zna pana Burridge'a sprzed lat.

– Przedstawił się jakoś?

– Robert... Chwileczkę. – Otworzyła szufladę, pogrzebała w niej

i wydobyła wizytówkę. – Proszę. Dał mi to.

Elegancka wizytówka, czarny tusz na kremowym papierze. Robert Foster. Numer telefonu komórkowego i adres.

– Nic więcej nie mówił?

– Nie. Ale obiecałam, że dam mu znać. Z powodu... tych rzeczy, które on zrobił. To znaczy, pan Burridge.

– Dziękuję – powiedział Fortune. – Zadzwoń do niego. A jeśli chodzi o pana Burridge'a, to myślę, że moje odwiedziny zupełnie go wyczerpały.

– W porządku. – Recepcjonistka pokiwała głową.

Fortune wyszedł z budynku i wrócił do samochodu z rosnącym poczuciem paniki. Zostało mu niewiele czasu. Burridge, jeśli jeszcze żył, był na wykończeniu. Co dalej, do diabła? Co dalej?

Pierwszą rzeczą, jaką Fortune zobaczył po wejściu do salonu Roberta Fostera, był lew. Wielki kocur z paszczą rozdziawioną w niemym ryku, wściekły, że po śmierci trafił do rozpadającego się parterowego domu gdzieś w Essex. Na lwa ponuro spoglądała sowa z rozpostartymi skrzydłami i pazurami gotowymi do ataku. Obok sowy wisiała głowa łosia o imponującym porożu; wyglądała na ścianie, jakby z rozpędu przebiła ją od drugiej strony i zrezygnowana tak już pozostała.

Fortune próbował dodzwonić się do Fostera, ale nikt nie odpowiadał. Nie miał czasu do stracenia, nie mógł czekać, dlatego po prostu pojechał pod adres widniejący na wizytówce. Foster mieszkał w zapuszczonym ceglany domu, stojącym w kiepskiej, pełnej zaniedbanych budynków okolicy, przez którą prowadziła ułożona z wielkich betonowych płyt droga. Wszystko to, zbudowane byle jak w latach sześćdziesiątych, miało dawać schronienie pracującej biedocie. Sądząc po ogródku przed domem Fostera, ten więcej czasu poświęcał na wypychanie zwierząt, niż na przycinanie rozrastającej się plataniny jeżyn i ostrokrzewów. Fortune przedarł się przez barierę z gałęzi i liści i zatrzymał przed drzwiami wejściowymi. Były otwarte. Zawołał gospodarza, ale ponieważ nikt się nie odezwał, po prostu wszedł do środka. Minął wiktoriańską klatkę z niechlujnie przyklejonymi do gałęzi, rozpadającymi się rajskimi ptakami. W salonie znajdowały się same martwe zwierzęta, nieporadność Fostera-taksydemisty nie oddawała szacunku ich śmierci.

Nie znalazłszy w salonie nic ciekawego, Fortune odwrócił się i ruszył korytarzem – pełnym pudeł, połamanych klatek, gazet – do kuchni. Tam znalazł Fostera. Mężczyzna leżał na pasiastym leżaku, rozwalony, ze zwieszonymi po bokach rękami, i głośno chrapał. Obok leżaka znajdowała się przewrócona

pusta butelka po szkockiej, aczkolwiek sądząc po bursztynowej kałuży na podłodze, Foster odpadł, nim zdążył ją opróżnić.

Jeżu, pomyślał Fortune i poczuł ból, który zdawał się emanować wprost z kości. Oczy piekły go jak po nieprzespanej nocy, o zapachu z ust nawet nie próbował myśleć. Czy naprawdę nic w tej historii nie może być proste?

Potrząsnął Fosterem, ale ten tylko jęknął, nie ocknął się. Fortune pomyślał, że może powinien potraktować go tak samo jak Burridge'a i wylać mu dzban wody na głowę, ale nie, bo przecież potrzebował Fostera, potrzebował jego pomocy i współpracy, więc zamiast tego zrobił przegląd szafek, znalazł kawę i filtry pasujące do stojącego na blacie starego jak świat ekspresu. Czekać, aż kawa się zaparzy, zastanawiał się, po co ktoś taki jak Robert Foster, pijaczyna i mierny wypychacz, zainwestował w tak drogą wizytówkę. Owszem, reklama jest ważna, ale w tym przypadku nie na wiele się zda.

Foster miał nadwagę i rudawą, niedogoloną szczecinę. Spod jego przykrótkiej czarnej koszulki z wizerunkiem Ramonesów wystawał oklapnięty biały brzuch. Fortune złapał Fostera za nos i ścisnął. Po chwili mężczyzna zadrżał i potrząsnął głową jak byk machający rogami.

– A ty to kto?

– Nazywam się Fortune. Byłem u Burridge'a.

Bingo. Foster otworzył szerzej oczy, w których jednak nadal brakowało skupienia. Spróbował usiąść.

– U Burridge'a?

– I trafiłem do ciebie.

– No widzę. Burridge. Ten z St Basil?

– Tak.

– Byłeś u Burridge'a – mruknął do siebie, po czym pochylił się i objął kolana ramionami. Przez Fortune'a przetoczyła się krótka, acz silna fala współczucia dla tego smutnego, złamanego człowieka. Foster podniósł głowę, zakołysał się na leżaku i wstał niepewnie. Cofnął się o krok, oparł dłońią o blat i łypnął na leżącą na podłodze pustą butelkę po szkockiej. Skrzywił się zawiedziony i spojrzał na Fortune'a. – Czego szukasz w moim domu?

– Chcę porozmawiać o Burridge'u.

– Dlaczego?

– Ponieważ zniszczył życie mojemu synowi. A teraz syn próbuje je zniszczyć mnie.

Dopiero po chwili Foster zdołał przetrwać to, co usłyszał, i zrozumieć tkwiący w tym konflikt.

– Mści się? – odezwał się w końcu.

Fortune wzruszył ramionami.

– Chyba tak.

– Jak się nazywa twój syn?

– Emmerson. Hector Emmerson.

– Hector? – Foster rozejrzał się, jakby ktoś mu właśnie buchnął portfel. – Czekał no – powiedział i trzymając się ściany, powoli wyszedł z kuchni. Fortune rozejrzał się po pomieszczeniu, ale nie bardzo było co oglądać. Albo Foster żywił się gotowymi daniami, albo znalazł sposób na przetrwanie bez jedzenia.

Gospodarz wrócił z dużą, zieloną, plastikową butelką z etykietą środka chwastobójczego, ale sądząc po zapale, z jakim z niej pociągał, musiała zawierać awaryjne zapasy bursztynowego trunku. Foster zatrzymał się w progu i wyszczerzył.

– Hector Diabelskie Nasienie?

Fortune ponownie wzruszył ramionami.

– Hector Emmerson.

– Mały geniusz – roześmiał się Foster. – Wybitny umysłowo. Wybitnie umysłowo.

– Nie rozumiem – powiedział Fortune. Usiadłby, ale w kuchni był tylko leżak. – Możemy przejść do innego pokoju? Trudno mi ustać.

– Jasne. Dobry pomysł. – Machnął butelką środka chwastobójczego. – Gólniesz?

– Nie, dziękuję. Mogę zapalić?

Po co w ogóle pytam? – pomyślał.

Foster się uśmiechnął.

– Pewnie. Tylko nie podpal mi lwa. Jest wart cztery kafle.

Foster znów pociągnął z butelki. Siedzieli naprzeciwko siebie na fotelach i Fortune nie potrafił pozbyć się wrażenia, że jakaś część Foster'a nadal leżała rozwalona na leżaku i chrapała.

– Hector Emmerson – powtórzył. – Opowiedz mi o nim.

Foster się roześmiał.

– Co chcesz wiedzieć?

– Mówiłem. To mój syn.

Męczyzna ponownie wybuchnął pełnym niedowierzania śmiechem.

– Twój syn? Mam nadzieję, że nie liczyłeś na to, że będziesz z niego dumny.

– Nieszczerólnie – odparł Fortune. – Możesz mi o nim opowiedzieć?

– Hector Emmerson – zachichotał Foster. – Twój syn. Najgorszy typ w St Basil, jeśli nie liczyć wychowawców. Najgorszy. Poważnie. – Zamilkł i po chwili dodał cicho: – Albo najlepszy.

– W jakim sensie najgorszy?

– Zmyślny. – Foster machnął butelką. – Niesamowity. Jak mówił, że coś zrobi, to to robił. Niczym się nie przejmował. Wszyscy trzęśli dupami, a on? – Pochylił głowę i pokręcił nią. – Miał wszystko gdzieś.

– Jakiś przykład?

Foster przez pewien czas milczał, nie podnosząc głowy, i Fortune zaczął się zastanawiać, czy jego rozmówca nie zasnął. Ale nie, Foster nagle podniósł brodę i powiedział:

– Na przykład przesiedział tam tydzień. Cały tydzień. A kiedy wyszedł, zachowywał się, jak gdyby nigdy nic. Jakby był na wakacjach.

– Przesiedział gdzie?

Foster uśmiechnął się, pociągnął z butelki i odparł:

– W Pokoju Gier.

Fortune zmarszczył brwi i pomyślał, że chyba nic z tego nie będzie, nie dowie się niczego wartościowego od tego człowieka.

– W Pokoju Gier?

Foster pokiwał głową i nagle jakby stracił zainteresowanie. Broda opadła

mu na pierś. Oby tylko nie odpłynął, pomyślał Fortune.

– Co tam się działo? – spytał. – W Pokoju Gier?

Foster ostrożnie postawił plastikową butelkę na podłodze i przesunął się na brzeg fotela. Siedział ze zwieszoną głową.

– Co tam się działo? – powtórzył Fortune.

– Dobierali się do ciebie – odparł Foster. – Rozpracowywali cię.

– Psychicznie?

Foster pokiwał głową, wbijając spojrzenie w podłogę, po czym popatrzył na Fortune'a z osobliwym uśmiechem na ustach.

– Albo nożami. Czym się dało.

– Czym był ten Pokój Gier?

– A jak myślisz? – warknął Foster z pijacką irytacją. Sięgnął po butelkę, uderzył ją dłonią, o mało nie przewrócił, ale w porę złapał. To go trochę uspokoiło. – Tam grali w te swoje gierki.

– Jakie gierki?

Foster napił się, zamknął oczy i rozparł na fotelu.

– To zależy.

– Od czego?

– Od tego, czego najbardziej się bałeś. – Znów długie milczenie i znowu obawa po stronie Fortune'a, czy gospodarz nie zasnął. – Na przykład ja bałem się bólu. Proste, prawda? No więc zadawali mi ból. Jeżeli bałeś się ciemności, zamykali cię w ciemnym pomieszczeniu. Jeden dzieciak bał się psów, może miał jakiś uraz, nie wiem. Zamknęli go z owczarkami niemieckimi. – Westchnął i pokręcił głową. – Takie gierki.

– Dlaczego?

– Dlaczego? Bo byli złymi, nikczemnymi, okrutnymi, kapryśnymi, strasznymi ludźmi. I ponieważ to była część gry. – Zamilkł. Zamyślił się. – My też nią byliśmy. Uświadomiłem sobie, że po prostu byliśmy ich zabawkami.

Fortune nie wiedział, co odpowiedzieć, brakowało mu środków emocjonalnych. Cóż bowiem mógł zaproponować temu człowiekowi, temu zniszczonemu, zrujnowanemu człowiekowi? Niespodziewanie przyszło mu do głowy określenie „zapomniany przez Boga i ludzi”, którego w normalnych

okolicznościach nigdy nie używał. Ale pasowało, było tu na miejscu. Zapomniany przez Boga i ludzi. Foster milczał i patrzył przed siebie pustym wzrokiem. Nie skupiał się na żadnym konkretnym punkcie w przestrzeni, lecz na przeszłości, na tym, co się kiedyś wydarzyło, w jego zapomnianej przez Boga i ludzi przeszłości. W końcu odezwał się, bardziej do siebie niż do Fortune'a:

– Rzucali monetą. To było najgorsze. Na początku, zawsze na początku. Orzeł: wersja łagodna. Reszka: pełny program. – W przebłysku przytomności umysłu podniósł głowę i spojrzał Fortune'owi w oczy. – Twierdzili, a myśmy w to wierzyli, że chcą być w porządku wobec nas. Że dają nam szansę. Ale nie wygrywaliśmy, nigdy nie wygrywaliśmy.

Fortune zamyślił się nad okrucieństwem tej gry, nad dawaniem dzieciom złudnej nadziei, wyboru pomiędzy złym i gorszym. Orzeł – przegrywasz. Reszka – jeszcze bardziej przegrywasz. Jak to się odbijało na dzieciach? Jaki miało na nie wpływ? Popatrzył na przedwcześnie postarzałego, zapijającego się na śmierć Foster'a. Pomyślał o swoim synu, o jego wynaturzonej, precyzyjnej złości. Oto, jak St Basil odbiło się na wychowankach.

– Co robili Hectorowi Emmersonowi? – zapytał. – Czego najbardziej się bał?

Foster uśmiechnął się i wyprostował plecy. Machnął butelką.

– Problem w tym, że nie rozpracowali go. Przynajmniej tak nam się wszystkim zdawało. Okazało się, że niczego się nie bał. Bili go, torturowali tak, że nawet nie potrafię sobie tego wyobrazić. I nie rozgryźli go.

– Czy... – Fortune urwał. To był dla niego niezbadany teren. Nie potrafił rozmawiać o tak głębokich emocjach, brakowało mu wrażliwości, którą w tej chwili powinien okazać. Foster odpowiedział, zanim Fortune znalazł odpowiednie słowa.

– ...uprawiali z nami seks? Tak. Robiliśmy wszystko, co nam kazali. Jakie mieliśmy wyjście?

– Kim byli ci „oni”?

– Dorosłymi. Wychowawcami St Basil.

– Wszyscy to robili?

– Nie, nie wszyscy, ale ci, którzy tacy nie byli, zwykle szybko odchodzili.

– Jak to możliwe? Nie protestowałaś?

– Ja? – Foster powoli, nieprzytomnie pokręcił głową. – Nie. Nie ma mowy. George, on się sprzeciwiał. Powiedzieli, że uciekł. – Kiwał głową, która wisiała mu prawie między kolanami, i wspominał. – Nie uwierzyliśmy w to. Zabrali go do Pokoju Gier i nigdy więcej go nie zobaczyliśmy. – Roześmiał się, wbijając spojrzenie w dywan. – Pewnie wylosował reszkę.

– Czy to dotyczyło wszystkich? Czy wszyscy wychowankowie trafiali do Pokoju Gier?

– Nie. Tylko ci, którzy podpadli wychowawcom. Albo ci, których oni lubili. Rozumiesz. Tak to działało. – Foster wzruszył ramionami. – Nie wiem. To wszystko nie miało sensu. Byliśmy dziećmi.

– Po co poszedłeś zobaczyć się z Burridge'em? – spytał Fortune.

– Po co? Żeby powiedzieć mu, że jest sukinsynem.

– I co?

– Potraktował mnie jak śmiecia. Spojrzał na mnie i powiedział, że za mało nade mną popracował.

Fortune pokiwał głową i wstał.

– Powinieneś się napić kawy.

– To mi wystarczy – odparł Foster, podnosząc butelkę jak trofeum; nagrodę dla najlepszego aktora otrzymuje...

– Odłóż to. Zaparzę kawy.

Fortune poszedł do kuchni, przeszukał szafki, znalazł kubek. Otworzył lodówkę, ale zamiast mleka znalazł w niej tylko otwartą puszkę fasoli i kawałek zepsutego mięsa. Dom Foster'a tchnął niewysłowionym przygnębieniem i żalostí, której wrażenie pogłębiały pozbawione wszelkiej godności wypchane martwe zwierzęta.

Fortune wrócił do salonu i odebrał Fosterowi butelkę. Gospodarz nie protestował, tylko patrzył na gościa otepiałym wzrokiem. Plastikowy pojemnik po środku chwastobójczym był już prawie pusty, cokolwiek w nim było. Niedługo Foster stanie się bezużyteczny, bez względu na to, ile kaw wleje w niego Fortune.

– Gdzie się znajdował ten Pokój Gier? – spytał Fortune. – W St Basil?

Foster beknął cicho i rozpląszczył się.

– Nie. Nie wiem.

– Co to znaczy?

– Nie wiedzieliśmy, dokąd nas zabierają. Zakładali każdemu kaptur. Prowadzili do samochodu, wywozili. W dół. – Miał zamknięte oczy, kiwał głową, opierając brodę na piersi. – W dół. – Milczenie. Długie milczenie. – Schodziliśmy w dół. – Głos jak u mamroczonego, obudzonego w środku nocy dziecka.

– Gdzie?

– Nie wiem.

– Może robili to, żeby was dezorientować? Skołować? Wozili przez chwilę, a potem wracali do sierocińca?

Foster prawie niezauważalnie skinął głową.

– Możliwe. – Odetchnął długo i głęboko. – Nie wiem.

– Powiesz mi coś jeszcze? Jak wyglądał ten Pokój Gier? Był mały? Duży? – Kiedy Foster nie odpowiedział, Fortune pomyślał, że stracił go na dobre. Wstał, podszedł do fotela i powiedział: – Robercie, obudź się. Proszę. Musisz mi pomóc. Potrzebuję więcej informacji. Opowiedz mi coś jeszcze. – Potrząsnął nim. – Proszę. Kto jeszcze tam był? Kto robił te rzeczy? Podaj mi nazwisko. – Podniósł mu głowę i spojrzał w półprzymknięte, nieprzytomne oczy. – Podaj mi jakieś nazwisko.

– Bagsy – bąknął Foster. – Bagsy to robił. Zawsze on.

– Kim jest Bagsy?

Foster uśmiechnął się, ale nie odpowiedział. Zamknął oczy. Fortune raz jeszcze potrząsnął nim.

– Kim jest Bagsy?

– Zawsze on – mruknął Foster. Zaczął śpiewać, bardziej do siebie, niż dla kogoś, kogo mógł sobie wyobrazić w pijackim zwidzie. – Bagsy, Bagsy, wstręętny Bagsy. Bagsy, Bagsy, wstręętny Bagsy. – W końcu oklapł na dobre.

– Kim on jest? – powtórzył rozpaczliwie Fortune, ale Foster już go nie

słyszał.

Fortune wstał. Nic z tego. Równie dobrze mógł próbować ocucić te ponure wypchane zwierzęta. Jeden dzień. Został mu jeden dzień na odnalezienie córki. Tu na pewno jej nie było. Gdzie, do cholery, znajdował się ten Pokój Gier?

Fortune był w odległości dziesięciu minut jazdy od domu spokojnej starości Glades, kiedy nagle zadzwonił jego telefon. Zjechał na pobocze, zgasił silnik i dopiero wtedy odebrał. Wolał, żeby policja nie zatrzymała go pod pozorem tak głupiego wykroczenia, jak rozmawianie przez telefon komórkowy w czasie jazdy.

– Halo?

– Z kim rozmawiam?

Kobięcy głos, którego Fortune nie rozpoznawał. Ostrożnie.

– A o co chodzi?

– Mówi durna matka durnego chłopaka, który dał ci mój cholerny samochód.

– Aha. – Biedny Lee, pomyślał. – Zgadza się. Wziąłem pani samochód.

– No to go pan zwróć. I to już.

– Czy to Lee powiedział pani, że mam auto?

– Sprzedał mi jakąś bajeczkę.

– Słyszała pani o Charliem Jacksonie?

– O tym, co go zabili?

– Właśnie o tym. Otóż to ja go zabiłem. I powiedziałem pani synowi, że zabiję jego matkę, czyli panią, jeśli nie odda mi wozu.

Matka Lee milczała, zapewne zdumiona, zszokowana słowami Fortune'a.

– Nie chciał się zgodzić, bo to odważny dzieciak, ale nie miał wyboru. Widać naprawdę panią kocha.

– Jest pan tym poszukiwanym mężczyzną?

– Tak, jestem tym poszukiwanym mężczyzną – przyznał Fortune. – Mam pani samochód i obawiam się, że już go pani nie odzyska. – Zamilkł i dodał po chwili: – Przykro mi.

– Dzwonię po gliny – oświadczyła.

– Śmiało. Tylko proszę się nie wyzywać na Lee. Ma pani dobrego syna.

Sam nie wierzył w to ostatnie, ale przynajmniej tyle mógł zrobić dla chłopaka po tym, jak wykorzystał jego bezmyślność. Może Lee wyniesie z tego jakąś naukę, może będzie to dla niego nowy początek. A może nie. Pewnie nie. Ech. Wcisnął czerwoną słuchawkę. Zrobił, co mógł.

Było już ciemno, kiedy podjechał pod dom spokojnej starości. Minęło osiem godzin od jego ostatniej wizyty w tym miejscu. Kantorek recepcji wyglądał jak rozświetlone akwarium. Za biurkiem siedziała inna osoba: mężczyzna o znudzonym wyglądzie, który zapewne nie spodziewał się nikogo o tej porze. Kiedy otworzyły się drzwi i Fortune wszedł do środka, recepcjonista podniósł wzrok znad egzemplarza „Racing Post”. Mężczyzna w średnim wieku, chudy, z siwym, kilkudniowym zarostem. Wyglądał na zmęczonego i sprawiał wrażenie niegodnego zaufania. Miał złoty kolczyk w uchu i tatuaż na ramieniu. Typ, który zawsze pracuje na nocki i dostaje pensję minimalną; siedź na swoim miejscu od zmierzchu do świtu, nie kradnij leków, trzymaj się z daleka od heroiny. Fortune uśmiechnął się i powtórzył w myślach wymówkę. Musiał porozmawiać z Burridge’em, bo miał mu do przekazania smutne wieści od rodziny. To powinno wystarczyć. O ile Burridge jeszcze żyje.

– Tak? – odezwał się mężczyzna.

– Muszę się zobaczyć z Oliverem Burridge’em.

– Z panem Burridge’em? – spytał nieufnie recepcjonista.

– Tak.

– Jest pan z rodziny?

– Prawie. Jesteśmy dobrymi znajomymi.

– Ale nie z rodziny?

– Nie.

– Dlaczego chce się pan z nim widzieć?

Mężczyzna był podejrzliwy i dziwnie spięty. Fortune pomyślał, że nie pójdzie z nim tak łatwo, jak z tamtą recepcjonistką.

– Muszę mu przekazać pewne wieści. Dodam, że mało przyjemne. Chodzi

o sprawę rodzinną.

Mężczyzna pokiwał głową, wstał i obszedł biurko. Pod ścianami stały krzesła. Recepcjonista wskazał Fortune'owi jedno z nich. Fortune nie skorzystał.

– Nie żyje, prawda?

Mężczyzna popatrzył na Fortune'a zaskoczony, po czym pokazał na krzesła.

– Może jednak...

– Niech pan powie. Nie żyje?

Mężczyzna przymknął oczy, pochylił lekko głowę i odparł:

– Przykro mi.

– Jak umarł?

– Przewrócił się. Miał szybką śmierć.

Czyli jednak go zabiłem, pomyślał Fortune. Nie opadły go wyrzuty sumienia. Może przyjdą później. Poczuł jedynie przerażenie – bo nie będzie mógł porozmawiać z Burridge'em i dowiedzieć się, gdzie się znajduje Pokój Gier, w którym Hector przetrzymuje Sophie.

Mężczyzna bacznie mu się przyglądał, ale Fortune nie dbał o to. Nie wiedział, co robić ani dokąd pójść. Nie miał planu. Stał w recepcji i myślał. Ale nic nie przychodziło mu do głowy. Mógł wrócić do Fostera, ocucić go i spróbować wydobyć od niego coś więcej, ale Foster w sumie niewiele wiedział. Burridge zmarł. A Bagsy? Kim, u diabła, jest ten Bagsy? Została mu jeszcze tylko końcówka dnia. Ósma. Jutro Sophie umrze. Musi wrócić do Fostera, obudzić go, wstrząsnąć nim. Co innego pozostało?

Fortune uśmiechnął się do recepcjonisty, szefa nocnej zmiany, kimkolwiek był ten człowiek, i wyszedł na parking. Zaczęło padać, i to porządnie. W taki deszcz większość ludzi powiedziała by: nie, lepiej poczekać, aż przejdzie, bo inaczej przemoczy do suchej nitki. W świetle lamp stojących przed domem spokojnej starości deszcz wyglądał jak ściana wody. Fortune postawił kołnierz swojego zielonego płaszcza. Nie miał czasu, żeby czekać, aż ulewa minie. Myśl, powiedział sobie, idąc do samochodu. Myśl, myśl, zastanawiaj się. Na próżno. Zostało niecałe pół dnia, a on nie miał żadnego, ale to żadnego planu.

Otworzył bagażnik samochodu matki Lee, którego ta miała już nigdy więcej nie zobaczyć, i w mizernym blasku światła w klapie przyjrzał się narzędziom. Oto cały „plan”, który sobie wymyślił. Latarka, młot i szczypce do metalu. Za kogo się miał, kiedy to kupował? Padało tak mocno, że czuł uderzenia kropel na płaszczu. Stał pochylony nad zawartością bagażnika, kiedy nagle usłyszał pytanie za plecami:

– Kim pan jest? Tak naprawdę?

Nie poruszył się. Recepcjonista. Ilość jadu i podszytej żalem wściekłości w jego głosie sprawiła, że Fortune’owi zrobiło się zimno. Deszcz walił o dach samochodu. Fortune wyobraził sobie, jak krople odbijają się od metalu i podskakują w szalonym tańcu. Skupił się na oddechu, po czym, uspokoiwszy go, odpowiedział, nie odwracając się od bagażnika:

– Słucham?

– Podobno przyjechał pan, żeby przekazać mi wiadomość? W sprawie rodzinnej? On nie ma rodziny i nie zna pana. Zdecydowanie pana nie zna. Pytam więc: kim pan jest?

Fortune obmacał wewnątrz bagażnika, starając się nie wykonywać gwałtownych i zbyt oczywistych ruchów. Znalazł szczypce, ale to nie ich szukał. Sięgnął dalej, ale tak żeby mężczyzna się nie zorientował.

– Był pan tu dzisiaj?

– Nie – odparł Fortune. Kolana mu się trzęsły. Oparł je o zderzak. Nie mógł dłużej trwać w tej pozycji, zgięty nad bagażnikiem. Rak. Kości. Brak snu i jedzenia. Był na wykończeniu, jego organizm doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Poza tym było mu zimno i mokro. Ostrożnie podniósł trzonek młota, uwalniając znajdującą się pod spodem latarnię.

– Wiem, że pan tu był.

– Niestety, nie pomogę panu. – Zaskoczyła go nonszalancja we własnym głosie. Wynikała być może z tego, że ścisnął w dłoni tępe narzędzie, jak to się określa w raportach policyjnych.

– Nie – odparł mężczyzna. – Nie wykpi się pan.

Fortune wyprostował się i zamachnął długą, ciężką latarką. Ta uderzyła chudego recepcjonistę prosto w skroń. Ruch Fortune'a nie był wprawdzie szybki, ale za to narzędzie ciężkie, i w efekcie cios podziałał na mężczyznę tak, że ten nie zdołał ustać i musiał przyklęknąć na jedno kolano.

– Nazwisko – powiedział Fortune.

Mężczyzna nie odpowiedział, tylko powoli pokręcił głową i splunął.

– Nie ma mowy – odparł.

Fortune postukał go w głowę latarką.

– No już. Nazwisko.

Mężczyzna ponownie splunął, ale po chwili bąknął:

– Paul.

– A reszta?

– Baggot.

– Paul Baggot?

– Brawo, Sherlocku. – Spojrzał na Fortune'a z szyderczym uśmiechem. Deszcz przygładził mu włosy i sprawił, że jego twarz nabrała jeszcze chudsze wyglądu. Mściwa twarz, zacięta i okrutna. – Imię: Paul, nazwisko: Baggot. Paul Baggot. – Splunął. – Świetna robota.

Fortune zacisnął palce na rękojeści latarki; wbił paznokcie w jej gumową osłonkę.

– Nie potrafiłeś się z nim rozstać, co? – powiedział. – Musiałeś być blisko. Dlatego się tu zatrudniłeś?

– Nie. – Bagny próbował stłumić jęk. Na próżno. – Co?

– Jak ulubione zwierzątko. Pupilek. Byłeś jego pupilem?

– Nie ro...

– Mówią na ciebie Bagny, tak?

Wyglądał na zdezorientowanego.

– No i?

– Znałeś Burridge'a.

– Znałem.

– Co was łączyło?

– „Łączyło”? Co to znaczy?

– Był, nie wiem, twoim ojcem?

– Nie.

– No więc?

Bagsy nie odpowiedział, tylko z bólu zacisnął powieki.

– Chodzi o to – ciągnął Fortune, kręcąc głową i z trudem kucając obok mężczyzny – że on pochodzi z arystokracji, a ty... – przerwał, odczekał chwilę, a potem przepaszająco wzruszył ramionami. – A ty nie. – Wstał. – Jesteś za to pachołkiem. Nikim.

– Jestem jego prawą ręką – odezwał się Bagsy, spoglądając na Fortune'a z nienawiścią. Deszcz spływał mu po twarzy.

– Wątpię – powiedział Fortune. – Wyjaśnijmy to sobie. Byłeś jego sługusem. Byłeś. Nie zapominaj, że on nie żyje. – Cofnął się o krok. – Wiem, bo sam go zabiłem.

Bagsy próbował wstać, ale Fortune uderzył go w czubek głowy, niezbyt mocno, tylko tak, by przypomnieć, że to kiepski pomysł.

– Pracowałeś dla niego, tak?

– Tak.

– Czym się zajmowałeś?

Bagsy nie odpowiadał. Piorunował Fortune'a wzrokiem, posyłał mu wyzywające spojrzenie skrzywdzonego dziecka.

– Na pewno nie uczyłeś łaciny. Ani matematyki. Ani... – przerwał, udając, że szuka odpowiedniego przedmiotu. – Nie, ty po prostu malowałeś linie na boisku. Zgadza się.

– Tak, byłem dozorcą. – Bagsy nabrał powietrza. Próbował odzyskać równowagę, a wraz z nią kontrolę. – Ale robiłem o wiele więcej. – Wydawał się z tego dumny, tak jakby posiadał mroczną, tajemną wiedzę, za którą nikt nigdy go nie docenił. Pewnie tak było, pomyślał Fortune. – Dali mi dom. Prowadziliśmy szkołę, ja i pan Burridge.

– Ilu chłopców zabiłeś? – zapytał Fortune.

– Co?

– Zapomnij, ilu torturowałeś. Zapomnij, ilu zgwałciłeś. To mnie nie interesuje. Chcę tylko wiedzieć, ilu zabiłeś.

– Oni uciekli – odparł Bagny. – Naprawdę. Uciekli.

Fortune popatrzył na mężczyznę, a mężczyzna na Fortune'a. Było ciemno i przez chwilę noc, deszcz, zmęczenie, wszystko to wydało mu się nierzeczywiste, iluzoryczne. Wytrzymał spojrzenie Bagny'ego. Minęło kilkadziesiąt, może trzydzieści, sekund, Bagny posłał mu uśmiech, jakby mówił: do diabła z tobą, rób, co chcesz, i naraz wszystko powróciło do Fortune'a, powróciło ostro i wyraźnie. Musi odnaleźć córkę. Za wszelką cenę musi ją odszukać i nie może dopuścić, aby Bagny mu w tym przeszkodził. Machnął latarką i uderzył mężczyznę ponownie w to samo miejsce. Niezbyt mocno. Dostatecznie jednak, by zyskać solidną przewagę. Następnie wsiadł do samochodu, modląc się, żeby nie było za późno.

Troll przed chwilą wyszedł. Wiem, jak wygląda i czego chce. Chociaż nie. Myślałam, że wiem, i może w sumie tak jest, ale teraz nie jestem pewna. Już sama nie wiem. Proszę, proszę, niech ktoś mi powie, co się dzieje.

Okej. W porządku, co się właściwie wydarzyło? Opisz to, postaraj się przypomnieć sobie po kolei, co zaszło. Okej. Po pierwsze, troll jest wysoki i postawny. Młody, młodszy ode mnie. Nie sądziłam, że będzie młodszy. Jak to możliwe, że człowiek, który robi takie rzeczy, ma mniej lat ode mnie?

Co jeszcze? Zdecydowanie nie jest normalny. Wystarczy posłuchać, jak mówi – jak doskonale opanowany, lecz całkowicie obłąkany pastor, który wyłuszcza uczniowi porąbaną teologię. Skojarzył mi się z dżihadystami, którzy tłumaczą, dlaczego Zachód musi zostać unicestwiony. Spokojny, pewny siebie. Najgorszy, bez dwóch zdań, najgorszy typ człowieka.

No więc puka do drzwi i wchodzi. Siedzę na łóżku i przez gówniany cienki materac czuję, jak sprężyny wbijają mi się w tyłek. Troll podchodzi i zatrzymuje się przede mną, opiera się o ścianę. Uśmiecha się, jest rozluźniony, tak jakby to, co się między nami działo, było normalne, jakby wszystko było w porządku. Nie odzywam się, bo sądzę, że chce mnie zabić. Przychodzi mi do głowy, że może źle policzyłam dni i to już dziś, zrobi to, zabije mnie, nie wiem jak. Wtedy on pyta: „Dobrze się czujesz?”

Nie odpowiadam. Patrzy na mnie, potem wzdycha i powtarza powoli: „Dobrze się czujesz?”

„Nie”, mówię. Zaczynam płakać, choć nie chcę tego robić, nie w jego obecności. Mimo to płaczę i nic nie mogę na to poradzić.

„Wszystko to... – Rozgląda się, wzrusza ramionami. – To nie twoja wina. Tak po prostu musi być”.

„Jak to: musi?”, pytam, starając się opanować płacz i odzyskać kontrolę nad

głosem.

„To część Gry”.

Wypowiada słowo „Gra” poważnym, wręcz podniosłym tonem, jakby chodziło, nie wiem, o religię, o jakieś bóstwo.

„Nie rozumiem”, odpowiadam.

„Wiem”, mówi. – Nikt nie rozumiał, kiedy szedł do Pokoju Gier. Ale właśnie o to chodzi. W tym sedno sprawy”.

Widzicie w tym sens? Nie? Ja też nie.

Pytam go więc, zamykam oczy i pytam, czy... „Zabijesz mnie?”

Nie otwieram oczu, bo nie chcę na niego patrzeć, nie chcę usłyszeć, co mi odpowie, ale muszę. Muszę wiedzieć.

„Tak – mówi. – Nie chcę, ale zrobię to”. Milknie, a ja wciąż mam zamknięte oczy i czuję, jak bije mi serce, moje serce, nie chcę, żeby przestało, nie chcę, żeby ten człowiek je zatrzymał. Nie ma prawa. Nie. Ma. Prawa.

Potem mówi: „Chyba że umrze twój ojciec”.

Otwieram oczy i patrzę na niego. Zastanawiam się, czy się nie przesłyszałam. Dobrze usłyszałam czy tracę zmysły?

„Co?”

Wpatruje się we mnie przez dłuższą chwilę, po czym mówi: „Nie tknę go. Tak mówią zasady. Na tym polega gra. Nie mogę mu nic zrobić, ale jeśli on nie umrze, ty nie przeżyjesz”.

„Nie rozumiem”.

„O to chodzi”.

Mówi do mnie, jakby wyjaśniał coś mało pojętnemu dziecku, rozczarowującej córce. „Chyba już wyjaśniłem – mówi. – Nie chodzi o to, żebyś rozumiała. Jak miałybyś się bać, jak miałybyś poznać strach, naprawdę go poznać, gdyby miał dla ciebie sens?”

Nie odpowiadam. Bo co mam powiedzieć? Nic nie ma sensu, nic. Co on wie o moim ojcu? Kim jest ten człowiek? Byłym pracownikiem taty, który chowa do niego urazę? Co takiego zrobił mu ojciec, że uczynił z niego potwora?

„Tego nas nauczyli”, mówi.

„Kto?”

Troll tylko się uśmiecha i kręci głową.

„Kto cię nauczył?”

„Oni”.

„Kim są oni?”

„To nie ma znaczenia. Jestem lepszy od nich. Stałem się lepszy”.

„Od kogo?”

Nie odpowiada. Świdruje mnie wzrokiem. Potem wzdycha, odpycha się od ściany i podchodzi do mnie. Odsuwam się w sam kąt.

„Nie martw się – mówi. – Został ci jeszcze jeden dzień. Prawie cały”.

„Potem mnie zabijesz?”

Pociera oczy i znów kręci głową, jakbym go zawiodła.

„Przecież mówiłem. Tak, zabiję cię. Chyba że umrze twój ojciec”.

„Nie...”

„To zrozum!”, krzyczy i jest to jedyny przejaw gniewu, jaki u niego widziałam. Pierwsze prawdziwe emocje. Złość trwa ułamek sekundy, troll błyskawicznie odzyskuje panowanie nad sobą. Tygrys wystawił łapę za klatkę i momentalnie został z powrotem do niej zagoniony. Co się dzieje za tą fasadą z chłodnego opanowania?

„Wiem – mówi ciszej. – Już to mówiłaś”. Pociera głowę i krótkie włosy, pociera mocno, przez dłuższy czas. Potem mówi: „Idę. Pamiętaj: twoje i jego życie znajduje się w rękach twojego ojca”. Zatrzymuje się przed drzwiami i odwraca. Kiwa głową, jakby oceniał własne słowa. „A raczej w jego sercu”, dopowiada.

I wychodzi, zamykając drzwi na klucz. Tato? Czy to wszystko przez ciebie? Prawie cię nie znam, a siedzę tu zamknięta w celi, uwięziona przez jakiegoś stukniętego geniusza, który potrafi zakrzywiać rzeczywistość i który twierdzi, że cię zna. Czy to ty jesteś winny? Czy to ty stworzyłeś potwora?

Fortune obudził się w aucie matki Lee. Przednie koła wozu zapadły się w nieutwardzonym poboczu pustej wiejskiej drogi. Nie mógł jechać z dużą prędkością, kiedy zasnął i rozbił się, bo chociaż uszkodzenia samochodu były znaczne, samemu Fortune'owi nic się nie stało. Popatrzył na zgniecioną maskę, owiniętą wokół upartego wiązu; to, co Lee zrobił z pojazdem, wyglądało przy tym jak otarcia z parkingu. Przykro mi, pomyślał Fortune. Naprawdę.

Przestało padać. Był wczesny ranek, dochodziła szósta. Z jednej strony niebo zaczynało jaśnieć, a z drugiej jego fioletową czerń nadal rozświetlały gwiazdy. Zapowiadał się piękny, rześki dzień. Fortune rozejrzał się po drodze i zobaczył niewyraźną sylwetę znaku. Podszedł do niego. Tabliczka wskazywała kierunek do Teywood Forest, gdzie znajdowały się tereny rekreacyjne. Mijał ją po drodze do St Basil, nie mógł więc być daleko.

Poświęcił chwilę na przegląd sytuacji. Zważywszy na swój stan, nie zdoła ujść daleko. Czuł się, jakby wciśnięto mu coś do piersi. Poduchę, wyszywaną cekinami poduchę, która tłumiła oddech i jednocześnie drażniła, drapała i kłuła płuca, sprawiając, że każdy krótki, gwałtowny dech był bolesny. Schodził na dno jak tonący statek, dotarł do punktu, w którym woda przepełnia kadłub i okręt błyskawicznie chowa się pod powierzchnią – w jednej chwili unosi się na falach, a w drugiej już go nie ma. I zostaje jedynie spokojne, obojętne morze, tak jakby łódź nigdy nie istniała. Bo tak przecież było. Kto będzie za mną tęsknił? – pomyślał. Przynajmniej oszczędzi Jean pogrzebu i stypy. Tu leży człowiek. Z prochu powstałeś i tak dalej. Następny!

Był zmęczony. Wszystko go bolało. Zapalił papierosa i popatrzył na drogę. Którędy pójść? Nie mógł sobie pozwolić na to, żeby iść pół godziny, a potem zawrócić i ruszyć w przeciwną stronę. Musiał mieć pewność. Kiedy mijał znak, ten znajdował się po prawej stronie. Na sto procent. Czyli: tędy.

Dokończył papierosa i z ponurą irytacją zajął do paczki. Pięć sztuk. Pięć papierosów – tyle mu w życiu pozostało. Będzie musiał oszczędzać.

To ten dzień. Ostatni. Fortune szedł drogą, właściwie zataczał się, kołysał. Ale to był ten dzień i nie mógł się zatrzymać. Musiał iść przed siebie. Sophie na niego czekała i myśl o niej, o tym, że zobaczy córkę, o której sądził, że nie żyje, dodawała mu sił. Czuł pełne niedowierzania, choć radosne podniecenie, jak dziecko w Boże Narodzenie. Czy to prawda? Czy to może być prawda? Czy to się naprawdę, rzeczywiście, faktycznie zdarzy? Nieważne, jak bardzo był zmęczony, postanowił, że dotrze na miejsce, a kiedy to zrobi... Przestań o tym myśleć, upomniał sam siebie. Nie myśl, tylko działaj. Albo nigdy nie zdołasz zrobić tego, co trzeba.

Nie pamiętał, kiedy ostatni raz jadł, ale też nie czuł głodu. Choć tyle dobrego. Droga była wąska, a rosnący wzdłuż niej żywopłot wysoki, tak że idąc, Fortune widział jedynie asfalt, liście i niebo. To ostatnie zrobiło się błękitne, nabrało barwy, która napełnia serca radością, ale tylko najmłodszych i najstarszych, bo ci pośrodku zanadto są zajęci pracą, pieniędzmi, rodziną i brakiem albo nadmiarem powodzenia, by zwracać uwagę na niebo. Myślał o takich rzeczach, wlokąc się wiejską drogą. Perspektywę zamykał łuk drogi, za którym nic nie było widać, ale kiedy zbliżył się, zobaczył chyba... nie, na pewno... wjazd i tabliczkę z informacją, że St Basil jest na sprzedaż, zadzwoń do Seymour Estates, numer taki a taki. Był na miejscu. I wiedział doskonale, dokąd zmierza. Nie miał broni, nie miał planu, nie miał nic. Brakowało mu nawet sprawnego ciała. Dysponował jednak tym, co zawsze miał, przypomniał sobie, to była zdolność podejmowania trafnych decyzji w stresujących sytuacjach. A zatem będzie dobrze. Uda się. Dasz radę. Tylko jeszcze o tym nie wiesz.

Dom, który mijiał, kiedy pierwszy raz przyjechał do St Basil. Zniszczony budynek z czerwonej cegły na początku podjazdu. To musi być to. Dom dozorca. Dom Bagsy'ego. „Bagsy to robił. Zawsze on”. Pełen zapachu wspólnik. Wierny pacholek. Posłuszny sadysta. Mieszkał tu, zatem w tym miejscu musiał się znajdować Pokój Gier, czymkolwiek był. I tu porywacz uwięził Sophie, o czym Fortune był przekonany. Ze słów Fosterera wynikało, że nie było to przyjemne miejsce, że dużo, dużo mu do tego brakowało.

Pchnął furtkę i ruszył po zwirowym podjeździe, który dawno przegrał walkę z chwastami i przypominał łąkę, jeszcze bardziej zarosniętą niż parking przed głównym wejściem do sierocińca. Dom był w okropnym stanie: wybite szyby, spróchniałe framugi, zwiertzałe spoiny między cegłami, ściany grożące zawaleniem. Zapadnięty dach; po bokach dachówki leżały na swoim miejscu, ale środek był tak zrujnowany, że profil budynku przypominał londyński most zwodzony. Nie było śladu życia. Nie rozległ się żaden dźwięk. Żaden pies nie obwieścił przybycia Fortune'a. Nie zaświeciło się światło. W drzwiach nie pokazała się ciekawska twarz.

Stał i czekał. Jeżeli nikt się nie pojawi, będzie to oznaczało, że się pomylił i że to koniec. Bo jeśli się pomylił, jeśli źle wytypował miejsce, Sophie umrze. Zatem to musi być tu. Musi. Fortune stał na chłodzie jasnego poranka i czekał.

– Ojciec.

Odwrócił się. Powinien był się domyślić, że troll się podkradnie, zyska przewagę. Podejdzcie od najsłabiej strzeżonej strony, czyli od tyłu. To takie oczywiste.

– Witaj. – Troll, jego syn, uśmiechnął się. Fortune nie odpowiedział, ale w tej samej chwili jakaś jego część umarła. I znowu: mógł się domyślić. No jasne. Przecież to takie oczywiste, tak absurdalnie, idiotycznie oczywiste. Wysoki. Rosły. Blizny po trądziku. Jak Fortune. Jaki ojciec, taki syn. Ochroniarz, który przyłapał go na myszkowaniu w St Basil. To wtedy, nie teraz, po raz pierwszy spotkał się ze swoim synem.

– Cześć – powiedział Fortune. Ileż pogardy, ileż wstrętu w pierwszym słowie wypowiedzianym do syna. Mój Boże.

– Jednak ci się udało.

– Tak.

Troll, syn, Hector lekko pokręcił głową.

– W ostatniej chwili. Spodziewałem się ciebie wcześniej. Liczyłem, że zjawisz się wcześniej.

– Naprawdę... – Nie zabrzmiało to jak pytanie, bardziej jak wyraz braku zainteresowania.

– Sądziłem, że przyjdiesz wczoraj. Może nawet dzień wcześniej, choć to byłoby niezwykle. Wczoraj byłoby do przyjęcia.

– Przykro mi, że cię zawiodłem.

Syn pogroził palcem.

– Nie, nie zawiodłeś. Większość ludzi w ogóle nie zdołałaby mnie odnaleźć. To, że udało ci się dokonać tego w założonym czasie, i tak zasługuje na uznanie. Nie powinno być ci przykro z tego powodu.

Fortune nie odpowiedział. Hector też milczał.

– Co teraz? – zapytał po chwili Fortune.

Troll pokiwał głową, tak jakby wymienili się jakąś głęboką mądrością.

– Zapraszam – powiedział. Troll. Syn. Hector. Fortune musiał się zdecydować, jak go nazywać. Do diabła, przecież to jego syn. Ma imię. Hector.

– W porządku, Hectorze.

Słyszając to, Hector odwrócił się z miną zdradzającą brak pewności i przekonania. Popatrzył na Fortune'a, przełknął ślinę i znów się odwrócił, odzyskując butę i zuchwałość.

– Oczywiście – odezwał się. – To jasne, że znasz moje imię. Wiesz wiele rzeczy, ale tylko te, które pozwoliłem ci poznać.

Zaprowadził Fortune'a do zrujnowanego budynku. W środku znajdowała się klatka schodowa, do której wstępu broniły drzwi. Hector otworzył je i gestem zaprosił Fortune'a do środka.

– Bardzo proszę – powiedział. – Zapewne umieras z ciekawości. Powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć. – Uśmiechnął się. – Myślę, że uznasz to za interesujące.

Fortune pokiwał głową. Musiał przyznać synowi, że wie, jak zbudować napięcie. Wyciągnął przed siebie rękę, chwycił się poręczy i zaczął schodzić po tonących w ciemności schodach. Wiedział, że jeśli się poślizgnie i spadnie, nie zdoła się już podnieść. Gdzieś tam na dole jest jego córka. Musi być. Sophie, na pewno tu jesteś. Dotrzymał słowa. Przyszedł po nią.

Piwnica domu Bagsy'ego była ciemna, śmierdziała wilgocią i cierpieniem. Nie to, żeby cierpienie miało zapach, ale jednak. Po obu stronach schodów znajdowały się drzwi. Hector otworzył te po prawej, wpuścił Fortune'a i zamknął je. Znaleźli się w słabo oświetlonym, krótkim korytarzu z czerwonej cegły, w którym było troje metalowych drzwi. To loch, pomyślał Fortune. Tu przetrzymywano, dręczono, torturowano i łamano ludzi. Dzieci. Korytarz był wąski, przytłaczający, ściany i sufit napierały na każdego, kto tu trafił.

Hector otworzył kolejne drzwi i znów puścił Fortune'a przodem. Pomieszczenie było jasno oświetlone i zaskakująco duże. Ściany pomalowano na biało, podłogę wyłożono wykładziną. Stały tu biurko i funkcjonalne drewniane krzesła. Na biurku lampa ze składanym ramieniem. Pokój wyglądał jak gabinet lekarza rodzinnego. Do jednej ze ścian przymocowano duży i skomplikowany diagram, mozaikę słów i strzałek.

– Witaj – powiedział Hector. Usiądź, proszę.

– Postoję.

– Sądzę, że byłoby dla ciebie lepiej, gdybyś usiadł. Nalegam. Nie wyglądasz zbyt dobrze.

Nie chciał siadać, nie chciał okazywać słabości. Ale Hector miał rację: nie ustoi długo. Westchnął, zajął jedno z krzeseł i popatrzył na Hectora.

– Gdzie jest Sophie?

– Tutaj. Ale zanim ją zobaczysz, chciałbym z tobą porozmawiać. Chcę ci coś pokazać.

– Nie interesuje mnie to.

– Myślę, że to cię jednak zaciekawia.

Fortune nie odpowiedział. Zapadło krótkie milczenie, które przerwał Hector. Zmarszczył brwi i odezwał się:

– Zobaczysz, co mam ci do pokazania, i wysłuchasz, co mam do powiedzenia. Jasne?

To twój syn, pomyślał Fortune. Ty go stworzyłeś. Nie czuł jednak do niego nic poza odrazą i milczącą wściekłością. Chociaż nie, gdyby miał być ze sobą szczery, musiałby przyznać, że w głębi jego duszy tlił się też smutek, smutek i żal. Że zdarzyło się to, co się zdarzyło. Ale nie miłość. Nie było w jego sercu miłości, podziwu, szacunku. Jeśli Hector liczył, że rozbudzi w ojcu te uczucia, to musiał się rozczarować.

– No – odezwał się Hector z uśmiechem – to jak to zrobiłem?

– Co takiego?

– Mówię o Grze. Jak udało mi się to rozegrać?

Wypowiedział słowo „Gra”, jakby nie chodziło o czynność, ale o żywą istotę. Jakby „Gra” miała tajemniczą moc. Cechowała go gorliwość członka sekty, tchnącego wiarą i pewnego swego celu. Fortune doskonale wiedział, czym jest fanatyzm i jak bardzo potrafi być groźny; w końcu mieszkał na Bliskim Wschodzie.

Wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Chcę się zobaczyć z Sophie.

– Najpierw mnie wysłuchasz.

– Natychmiast.

– Nie. Przykro mi, ale nie teraz. Wróćmy do Gry. – Odwrócił się do ściany z diagramem i pokazał na przyklepioną na samej górze kartkę z liczbami. „89 917 042 \$”. „71 023 032 \$”. Obok: „7 DNI”. Zwrócił się o Fortune’a: – Najpierw ukradłem pieniądze.

– Jak? – spytał Fortune. Akurat to go zainteresowało.

– Jestem, jak to się mówi, hakerem – odparł syn. – Bardzo, ale to bardzo dobrym hakerem. Nie rozumiałbyś, gdybym zaczął ci wyjaśniać. Wystarczy, byś wiedział, że zrobiłem to i że nie było to trudne. Twój bank zdecydowanie powinien popracować nad zabezpieczeniami.

To już nie był problem Fortune’a. Przyglądał się Hectorowi, ale milczał.

– Zatem najpierw ukradłem pieniądze. I to dwukrotnie. Ile ci to zajęło?

– Co takiego?

– Dopatrzenie się dat w sumach. Dzień, w którym się urodziła, dzień, w którym umrze.

– Hectorze. Proszę cię. Jesteś moim synem, a Sophie moją córką. To... – głos mu zadrżał; przeklął siebie za to, ale mówił dalej. – Nie musimy tego robić. To nie jest konieczne.

Hector zmarszczył czoło, jakby Fortune udzielił wyjątkowo głupiej odpowiedzi na bardzo proste pytanie.

– Nie, nie. Pytałem, ile czasu zajęło ci rozpracowanie dat.

Fortune osunął się lekko na krześle.

– Od razu się zorientowałem – odparł. – Hectorze...

– Myślę, że kłamiesz. Nie mogłeś tego zrobić aż tak szybko. Ocenilem, że uporasz się w tydzień, i tyle ci dałem. Sądzę, że nieźle sobie poradziłem.

– Z czym?

– Z wrobieniem cię. Z załatwieniem wszystkiego tak, że nie mogłeś pójść na policję, bo zostałbyś aresztowany.

– Poszedłem na policję.

Hector zrobił zdziwioną minę.

– Naprawdę? Och. – Milczał przez chwilę, stojąc przed ścianą z diagramem. Pokiwał głową do siebie, po czym spojrzał w górę i powiedział: – Ale oni nie chcieli o niczym słyszeć, zgadza się? To, co mówiłeś, było zbyt ogólnikowe, zbyt... dziwaczne. A policja nie lubi tego, co dziwne, bo nie pasuje do schematu.

Fortune nie odpowiedział. Hector miał rację. Czy było coś, o czym nie wiedział?

– Nie ma to jednak żadnego znaczenia. – Ponownie pokazał na ścianę, na kolejną kartkę. Widniały na niej dane konta bankowego Fortune'a. – Potem umieściłem skradzione pieniądze na twoim koncie i robiąc to, uruchomiłem alarm. Mam rację?

Fortune znów milczał. Czuł się jak nadąsany student, pouczany przez profesora. Chciał zobaczyć córkę. Chciał wyjść z tego pokoju, uciec, byle dalej od tego człowieka. Zaczął wstawać, ale Hector pogroził palcem.

– Nie, nie, nie. Jeszcze nie skończyłem. – Odpiął kartkę ze ściany i podał ją

Fortune'owi. Zdjęcie dziewczyny, młodej, może czternastoletniej.

– Kto to? – spytał.

– Nie wiem.

– To ja – powiedział. Wydawał się rozbawiony. – Ta młoda dziewczyna to ja. Charlie Jackson myślał, że jestem dziewczyną o imieniu Rosie, która mieszka w Balham, jest jego największą fanką i robi dla niego wszystko. Naprawdę wszystko. Wyobraź sobie jej radość ze spotkania z idolem, z potajemnej schadzki w hotelu. Ach, ależ to podniecające. – Wydał z siebie cichy, gardłowy odgłos, chyba śmiech. – I wyobraź sobie zdziwienie Charliego Jacksona, kiedy zapukał do drzwi i okazało się, że Rosie to ja!

– Jak go zabiłeś?

– Uderzyłem go. Wymierzyłem mu bardzo silny cios młotkiem. Tylko jeden.

Fortune pomyślał o Bagsym i latarce, i pokręcił głową. To nie to samo. Nie uderzył go mocno.

– Zostawiłem przy nim telefon i wysyłałem ci wiadomości. Wtedy – cofnął się o krok od ściany – Gra się rozpoczęła. Dałem ci komputer Sophie, żebyś mógł się domyślić, kim jestem. Pierwsze zadanie. Dostałeś na to dwa dni. Poradziłeś sobie. Widzisz? – Pokazał na kartkę z napisem: „STARRY UBADO”, a obok: „3 DNI”. – Następnie przyznałem ci jeden dzień na odnalezienie brata mojej matki. – Strzałka na wskazanej kartce prowadziła na kolejną: „WUJ TREVOR”. T. Emmerson, beznadziejny brat Claudii. Czy Hector przewidział wszystko, co Fortune zrobił, wszystkie jego działania? Co się mówi o losie? Że został zapisany, z góry przesądzony, i nic nie można zrobić. Hector manipulował ojcem, sterował nim, kontrolował go, niczym szalony bóg.

Kolejna kartka: „AIX INDUSTRIES”.

– Założę się, że nie wspominają mnie czule.

– Zabił się – oznajmił Fortune. – Ten, który wymyślił algorytm.

– Wiem. – Hector wzruszył ramionami. – Szczerze? Uważał, że wpadł na genialne rozwiązanie. Powiedziałem mu, że wcale nie jest wyjątkowe, ale do niego nic nie docierało. Był strasznie oporny.

Na następnej kartce znajdowała się historia zamknięcia sierocińca. Ten sam artykuł, który Fortune znalazł w łóżku w mieszkaniu Hectora. Skąd, do diabła,

Hector wiedział, że Fortune się tam zatrzyma i odkryje artykuł? No, skąd?

– Potem odkryłeś istnienie Burridge’a. Nawiasem mówiąc, jak to zrobiłeś?

– Skontaktowałem się z dziennikarzem.

– Rozumiem. – Hector zrobił zagadkową minę. – Tak też można. Tutaj, rzecz jasna, straciłeś jeden dzień, ponieważ nie udało ci się niczego z niego wydusić i musiałeś odwiedzić Fostera. Wtedy po raz pierwszy musiałem skorzystać z planu B.

– Skąd wiedziałeś, że pojechałem do Fostera?

Hector westchnął i uśmiechnął się.

– Prawdę mówiąc, Foster nigdy nie odwiedził Burridge’a. To ja tam pojechałem i podałem dane Fostera. – Pokazał na kartkę z adresem Fostera. – Uznałem, że nie będzie miał nic przeciwko temu. Bo przecież nie pamięta nawet, co robił dziesięć minut wcześniej. Zakładam, że był pijany, kiedy się u niego zjawiłeś?

Fortune patrzył na syna i starał się nie okazywać emocji.

– Powinieneś był się lepiej postarać. Mogłeś nakłonić Burridge’a do mówienia.

Fortune pomyślał, że mógłby powiedzieć synowi, że zabił Burridge’a i być może również Bagsy’ego, ale uznał, że nie. Nie wiedział, jak Hector zareaguje na tę informację; nie wiedział, jak zareaguje na cokolwiek.

– Nie był zbyt miły.

Hector wybuchł szczerym, donośnym śmiechem.

– Miły. Burridge. – Pokręcił głową i uśmiechnął się do ojca. – Rozbrajasz mnie.

Fortune nie odwzajemnił uśmiechu. Przyglądał się synowi tak, jak przyglądałby się wielkiemu kotu, nieufnemu, nieprzewidywalnemu.

– Tak czy owak – podjął Hector – dowiedziałeś się o Bagsym i oto jesteś. W jego domu. W Pokoju Gier.

– Dlaczego? – spytał Fortune. Jedno pytanie, na które chciał poznać odpowiedź. – Dlaczego mi to zrobiłeś? Nam: mi i Sophie?

– Ponieważ musiałem pokazać im. – Objął gestem cały pokój, ceglane ściany podziemnego więzienia. – Coś udowodnić.

– Co takiego?

Hector zamknął oczy i długo ich nie otwierał. W pokoju zaległa cisza. Fortune słyszał oddech syna. Minęła mniej więcej minuta, zanim Hector otworzył oczy i nabrał powietrza.

– Gra służy temu, by cię osłabić – powiedział. – Jest elastyczna, dopasowuje się do grającego. Została pomyślana tak, żeby budzić strach i dezorientację. Byli w tym dobrzy. Byli jak bogowie. Potężni.

– Kto?

– Oni. Burridge. Bagsy. Wszyscy inni, inni gracze.

Fortune pokiwał głową, ale powiedział:

– Nadal nie rozumiem.

– Skoro oni są bogami, to ja też.

– Nie chcesz być taki jak oni.

– Nie. Chcę być lepszy.

– Lepszy?

– To, co robili... dzieciom... robili tutaj. Ja mogę to robić tam, na zewnątrz.

– Co?

– Grać w Grę.

– To, co robisz... nie jest grą.

– Oczywiście, że jest. Jest najlepszą grą z możliwych. Rozgryzłem ją, ulepszyłem, przerobiłem tak, żeby dało się grać na zewnątrz. – Machnął lekceważąco ręką, wskazując górę. – Znajdowanie słabości. Wykorzystywanie ich. Odbieranie kontroli. Myślę, że udowodniłem, że jestem w tym mistrzem.

Fortune patrzył na Hectora i docierało do niego, że syn jest... że jego charakter zawiera głęboką skazę, został złamany, a jego moralność nieodwracalnie wypaczona. Chciał prześcignąć Burridge'a i Bagsy'ego. Wyjść z ich cienia, przyćmić ich. Był jak dziecko, które czuje potrzebę udowodnienia, że jest lepsze, silniejsze, potężniejsze od ojca.

Ojcem Hectora był Fortune. Czy miało to jakiegokolwiek znaczenie? Nie, uznał Fortune. Oczywiście, że nie. Bo nie był dobrym ojcem, nie był żadnym ojcem.

– Ale dlaczego ja? – spytał. – I dlaczego Sophie?

– Ponieważ to przez ciebie tu trafiłem. Chciałem ci pokazać, czego się nauczyłem. I co potrafię, i to dzięki tobie.

– Nie potrzebujesz mojej aprobaty.

Hector się roześmiał.

– Aprobaty? Nie, nie potrzebuję. Ale chcę, żebyś wiedział, jak się czułem, kiedy byłem w Pokoju Gier.

– Nie znam tego miejsca.

– Nieważne. Pokój Gier to nie miejsce. To uczucie.

– Jakie uczucie?

– Takie jak teraz.

Bezsilność. Strach. Niepokój. Dezorientacja. Tak, pomyślał Fortune. Znam to uczucie. Teraz wiem, czym jest.

– Zaraz tam się znajdziesz.

– Gdzie?

– W Pokoju Gier. Jeżeli chcesz zobaczyć się ze swoją córką. Jesteś gotowy?

Fortune wstał i poczuł, że trzęsą mu się nogi. Wytrzymają, czy ugną się pod nim?

Hector się uśmiechnął.

– Złożmy wizytę mojej siostrze.

Sophie stała na drewnianym krześle w ciemnym Pokoju Gier. Miała pętlę na szyi. Lina była przymocowana do haka w suficie. Wyglądała na zmęczoną i bardzo, bardzo wystraszoną. Kiedy zobaczyła Fortune'a, otworzyła szeroko oczy i usta. Spojrzała na niego milcząco, po czym wybuchła nieopanowanym płaczem, głośno szlochała, wykrzywając usta.

– Sophie. Kochanie, już dobrze. Jestem tu.

Była półżywa, ale to Sophie, jego piękna córka, mała dziewczynka, której oczy rozkosznie lśniły w słońcu wiele długich i zmarnowanych lat temu. Nadal żyła i mogła kiedyś jeszcze być beztroska.

– Tato?

– Tak.

– Naprawdę tu jesteś? – Głos jej się załamał i znów zaczęła płakać. Nie mogła jednak się ruszyć, zejść z krzesła, bo gdyby to zrobiła, gdyby się ześlizgnęła, straciłaby równowagę, pętla by się zacisnęła i Sophie by umarła.

– Ostrożnie, Sophie – zwrócił się do córki Fortune najłagodniej, jak potrafił.

– Zadbalem o nią – powiedział troll za jego plecami. – Jest zdrowa.

Po raz pierwszy Fortune poczuł szczerą nienawiść, opanowała go brutalna, gwałtowna złość. Jak on, ten troll, śmiał zrobić to Sophie? Zacisnął pięści i zatrzęsł się ze wściekłości. Zmusił się jednak do zachowania spokoju i zapanował nad głosem.

– Sophie – powiedział. – Sophie, będzie dobrze. Przyszedłem po ciebie.

– Tato, uważaj. On... on... – Nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów, nie umiała odpowiednio opisać Hectora.

– Wiem – odparł Fortune. – Wszystko będzie dobrze. – Ani przez chwilę nie wierzył w to, co mówił. Ale w tej chwili jego rola jako ojca polegała na tym

właśnie, by przynieść córce pociechę.

– No dobrze. Może zaczniemy – odezwał się Hector. Wyminął Fortune’a i podszedł do krzesła. Trącił je lekko. Sophie krzyknęła, a Fortune ruszył w jej stronę, ale Hector powstrzymał go uniesionym palcem i słowami: – Ani kroku. Dziękuję. Zbliź się, a zawisnie.

Fortune zatrzymał się i poczuł się bezradny, jak zawsze bezradny.

– Co zamierzasz?

– Zastanawiam się, czy rozpoznajesz tę scenę.

– Tato? – odezwała się Sophie błagalnym tonem.

Fortune nie odpowiedział. Zwrócił się za to do Hectora:

– Twoja matka.

– Moja matka. Zabiła się. Powiesiła się, kiedy byłem mały. – Wzruszył ramionami. – Niewiele pamiętam. Tylko to, że powtarzała: „Wszystko przez twojego ojca”.

– Tato?

– Przepraszam – powiedział Fortune. – Bardzo, bardzo cię przepraszam.

– Obawiam się, że na to jest już trochę za późno – odparł Hector. Zwrócił się do Sophie. – Jest moim ojcem, wiesz? Twój ojciec jest też moim ojcem. Doprowadził moją matkę do śmierci, powiesiła się, a wtedy moje życie stało się... – przerwał, szukając odpowiedniego słowa – koszmarem.

Sophie zmarszczyła brwi.

– Tato?

– Przepraszam, Sophie – powiedział Fortune. – Przepraszam, że mnie nie było. Przepraszam za wszystko.

– No to co? – przerwał mu Hector. – Chcesz poznać zasady?

– Jakie zasady?

– Gry. Każda gra ma swoje zasady. Chyba wszyscy się co do tego zgadzamy, prawda?

– Tak.

– Moje zasady są następujące. Nie mogę cię tknąć. Mogę cię zabić, ale nie mogę cię d o t k n ą ć.

– Tato, nie słuchaj go. Nie słuchaj – łkała Sophie. – Proszę, nie słuchaj go.

– W porządku – powiedział Fortune do trolla. – Co dalej?
– To wszystko. Nie ma innych zasad. Liczy się prostota.
– Tato, proszę. Cokolwiek powie, nie słuchaj go.
– A teraz – powiedział Hector, włożył dłoń do kieszeni i wyjął stamtąd monetę – zagramy.

Fortune’owi przypomniały się słowa Foster’a. O tym, że na początku rzucali monetą. I to było najstraszniejsze. Orzeł – przegrywałeś. Reszka – czekało cię coś gorszego.

– Proszę cię, tato, nie rób tego. Nie rób tego, czego on chce.
– Jeżeli zagrasz, twoja córka może wyjść stąd żywa. Naprawdę może, jest szansa. Jeśli nie zagrasz, umrze.

– Co to za gra?

– Tato, nie.

– Rzucam monetą. Orzeł: Sophie umiera. Reszka: ty zajmujesz jej miejsce.

Fortune nie odpowiedział. Zapadła cisza, którą mąciły jedynie szlochy Sophie. Hector posłał mu promienny uśmiech.

– Genialne, prawda?

– Nie.

– Wszystko zaplanowałem. Od pierwszego komentarza na stronie twojej córki aż po tę scenę. Wszystko ułożyłem. I sprawdziło się.

– Miejmy to za sobą – powiedział Fortune, starając się rozczarowaniem, niecierpliwością i nieprzekonaniem maskować strach i walczyć z narastającą paniką.

– Tato. – Sophie zapanowała nad głosem i mówiła spokojnie i powoli, skupiając się na słowach. – Tato, nie rób tego. Wtedy on wygra. Jemu chodzi o to, żeby kontrolować ludzi, poniżać ich. Nie rób tego.

– Dla jasności: rzucisz monetą i jeśli wypadnie reszka, wtedy zajmuję miejsce Sophie?

– Zgadza się.

– Okej.

– Okej? – Hector wydawał się zaskoczony. – Tak po prostu?

– Tak po prostu.

– Sądziłem... Dałem ci na to kilka godzin...

– Nie potrzebuję czasu. No już. Rzucaj.

– Na pewno?

– Rzucaj tą monetą.

Sophie wydała z siebie okrzyk złości i frustracji.

– Tato, nie. Nie rób tego. Nie pozwól mu wygrać.

Fortune spojrział na córkę.

– Tu nie ma wygranych. On tego nie rozumie. Można tylko przegrać. Sophie, posłuchaj mnie. Nikt nie wygrywa, wszyscy przegrywamy.

– Tato – powiedziała z żalem w głosie. Z jej słów biła miłość, którą nadal czuła do niedoskonałego ojca, pomimo wszystkich jego porażek i zaniedbań.

Fortune przełknął ślinę, zamrugał i odparł:

– Kocham cię, Sophie. – A potem zwrócił się do Hectora. – Rzuć monetą.

Hector pstryknął kciukiem i moneta poleciała do góry, po czym spadła na podłogę. Obaj z Fortune'em pochylili się, żeby sprawdzić. Sophie się rozplakała. Reszka. Wypadła reszka. Fortune modlił się do wszystkich świętych, żeby syn dotrzymał słowa. Żeby grał według zasad.

– No proszę – odezwał się Hector. – Wygląda na to, że dziś jest twój szczęśliwy dzień. – Odwrócił się do Sophie. – Będziesz żyła.

– Nie, nie, nie. – Sophie kręciła głową. Sznur kołysał się na wszystkie strony. – Nie, tato, nie.

– Puścisz ją wolno?

– Przyrzekam. – Hector uśmiechnął się i położył dłoń na sercu. – Na pamięć o mojej matce.

Podszedł do Sophie, podniósł rękę, poluzował stryczek i zdjął go z jej szyi. Stała przez chwilę bez ruchu, po czym prędko zeskoczyła, podbiegła do Fortune'a i objęła go, wtulając się w niego. Przytulił ją, pogłaskał po głowie, poczuł ciepło jej ciała. Dlaczego nigdy wcześniej tego nie robił? Dlaczego nigdy nie pocieszał jej, kiedy rozpadał się jej związek? Nie mówił, że to nieważne, bo i tak ją kocha i zawsze będzie kochał? Dlaczego nigdy nie robił tej prostej rzeczy, dlaczego zamiast z obojętnością nie wychodził naprzeciw niepewnościom, wątpliwościom i problemom z miłością? Teraz już za późno,

o wiele za późno.

Zamrugnął raz i drugi, łapiąc powietrze. Ścisnęło go w piersi, tym razem jednak z emocji; pękało mu serce. Położył córce dłonie na ramionach, odsunął ją o pół kroku od siebie i spojrzał w drobną twarz.

– Idź – powiedział.

– Nigdzie nie pójdę.

– Musisz.

– Tato, nie zostawię cię.

– Odnalazłem cię... Przyszedłem po ciebie nie bez powodu. Proszę, idź.

– Tato...

Patrzył na córkę, na jej żal i rozpacz. To minie, nie będzie trwało wiecznie. W końcu wszystko minie i znów będzie się uśmiechała, a jej oczy znów będą pięknie lśniły. Odwrócił się do trolla, Hectora, swojego syna, i powiedział:

– Zabierz ją stąd.

Hector otoczył Sophie ramieniem. Próbowwała strącić dłoń, ale ta była silna, bardzo silna, i Sophie nic nie mogła poradzić. Krzyczała, ale Hector ciągnął ją w stronę drzwi.

– Przrzekasz? – odezwał się Fortune na tle rozpaczliwego krzyku Sophie.

– Przrzekam – odparł Hector. Skinął głową i był to gest porozumienia. Gest, który mówił, że Sophie może liczyć na Hectora, na syna Fortune'a. Potem wypchnął Sophie na zewnątrz, na korytarz, i zamknął przed nią drzwi do Pokoju Gier. Fortune słyszał jej wrzask, ale dźwięk powoli cichł, odpływał, rozmywał się, aż w końcu przestał do niego docierać. Już nigdy jej nie usłyszy.

Położył dłoń na oparciu krzesła, postawił stopę na siedzisku i powoli wszedł na nie. Podniósł rękę, założył sobie pętlę na szyję i mocno zacisnął. Spojrzał na lampę, na czerwony abażur, na osobliwe frędzle. Kółka w ścianach, pomalowane na czarno cegły. Poświęcił chwilę na odzyskanie spokoju i koncentracji. Skup się na zadaniu. Nie myśl, działaj.

Poczuł szorstki sznur na szyi. Byłeś porażką, pomyślał. Byłeś odrażającą, niewybaczalną, nędzną porażką. Słaby, leniwy, samolubny; egoista do kwadratu. To wyłącznie twoja wina. Westchnął i pokręcił głową. Ech, byłeś, jaki byłeś. Pogódź się z tym.

Wziął oddech, potem jeszcze jeden, i zszedł z krzesła, wstępując w nieznana, czarną otchłań. W tej samej chwili, czując, jak sznur zaciska się na jabłku Adama, poczuł też gorącą i niespodziewaną eksplozję radości w sercu – z córki, z jej siły i charakteru, z życia, które wciąż było przed nią. Wiedział ponad wszelką wątpliwość, że Sophie uczyni z życia lepszy pożytek, niż on zrobił. Że weźmie z niego więcej, znajdzie więcej szczęścia, przyjemności, miłości. Bo czy nie o to chodzi w byciu ojcem? Poczuł, że w końcu, wreszcie zrozumiał, naprawdę zrozumiał – i dzięki tej wiedzy, choć przyszła późno, poczuł się też bogatszy ponad miarę. Stworzyć i podtrzymać życie, pomóc mu się rozwinąć. Czy ostatecznie nie o to chodzi w byciu ojcem?

Drogi Tato,

długo nie wiedziałam, co Ci powiedzieć. Od kiedy miałam dziesięć, może dwanaście lat. Od lat, od wielu lat. Tyle zmarnowanego, utraconego czasu.

Nie wiedziałam też, co powiedzieć po tym, co dla mnie zrobiłeś. „Dziękuję”? To za mało. To zdecydowanie za mało. To, co dla mnie zrobiłeś, było wielkie, ogromne, doniosłe, bohaterskie. Podziwiam Cię za to.

Powiedziałeś mi wtedy, że nikt nie wygrywa, lecz wszyscy przegrywają. Myślę, że na swój sposób miałeś rację. Hector Emmerson dotrzymał słowa i wypuścił mnie. Potem zniknął. A Ciebie już nie ma.

Przez długi czas nie wiedziałam, czy jeszcze kiedykolwiek będę sobą, czy pozbieram się po tym wszystkim. Przeszłam terapię, brałam leki, chodziłam na spotkania grup, rozmawiałam z innymi osobami, które przeżyły porwanie.

I wiesz co? To minęło. Nie zostało we mnie na zawsze. Powiedziałeś, że nie może być zwycięzców. Ja jednak czuję, że zwyciężyłam – że coś wygrałam, zdobyłam. Zdobyłam Ciebie, mojego ojca. I odzyskałam to uczucie, które kiedyś miałam, a potem straciłam.

Kiedyś napisałam do Ciebie list, ale go nie wysłałam. Cieszę się, że tego nie zrobiłam. List, który teraz piszę, jest tym, który chciałabym, żebyś przeczytał. W tamtym, niewysłanym, napisałam o tym, jak byłam mała i wsiałam do metra, i zgubiłam się. Na następnej stacji wysiadłam i czekałam, a Ty się zjawiałeś. Nie bałam się, bo wiedziałam, że znajdziesz mnie i przyjdiesz po mnie. I tak się stało.

Nie wierzyłam, że znów to zrobisz, że ocalisz mnie przed trollem. Ale udało ci się. Zrobiłeś to i odzyskałam utracone uczucie, które miałam wtedy, na peronie. Że mój tata – że Ty zawsze będziesz przy mnie.

Więc może jednak wygrałam. Choć trochę. Minęły cztery lata od tamtych wydarzeń i dziś już wiem, co chcę Ci powiedzieć. Dziękuję, Tato. Bardzo, bardzo Cię kocham.

Twoja córka,

Sophie

¹ Ang. *sloth* oznacza zarówno lenistwo, jak i leniwca (przyp. tłum.).

WIDZI WSZYSTKO, CO ROBISZ,
WIE, CO OGLĄDASZ I CO KUPUJESZ.
ZNA TWOICH PRZYJACIOŁ I WROGÓW.
CZYTA KAŻDY WPIS W SIECI, OGLĄDA
KAŻDE OPUBLIKOWANE ZDJĘCIE.
WIE O TWOICH SEKRETACH,
SŁABOŚCIACH I LĘKACH.

**HEJTERZY, KTÓRZY ŻYJĄ ONLINE,
CZASEM OPUSZCZAJĄ WIRTUALNY ŚWIAT...**

Młoda dziennikarka Sophie Fortune znika w tajemniczych okolicznościach. Policja bardzo szybko rezygnuje z poszukiwań. Dziewczyna miała za sobą próby samobójcze, a tym razem zostawiła wiadomość:

TO SIĘ MUSI SKOŃCZYĆ. DZIŚ JUŻ KONIEC.

Zrozpaczony ojciec dziewczyny nie chce uwierzyć w jej samobójstwo. Na własną rękę rozpoczyna śledztwo i szybko odkrywa kilka niepokojących faktów. Zanim Sophie zniknęła, pracowała nad dziennikarską prowokacją dla brukowca. W tym samym czasie dziewczyna była wielokrotnie atakowana na swoim blogu przez osobę podpisaną jako Starry Ubado. Cały czas żyła w strachu przed bezwzględny internetowym trollem, który wiedział o niej o wiele za dużo. Ale prawdziwy koszmar dopiero miał się zacząć...

**TEN THRILLER PRZERAŻA! OD TEJ PORY
KILKA RAZY ZASTANOWISZ SIĘ, NIM
WRZUCISZ DO SIECI ZDJĘCIE LUB WPIS.**

Patroni medialni:



Zamówienia
www.burdaksiążki.pl
tel. +48 22 360 37 77
facebook.com/burdaksiążki

Zeskanuj kod
i pobierz
darmową
próbę książki!



KSIĄŻKA DOSTĘPNA
TEŻ JAKO E-BOOK 